

KAZUO

ISHIGURO

Nie opuszczaj
mnie



KAZUO ISHIGURO

Nie opuszczaj
mnie

Z angielskiego przełożył
ANDRZEJ SZULC



WARSZAWA 2005



Lornie i Naomi

Anglia, schyłek dwudziestego wieku

Część I

Rozdział 1

Nazywam się Kathy H. Mam trzydzieści jeden lat i jestem opiekunką od przeszło jedenastu lat. Wiem, że to długo, ale właściwie chcą, żebym to robiła jeszcze przez osiem miesięcy, do końca tego roku. Wtedy minie prawie dokładnie dwanaście lat. Zdaję sobie sprawę, że ten długi okres niekoniecznie wynika z tego, że ich zdaniem jestem taka fantastyczna w tym, co robię. Zdarzają się naprawdę dobrzy opiekunowie, których odwołują już po dwóch albo trzech latach. I przychodzi mi na myśl przynajmniej jeden opiekun, który pełnił tę funkcję przez całe czternaście lat, mimo że do niczego się nie nadawał. Więc nie próbuję się przechwalać. Z drugiej strony dobrze wiem, że są zadowoleni z mojej pracy i generalnie rzecz biorąc, ja też jestem. Moi dawcy zawsze radzą sobie lepiej, niż się spodziewano. Ich okresy rekonwalescencji są imponująco krótkie i prawie żadnego nie zaliczono do kategorii „nadpobudliwych”, nawet przed czwartą donacją. No dobrze, może rzeczywiście trochę się przechwalam. Ale to dla mnie dużo znaczy, fakt, że jestem w stanie dobrze wykonywać moją pracę, a zwłaszcza że dawcy, którymi się opiekuję, pozostają wyciszeni. Mam do nich odpowiednie podejście. Wiem, kiedy przy nich być i pocieszać, a kiedy zostawić samym sobie; kiedy słuchać wszystkiego, co mają do powiedzenia, a kiedy wzruszyć po prostu ramionami i kazać im się przymknąć.

Swoją drogą, nie domagam się jakiegoś specjalnego uznania. Znam opiekunów, aktualnie pracujących, którzy są tak samo dobrzy i nie cieszą się nawet w połowie tak dużą estymą. Jeśli się do nich zaliczacie, nie dziwię się, że mi zazdrościcie — mojej kawalerki, samochodu, a przede wszystkim tego, że wolno mi wybierać swoich podopiecznych. No i tego, że byłam wychowanką Hailsham — co samo w sobie wkurza niektóre osoby. Kathy H., mówią, może wybrzydzać i zawsze wybiera podobne do siebie osoby: z Hailsham albo któregoś z innych uprzywilejowanych domów. Nic dziwnego, że ma piękny dorobek. Słyszałam takie opinie dosyć często, więc jestem pewna, że wy słyszeliście je jeszcze częściej i może coś w tym rzeczywiście jest. Ale nie mnie pierwszej pozwolono wybierać, i wątpię, żebym była ostatnia. A swoją drogą, miałam okazję opiekować się dawcami, którzy wywodzą się z najróżniejszych miejsc. Pamiętajcie, że kiedy

skończę, będę miała za sobą dwanaście lat tej roboty i tylko w ciągu ostatnich sześciu pozwolono mi wybierać.

Dlaczego zresztą mieliby mi tego zabraniać? Opiekunowie to nie automaty. Człowiek daje z siebie wszystko przy każdym dawcy, ale go to w końcu wyczerpuje. Nie dysponuje bezgraniczną cierpliwością i energią. Więc kiedy daje mu się szansę wyboru, wybiera oczywiście swoich. To naturalne. Nie mogłabym pracować tak długo, jak pracuję, gdybym nie współczuła moim dawcom na każdym etapie ich drogi. A zresztą, gdyby nie dano mi możliwości wyboru, jak mogłabym po tych wszystkich latach zbliżyć się ponownie do Ruth i Tommy'ego?

Ostatnio jednak jest oczywiście coraz mniej dawców, których pamiętam, więc praktycznie wcale tak bardzo nie grymaszę. Praca jest, jak powiadam, o wiele cięższa, kiedy nie ma się głębokiego związku z dawcą, i chociaż będzie mi jej brakowało, wydaje się chyba słuszne, aby pod koniec tego roku wreszcie z tym skończyć.

Tak się składa, że Ruth była trzecią albo czwartą dawczynią, którą pozwolono mi wybrać. Miała już w tym czasie przydzieloną opiekunkę i pamiętam, że wymagało to z mojej strony trochę tupetu. W końcu jednak mi się udało i kiedy tylko ją zobaczyłam, w tym ośrodku rehabilitacyjnym w Dover, wszystkie dzielące nas różnice zdań — chociaż do końca o nich nie zapomnialiśmy — nie wydawały się nawet w przybliżeniu tak ważne jak inne rzeczy — to, że dorastałyśmy razem w Hailsham oraz że znałyśmy i pamiętałyśmy sprawy, których nie pamiętał i nie znał nikt inny. Przypuszczam, że chyba od tamtego momentu zaczęłam wybierać na swoich dawców ludzi związanych w jakiś sposób z moją przeszłością, i gdy to tylko możliwe, ludzi z Hailsham.

W ciągu tych lat bywały chwile, kiedy próbowałam zapomnieć o Hailsham, kiedy powtarzałam sobie, że nie powinnam tak często oglądać się wstecz. Nadszedł jednak moment, kiedy przestałam po prostu z tym walczyć. Musiało to mieć związek z dawcą, którym opiekowałam się w trzecim roku mojej pracy; mam na myśli jego reakcję, gdy napomknęłam, że jestem z Hailsham. Miał już za sobą trzecią donację, która nie poszła najlepiej, i musiał wiedzieć, że nie wróci do normy. Nie mógł prawie oddychać, ale spojrzał na mnie i mruknął: „Hailsham... Założę się, że to było piękne miejsce”. A potem, nazajutrz rano, kiedy starając się zająć czymś jego umysł, zapytałam, gdzie dorastał, wymienił jakieś miejsce w Dorset, i na jego pokrytej wybroczynami twarzy ukazał się

zupełnie nowy grymas. I zdałam sobie wówczas sprawę, jak bardzo nie chciał, żeby mu o tym przypomiano. Zamiast tego pragnął, żebym mu opowiadała o Hailsham.

Przez następne pięć albo sześć dni opowiedziałam mu zatem wszystko, co chciał wiedzieć, a on leżał tam z łagodnym uśmiechem, podłączony do wszystkich systemów. Pytał o duże i małe sprawy. O naszych wychowawców, o to, czy każde z nas miało rzeczywiście pod łóżkiem skrzynkę z własną kolekcją, o piłkę nożną, o palanta, o wąską ścieżkę, która obiegała dookoła cały dom i wszystkie jego zakamarki, o staw z kaczkami, o jedzenie i o widok z pracowni plastycznej na pola w mglisty poranek. Pewne rzeczy musiałam mu bez końca powtarzać; chociaż opisałam je zaledwie dzień wcześniej, pytał mnie, jakbym w ogóle o nich nie wspomniała. „Czy mieliście salę gimnastyczną?”. „Którego wychowawcę najbardziej lubiliście?”. Z początku myślałam, że jest zamroczony lekami, ale potem zdałam sobie sprawę, że ma jasny umysł. Chciał po prostu nie tylko słuchać o Hailsham, lecz wszystko zapamiętać, tak jakby to było jego własne dzieciństwo. Wiedział, że jest bliski zejścia, i dlatego to robił: kazał mi opisywać różne rzeczy, żeby wbiły mu się w pamięć i żeby później, w trakcie tych bezsennych nocy, kiedy będzie odurzony bólem, lekami i zmęczeniem, zatarła się granica pomiędzy moimi i jego wspomnieniami. Wtedy właśnie po raz pierwszy zrozumiałam, naprawdę zrozumiałam, jakie mieliśmy szczęście — Tommy, Ruth, ja i cała reszta.

Jeżdżąc teraz po kraju, widzę rzeczy, które przypominają mi Hailsham. Mijając skraj zasnutego mgłą pola albo zjeżdżając doliną i widząc w oddali fragment jakiejś rezydencji bądź tylko szpaler rosnących na wzgórzu topoli, myślę czasami: „To chyba to miejsce! Znalazłam je! To rzeczywiście jest Hailsham!”. A potem spostrzegam, że to niemożliwe, i jadę dalej, dumając o czymś innym. Dotyczy to zwłaszcza sal gimnastycznych. Widuję je w całym kraju, wzniesione przy boiskach, niewielkie białe budynki z prefabrykatów z nienormalnie wysokimi oknami, schowanymi niemal pod okapem. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych zbudowano ich chyba bardzo dużo i nasza pochodziła prawdopodobnie z tego okresu. Mijając którąś z nich, przyglądam jej się tak długo, jak to możliwe, i któregoś dnia rozbiję przez to samochód, lecz nie mogę się powstrzymać. Jechałam niedawno przez Worcestershire i zobaczyłam przy boisku do

krykieta salę gimnastyczną tak bardzo podobną do naszej w Hailsham, że zawróciłam samochód, żeby jeszcze raz się jej przyjrzeć.

Uwielbialiśmy naszą salę gimnastyczną, być może dlatego, że przypominała nam wszystkie te małe śliczne domki, które oglądaliśmy w książkach z obrazkami, kiedy byliśmy mali. Pamiętam, jak jeszcze w juniorach prosiliśmy wychowawców, żeby poprowadzili następną lekcję w sali gimnastycznej zamiast w normalnej klasie. A potem, w drugiej klasie seniorów, kiedy mieliśmy po dwanaście lat i wchodziliśmy w trzynasty rok życia, sala gimnastyczna stała się miejscem, w którym zaszywaliśmy się ze znajomymi, kiedy chcieliśmy odizolować się od reszty.

Sala była dość duża, by pomieścić dwie oddzielne grupki, które nie przeszkadzały sobie nawzajem — w lecie trzecia grupka mogła siedzieć na werandzie. Ale ideałem było oczywiście zagarnięcie całego miejsca tylko dla siebie, więc często dochodziło do kłótni i przepychanek. Wychowawcy powtarzali nam zawsze, żebyśmy załatwiali to w sposób cywilizowany, w praktyce jednak, żeby zająć salę gimnastyczną podczas przerwy albo okienka między lekcjami, trzeba było mieć w swojej paczce kogoś o silnej osobowości. Ja sama nie należałam do zbyt zahukanych, przypuszczam jednak, że przebywałyśmy tam tak często głównie dzięki Ruth.

Na ogół siadałyśmy po prostu na krzesłach i ławkach — było nas pięć albo sześć dziewczyn, jeśli dołączyła akurat Jenny B. — i plotkowałyśmy na całego. Pewnego rodzaju rozmowy można było prowadzić tylko w sali gimnastycznej; mogłyśmy dyskutować o czymś, co nas niepokoiło, bądź też zaśmiewać się do łez lub skakać sobie do oczu. Przede wszystkim dawało to możliwość chwilowego odprężenia się w gronie najbliższych znajomych.

W to popołudnie, o którym chciałam teraz opowiedzieć, stałyśmy wszystkie na stołkach i ławkach przy wysokich oknach. Widziałyśmy dzięki temu wyraźnie pomocne boisko, na którym kilkunastu chłopców z naszego roku oraz trzeciej klasy seniorów zebrało się, żeby rozegrać mecz piłki nożnej. Było jasno, ale wcześniej musiało padać, ponieważ pamiętam, że zabłocona trawa lśniła w promieniach słońca.

Któraś z nas powiedziała, że nie powinnyśmy się tak nachalnie gapić, lecz mimo to nie odsunęłyśmy się od okien.

— On niczego nie podejrzewa — stwierdziła po chwili Ruth. — Popatrzcie na niego. On naprawdę niczego nie podejrzewa.

Kiedy to powiedziała, spojrzałam na nią, szukając oznak dezaprobaty wobec tego, co chłopcy mieli zamiar zrobić Tommy'emu. Ale Ruth parsknęła śmiechem.

— Co za dureń! — mruknęła.

A ja zdałam sobie sprawę, że dla Ruth i innych dziewczyn to, co zamierzali robić chłopcy, było z nami zupełnie niezwiązane; nasza aprobata bądź jej brak nie miały żadnego znaczenia. Stałyśmy przy oknach nie po to, by napawać się widokiem ponownie upokarzanego Tommy'ego, lecz dlatego, że doszły nas słuchy o tym najnowszym spisku i byłyśmy trochę ciekawe, jak się rozwinie. Nie sędzę, żeby w tamtych czasach to, co robili między sobą chłopcy, obchodziło nas w jakimś większym stopniu. Dla Ruth i dla innych dziewczyn było to zupełnie nieistotne, i wiele wskazuje na to, że podzielałam ich nastawienie.

Choć może źle to zapamiętałam. Może już wówczas, widząc Tommy'ego, który biegł przez boisko z wyrazem nieklamanej radości na twarzy, ponieważ znowu został zaakceptowany i miał zagrać w piłkę nożną, w której był taki dobry, poczułam lekkie ukłucie bólu. Pamiętam, iż zauważyłam, że Tommy ma na sobie cienką koszulkę polo, którą dostał na wyprzedzący w poprzednim miesiącu — tę, z której był taki dumny. „Prawdziwy z niego dureń, skoro chce w niej grać — pamiętam, że pomyślałam. — Na pewno ją zniszczy i ciekawe, jak się wtedy będzie czuł?”.

— Tommy włożył swoją koszulkę — powiedziała na głos, nie zwracając się do nikogo w szczególności. — Swoją ulubioną koszulkę polo.

Nie sędzę, żeby ktoś mnie usłyszał, ponieważ wszystkie śmiały się z Laury, największej śmieszki w naszej grupce; naśladowała miny pojawiające się kolejno na twarzy Tommy'ego, kiedy biegał, machał rękoma, wołał coś i szarżował z piłką. Inni chłopcy snuli się po boisku niczym muchy w smole, jak zawsze podczas rozgrzewki, ale podekscytowany Tommy zasuwał na całego.

— Pochoruje się, jeśli zniszczy tę koszulkę — odezwałam się głośniej.

Ruth tym razem mnie usłyszała, lecz musiała pomyśleć, że to z mojej strony jakiś żart, ponieważ roześmiała się bez przekonania i rzuciła własną drwiącą uwagę.

A potem chłopcy przestali kopać piłkę, stanęli w kółeczku w błocie i z unoszącymi się i opadającymi w oddechu piersiami czekali, aż zacznie się wybieranie zawodników. Dwaj kapitanowie, którzy się zgłosili, byli z trzeciej klasy seniorów, chociaż wszyscy wiedzieli, że Tommy gra lepiej niż ktokolwiek z tamtego roku. Rzucili los, kto pierwszy wybiera, i ten, który wygrał, przyjrzał się grupie.

— Patrzcie na Tommy'ego — zagadnęła któraś z dziewczyn. — Jest na sto procent pewien, że wybiorą go pierwszego. Po prostu na niego patrzcie.

Tommy sprawiał w tym momencie rzeczywiście komiczne wrażenie i można było pomyśleć: „No dobrze, zgoda, skoro jest taki tępy, zasługuje na to, co go czeka”. Inni chłopcy ignorowali proces wybierania, udając, że nie dbają o to, do której wejdą drużyny. Kilku rozmawiało półgłosem, inni zawiązywali na nowo sznurowadła, a jeszcze inni gapili się po prostu we własne stopy, przebijając nogami w błocie.

Tylko Tommy wpatrywał się z napięciem w chłopaka z trzeciej klasy seniorów, jakby słyszał już swoje nazwisko.

Laura kontynuowała przez cały czas swój występ, naśladowując wszystkie miny, które pojawiły się na twarzy Tommy'ego: tryskającą szczęściem na samym początku, skonsternowaną i zdziwioną, kiedy wywołano już czterech zawodników, a on nie miał przydziału; zbolalą i spanikowaną, gdy zaczął sobie uświadamiać, co naprawdę jest grane. Nie oglądałam jej wygłupów, ponieważ przez cały czas obserwowałam Tommy'ego; domyślałam się tylko, co robi Laura, bo inne dziewczęta śmiały się i ją zachęcały. A potem Tommy został sam i wszyscy chłopcy zaczęli z niego szydzić.

— Zaraz się zacznie — usłyszałam głos Ruth. — Zaczekajcie. Za siedem sekund. Siedem, sześć, pięć...

Nie doliczyła do końca. Tommy ryknął głośno, a chłopcy, teraz otwarcie się z niego śmiejąc, puścili się biegiem w stronę południowego boiska. Tommy pognął za nimi — trudno powiedzieć, czy dlatego, że chciał ich ścigać, czy dlatego, że bał się zostać sam. Tak czy owak, szybko się zatrzymał i stojąc tam z poczerwieniałą twarzą, toczył za nimi wściekłym wzrokiem. A potem zaczął krzyczeć i wrzeszczeć, wyrzucając z siebie nonsensowny bełkot przekleństw i obelg.

Ponieważ miałyśmy już wcześniej okazję oglądać wiele jego ataków złości, zeskoczyłyśmy z naszych stołków i odeszłyśmy od okien. Próbowaliśmy porozmawiać o

czymś innym, lecz tuż obok przez cały czas słyhać było klnącego jak szewc Tommy'ego, i choć z początku przewracałyśmy oczyma i starałyśmy się go ignorować, ostatecznie — mniej więcej dziesięć minut po tym, jak usiadłyśmy — stanęłyśmy z powrotem w oknach.

W polu widzenia nie było już w ogóle innych chłopców i Tommy nie usiłował kierować swoich komentarzy pod żaden konkretny adres. Po prostu się wściekał, wymachując na wszystkie strony kończynami, grożąc niebu, wiatrowi i najbliższemu słupkowi ogrodzenia. Laura powiedziała, że pewnie „recytuje swojego Szekspira”. Jakaś inna dziewczyna zwróciła uwagę, że posyłając kolejną wiązanekę, Tommy podnosi za każdym razem nogę, odchylając ją na zewnątrz, „niczym pies, który sika”. Właściwie ja też to zauważyłam, ale uderzyło mnie, że kiedy stawiał stopę z powrotem, wokół jego łydek fruwały pecyny błota. Ponownie pomyślałam o jego drogocennej koszulce, lecz Tommy stał za daleko, żebym mogła zobaczyć, czy ją bardzo ubłocił.

— To chyba jest trochę okrutne — powiedziała Ruth. — To, że zawsze doprowadzają go do takiego stanu. Ale sam sobie jest winien. Gdyby nauczył się trzymać nerwy na wodzy, zostawiliby go w spokoju.

— I tak by się go czepiali — odparła Hannah. — Graham K. też jest taki nerwowy, ale w stosunku do niego są bardzo ostrożni. Uwzięli się na Tommy'ego, bo ma dwie lewe ręce.

A potem dziewczyny zaczęły mówić jedna przez drugą, że Tommy nigdy nie stara się być kreatywny i że nie dał nawet nic na wiosenne targi. Przypuszczam, że tak naprawdę marzyłyśmy wszystkie, żeby z głównego budynku wyszedł jakiś wychowawca i kazał mu stamtąd odejść. I chociaż nie brałyśmy w ogóle udziału w tej ostatniej znowie mającej na celu dokuczenie Tommy'emu, zajęłyśmy przecież miejsca w oknach i gnębiło nas poczucie winy. Ponieważ jednak nie pokazał się żaden wychowawca, wyliczałyśmy dalej powody, dla których Tommy zasłużył sobie na swój los. I kiedy Ruth spojrzała w końcu na zegarek i stwierdziła, że powinnyśmy wracać do głównego budynku, żadna z nas się nie sprzeciwiła, choć miałyśmy jeszcze dużo czasu.

Gdy wyszłyśmy z sali gimnastycznej, Tommy wciąż dysponował dużym zapasem energii. Stał na boisku prosto przed nami, a ponieważ główny budynek był po lewej stronie, nie musiałyśmy się do niego zbliżać. Poza tym zwrócony był twarzą gdzie indziej i chyba w ogóle nas nie widział. Mimo to, kiedy moje przyjaciółki ruszyły wzdłuż skraju

boiska, skrzyłem ku niemu. Wiedziała, że wprawi to jej w konsternację, lecz szłam dalej — nawet kiedy usłyszałam szept Ruth, która kazała mi wracać.

Przypuszczam, że Tommy nie przywykł, by przerywano mu jego napady, bo kiedy do niego podeszłam, wpatrywał się we mnie przez sekundę, a potem kontynuował to, co robił wcześniej. Tak jakby rzeczywiście deklamował Szekspira i jakbym weszła na scenę w połowie jego występu.

— Twoja piękna koszulka, Tommy. Całą ją ubrudzisz — powiedziałam, lecz nic nie wskazywało na to, że mnie słyszy.

Wyciągnęłam więc rękę i położyłam mu na ramieniu. Inne dziewczęta myślały potem, że zrobił to celowo, lecz ja nie wątpiłam, że nie miał wcale takiego zamiaru. Wymachiwał rękoma i nie spodziewał się po prostu, że wyciągnę do niego dłoń. Tak czy inaczej, podrywając w górę ramię, stracił moją rękę i uderzył mnie w bok twarzy. W ogóle mnie to nie zabolalo, ale głośno westchnęłam, podobnie jak większość dziewczyn za moimi plecami.

W tym momencie Tommy zdał sobie chyba w końcu sprawę, że tam jestem i że są tam inne dziewczyny. Uświadomił sobie, że stoi na tym boisku, zachowując się tak, jak się zachowuje, i posłał mi trochę głupawe spojrzenie.

— Tommy — rzekłam surowym tonem. — Pobrudziłeś błotem całą koszulkę.

— I co z tego? — wymamrotał.

Mówiąc to, zerknął jednak w dół i widząc brązowe plamy, o mało nie krzyknął z wrażenia. A potem zobaczyłam na jego twarzy zdumienie — dziwił się pewnie, skąd wiem, że tak mu zależy na tej koszulce.

— Nie ma się czym przejmować — odezwałam się, zanim milczenie mogło stać się dla niego przykre. — Plamy zejdą. Jeśli nie zdołasz ich sam zmyć, zanieś pannie Jody.

Tommy przyglądał się jeszcze przez chwilę swojej koszulce.

— Tak czy owak, to nie twój interes — stwierdził w końcu opryskliwie.

Chyba natychmiast pożałował tej ostatniej uwagi i spojrzał na mnie nieśmiało, jakby spodziewał się, że jakoś go pocieszę. Lecz ja miałam go na razie dosyć, zwłaszcza że obserwowały mnie dziewczyny — i jak się domyślałam, wiele innych osób z okien

głównego budynku. Wzruszyłam więc ramionami, obróciłam się na pięcie i dołączyłam do moich przyjaciółek.

Kiedy odchodziłyśmy, Ruth objęła mnie ramieniem.

— Udało ci się go przynajmniej uciszyć — powiedziała. — Nic ci nie jest? Co za zwierzę.

Rozdział 2

To wszystko zdarzyło się dawno temu, więc mogłam coś przekręcić; pamiętam jednak, że podeszłam wówczas po południu do Tommy'ego, ponieważ byłam akurat w okresie, kiedy ciągle stawiałam sobie różne wyzwania — i gdy zaczepił mnie kilka dni później, w dużej części o wszystkim zapomniałam.

Nie wiem, jak to wyglądało tam, gdzie byliście, lecz w Hailsham musieliśmy prawie co tydzień poddawać się różnym badaniom; odbywało się to na ogół w sali numer osiemnaście na najwyższym piętrze i badała nas sroga siostra Trisha, albo Krowia Morda, jak ją nazywaliśmy. Tego słonecznego ranka staliśmy w długiej kolejce na centralnych schodach, czekając na badanie, podczas gdy inni, którzy mieli je już za sobą, schodzili na dół. Klatkę schodową wypełniał donośny gwar, a ja wchodziłam na górę ze spuszczoną głową, depcząc po piętach osobie, która mnie poprzedzała.

— Kath! — usłyszałam nagle czyjś głos.

Tommy, który należał do kolejki schodzących, zatrzymał się na schodach z szerokim radosnym uśmiechem. Tym uśmiechem natychmiast mnie zirytował. Być może kilka lat wcześniej, wpadając na osobę, której widok sprawiał nam przyjemność, mogliśmy szczerzyć zęby w ten sposób. W tym czasie skończyliśmy już jednak trzynaście lat i była to sytuacja, w której chłopak zwracał się do dziewczyny w naprawdę publicznym miejscu. „Kiedy ty dorosiesz, Tommy?”, miałam ochotę zapytać.

— Wstrzymujesz wszystkich, Tommy — powiedziałam zamiast tego. — I ja też.

Zerknął w górę, i rzeczywiście schody nad nami zaczynały się już korkować. Na sekundę wpadł w popłoch, lecz potem przywarł obok mnie do ściany, żeby ludzie mogli się przecisnąć.

— Wszędzie cię szukałem, Kath — wymamrotał wreszcie. — Chciałem cię przeprosić. Naprawdę bardzo, bardzo mi przykro. Słowo daję, nie miałem zamiaru cię uderzyć. Nigdy w życiu nie przyszłoby mi do głowy, żeby uderzyć dziewczynę, a gdyby nawet przyszło, za nic w świecie nie chciałbym uderzyć ciebie. Naprawdę bardzo mi przykro.

— Nie ma sprawy. To był zwykły wypadek — odparłam, po czym skinęłam głową i chciałam odejść.

— Koszulka jest czysta — powiadomił mnie jednak radosnym tonem Tommy. — Plamy zeszły.

— To dobrze.

— Nie bolało cię, prawda? Kiedy cię uderzyłem?

— Jasne, że bolało. Rozbita czaszka. Wstrząs mózgu i w ogóle. Nawet Krowia Morda może się zorientować. Oczywiście pod warunkiem, że kiedykolwiek do niej dotrę.

— Ale serio, Kath. Nie masz do mnie urazy, tak? Strasznie mi przykro. Naprawdę, słowo daję.

— Słuchaj, Tommy, to był wypadek — powtórzyłam bez śladu ironii, w końcu się do niego uśmiechając — i wszystko zostało w stu procentach zapomniane. Nie mam do ciebie najmniejszej pretensji.

Miał niepewną minę, ale starsi wychowankowie zaczęli go teraz popychać i mówić, żeby ruszał dalej. Tommy uśmiechnął się, po czym klepnął mnie po ramieniu, jakbym była jego młodszym kolegą, i dołączył do fali schodzących.

— Do zobaczenia, Kath! — usłyszałam dobiegający z dołu okrzyk, kiedy ruszyłam po schodach.

Cała ta historia wprawiła mnie w lekkie zakłopotanie, nie stała się jednak przedmiotem żadnych kpin ani plotek; i muszę przyznać, że gdyby nie to spotkanie na schodach, w ciągu następnych tygodni nie zainteresowałabym się problemami Tommy'ego tak bardzo, jak się zainteresowałam.

Kilka z tych incydentów widziałam na własne oczy. Przeważnie jednak o nich słyszałam i wypytywałam wówczas ludzi tak długo, aż przedstawiali mi w miarę pełną relację. Doszło do kolejnych napadów złości. W trakcie jednego z nich Tommy podniósł podobno dwie ławki w sali numer czternaście, wywalając całą ich zawartość na podłogę, a reszta klasy uciekła na korytarz i zabarykadowała drzwi, żeby nie mógł wyjść. Innym razem pan Christopher musiał mu wykręcić do tyłu ręce, żeby powstrzymać go przed zaatakowaniem Reggiego D. podczas treningu piłkarskiego. Wszyscy widzieli również, że kiedy chłopcy z drugiej klasy seniorów ćwiczyli bieg przełajowy, Tommy jako jedyny nie

miał żadnego partnera. Był dobrym biegaczem i szybko odsadził się na dziesięć albo piętnaście jardów od reszty, myśląc zapewne, iż ukryje w ten sposób fakt, że nikt nie chciał z nim biegać. Prawie codziennie krążyły też plotki o kawałach, jakie mu robiono. Wiele było dość banalnych — dziwaczne rzeczy w łóżku, robak w płatkach śniadaniowych — niektóre jednak wydawały się bezsensownie wstrętne: na przykład kiedy ktoś wyczyścił toaletę jego szczoteczką do zębów i rano czekała na niego z gównem między włoskami. Jego postura i siła — a także, jak podejrzewam, porywczy charakter — sprawiały, że nikt nie próbował z nim bezpośrednio zadzierać, ale z tego, co pamiętam, incydenty powtarzały się przez co najmniej kilka miesięcy. Sądziłam, że wcześniej czy później ktoś stwierdzi, że sprawy zaszły za daleko, lecz to trwało i trwało i nikt nic nie mówił.

Próbowałam poruszyć kiedyś ten temat sama, w sypialni po zgaszeniu światła. Po przejściu do senierek spałyśmy po sześć dziewczyn na sali, była tam więc tylko nasza mała paczka, i leżąc po ciemku tuż przed zaśnięciem, rozmawiałyśmy często o najbardziej intymnych sprawach. Można było wtedy mówić o rzeczach, których nie śmiało się poruszyć w żadnym innym miejscu, nawet w sali gimnastycznej. Pewnej nocy wspomniałam więc o Tommym. Nie powiedziałam wiele; podsumowałam tylko, co się z nim działo, i oznajmiłam, że to naprawdę nie jest w porządku. Kiedy skończyłam, w sypialni zapadła dziwna cisza i uświadomiłam sobie, że wszyscy czekają na reakcję Ruth — jak zawsze, gdy dochodziło do jakiejś krępującej sytuacji. Po pewnym czasie usłyszałam dobiegające z jej części pokoju westchnienie.

— Masz rację, Kath — zauważyła. — To nie jest miłe. Ale jeżeli on chce, żeby to się skończyło, musi zmienić swoje nastawienie. Nie dał kompletnie nic na wiosenne targi. I czy przygotował coś na przyszły miesiąc? Bardzo wątpię.

Powinnam wspomnieć tutaj kilka słów o targach, które urządzano w Hailsham. Cztery razy w roku — wiosną, latem, jesienią i zimą — mieliśmy coś w rodzaju wystawy połączonej ze sprzedażą wszystkich rzeczy, które stworzyliśmy w ciągu trzech miesięcy od poprzednich targów. Obrazy, rysunki, ceramika; wszelkiego rodzaju „rzeźby” zrobione z tego, co było akurat na topie — zgniecionych puszek albo wbitych w tekturę kapsli. Za każdą wystawianą rzecz otrzymywało się żetony targowe — wychowawcy decydowali, ile warte było twoje konkretne arcydzieło — a potem w dniu targów szło się z tymi żetonami i kupowało, co chciało. W zasadzie można było kupować prace wykonane wyłącznie przez

wychowanków z własnego roku, ale i tak dawało to dużą możliwość wyboru, ponieważ większość z nas mogła wyprodukować przez te trzy miesiące całkiem dużo dzieł sztuki.

Patrząc wstecz, rozumiem, dlaczego targi stały się takie ważne. Przed wszystkim były dla nas jedynym oprócz wyprzedazy — o których opowiem później — sposobem, aby stać się właścicielem jakichś osobistych przedmiotów. Jeśli, powiedzmy, chciało się ozdobić ściany wokół łóżka albo nosić coś w torbie i kłaść na swojej ławce, kiedy przechodziło się z klasy do klasy, zawsze można było znaleźć coś takiego podczas targów. Dziś widzę, że targi oddziaływały na nas również w bardziej subtelny sposób. Sam fakt, iż wytwarzaliśmy rzeczy, które mogły stać się prywatnymi skarbami naszych przyjaciół, musiał wpływać na łączące nas związki. Historia z Tommym była typowa. To, jak ktoś był oceniany w Hailsham, czy był lubiany i szanowany, wynikało prawie zawsze z tego, jak bardzo był kreatywny.

Ruth i ja często rozmawialiśmy na ten temat, kiedy opiekowałam się nią w ośrodku rehabilitacyjnym w Dover.

— To dzięki temu właśnie Hailsham było takie wyjątkowe — powiedziała raz. — Dzięki temu, że zachęcano nas, byśmy cenili pracę innych.

— To prawda — odparłam. — Ale czasami, kiedy myślę teraz o targach, dużo rzeczy bardzo mnie dziwi. Na przykład poezja. Pamiętam, że zamiast obrazu lub rysunku wolno nam było oddawać wiersze. I co ciekawe, wszyscy uważaliśmy, że to w porządku, że to ma sens.

— Dlaczego mielibyśmy sądzić inaczej? Poezja jest ważna.

— Ale mówimy przecież o rzeczach pisanych przez dziewięciolatków, śmiesznych rymowankach nagryzmołonych w szkolnych zeszytach, z błędami ortograficznymi. Wydawaliśmy nasze drogocenne żetony na zeszyt z takimi wierszydłami zamiast na coś naprawdę ładnego, co można było postawić przy łóżku. Skoro tak interesowały nas czyjeś wiersze, dlaczego po prostu nie pożyczylimy ich i nie przepisaliśmy sobie w jakieś wolne popołudnie? Ale pamiętasz, jak to wyglądało. Zaczynały się targi i stałyśmy tam rozdarte między wierszami Susie K. i żyrafami, które robiła Jackie.

— Żyrafy Jackie — parsknęła śmiechem Ruth. — Były takie piękne. Miałam kiedyś jedną.

Prowadziłyśmy tę rozmowę w miły letni wieczór, siedząc na małym balkonie jej izolatki. Było to kilka miesięcy po jej pierwszej donacji, Ruth miała już za sobą najgorsze, i zawsze starałam się zaplanować moje wieczorne wizyty tak, abyśmy mogły spędzić tam pół godziny, obserwując zachodzące nad szczytami dachów słońce. Przynosiłam wodę mineralną i herbatniki i siedziałyśmy, rozmawiając o wszystkim, co przyszło nam do głowy. Ośrodek, w którym była wtedy Ruth, należy do moich ulubionych i nie miałabym nic przeciwko, żeby tam się dostać. Izolatki są małe, ale dobrze zaprojektowane i wygodne. Wszystko — ściany i podłoga — wyłożone jest lśniącymi białymi płytkami, które utrzymywane są w takiej czystości, że kiedy człowiek wchodzi tam po raz pierwszy, wydaje mu się, że to gabinet luster. Oczywiście nie widzi się swoich zwiłokrotnionych odbić, ale takie niemal ma się wrażenie. Kiedy podnosi się rękę albo ktoś siada na łóżku, na każdej poszczególniej płytce widać te blade mgliste ruchy. Tak czy owak, izolatka Ruth w tym ośrodku miała również duże rozsuwane szklane drzwi, dzięki którym mogła oglądać z łóżka to, co działo się na zewnątrz. Nawet z głową na poduszce widziała duży fragment nieba, i jeśli było dość ciepło, mogła wyjść na balkon i zaczerpnąć, ile tylko chciała, świeżego powietrza. Uwielbiałam ją tam odwiedzać, uwielbiałam te chaotyczne rozmowy, które prowadziłyśmy przez całe lato aż do wczesnej jesieni, siedząc razem na tym balkonie, gadając o Hailsham, o Chałupach, o wszystkim, co ślina na język przyniesie.

— Chodzi o to — kontynuowałam — że kiedy byliśmy w tym wieku, kiedy mieliśmy, powiedzmy, po jedenaście lat, w gruncie rzeczy wcale nie interesowała nas cudza poezja. Ale pamiętasz na przykład Christy? Christy miała opinię wielkiej poetki i wszyscy traktowaliśmy ją z respektem. Nawet ty, Ruth, nawet ty nie ośmieliłaś się patrzeć na Christy z góry. Tylko dlatego, że uważaliśmy ją za wielką poetkę. Ale przecież kompletnie nie znaliśmy się na poezji. I nic nas nie obchodziła. To dziwne.

Lecz Ruth nie zrozumiała, o co mi chodzi — a może nie miała ochoty tego zrozumieć. Może chciała za wszelką cenę zapamiętać nas wszystkich mądrzejszymi, niż rzeczywiście byliśmy. A może wyczuwała, w którą zmiierzam stronę, i nie chciała, byśmy o tym mówiły.

— Wszyscy uważaliśmy, że wiersze Christy są takie dobre — oznajmiła, wydając z siebie długie westchnienie. — Ciekawi mnie jednak, co byśmy o nich teraz pomyślały.

Żałuję, że nie mamy tutaj żadnego. Chętnie przekonałabym się, co o nich dziś sądzimy — dodała i roześmiała się. — Wciąż mam za to parę wierszy Petera B. Choć to było znacznie później, kiedy byliśmy w czwartej klasie seniorów. Chyba się w nim zadurzyłam. Nie widzę innego powodu, dla którego miałabym kupować jego wiersze. Są po prostu histerycznie głupie. Traktuje sam siebie z taką powagą. Ale Christy była dobra, pamiętam, że była. To zabawne, kiedy zaczęła malować, skończyła na dobre z poezją. A w malowaniu nie była nawet w połowie taka dobra.

Powróćmy jednak do Tommy'ego. To, co Ruth powiedziała wówczas w naszej sypialni po zgaszeniu światel — że sam napytał sobie biedy — pokrywało się z opinią większości ludzi w Hailsham. Ale kiedy powiedziała to, co powiedziała, uświadomiłam sobie, leżąc tam, że całe to przeświadczenie, iż Tommy celowo się nie stara, ciągnie się za nim już od juniorów. I zdałam sobie sprawę, z czymś w rodzaju zimnego dreszczu, że Tommy znosi to, co znosi, nie od kilku tygodni czy miesięcy, lecz od kilku lat.

Tommy i ja rozmawialiśmy nie tak dawno temu i jego własna relacja o tym, skąd wzięły się jego kłopoty, potwierdza to, co przyszło mi do głowy tamtej nocy. Według niego wszystko zaczęło się pewnego popołudnia na prowadzonych przez pannę Geraldine zajęciach wychowania plastycznego. Do tamtego dnia, powiedział mi, całkiem lubił malowanie. Ale tamtego dnia na zajęciach z panną Geraldine namalował tę akwarelę — słonia stojącego w wysokiej trawie — i od tego wszystko się zaczęło. Zrobił to, jak stwierdził, dla hecy. Wypytywałam go długo w tej kwestii i podejrzewam, że tak naprawdę przypominało to rzeczy, które człowiek robi w tym wieku; nie ma jakiegoś określonego powodu, po prostu to robi. Robi, ponieważ myśli, że to będzie śmieszne, albo chce zobaczyć, czy wywoła poruszenie. A kiedy proszą go potem, żeby wyjaśnił, o co mu chodziło, rzecz wydaje się zupełnie bezsensowna. Wszyscy robimy coś takiego. Tommy nie przedstawił tego akurat w ten sposób, lecz jestem pewna, że tak właśnie było.

Tak czy inaczej, namalował tego słonia i zrobił to w sposób, w jaki mógłby go namalować ktoś o trzy lata młodszy. Zajęło mu to nie więcej niż dwadzieścia minut i rzeczywiście wywołało salwy śmiechu, choć niekoniecznie takiego, jakiego się spodziewał. Mimo to skończyłoby się pewnie na niczym — i na tym, jak podejrzewam, polega ironia losu — gdyby zajęć nie prowadziła tamtego dnia panna Geraldine.

Panna Geraldine była ulubioną wychowawczynią nas wszystkich, kiedy byliśmy mali. Bardzo łagodna, nigdy nie podnosiła głosu i zawsze pocieszała każdego, kto tego potrzebował, nawet jeśli zrobił coś złego albo został skarcony przez innego wychowawcę. Jeżeli musiała sama kogoś skarcić, później przez kilka dni poświęcała mu więcej uwagi, zupełnie jakby była mu coś winna. Tommy miał pecha, że tego dnia wychowanie plastyczne mieli z panną Geraldine, a nie, powiedzmy, z panem Robertem albo samą panną Emily — naczelną wychowawczynią, która często prowadziła te zajęcia. Gdyby to było jedno z nich, Tommy zostałby skarcony, puściłby perskie oko i inni wychowankowie mogliby w najgorszym razie pomyśleć, że nie udał mu się żart. Część z nich mogłaby go nawet uznać za klasowego wesółka. Ponieważ jednak trafił na pannę Geraldine, potoczyło się to zupełnie inaczej. Panna Geraldine starała się spojrzeć na obrazek przychylnym okiem. I domyślając się zapewne, że wychowankowie mogą wziąć Tommy'ego na języki, przegięła pałę w drugą stronę, próbując znaleźć w malunku rzeczy godne pochwały i pokazując je klasie. I wtedy właśnie podpadł innym.

— Kiedy wychodziliśmy na korytarz — wspominał Tommy — po raz pierwszy usłyszałem, jak mnie obmawiają. I nie przejmowali się wcale, że mogą usłyszeć.

Moim zdaniem jeszcze przed namalowaniem tego słonia Tommy miał poczucie, że trochę nie nadaża — że zwłaszcza jego obrazki przypominają te, które malują wychowankowie znacznie od niego młodszy — i starał się to za wszelką cenę ukryć, umyślnie malując rzeczy w dziecięcym stylu. Ale po obrazku ze słoniem cała rzecz się wydała i wszyscy patrzyli, co teraz zrobi. Przez jakiś czas bardzo się starał, lecz za każdym razem, kiedy się do czegoś zabierał, zaczynały się docinki i chichoty. W gruncie rzeczy im bardziej mu zależało, tym śmieszniejsze wydawały się jego wysiłki. Wkrótce więc wrócił do swojej początkowej taktyki i świadomie wykonywał prace, które sprawiały wrażenie dziecięcych, wskazywały, że ma to wszystko w nosie. Od tej chwili jego sytuacja coraz bardziej się pogarszała.

Przez jakiś czas cierpiał wyłącznie wyłącznie podczas wychowania plastycznego — choć działo się to dość często, ponieważ w klasach juniorów było tych zajęć bardzo dużo. Potem przybrało to większe rozmiary. Wykluczano go z gier, chłopcy nie chcieli z nim siedzieć przy kolacji albo udawali, że nie słyszą, kiedy mówił coś w sypialni po zgaszeniu światła. Z początku nie działo się to przez cały czas. Mogło minąć parę miesięcy bez

jednego incydentu, Tommy myślał, że ma to już za sobą, i wtedy coś, co zrobił on sam albo jeden z jego wrogów, na przykład Arthur H., uruchamiało wszystko od nowa.

Nie jestem pewna, kiedy zaczęły się te napady wściekłości. Z tego, co pamiętam, Tommy zawsze był znany ze swojego wybuchowego charakteru, nawet w maluchach, ale on sam powiedział mi, że zaczęły się dopiero, kiedy szykany przybrały na sile. Tak czy owak, te napady jeszcze bardziej prowokowały ludzi, prowadziły do eskalacji, i w okresie, o którym opowiadam – latem tamtego roku, kiedy mieliśmy trzynaście lat i byliśmy w drugiej klasie seniorów – prześladowania sięgnęły szczytu.

A potem wszystko się skończyło, może nie z dnia na dzień, ale dosyć szybko. Jak powiadam, obserwowałam wówczas bacznie całą sytuację, dostrzegłam więc pierwsze oznaki jeszcze przed innymi. Zaczęło się od okresu – który mógł trwać miesiąc, a może dłużej – kiedy dalej mu dokuczano, lecz Tommy przestał wpadać w furję. Czasami widziałam, że mało brakuje, żeby do tego doszło, lecz udawało mu się jakoś opanować; innym razem wzruszał spokojnie ramionami albo zachowywał się tak, jakby niczego nie zauważył. Z początku ludzie reagowali rozczarowaniem; mieli nawet do niego żal, jakby sprawił im zawód. Z biegiem czasu stopniowo im się znudziło i nie wkładali już tyle serca w kolejne figle, aż któregoś dnia uderzyło mnie, że od ponad tygodnia nie splełali mu żadnego.

Samo w sobie nie było to aż takie znaczące, lecz zauważyłam również inne zmiany. Nic wielkiego – na przykład kiedy Alexander J. i Peter N. szli z nim przez dziedziniec w stronę boiska i wszyscy trzej rozmawiali całkiem normalnie; pamiętam też subtelną, lecz wyraźną zmianę tonu, kiedy padało jego nazwisko. Pewnego razu, pod koniec popołudniowej przerwy, nasza grupka siedziała na trawie niedaleko południowego boiska, na którym chłopcy grali jak zwykle w piłkę nożną. Biorąc udział w rozmowie, przez cały czas miałam oko na Tommy'ego, który, jak zauważyłam, był w samym sercu gry. W którymś momencie został podcięty i wstając, położył piłkę na ziemi, żeby samemu strzelić wolnego. Kiedy chłopcy rozbiegli się w oczekiwaniu na podanie, zobaczyłam, że stojący kilka jardów za nim Arthur H. – należący do jego największych prześladowców – przedrzeźnia go, imitując sposób, w jaki Tommy stał przy piłce, opierając ręce na biodrach. Patrzyłam uważnie, lecz żaden z chłopców nie poszedł za przykładem Arthura. Musieli go widzieć, ponieważ oczy wszystkich skierowane były na przygotowującego się do strzału

Tommy'ego, Arthur zaś stał tuż za nim, nikt jednak nie był zainteresowany jego wygłupami. Tommy posłał piłkę po trawie, gra potoczyła się dalej, a Arthur H. dał za wygraną.

Cieszyło mnie to, ale i intrygowało. W twórczości Tommy'ego nie nastąpiła żadna poważna zmiana — był tak samo mało kreatywny jak wcześniej. Widziałam, że dużą rolę odegrało to, że przestał się wściekać, o wiele trudniej było jednak sprecyzować, co stanowiło główny powód. Coś zmieniło się w samym Tommym — w tym, jak się zachowywał, jak patrzył ludziom prosto w twarz i rozmawiał z nimi w otwarty, pogodny sposób — i ta przemiana pociągnęła za sobą zmianę nastawienia tych, którzy go otaczali. Nie wiadomo jednak, co było tym pierwszym impulsem.

Bardzo mnie to intrygowało i postanowiłam, że wybadam go trochę, kiedy będziemy mogli następnym razem porozmawiać na osobności. Okazja nadarzyła się całkiem szybko, kiedy ustawiłam się w kolejce po lunch i zobaczyłam, że Tommy stoi kilka osób przede mną.

Przypuszczam, że może to zabrzmieć dziwnie, ale w Hailsham kolejka po lunch nadawała się świetnie na rozmowę na osobności. Miało to coś wspólnego z akustyką wielkiego holu; panujący tam gwar i wysoki sufit sprawiały, że kiedy ściszyliśmy głos, stanęliśmy blisko siebie i przekonaliśmy się, że sąsiedzi są również pogrążeni w rozmowie, mogliśmy mieć pewność, że nikt nas nie usłyszy. Tak czy owak, nie mieliśmy zbyt wielkiego wyboru. „Dyskretne” miejsca były często najgorsze, ponieważ ktoś mógł się tam zawsze znaleźć w zasięgu naszego głosu. A kiedy człowiek próbował się wymknąć, żeby z kimś w sekrecie porozmawiać, wszyscy wyczuwali to w ciągu kilku minut i stawało się to marzeniem ściętej głowy.

Widząc zatem, że Tommy stoi kilka osób przede mną, dałam mu znak, żeby do mnie podszedł — nie wolno było podchodzić w kolejce do kogoś, kto stał wcześniej, ale można było się zawsze cofnąć. Tommy zbliżył się do mnie z radosnym uśmiechem i przez chwilę prawie w ogóle się do siebie nie odzywaliśmy — nie dlatego, że byliśmy krępowani, po prostu czekaliśmy, aż inni przestaną się interesować tym, że przesunął się do tyłu.

— Wydajesz się ostatnio o wiele szczęśliwszy, Tommy — oznajmiłam w końcu. — I układa ci się o wiele lepiej.

— Nic nie ujdzie twojej uwagi, prawda, Kath? — odparł, ale w jego głosie nie było sarkazmu. — Tak, u mnie wszystko w porządku. Układa mi się całkiem nieźle.

— Więc co się stało? Odnalazłeś Boga, czy coś w tym rodzaju?

— Boga? — Tommy'ego na chwilę zatkało, lecz potem się roześmiał. — Ach, rozumiem. Mówisz o tym... że już się nie wściekam.

— Nie tylko o tym, Tommy, Poprawiłeś wyraźnie swoje notowania. Obserwowałam to. Dlatego pytam.

Tommy wzruszył ramionami.

— Chyba trochę dorosłem. Może inni też dorośli. Nie można robić stale tego samego. To staje się nudne.

Nic na to nie odpowiedziałam, wbijałam w niego tylko dalej wzrok, aż w końcu ponownie parsknął śmiechem.

— Jesteś taka wścibska, Kath. No dobrze, przypuszczam, że coś w tym jest. Coś się wydarzyło. Jeśli chcesz, mogę ci powiedzieć.

— Proszę bardzo, mów.

— No, ale nie wolno ci tego rozpowiadać, dobrze? Przed kilkoma miesiącami miałem rozmowę z panną Lucy. I poczułem się potem o wiele lepiej. Trudno to wytłumaczyć. Lecz panna Lucy coś mi powiedziała i wszystko zmieniło się na lepsze.

— Co takiego powiedziała?

— Cóż... to może zabrzmieć dziwnie. Mnie też wydawało się w pierwszej chwili dziwne. Oznajmiła, że jeśli nie chcę być twórczy, jeśli naprawdę nie mam na to ochoty, to nic nie szkodzi. Nie ma w tym nic złego.

— Tak ci powiedziała?

Tommy pokiwał głową, lecz ja już się od niego odwracałam.

— To jakieś bzdury, Tommy. Jeśli chcesz bawić się ze mną w głupie gierki, nie mam na to czasu.

Byłam autentycznie zła, ponieważ myślałam, że mnie nabiera, i to w momencie gdy zasłużyłam na odrobinę zaufania. Widząc stojącą dalej w kolejce dziewczynę, którą znałam, zostawiłam Tommy'ego i podeszłam do niej. Widziałam, że jest skonsternowany

i zmartwiony, ale po tych wszystkich miesiącach, kiedy tak się o niego zamartwiałam, czułam się zdradzona i nie dbałam o to, co czuje. Zaczęłam gawędzić z moją przyjaciółką — była to chyba Matilda — tak wesoło, jak to tylko możliwe, i aż do końca kolejki prawie w ogóle nie spojrzałam w jego stronę.

Ale kiedy podchodziłam z talerzem do stołu, Tommy zaszedł mnie od tyłu.

— Jeśli myślisz, że próbowałem cię podpuścić, Kath, to nieprawda. Tak właśnie było. Opowiem ci o tym, jeśli dasz mi cień szansy.

— Nie gadaj głupstw, Tommy.

— Kath, po lunchu będę przy stawie. Jeśli tam przyjdiesz, opowiem ci.

Spojrzałam na niego z wyrzutem i nic nie odrzekłam, przypuszczam jednak, że już wtedy zaczęłam dopuszczać do siebie możliwość, że opowiadając o panie Lucy, wcale nie zmyślał. I siadając przy stole ze swoimi przyjaciółkami, zastanawiałam się, w jaki sposób wymknąć się nad staw, żeby nie wzbudzić niczyich podejrzeń.

Rozdział 3

Staw był na południe od domu. Żeby się do niego dostać, wychodziło się tylną furtką i podążało wąską krętą ścieżką, przeciskając się przez rozrośnięte paprocie, które wczesną jesienią blokowały drogę. Albo, jeśli w pobliżu nie było wychowawców, biegło się na skróty przez zagon rabarbaru. Tak czy inaczej, kiedy człowiek już tam dotarł, mógł odprężyć się w spokojnej atmosferze i pogapić na kaczki, sitowie i rdestnicę. Nie było to jednak dobre miejsce na dyskretną rozmowę — nawet w przybliżeniu nie tak dobre jak kolejka po lunch. Przede wszystkim widać cię było wyraźnie z budynku. I trudno było przewidzieć, jak będą się niosły głosy po wodzie; jeśli ktoś chciał podsłuchiwać, najlepiej było obejść staw zewnętrzną ścieżką i zaszyć się w krzakach po drugiej stronie. Ponieważ jednak potraktowałam tak obcesowo Tommy'ego w kolejce po lunch, uznałam, że powinnam się tam stawić. Zaczął się już październik, lecz tego dnia świeciło słońce, postanowiłam więc, że udam, iż spaceruję bez celu i nasze spotkanie jest zupełnie przypadkowe.

Być może dlatego, że takie właśnie chciałam sprawiać wrażenie — choć nie miałam pojęcia, czy ktoś mnie w ogóle obserwuje — nie próbowałam wcale usiąść, kiedy zobaczyłam, że Tommy siedzi na dużym płaskim kamieniu przy skraju wody. To musiał być piątek albo koniec tygodnia, ponieważ zapamiętałam, że byliśmy we własnych ubraniach. Nie pamiętam dokładnie, co miał na sobie Tommy — prawdopodobnie jedną ze swoich podartych futbolowych koszulek, które nosił nawet wówczas, gdy było chłodno — ale ja na pewno miałam zapinaną z przodu brązową górę od dresu, którą kupiłam na wyprzedży w pierwszej klasie seniorów. Obeszłam Tommy'ego i stanęłam plecami do stawu i twarzą do budynku, żeby widzieć, czy w oknach nie gromadzą się gapię. Przez kilka minut nie rozmawialiśmy o niczym konkretnym, tak jakbyśmy w ogóle nie spotkali się w kolejce po lunch. Nie wiem, czy robiłam to ze względu na Tommy'ego, czy na użytek ewentualnych gapiów, ale przez cały czas udawałam, że przystanęłam tylko na chwilę i w którymś momencie zrobiłam nawet krok do przodu, jakbym chciała kontynuować spacer. Zobaczyłam wówczas na jego twarzy coś w rodzaju paniki i natychmiast ogarnęły mnie wyrzuty sumienia, mimo że wcale nie miałam zamiaru się z nim droczyć.

— Swoją drogą, co to za historia, o której wcześniej wspominałeś? — zapytałam, jakbym właśnie sobie przypomniwała. — O panie Lucy... coś ci podobno powiedziała?

— A... — Tommy omiół mnie wzrokiem i spojrzał na staw, również udając, że zupełnie o tym zapomniał. — Chodzi ci o pannę Lucy. O tym mówisz...

Panna Lucy była najbardziej wysportowaną wychowawczynią w Hailsham, chociaż trudno było się tego domyślić po jej wyglądzie. Przysadzista, z sylwetki podobna do buldoga, miała osobliwe czarne włosy, które rosły w górę, w związku z czym nigdy nie zakrywały jej uszu ani grubego karku. Ale była naprawdę silna i sprawna i nawet kiedy byliśmy starsi, większość z nas — także chłopcy — nie potrafiła dotrzymać jej kroku w biegu przełajowym. Grała świetnie w hokeja, a w piłce nożnej nie bała się stawić czoła nawet seniorom. Pamiętam, że widziałam kiedyś, jak James B. próbował ją podciąć, gdy mijala go z piłką, i zamiast tego to on wywinął kozła. Kiedy byliśmy w juniorach, nigdy nie zachowywała się jak panna Geraldine, do której człowiek zwracał się, gdy coś mu dopiekło. W gruncie rzeczy, kiedy byliśmy młodszy, rzadko się do nas odzywała. Tak naprawdę dopiero w seniorach zaczęliśmy doceniać jej dziarski styl.

— Zaczęłeś coś mówić — wyjaśniłam Tommy'emu. — Coś o panie Lucy, która powiedziała, że nie musisz wcale być kreatywny.

— Coś w tym rodzaju. Stwierdziła, że nie powinienem się martwić. Nie powinienem przejmować się tym, co mówią inni. To było przed kilkoma miesiącami. Może jeszcze dawniej.

Kilku juniorów stanęło w jednym z okien na górze i zaczęło się nam przyglądać. Ale ja ukucnęłam przy Tommym i przestałam cokolwiek udawać.

— W jej ustach to bardzo dziwne stwierdzenie, Tommy — powiedziałam. — Jesteś pewien, że ją dobrze zrozumiałeś?

— Oczywiście, że tak. — Tommy ściszył nagle głos. — Powtórzyła to kilka razy. Byliśmy w jej gabinecie i wygłosiła na ten temat całe przemówienie.

Kiedy po raz pierwszy kazała mu przyjść do swojego mieszkania po zajęciach z analizy dzieł sztuki, wyjaśnił Tommy, spodziewał się kolejnego kazania o tym, że powinien bardziej się starać — czegoś podobnego do apeli, z którymi zwracali się do niego inni wychowawcy, łącznie z samą panną Emily. Lecz idąc z nią z głównego

budynku w stronę Oranżerii, gdzie mieli swoje kwatery wychowawcy, wyczuł, że może chodzić o coś innego. A potem, kiedy usiadł w fotelu — ona przez cały czas stała przy oknie — panna Lucy poprosiła go, żeby zrelacjonował jej, tak jak sam to widzi, wszystko, co się z nim działo. Tommy zaczął jej więc o wszystkim opowiadać. Nie zdążył jednak dojść do połowy, kiedy nagle mu przerwała i zaczęła sama mówić. Znała wielu wychowanków, oznajmiła, którzy przez dłuższy czas mieli problemy z kreatywnością: z malowaniem, rysowaniem i poezją. Przez całe lata nic im nie wychodziło. A potem któregoś dnia coś się w nich odmieniało i rozkwitali. Całkiem możliwe, że z Tommym będzie podobnie.

Tommy słyszał to wszystko już wcześniej, lecz w zachowaniu panny Lucy było coś, co kazało mu nadstawić uszu.

— Czuję — powiedział mi — że do czegoś zmierza. Do czegoś innego.

I istotnie, wkrótce zaczęła mówić rzeczy, które trudno mu było zrozumieć. Powtarzała je jednak bardzo długo i w końcu zaczęło to do niego docierać. Jeśli Tommy naprawdę się stara, mówiła, lecz po prostu nie potrafi być kreatywny, w takim razie nic nie szkodzi, nie powinien się tym martwić. Karanie go za to albo wywieranie na niego jakiegokolwiek presji byłoby błędem zarówno ze strony wychowawców, jak i wychowanków. To po prostu nie jego wina. Kiedy Tommy zaprotestował, twierdząc, że panna Lucy może oczywiście tak mówić, ale wszyscy i tak myślą, że sam sobie jest winien, westchnęła i wyjrzała przez okno.

— Może nie będzie to dla ciebie wielką pociechą — rzekła w końcu. — Ale zapamiętaj jedno. W Hailsham jest co najmniej jedna osoba, która sądzi inaczej. Co najmniej jedna osoba, która uważa cię za bardzo dobrego wychowanka, nie gorszego od najlepszych, z którymi miała do czynienia, bez względu na to, czy jesteś kreatywny, czy nie.

— Chyba nie chciała ci dokuczyć? — zapytałam Tommy'ego. — To nie był jakiś sprytny sposób, żeby cię zbesztać?

— To na pewno nie było nic w tym rodzaju. A ponadto... — Tommy chyba po raz pierwszy przestraszył się, że ktoś nas podsłucha, i obejrzał się przez ramię w stronę budynku. Juniorzy w oknie przestali się nami interesować i odeszli; kilka dziewcząt z naszego roku szło do sali gimnastycznej, ale dzieliła nas jeszcze spora odległość. Tommy

odwrócił się do mnie z powrotem. — A ponadto, kiedy to mówiła, cała się trzęsła — szepnął.

— Co to znaczy, cała się trzęsła?

— Trzęsła się. Ze złości. Widziałem to. Była wściekła. Ale dusiła to w sobie.

— Na kogo była wściekła?

— Nie bardzo wiedziałem. Na pewno nie na mnie, to najważniejsze! — Tommy roześmiał się, a potem znowu spowaźniał. — Nie wiem, na kogo była wściekła. Ale na pewno była.

Podniosłam się, bo rozboleły mnie łydki.

— To bardzo dziwne, Tommy — stwierdziłam.

— Najzabawniejsze jest to, że rozmowa z nią mi pomogła. Dużo mi pomogła. Mam na myśli to, co mówiłaś wcześniej, że lepiej mi się teraz układa. To właśnie dzięki temu. Ponieważ zastanawiałem się później nad tym, co mi powiedziała, i zdałem sobie sprawę, że miała rację. To nie moja wina. Zgoda, nie rozgrywałem tego najlepiej. Lecz w gruncie rzeczy to nie była moja wina. To najważniejsze. I za każdym razem kiedy nachodziły mnie złe myśli, widziałem, jak idzie korytarzem albo byłem na jej lekcji, a ona nie mówiła ani słowa o naszej rozmowie, lecz kiedy na nią spoglądałem, kiwała czasami lekko głową. I nie potrzebowałem nic więcej. Pytałaś mnie wcześniej, czy coś się stało. No więc właśnie to się stało. Ale słuchaj, Kath, nikomu o tym nie mów, dobrze?

Pokiwałam głową.

— To ona kazała ci to obiecać? — zapytałam.

— Nie, nie kazała mi niczego obiecywać. Ale nikomu nic nie mów. Naprawdę musisz mi to przyrzec.

— Dobrze. — Dziewczyny zmierzające do sali gimnastycznej zauważyły mnie i przyzywały do siebie. Pomachałam im ręką. — Lepiej już pójdę — wymamrotałam. — Wkrótce o tym znowu porozmawiamy. Lecz on zignorował moje słowa.

— Jest coś jeszcze — stwierdził. — Coś, co mi powiedziała i czego nie zrozumiałem do końca. Chciałem cię o to zapytać. To, że za mało nas uczą. Coś w tym rodzaju.

— Za mało nas uczą? Chcesz powiedzieć, że jej zdaniem powinniśmy się uczyć jeszcze pilniej, niż to robimy?

— Nie, nie wydaje mi się, żeby to było to. Chodziło jej, no wiesz, o nas. Oto, co się z nami stanie któregoś dnia. O donacje i w ogóle.

— Ale przecież uczą nas o tym wszystkim — odparłam. — Nie mam pojęcia, o co jej chodziło. Czy jej zdaniem są rzeczy, których nam jeszcze nie powiedziano?

Tommy namyślał się przez chwilę, a potem pokręcił głową.

— Nie sądzę, żeby to miała na myśli. Uważa po prostu, że za mało nas o tym uczą. Dodała, że ma ochotę sama z nami o tym porozmawiać.

— O czym konkretnie?

— Nie jestem pewien. Może wszystko źle zrozumiałem, Kath, sam nie wiem. Może miała na myśli coś zupełnie innego, związanego z tym, że nie jestem kreatywny. Tak naprawdę wcale tego nie rozumiem.

Tommy wpatrywał się we mnie, jakby się spodziewał, że udzielę mu jakiejś odpowiedzi.

— Przypomnij to sobie dokładnie — odezwałam się po kilku sekundach. — Mówiłeś, że była wściekła.

— Tak to wyglądało. Była spokojna, ale cała się trzęsła.

— No dobrze, nieważne. Powiedzmy, że była wściekła. Czy to wtedy, kiedy była taka wściekła, zaczęła mówić o tych innych rzeczach? O tym, że za mało uczono nas o donacjach i całej reszcie?

— Chyba tak...

— Zastanów się, Tommy. Dlaczego poruszyła ten temat? Mówiła o tobie, o tym, że nie jesteś kreatywny. I nagle zaczęła opowiadać o czymś innym. Jaki tu jest związek? Dlaczego w ogóle mówiła o donacjach? Co to ma wspólnego z twoją kreatywnością?

— Nie wiem. Przypuszczam, że musiał być jakiś powód. Może jedno skojarzyło jej się z drugim. Naprawdę strasznie się tym przejmujesz, Kath.

Roześmiałam się, ponieważ miał rację; zmarszczyłam czoło i intensywnie się zastanawiałam. W gruncie rzeczy moje myśli biegły w kilku różnych kierunkach jednocześnie. Relacja Tommy'ego o jego rozmowie z panną Lucy przypomniła mi cały szereg rzeczy, całą serię drobnych incydentów z przeszłości, które miały coś wspólnego z tą rozmową i w swoim czasie wydawały mi się dziwne.

— Chodzi po prostu o to... — zaczęłam i westchnęłam. — Nie potrafię tego dobrze sformułować, nawet na własny użytek. Ale to wszystko, co mówisz, pasuje jakby do wielu innych historii, które są intrygujące. Cały czas myślę o tych wszystkich rzeczach. Na przykład, dlaczego Madame przyjeżdża i zabiera nasze najlepsze obrazy. Po co właściwie to robi?

— Zabiera je do Galerii.

— Ale czym jest ta Galeria? Przyjeżdża tutaj i zabiera nasze najlepsze prace. Musi ich już mieć całe stosy. Zapytałam raz pannę Geraldine, od jak dawna Madame tu przyjeżdża, a ona powiedziała, że od samego początku istnienia Hailsham. Czym jest ta Galeria? Dlaczego ona ma Galerię zrobionych przez nas rzeczy?

— Może je sprzedaje? Tam na zewnątrz wszystko można sprzedać.

Pokręciłam głową.

— Nie, to nie to. To musi mieć coś wspólnego z tym, co ci powiedziała panna Lucy. O nas, o tym, że pewnego dnia zaczną się donacje. Nie wiem dlaczego, ale od pewnego czasu wydaje mi się, że wszystko to się ze sobą wiąże. Nie potrafię tylko dociec jak. Muszę już iść, Tommy. Nie mówmy na razie nikomu o naszej rozmowie.

— Dobrze. I nie mów nikomu o panie Lucy.

— Ale dasz mi znać, jeśli powie ci znów coś podobnego?

Tommy pokiwał głową, a potem ponownie rozejrzał się dookoła.

— Jak powiedziałas, lepiej już idź, Kath. Ktoś może nas podsłuchać.

Galeria, o której dyskutowaliśmy z Tommym, była czymś, z czym wszyscy wzrastaliśmy. Każdy mówił o niej tak, jakby naprawdę istniała, w rzeczywistości jednak nikt nie wiedział tego na pewno. Jestem przekonana, że nie różniłam się zbyt od innych, nie mogąc sobie przypomnieć, jak i kiedy po raz pierwszy o niej usłyszałam. Z całą pewnością nie od wychowawców; ci nigdy nie wspominali o Galerii i istniała niepisana reguła, żeby nigdy nie mówić o niej w ich obecności.

Przypuszczam teraz, że było to coś, co przekazywały sobie w Hailsham kolejne pokolenia wychowanków. Pamiętam, jak w wieku pięciu albo sześciu lat siedziałam przy niskim stole z Amandą C, z rękoma lepkimi od gliny. Nie przypominam sobie, czy były z nami inne dzieci i czy pilnowała nas jakaś wychowawczyni. Pamiętam tylko, że Amanda

C. — która była ode mnie o rok starsza — spojrzała na to, co robię, i zawołała: „To naprawdę bardzo, bardzo dobre, Kathy! To jest takie dobre! Założę się, że trafi do Galerii!”.

Musiałam już wówczas wiedzieć o Galerii, ponieważ pamiętam, że to, co powiedziała, nappełniło mnie radością i dumą, zaraz potem jednak pomyślałam: „To śmieszne. Żadna z nas nie jest jeszcze dość dobra, żeby trafić do Galerii”.

Dorastając, w dalszym ciągu o niej rozprawialiśmy. „To się nadaje do Galerii”, mówiło się, chcąc pochwalić czyjąś pracę. A kiedy odkryliśmy znaczenie ironii, trafiając na coś naprawdę żalospnego, wołaliśmy zawsze: „O tak! To coś w sam raz do Galerii!”.

Lecz czy naprawdę wierzyliśmy w jej istnienie? Dzisiaj nie jestem tego taka pewna. Jak wspomniałam, nigdy nie mówiliśmy o niej w obecności wychowawców i kiedy patrzę wstecz, wydaje mi się, że wynikało to w równym stopniu z ich zaleceń, jak i ograniczeń, które sami sobie narzuciliśmy. Przemawia za tym scena, którą pamiętam z czasów, kiedy mieliśmy około jedenastu lat. Skończyliśmy właśnie zajęcia z panem Rogerem i kilkoro z nas zostało, żeby z nim pogawędzić. Siedzieliśmy w ławkach i nie pamiętam dokładnie, o czym rozmawialiśmy, lecz pan Roger jak zwykle stale nas rozśmieszał. „Można by to nawet posłać do Galerii!”, zawołała nagle pośród chichotów Carole H. „Ups!”, bąknęła natychmiast, zasłaniając usta dłonią i nie zmąciło to pogodnej atmosfery, ale wszyscy, nie wyłączając pana Rogera, wiedzieliśmy, że się zapomniała. Nie była to żadna katastrofa: do podobnej reakcji doszłoby, gdyby ktoś ordynarnie się odezwał bądź też użył przyzwiska wychowawcy w jego obecności. Pan Roger uśmiechnął się wyrozumiale, jakby chciał powiedzieć: „Pomińmy to milczeniem, będziemy udawać, że te słowa w ogóle nie padły”, i rozmawialiśmy dalej.

Podczas gdy istnienie Galerii pozostawało w sferze domysłów, niezbitym faktem było to, że Madame pojawiała się w Hailsham dwa, a niekiedy trzy lub cztery razy w roku, żeby wybrać nasze najlepsze prace. Nazywaliśmy ją Madame, ponieważ była Francuzką lub Belgijką — spierano się, czy jedną, czy drugą — i tak zawsze mówili o niej wychowawcy. Była wysoką szczupłą kobietą z krótko obciętymi włosami, zapewne jeszcze całkiem młodą, chociaż w tamtym czasie na pewno byśmy tak o niej nie pomyśleli. Nosiła zawsze elegancki szary kostium i w przeciwieństwie do ogrodników i kierowców, którzy przywozili nam zaopatrzenie — w przeciwieństwie niemal do każdego, kto przybywał z

zewnątrz — nie rozmawiała z nami i trzymała się na dystans, mierząc nas lodowatym spojrzeniem. Bardzo długo uważaliśmy, że „zadziera nosa”, ale pewnej nocy, kiedy mieliśmy osiem lat, Ruth wysunęła inną możliwość.

— Ona się nas boi — oznajmiła.

Leżeliśmy po ciemku w naszej sypialni. W juniorach nocowaaliśmy po piętnaście w jednej sali i nie prowadziłyśmy tych długich intymnych rozmów, które zaczęły się, odkąd przeszłyśmy do seniorów. Jednak większość dziewczyn, które należały do naszej paczki, miała łóżka ustawione blisko siebie i zaczynały nam wchodzić w krew te nocne rozmowy.

— Co to znaczy „się boi”? — zapytała któraś z nas. — Jak może się nas bać? Co moglibyśmy jej zrobić?

— Nie wiem — odparła Ruth. — Nie wiem, ale jestem pewna, że się boi. Kiedyś myślałam, że zadziera nosa, ale teraz jestem pewna, że to coś innego. Madame się nas boi.

Przez kilka następnych dni spierałyśmy się na ten temat. Większość z nas nie zgadzała się z Ruth, która tym zązarcej starała się udowodnić, że ma rację. Ostatecznie więc postanowiłyśmy sprawdzić jej teorię, kiedy tylko Madame przyjedzie ponownie do Hailsham.

Wizyty Madame nie były zapowiadane, ale zawsze można było się łatwo domyślić, kiedy się zjawi. Zaczynało się to kilka tygodni wcześniej, gdy wychowawcy dokonywali selekcji naszych prac — obrazów, szkiców i ceramiki, wszystkich naszych wypracowań i wierszy. Trwało to zazwyczaj co najmniej dwa tygodnie i w końcu cztery albo pięć eksponatów z każdej klasy juniorów i seniorów łądowało w sali bilardowej. Była ona w tym czasie zamknięta, lecz kiedy stanęło się na niskim murku na tarasie, można było zobaczyć przez okno, jak sterta eksponatów rośnie coraz wyżej i wyżej. A kiedy wychowawcy zaczęli je układać elegancko na stołach i sztalugach, podobnie jak my robiliśmy to na większą skalę na naszych targach, wiadomo było, że za kilka dni pojawi się Madame.

Tej jesieni, o której mówię, musiałyśmy poznać nie tylko dzień, lecz dokładny moment przyjazdu Madame, ponieważ często zostawała tylko przez godzinę albo dwie.

Dlatego widząc, że personel układa eksponaty w sali bilardowej, postanowiłyśmy wystawić czujki.

To zadanie było w znacznym stopniu ułatwione dzięki ukształtowaniu terenu. Hailsham leżało w płaskiej niecce, otoczone ze wszystkich stron położonymi wyżej polami. To oznaczało, że prawie z każdego okna głównego budynku — a nawet z sali gimnastycznej — miało się widok na długą wąską drogę, która przecinała pola i prowadziła do głównej bramy. Sama brama znajdowała się w pewnej odległości od głównego budynku i przed dotarciem na dziedziniec każde auto musiało pokonać zwirowany podjazd, mijając krzewy i kwietniki. Czasami mogło upłynąć parę dni, nim zobaczyliśmy jakkolwiek pojazd zmierzający wąską drogą; najczęściej była to furgonetka albo ciężarówka wioząca zaopatrzenie, ogrodników lub robotników. Samochód osobowy był rzadkością i kiedy pojawiał się w oddali, w klasie robił się na ogół nieziemski harmider.

Tego popołudnia, gdy zauważyliśmy jadący przez pola samochód Madame, pogoda była słoneczna i wietrzna i na niebie zaczynały się zbierać burzowe chmury. Byliśmy w sali numer dziewięć — na pierwszym piętrze od frontu budynku — i biedny pan Frank, który uczył nas ortografii, nie potrafił zrozumieć, dlaczego tak się nagle niecierpliwimy.

Plan, który obmyśliłyśmy, aby sprawdzić teorię Ruth, był bardzo prosty: miałyśmy — cała nasza szóstka — zaczekać gdzieś w ukryciu na Madame, a potem „zaroić się” wokół niej wszystkie naraz. Miałyśmy zachowywać się w sposób absolutnie cywilizowany i spokojnie ją ominąć, lecz Ruth upierała się, że jeśli to dobrze przeprowadzimy, a ona da się zaskoczyć, przekonamy się, że Madame naprawdę się nas boi.

Najbardziej obawiałyśmy się, że nie zdążymy tego po prostu zrobić w trakcie jej krótkiego pobytu w Hailsham. Ale kiedy lekcja z panem Frankiem dobiegła końca, zobaczyłyśmy Madame dokładnie na dole, na zalanym słońcem dziedzińcu, parkującą samochód. Odbyłyśmy szybką konferencję na korytarzu, następnie zaś zbiegłyśmy w ślad za resztą klasy na dół i zatrzymałyśmy się przy głównym wejściu. Madame siedziała za kierownicą, szukając czegoś w teczce. W końcu wysiadła z samochodu i ruszyła w naszą stronę, ubrana jak zwykle w szary kostium, przyciskając mocno obu rękoma teczkę do piersi. Na dany przez Ruth znak wyszłyśmy na dwór, kierując się prosto ku Madame i

poruszając się wszystkie jak we śnie. Dopiero kiedy Madame stanęła jak wryta w miejscu, każda z nas wymamrotała „przepraszam panią” i rozdzieliłyśmy się.

Nigdy nie zapomnę tej dziwnej zmiany, jaka w nas wówczas zaszła. Aż do tej chwili cała historia z Madame miała być, jeśli nawet nie żartem, to prywatną sprawą, którą chciałyśmy rozegrać między sobą. Nie zastanawiałyśmy się prawie, jak odniesie się do tego sama Madame i w ogóle ktokolwiek inny. Mam na myśli, że do tego momentu traktowałyśmy to wszystko dość beztrzesko, być może z niewielkim elementem brawury. I nie chodzi nawet o to, że Madame zrobiła coś innego, niż się spodziewałyśmy: zastygła po prostu w bezruchu i czekała, aż ją minimy. Nie krzyknęła ani nawet głośno nie westchnęła. Wszystkie jednak bardzo pilnie obserwowałyśmy jej reakcję i prawdopodobnie dlatego wywarła na nas takie silne wrażenie. Kiedy się zatrzymała, zerknęłam szybko na jej twarz — podobnie, jestem tego pewna, jak inne dziewczyny. Wciąż widzę to przed oczyma, ten dreszcz, który Madame starała się opanować, prawdziwy lęk, że jedna z nas może się o nią przypadkiem otrzeć. I chociaż w ogóle się nie zatrzymałyśmy, wszystkie to odczułyśmy: jakbyśmy przeszły ze słońca w chłodny cień. Ruth miała rację: Madame się nas bała. Ale bała się dokładnie tak, jak ktoś mógłby się bać pajaków. Nie byłyśmy na to gotowe. Nigdy nie zastanawiałyśmy się nad tym, jak się pocujemy, będąc tak postrzegane, będąc pajakami.

Przecinając dziedziniec i docierając do skraju łąki, różniłyśmy się bardzo od rozemocjonowanej grupki, która jeszcze przed kilkoma chwilami czekała, aż Madame wysiądzie z samochodu. Hannah wyglądała, jakby chciało jej się płakać. Nawet Ruth wydawała się autentycznie wstrząśnięta.

— Skoro nas nie lubi, po co chce mieć nasze prace? — zapytała jedna z nas. To była chyba Laura. — Dlaczego nie zostawi nas w spokoju? Kto ją w ogóle prosi, żeby tu przyjeżdżała?

Żadna z nas nie odpowiedziała i ruszyłyśmy dalej do sali gimnastycznej, nie mówiąc ani słowa więcej o tym, co się stało.

Patrząc teraz wstecz, widzę, że byliśmy w wieku, w którym wiedzieliśmy już o sobie kilka rzeczy — kim jesteśmy, czym różnimy się od naszych wychowawców i od ludzi z zewnątrz — nie rozumieliśmy jednak, co to wszystko znaczy. Jestem pewna, że w którymś momencie swojego dzieciństwa wy także doświadczyliście czegoś podobnego jak

my owego dnia; jeśli nie w szczegółach, to w tym, co czuliście w głębi serca. Ponieważ tak naprawdę nie ma znaczenia, jak starannie wychowawcy próbują was przygotować. Wszystkie rozmowy, wideo, dyskusje i ostrzeżenia, nic nie pomaga sobie tego do końca uświadomić. To niemożliwe, kiedy ma się osiem lat i przebywa przez cały czas w miejscu takim jak Hailsham — kiedy ma się wychowawców takich, jakich mieliśmy, kiedy ogrodnicy i dostawcy żartują i śmieją się z wami i mówią na was „szkraby”.

Mimo to coś dociera do świadomości. Musi dotrzeć, bo gdy nadchodzi podobna do tej chwila, okazuje się, że w gruncie rzeczy na nią czekaliście. Może już od piątego lub szóstego roku życia gdzieś w zakamarkach waszego umysłu słychać było szept: „Któregoś dnia, być może całkiem niedługo, dowiecie się, jak to wygląda”. Czekacie więc, nawet jeżeli nie do końca zdajecie sobie z tego sprawę, czekacie na moment, kiedy uświadomicie sobie, że naprawdę się od nich różnicie; że tam na zewnątrz są ludzie tacy jak Madame, którzy wcale was nie nienawidzą i nie życzą wam źle, lecz mimo to wzdrygają się na samą myśl o was — o tym, jak i dlaczego znaleźliście się na tym świecie — i którzy boją się, że wasza ręka mogłaby dotknąć ich ręki. Pierwsza chwila gdy spoglądacie na siebie oczyma takiej osoby, przejmują was chłodem. Tak jakbyście przechodzili obok lustra, które mijaliście codziennie przez całe życie, i nagle ujrzeli w nim coś innego, coś niepokojącego i dziwnego.

Rozdział 4

Będę opiekunką tylko do końca roku i chociaż to zajęcie daje mi dużo satysfakcji, muszę przyznać, że z radością witam możliwość odpoczynku – zatrzymania się w biegu, zastanowienia, powspominania. Jestem pewna, że właśnie te przygotowania do zmiany kroku zrodziły we mnie – przynajmniej w jakiejś części – potrzebę uporządkowania wszystkich starych wspomnień. Przypuszczam, że tak naprawdę chciałam wyjaśnić to, co zdarzyło się między mną, Tommym i Ruth po tym, jak dorośliśmy i opuściliśmy Hailsham. Teraz jednak uświadamiam sobie, że wiele z rzeczy, które nastąpiły później, miało swoje źródło w naszym pobycie w Hailsham i dlatego muszę najpierw starannie przesiać te wcześniejsze wspomnienia. Weźmy choćby ciekawość, jaką budziła w nas Madame. Na pewnym poziomie były to po prostu dziecinne wygłupy. Ale też, jak sami się przekonacie, był to początek procesu, który przez wszystkie te lata stopniowo nabierał znaczenia, aż w końcu zdominował całe nasze życie.

Od tamtego dnia, chociaż Madame nie stała się dla nas tematem tabu, mówiliśmy o niej nader rzadko. Było to coś, co wkrótce przekroczyło granice naszej małej grupki i objęło wszystkich wychowanków roku. Jej postać ciekawiła nas tak samo jak wcześniej, lecz czuliśmy wszyscy, że dalsze szukanie odpowiedzi na pytania, co robi z naszymi pracami i czy rzeczywiście istnieje jakaś Galeria, zaprowadzi nas na terytorium, do którego eksploracji nie jesteśmy jeszcze gotowi.

Temat Galerii wypływał jednak w dalszym ciągu i kiedy kilka lat później Tommy zaczął opowiadać przy stawie o dziwnej rozmowie z panną Lucy, zorientowałam się, że z czymś mi się to kojarzy. Ale dopiero po chwili, gdy zostawiłam go siedzącego na kamieniu i biegłam przez pole, goniąc swoje koleżanki, uświadomiłam sobie, co to takiego.

Chodziło o coś, co panna Lucy powiedziała nam kiedyś podczas lekcji. Zapamiętałam to, ponieważ bardzo mnie to wówczas zaintrygowało i ponieważ była to jedna z nielicznych okazji, gdy temat Galerii został świadomie poruszony w obecności jednej z wychowawczyń.

Byliśmy wówczas w trakcie tego, co później zdecydowaliśmy się nazywać kontrowersją żetonową. Tommy i ja dyskutowaliśmy przed kilku laty o kontrowersji żetonowej i nie mogliśmy się z początku zgodzić, kiedy do niej doszło. Ja twierdziłam, że mieliśmy wtedy dziesięć lat; on uważał, że więcej, ale w końcu się ze mną zgodził. Jestem prawie pewna, że się nie mylę: było to w czwartej klasie juniorów — jakiś czas po incydencie z Madame, lecz trzy lata przed rozmową przy stawie.

Kontrowersja żetonową wynikała, jak przypuszczam, z tego, że z wiekiem stawaliśmy się coraz bardziej zachłanni. Przez całe lata — chyba już o tym wspomniałam — uważaliśmy za wielki triumf samo to, że nasze prace zawędrowały do sali bilardowej, nie mówiąc już o ich zabranii przez Madame. Kiedy jednak skończyliśmy dziesięć lat, nasza postawa stała się bardziej ambiwalentna. Targi, z ich systemem żetonów, pozwoliły nam zorientować się bliżej w wartości wszystkiego, co wytwarzaliśmy. Interesowaliśmy się podkoszulkami, ozdabianiem przestrzeni wokół naszych łóżek, nadawaniem osobistego charakteru naszym biurkom. No i musieliśmy oczywiście myśleć o naszych „kolekcjach”.

Nie wiem, czy mieliście kolekcje tam, gdzie byliście. Kiedy spotyka się dawnych wychowanków Hailsham, wcześniej czy później zaczynają wspominać z nostalgią swoje kolekcje. W tamtym czasie uważaliśmy naturalnie ich gromadzenie za coś oczywistego. Każdy miał opatrzoną swoim imieniem drewnianą skrzynkę, którą trzymał pod łóżkiem i wypełniał należącymi do niego skarbami — artykułami, które nabywało się podczas wyprzedaży lub targów. Pamiętam jednego albo dwóch wychowanków, którzy nie dbali zbytnio o swoje kolekcje, ale większość z nas przywiązywała do nich dużą wagę, wyjmując rzeczy, które chciało się akurat pokazać, i odkładając pieczołowicie inne.

Chodzi o to, że po ukończeniu przez nas dziesięciu lat przeświadczenie, iż wybór czyjejś pracy przez Madame jest wielkim honorem, zaczęło kolidować z przekonaniem, że tracimy w ten sposób nasze najwartościowsze rzeczy. Wszystko to dało o sobie znać podczas kontrowersji żetonowej.

Zaczęło się od tego, że pewna liczba wychowanków, głównie chłopców, przebąkiwała, że za rzeczy, które zabrała Madame, powinniśmy dostawać żetony. Zgodziło się z tym wielu uczniów, lecz innych oburzył sam pomysł. Przez jakiś czas wysuwaliśmy różne argumenty za i przeciw i pewnego dnia Roy J. — który uczył się o rok

wyżej od nas i Madame zabierała wiele jego prac — postanowił pójść w tej sprawie do panny Emily.

Panna Emily, nasza naczelna wychowawczyni, starsza od innych, nie była specjalnie wysoka, lecz to, jak się nosiła, zawsze sztywno wyprostowana, z podniesioną głową, zdecydowanie dodawało jej wzrostu. Srebrzyste włosy miała związane z tyłu, ale wokół jej głowy unosiło się zawsze kilka luźnych kosmyków. Mnie doprowadziłoby to do szału, lecz panna Emily ignorowała je, jakby odgarnianie włosów było poniżej jej godności. Pod wieczór wyglądała naprawdę dziwnie, przemawiając do ciebie tym swoim spokojnym rozważnym głosem, z wijącymi się wszędzie luźnymi włosami, których nigdy nie odgarniała. Wszyscy raczej się jej baliśmy i traktowaliśmy inaczej niż pozostałych wychowawców. Uważaliśmy jednak, że jest sprawiedliwa, i szanowaliśmy jej decyzje; już w juniorach zdaliśmy sobie prawdopodobnie sprawę, że to właśnie jej obecność, choć budząca respekt, powoduje, że czujemy się w Hailsham tak bezpiecznie.

Złożenie jej wizyty bez wezwania wymagało nieco odwagi; pójście z żądaniami, jakie wysuwał Roy, wydawało się samobójstwem. Ale Roy nie spotkał się ze straszliwą odprawą, której się spodziewaliśmy, i w następnych dniach docierały do nas informacje, że wychowawcy dyskutują — a nawet kłócą się — na temat żetonów. Ostatecznie ogłoszono, że dostaniemy je, lecz niezbyt wiele, ponieważ fakt wybrania czyjejś pracy przez Madame był sam w sobie „olbrzymim zaszczytem”. Tak naprawdę nie zadowolilo to żadnego z obozów i spór toczył się dalej.

Właśnie w związku z tym Polly T. zadała tego ranka pannie Lucy swoje pytanie. Siedzieliśmy przy wielkim dębowym stole w bibliotece. Pamiętam, że w kominku płonęło polano i czytaliśmy na głos sztukę. W którymś momencie jakiś fragment tekstu sprowokował Laurę do żartu na temat żetonów i wszyscy, łącznie z panną Lucy, wybuchli śmiechem. Panna Lucy stwierdziła, że skoro wszyscy w Hailsham nie mówią o niczym innym, powinniśmy darować sobie czytanie sztuki i przez pozostałą część lekcji spróbować porozmawiać o żetonach. I tym właśnie się zajmowaliśmy, kiedy Polly wyskoczyła ni stąd, ni zowąd ze swoim pytaniem.

— Dlaczego Madame w ogóle zabiera nasze rzeczy, proszę pani?

Wszyscy umilkliśmy. Panna Lucy nieczęsto wpadała w gniew, ale kiedy to się działo, trudno było tego nie zauważyć, i przez sekundę myśleliśmy, że Polly się doigrała.

Potem jednak spostrzeżliśmy, że panna Lucy nie jest wcale zła, lecz tylko głęboko się zamyśliła. Pamiętam, że byłam jednocześnie wściekła na Polly, że tak głupio złamała niepisaną zasadę, i zaciekawiona, jakiej odpowiedzi może udzielić panna Lucy. I z całą pewnością nie tylko mną miały sprzeczne uczucia; niemal wszyscy piorunowaliśmy wzrokiem Polly i wpatrywaliśmy się z niecierpliwością w pannę Lucy, co było, jak sądzę, niezbyt uczciwe wobec naszej biednej koleżanki.

— Dzisiaj mogę wam tylko powiedzieć, że robi to ze słusznego powodu — stwierdziła panna Lucy po chwili, która wydała nam się bardzo długa. — Gdybym próbowała wam to szerzej wytłumaczyć, chyba nic byście nie zrozumieli. Mam nadzieję, że któregoś dnia ktoś wam to wyjaśni.

Nie naciskaliśmy jej. Przy stole zapanowała krępująca atmosfera i mimo że byliśmy bardzo zaciekawieni, znacznie bardziej zależało nam na tym, by rozmowa nie wkraczała na ten grząski grunt. Po chwili zaczęliśmy z ulgą — i prawdopodobnie z pewną dozą sztuczności — ponownie spierać się w kwestii żetonów. Lecz słowa panny Lucy zaintrygowały mnie i myślałam o nich przez kilka następnych dni. Dlatego tamtego popołudnia przy stawie, kiedy Tommy opowiadał mi o swojej z nią rozmowie, o tym, że według niej „za mało nas uczą” o pewnych sprawach, zaczęło mnie nękać wspomnienie epizodu w bibliotece oraz kilku podobnych drobnych zdarzeń.

Skoro jesteśmy przy żetonach, chciałabym powiedzieć coś więcej o naszych wyprzedażach, o których już kilka razy napomykałam. Wyprzedaże były dla nas ważne, ponieważ dzięki nim docierały do nas rzeczy z zewnątrz. Z wyprzedaży pochodziła na przykład koszulka polo Tommy'ego. Tam dostawaliśmy nasze ubrania, nasze zabawki, specjalne przedmioty, które nie były dziełem innego wychowanka.

Raz w miesiącu jechała do nas krętą drogą duża biała furgonetka i w całym budynku wyczuwało się narastające podniecenie. Gdy stawała na dziedzińcu, czekał już na nią cały tłum — w większości juniorów, ponieważ kiedy skończyło się dwanaście lub trzynaście lat, nie należało tak jawnie okazywać swoich emocji. Ale prawdę mówiąc, byliśmy wszyscy podnieceni.

Kiedy spoglądam wstecz, wydaje się zabawne, że tak się wtedy napalaliśmy, bo wyprzedaże kończyły się na ogół wielkim rozczarowaniem. Nie było na nich nic nawet w

najmniejszym stopniu niezwykłego i wydawaliśmy nasze żetony, zastępując z grubsza tym samym rzeczy, które się zużyły albo zepsuły. Czar wyprzedaży polegał chyba na tym, że w przeszłości wszyscy znaleźli na nich coś, co nabrało potem specjalnego znaczenia: kurtkę, zegarek, krawieckie nożyczki, których nigdy nie używaliśmy, ale trzymaliśmy z dumą przy łóżku. Wszyscy znaleźliśmy w swoim czasie coś takiego i chociaż bardzo się staraliśmy, nigdy nie mogliśmy pozbyć się dawnej nadziei i podniecenia.

Kręcenie się przy furgonetce podczas rozładunku miało właściwie pewien sens. Jeśli należało się do juniorów, trzeba było dreptać w tę i z powrotem do magazynu za dwoma taskającymi wielkie tekturowe pudła, ubranymi w kombinezony mężczyznami i pytać ich, co jest w środku. „Mnóstwo prezentów, mój szkrabie”, brzmiała typowa odpowiedź. Jeśli zapytało się wówczas: „Ale czy to jest naprawdę coś ekstra?”, prędzej czy później uśmiechali się i mówili „O tak, mój szkrabie, można tak chyba powiedzieć. Naprawdę coś ekstra”, co wywoływało wybuch entuzjazmu.

Pudła były często otwarte, dzięki czemu dostrzegaliśmy różne rzeczy, a czasami, choć właściwie nie wolno było tego robić, mężczyźni pozwalali nam wziąć do ręki kilka przedmiotów, żebyśmy mogli im się lepiej przyjrzeć. Dlatego, gdy mniej więcej po tygodniu zaczynała się właściwa wyprzedaż, krążyły między nami najróżniejsze plotki o jakimś wyjątkowym dresie albo kasecie magnetofonowej i jeśli dochodziło do zatargów, działo się to prawie zawsze, kiedy kilku wychowankom zależało na tym samym artykule.

Wyprzedaże różniły się diametralnie od odbywających się w wyciszonej atmosferze targów. Urządzano je w jadalni i były rojne i hałaśliwe. W gruncie rzeczy wszystkie przepychanki i krzyki stanowiły część zabawy i na ogół panował wesoły nastrój. Tylko czasami, jak powiedziałam, sytuacja wymykała się spod kontroli, wychowankowie zaczynali wyrywać sobie jakieś przedmioty i wybuchały bójki. Dyżurni grozili wówczas, że zamkną całą imprezę i nazajutrz rano podczas apelu musieliśmy wysłuchiwać surowej reprimendy panny Emily.

Nasz dzień w Hailsham zawsze zaczynał się od apelu, który był na ogół krótki — kilka ogłoszeń i być może jakiś wiersz wyrecytowany przez któregoś z wychowanków. Panna Emily zwykle prawie się nie odzywała — siedziała po prostu sztywno wyprostowana na podium, kiwając głową za każdym razem, kiedy padało jakieś ważne stwierdzenie, i obracając chłodny wzrok w stronę rozbrzmiewających co jakiś czas na sali

szeptów. Natomiast rankiem po awanturach na wyprzedazy wszystko wyglądało inaczej. Polecała nam usiąść na podłodze — na apelach zwykle staliśmy — i nie było żadnych ogłoszeń ani recytacji, wyłącznie jej monolog trwający od dwudziestu do trzydziestu minut, a nieraz nawet dłużej. Rzadko kiedy podnosiła głos, lecz w jej tonie było coś stalowego i nikt — nawet uczniowie piątej klasy seniorów — nie miał odwagi się odezwać.

Było nam autentycznie przykro i panowało przeświadczenie, że wszyscy ją w jakiś zbiorowy sposób zawiedliśmy, ale choć bardzo się staraliśmy, nie zawsze nadążaliśmy za jej wywodem. Przyczyną był po części język. „Niegodni przywilejów” oraz „nadużycie sposobności” to dwie frazy, które najmocniej utkwiły w pamięci Ruth i mojej, kiedy wspominałyśmy w ośrodku w Dover tamte czasy. Generalna teza panny Emily była dość jasna — jako wychowankowie Hailsham byliśmy wszyscy bardzo wyjątkowi i tym większe było rozczarowanie, kiedy się źle zachowywaliśmy. Cała reszta była jednak mglista. Czasami przemawiała z wielkim żarem, a potem nagle urywała, pytając na przykład: „Co to jest? Co to jest? Co takiego krzyżuje nam szyki?”. A potem przez chwilę stała z zamkniętymi oczyma i zmarszczonym czołem, jakby próbowała rozwikłać jakąś tajemnicę. I chociaż było nam nieswojo i ogarniała nas konsternacja, pragnęliśmy bardzo, aby znalazła w swoim umyśle rozwiązanie, na którym tak jej widać zależało. Podejmowała wówczas z łagodnym westchnieniem wątek — stanowiło to sygnał, że wszelkie przewinienia zostaną nam darowane — albo wybuchając nagle, wołała: „Ale nikt nie narzuci mi swojej woli! O nie! I nikt nie narzuci swojej woli Hailsham!”.

Kiedy wspominałyśmy te długie przemówienia, Ruth zauważyła, że ich mglistość była tym bardziej dziwna, że na zajęciach panna Emily potrafiła wyrażać się w sposób nader precyzyjny. Gdy odparłam na to, że widziałam czasem naszą dyrektorkę chodzącą po Hailsham jak we śnie i mówiącą do siebie, Ruth zjeżyła się.

— Nigdy taka nie była! — zaprotestowała. — Jak Hailsham mogłoby być takie, jakie było, gdyby kierująca nim osoba miała nierówno pod sufitem? Panna Emily miała umysł ostry jak brzytwa.

Nie spierałam się z nią. Panna Emily była z całą pewnością niesamowicie przenikliwa. Jeśli ktoś przebywał gdzieś, gdzie nie powinien przebywać, w głównym budynku bądź też na otaczającym terenie, mógł na ogół, słysząc zbliżającego się wychowawcę, znaleźć jakąś kryjówkę. W Hailsham pełno było zakamarków, wewnątrz i

na zewnątrz domu — szaf, schowków, krzaków i żywopłotów. Ale na widok panny Emily upadało się na duchu, ponieważ ona zawsze wiedziała, gdzie się ukryłeś. Tak jakby miała dodatkowy zmysł. Można było wleźć do wnękowej szafy, zamknąć za sobą szczelnie drzwi i nie poruszać nawet małym palcem, ale za chwilę i tak słysząc było kroki panny Emily i jej głos: „No dobrze, możesz już wyjść”.

Coś takiego zdarzyło się raz Sylvie C. na podeście drugiego piętra i panna Emily wpadła wówczas w jeden ze swoich ataków furii. Besztając kogoś, nigdy nie krzyczała, tak jak, powiedzmy, panna Lucy, lecz jej gniew był jeszcze straszniejszy. Mrużyła oczy i mamrotała wściekle pod nosem, zupełnie jakby naradzała się ze swoim niewidzialnym kolegą, jaką wymierzyć nam karę. Robiła to w taki sposób, że każdy chciał za wszelką cenę usłyszeć, co tam szepcze, i jednocześnie potwornie się tego bał. A jednak z panną Emily nie kończyło się to na ogół niczym strasznym. Bardzo rzadko posyłała kogoś do kozy, kierowała do prac domowych albo cofała przywileje. Mimo to ludzie czuli się paskudnie, ponieważ wiedzieli, że stracili w jej oczach, i zależało im na tym, żeby się natychmiast zrehabilitować.

Co ciekawe, z panną Emily nigdy nie było nic wiadomo. Mogła zmyć głowę Sylvie, ale kiedy Laura została przyłapana na przebieganiu przez zagon rabarbaru, panna Emily warknęła tylko do niej: „Nie powinno cię tu być, dziewczyno, zmykaj” i poszła dalej.

Ja też myślałam raz, że jej podpadłam. Uwielbiałam wąską ścieżkę, która okrążała cały tył domu. Biegła wzdłuż wszystkich zakamarków i przybudówek; idąc nią, trzeba było przedzierać się przez zarośla, przejść pod dwoma obrośniętymi bluszczem łukami i przez zardzewiałą furtkę. I cały czas można było zaglądać do środka przez kolejne okna. Przypuszczam, że powodem, dla którego tak bardzo polubiłam tę ścieżkę, było to, że właściwie nie wiedziałam, czy wolno nią chodzić. Kiedy trwały zajęcia, było to oczywiście zabronione. W weekendy i wieczorami nie było to już takie pewne. A jednak większość wychowanków jej unikała i być może pociągało mnie również to, że mogłam tam przez chwilę pobyć sama.

Tak czy owak, pewnego słonecznego wieczoru wybrałam się tam na mały spacer. Byłam chyba wtedy w trzeciej klasie seniorów. Przechodząc, zaglądałam jak zwykle do pustych klas i nagle zobaczyłam w jednej z nich pannę Emily. Była sama i przemierzała powoli salę, mówiąc coś bezgłośnie, gestykulując i kierując swoje uwagi do niewidzialnej

widowni. Doszłam do wniosku, że przygotowuje się do lekcji albo jednego ze swoich wystąpień na apelu, i miałam zamiar przemknąć dalej, zanim mnie zauważy, lecz w tej samej chwili odwróciła się i spojrzała prosto na mnie. Zastygłam w bezruchu, myśląc, że już po mnie, ale w jej zachowaniu nie nastąpiła żadna zmiana, tyle że teraz przemawiała bezgłośnie do mnie. A potem, w zupełnie naturalny sposób odwróciła się, by utkwic wzrok w jakimś innym wyimaginowanym wychowanku. Powłokłam się dalej ścieżką i przez kilka dni bałam się, co powie panna Emily, kiedy mnie zobaczy. Ona jednak nigdy o tym nie wspomniała.

Ale tak naprawdę nie o tym miałam zamiar mówić. Chciałabym teraz powiedzieć coś więcej o Ruth, o tym, jak się poznałyśmy i zaprzyjaźniłyśmy, o wczesnym okresie naszej znajomości. Ostatnio bowiem, jadąc późnym popołudniem wzdłuż pól albo popijając kawę przy wielkiej szybie przydrożnej kafejki, coraz częściej łapię się na tym, że znowu o niej myślę.

Nie należała do osób, z którymi przyjaźniłam się od samego początku. Pamiętam, że kiedy miałam pięć albo sześć lat, bawiłam się z Hannah i Laurą, ale nie z Ruth. Z tamtego wczesnego okresu prawie zupełnie jej nie zapamiętałam.

Bawię się w piaskownicy. W piasku siedzi oprócz mnie mnóstwo innych dzieci, jest tłok i wszyscy się nawzajem irytujemy. Dzieje się to na dworze, w ciepłym słońcu, więc to chyba piaskownica na placu zabaw maluchów, a może piasek przy końcu bieżni do skoku w dal obok północnego boiska. Tak czy owak, jest gorąco, chce mi się pić i drażni mnie, że tyle nas tam jest. Nagle pojawia się Ruth, nie w samej piaskownicy, ale trochę dalej. Jest bardzo zła na dwie dziewczynki gdzieś za mną, z powodu czegoś, co zdarzyło się wcześniej, i stoi tam, piorunując je wzrokiem. Domyślam się, że w tamtym okresie znałam Ruth bardzo słabo. Musiała jednak wyrzucić na mnie pewne wrażenie, ponieważ pamiętam, że bardzo pilnie zajęłam się tym, co robiłam wcześniej w piasku, trzęsąc się ze strachu, że może na mnie spojrzeć. Nie powiedziałam ani słowa, ale strasznie zależało mi na tym, żeby zorientowała się, że nic nie wiąże mnie z tymi dziewczynkami i że nie brałam udziału w tym, co ją rozgniewało.

Tyle zapamiętałam o Ruth z wczesnego okresu. Byłyśmy z tego samego rocznika, musiałyśmy zatem dość często się spotykać, lecz oprócz tego incydentu w piaskownicy

nie pamiętam, żeby coś mnie z nią łączyło aż do owego dnia dwa lata później, kiedy byliśmy w juniorach i miałyśmy obie po siedem lat.

Z południowego boiska korzystali głównie juniorzy i tam właśnie, w rogu, gdzie rosły topole, Ruth podeszła do mnie w porze lunchu i przyjrzała mi się od stóp do głów.

— Chcesz się przejechać moim koniem? — zaproponowała.

Bawiłam się właśnie z dwiema lub trzema innymi dziewczynkami, ale nie uległo kwestii, że Ruth zwraca się tylko do mnie. Sprawilo mi to wielką przyjemność, lecz zanim odpowiedziałam, udałam, że muszę rozważyć jej propozycję.

— Jak się nazywa ten twój koń? — zapytałam.

Ruth podeszła krok bliżej.

— Mój najlepszy koń — odparła — to Piorun. Nie mogę ci dać na nim pojeździć. Jest zbyt niebezpieczny. Ale możesz pojeździć na Jeżynce, pod warunkiem że nie użyjesz szpicruty. Jeśli chcesz, możesz wybrać sobie innego — dodała, po czym wymieniła kilka imion, których już nie pamiętam. — Masz jakieś swoje konie? — chciała wiedzieć.

Spojrzałam na nią i dobrze się zastanowiłam przed udzieleniem odpowiedzi.

— Nie. Nie mam żadnych koni.

— Ani jednego?

— Nie.

— No dobrze. Możesz się przejechać na Jeżynce i jeśli ci się spodoba, możesz ją sobie zatrzymać. Ale nie wolno ci smagać jej szpicrutą. I musisz pójść ze mną teraz.

Moje koleżanki i tak zdążyły się już odwrócić do mnie plecami i zajmowały się tym, co robiły wcześniej. Wzruszyłam więc ramionami i odeszłam z Ruth.

Na boisku pełno było bawiących się dzieci. Niektóre były znacznie większe od nas, lecz Ruth prowadziła mnie między nimi bardzo zdecydowanie, idąc przede mną krok albo dwa. Kiedy zbliżyłyśmy się do siatki ogradzającej ogród, odwróciła się do mnie twarzą.

— W porządku, pojedziemy stąd. Ty weź Jeżynkę. Wzięłam do ręki niewidzialne cugle, które mi podała, i zaczęłyśmy jeździć w tę i z powrotem wzdłuż ogrodzenia, czasami cwałem, czasami galopem. Podjęłam prawidłową decyzję, informując Ruth, że nie mam żadnego własnego konia, ponieważ po krótkiej przejażdżce na Jeżynce po-

zwoliła mi dosiąść kolejno swoich innych wierzchowców, instruując głośno, jak sobie radzić z narowami każdego zwierzęcia.

— Mówiłam ci! Na Żonkilu musisz naprawdę odchylić się do tyłu. O wiele bardziej zdecydowanie niż teraz. Nie lubi, jeśli nie dosiadasz go odpowiednio odchylona!

Musiałam się dobrze spisać, bo w końcu dała mi dosiąść Pioruna, swojego ulubieńca. Nie wiem, ile czasu spędziłyśmy tego dnia na koniach; miałam wrażenie, że trwa to bardzo długo, i obie kompletnie zatraciłyśmy się w zabawie. Ale potem nagle, bez żadnego widocznego powodu, Ruth położyła temu kres, oznajmiając, że celowo męczę jej wierzchowce i muszę odprowadzić wszystkie do stajni. Wskazała mi fragment ogrodzenia i kiedy zaczęłam prowadzić tam konie, była na mnie coraz bardziej zła i powtarzała, że wszystko robię źle.

— Lubisz pannę Geraldine? — zapytała nagle.

Być może po raz pierwszy przyszło mi wówczas do głowy, że można lubić jakąś wychowawczynię.

— Oczywiście, że ją lubię — odparłam.

— Ale czy ją naprawdę lubisz? To znaczy, czy jest dla ciebie kimś wyjątkowym? Ulubioną wychowawczynią?

— Tak, lubię ją. Jest moją ulubioną wychowawczynią.

Ruth bardzo długo mi się przyglądała.

— Dobrze — stwierdziła wreszcie. — W takim razie pozwolę ci zostać jedną z jej tajnych strażniczek.

Ruszyłyśmy wtedy z powrotem w stronę głównego budynku. Myślałam, że wytłumaczy mi, o co chodzi, lecz ona nie zrobiła tego. Mimo to w ciągu kilku następnych dni i tak się wszystkiego dowiedziałam.

Rozdział 5

Nie jestem pewna, jak długo trwała historia z „tajną strażą”. Kiedy opiekowałam się Ruth w Dover i dyskutowałam z nią na ten temat, twierdziła, że nie dłużej niż dwa, trzy tygodnie — ale to prawie na pewno nieprawda. Sprawa budziła w niej prawdopodobnie zakłopotanie i w związku z tym wyparła ją z pamięci. Moim zdaniem trwało to około dziewięciu, a może nawet dwunastu miesięcy, w czasie gdy miałyśmy siedem lat i zaczynałyśmy ósmy rok życia.

Nigdy nie wiedziałam, czy Ruth sama wymyśliła tajną straż, nie ulegało jednak kwestii, że to ona nią kierowała. Liczba strażniczek wahała się od sześciu do dziesięciu w zależności od tego, ile nowych osób zostało przez nią dopuszczonych i ile starych wydalonych. Uważałyśmy pannę Geraldine za najlepszą wychowawczynię w całym Hailsham i pracowałyśmy nad prezentami, które mogłybyśmy jej ofiarować — pamiętam między innymi duże prześcieradło z przylepionymi do materiału kwiatami. Ale naszym głównym celem była jej ochrona.

Kiedy wstąpiłam do straży, Ruth i inne wiedziały od dawna o spisku, który miał na celu porwanie panny Geraldine. Nigdy nie dowiedziałyśmy się do końca, kto za nim stoi. Czasami podejrzewałyśmy kilku chłopców z grupy seniorów, czasami chłopców z naszego roku. Była pewna wychowawczyni, panna Eileen, którą niezbyt lubiłyśmy i która naszym zdaniem mogła być mózgiem całego spisku. Nie wiedziałyśmy, na kiedy zaplanowano porwanie, nie miałyśmy jednak wątpliwości, że stanie się to w lesie.

Las rósł na szczycie wzgórza, które wznosiło się za Hailsham. Tak naprawdę widzieliśmy tylko ciemną linię drzew, lecz wśród moich rówieśników nie tylko ja stale odczuwałam jego obecność. Kiedy działo się coś złego, miało się wrażenie, że las rzuca cień na całe Hailsham. Wystarczyło tylko odwrócić głowę albo podejść do okna i zawsze tam stał, majaczył w oddali. Najbezpieczniej było od frontu w głównym budynku, ponieważ tam nie widziało się go z żadnego okna. Ale i tutaj nigdy się o nim nie zapominało.

O lesie krążyły najróżniejsze straszne opowieści. Kiedyś, na krótko przed tym, nim trafiliśmy wszyscy do Hailsham, jakiś chłopak pokłócił się nie na żarty ze swoimi kolegami i opuścił teren posiadłości. Jego ciało zostało odnalezione dwa dni później, przywiązane do drzewa, z odrąbanymi rękoma i stopami. Inna plotka głosiła, że po lesie błąka się duch dziewczyny. Była wychowanką Hailsham i któregoś dnia przeskoczyła przez płot, żeby zobaczyć, jak jest na zewnątrz. To było dawno przed nami i wychowawcy byli wówczas o wiele surowsi, nawet okrutni. Kiedy chciała wrócić, nie wpuścili jej do środka. Kręciła się przy ogrodzeniu, błagając, żeby pozwolono jej wejść, lecz nikt jej nie wpuścił. W końcu gdzieś sobie poszła, coś jej się przytrafiło i zginęła. Ale jej duch błąkał się po lesie, spoglądając tęsknie na Hailsham i marząc o tym, żeby tu wrócić.

Wychowawcy zawsze utrzymywali, że te opowieści są absurdalne. Jednak starsi wychowankowie twierdzili, że dokładnie to samo słyszeli od nich, kiedy byli młodszy, i że wkrótce poznamy upiorną prawdę, podobnie jak poznali ją oni.

Las najmocniej działał na naszą wyobraźnię po zmroku, kiedy próbowaliśmy zasnąć w naszych sypialniach. Wydawało nam się niemal, że słyszemy wiatr szumiący między gałęziami, i mówienie o nim jeszcze bardziej pogarszało sytuację. Pamiętam, że którejś nocy, gdy byliśmy wściekle na Marge K. — w ciągu dnia zrobiła coś, co naprawdę wytrąciło nas z równowagi — uznałyśmy, że ukarzymy ją, wyciągając z łóżka, przyciskając jej twarz do szyby i każąc wpatrywać się w las. Z początku zaciskała kurczowo powieki, lecz my wykręciłyśmy jej ręce z tyłu i zmusiłyśmy do otwarcia oczu, żeby zobaczyła odległy zarys drzew na tle zalanego księżycową poświatą nieba, i szlochała później przerażona przez całą noc.

Nie twierdzą, że kiedy byliśmy małe, przez cały czas bałyśmy się lasu. Ja na przykład mogłam przez całe tygodnie w ogóle o nim nie myśleć i zdarzały się nawet dni, kiedy w nagłym przypływie odwagi pytałam sama siebie, jak możemy wierzyć w takie bzdury. Ale potem wystarczył jakiś drobiazg — ktoś, kto na nowo opowiedział którąś z tych historii, budzący grozę fragment książki, przypadkowa uwaga, która przypominała nam o lesie — i jego cień znowu padał na nasze życie. Trudno się zatem dziwić, że w naszych wyobrażeniach las zajmował centralne miejsce w spisku mającym na celu porwanie panny Geraldine.

Jeśli o to chodzi, nie przypominam sobie, byśmy podejmowały jakąś działalność, aby ją obronić; nasza aktywność skupiała się wyłącznie na gromadzeniu kolejnych dowodów spisku. Z jakiegoś powodu doszliśmy do przekonania, że zapobiegniemy w ten sposób niebezpieczeństwu.

Większość naszych „dowodów” pochodziła z obserwacji konspiratorów w działaniu. Któregoś ranka obserwowaliśmy na przykład z klasy na drugim piętrze, jak panna Eileen i pan Roger rozmawiają z panną Geraldine na dziedzińcu. Po chwili panna Geraldine pożegnała się i ruszyła w stronę Oranżerii, lecz my dalej prowadziłyśmy obserwację i ujrzałyśmy, że panna Eileen i pan Roger nachylają się ku sobie i przez kilka chwil ukradkiem naradzają, utkwivszy wzrok w oddalającej się sylwetce panny Geraldine.

— Pan Roger... — westchnęła wówczas Ruth, potrząsając głową. — Kto by pomyślał, że on też bierze w tym udział?

W ten sposób tworzyłyśmy listę ludzi, o których wiedziałyśmy, że są w spisku — wychowawców i uczniów, których uznaliśmy za naszych zaprzysięgłych wrogów. Mimo to musiałyśmy chyba przez cały czas zdawać sobie sprawę, jak kruche są podstawy naszych fantazji, ponieważ starannie unikałyśmy wszelkiej konfrontacji. Po długich dyskusjach uznawałyśmy na przykład, że jakiś wychowanek jest spiskowcem, lecz potem znajdowałyśmy powód, żeby nie rzucać mu jeszcze wyzwania — żeby poczekać, „aż będziemy miały wszystkie dowody”. Na podobnej zasadzie zgadzałyśmy się wszystkie, że sama panna Geraldine nie powinna się nigdy dowiedzieć o tym, co odkryłyśmy, ponieważ mogłoby ją to niepotrzebnie zdenerwować.

Łatwo byłoby pokusić się o twierdzenie, że to Ruth podtrzymywała istnienie tajnej straży długo po tym, jak powinnyśmy z niej wyrosnąć. Straż była dla niej rzeczywiście ważna. Dowiedziała się o spisku znacznie wcześniej od nas i to zapewniało jej olbrzymi autorytet; wskazując, że prawdziwe dowody pochodziły z okresu, zanim do straży wstąpiły osoby takie jak ja — że są pewne rzeczy, o których nam jeszcze nie powiedziała — mogła usprawiedliwić prawie każdą decyzję, którą podejmowała w imieniu grupy. Jeśli postanowiła na przykład kogoś wydalić i wyczuwała możliwość oporu, robiła zawsze niejasne aluzje do rzeczy, o których dowiedziała się „przedtem”. Nie ulega kwestii, że Ruth zależało na kontynuowaniu całej sprawy. Prawda była jednak taka, że te z nas, które

się z nią blisko przyjaźniły, odgrywały ważną rolę w podtrzymywaniu tej fikcji i starały się, by jak najdłużej funkcjonowała. Świadczy o tym to, co zdarzyło się po kłótni w sprawie szachów.

Uważałam, że Ruth jest kimś w rodzaju szachowego eksperta i będzie mogła mnie nauczyć tej gry. Nie był to taki szalony pomysł; kiedy mijaliśmy starszych wychowanków pochylonych nad szachownicami gdzieś na ławce przy oknie lub na trawiastym zboczu, Ruth zatrzymywała się często, żeby przyjrzeć się grze. A kiedy ruszałyśmy dalej, opowiadała o jakimś zauważonym przez siebie ruchu, którego nie dostrzegł żaden z graczy.

— Zdumiewająca tępota — mruzczała, potrząsając głową.

Wszystko to bardzo mnie fascynowało i wkrótce moimi myślami zawładnęły ozdobne szachowe figury. Kiedy znalazłam wreszcie na wyprzedazy szachownicę i postanowiłam ją kupić — mimo że musiałam przeznaczyć na to strasznie dużo żetonów — liczyłam na pomoc Ruth.

W ciągu kilku następnych dni stale wracałam do tego tematu, lecz ona wzdychała lub udawała, że ma akurat do zrobienia coś innego. Gdy dopadłam ją w końcu pewnego deszczowego popołudnia i ustawiłyśmy szachownicę w sali bilardowej, zaprezentowała mi grę, która nie odbiegała prawie od warcabów. Cechą szczególną szachów było według niej to, że każdy pionek wykonywał ruch przypominający literę L — przypuszczam, że wpadła na ten pomysł, obserwując ruchy konia — a nie żabie skoki jak w warcabach. Nie uwierzyłam jej i byłam autentycznie zawiedziona, uważałam jednak, żeby się z tym nie zdradzić, i jakiś czas akceptowałam jej reguły. Przez kilka minut zbijałyśmy sobie nawzajem figury, przesuając atakującego pionka ruchem przypominającym literę L. Trwało to aż do chwili, kiedy Ruth stwierdziła, że moje kolejne bicie się nie liczy, ponieważ przesunęłam pionek po zbyt prostej linii.

W tym momencie wstałam, zabrałam szachownicę i odeszłam. Nigdy nie powiedziałam na głos, że nie zna reguł gry — chociaż bardzo się na niej zawiodłam, wiedziałam, że nie mogę się posunąć tak daleko — lecz moje nagłe odejście było dla niej, jak przypuszczam, wystarczającym sygnałem.

Chyba dzień później weszłam do sali numer dwadzieścia na najwyższym piętrze, tam gdzie pan George prowadził lekcje poezji. Nie pamiętam, czy było to przed zajęciami,

czy po nich i ile osób było na sali. Pamiętam tylko, że trzymałam w ręku książki i kiedy szłam w stronę Ruth rozmawiającej z innymi dziewczynkami, ławki, na których siedziały, zalane były słońcem.

Po sposobie, w jaki pochylone były razem ich głowy, poznałam, że rozmawiają o tajnej straży i chociaż kłótnia z Ruth zdarzyła się, jak mówię, zaledwie dzień wcześniej, z jakiegoś powodu szłam ku nim bez żadnych obaw. Dopiero znalazłszy się tuż obok — być może dostrzegłam, jak wymieniają między sobą spojrzenia — zdałam sobie nagle sprawę z tego, co się zaraz stanie. Było to podobne do uczucia, którego doznaje się na ułamek sekundy przed wdepnięciem w kałużę — widzi się nagle, że tam jest, lecz nie można na to nic poradzić. Poczułam ukłucie bólu, jeszcze zanim nagle umilkły i na mnie spojrzały, jeszcze zanim Ruth powiedziała: „Och, Kathy, jak się masz? Nie gniewaj się, musimy teraz o czymś pomówić. Zaraz skończymy. Przepraszam”.

Nie dając jej nawet skończyć, odwróciłam się na pięcie i odeszłam, wściekła bardziej na siebie — ponieważ sama ściągnęłam to sobie na głowę — niż na Ruth i inne dziewczynki. Byłam przygnębiona, nie ma co do tego dwóch zdań, lecz nie wiem, czy rzeczywiście płakałam. I przez następne kilka dni, widząc członkinie tajnej straży, naradzające się w kącie albo idące przez boisko, za każdym razem czułam, że się czerwienię.

A potem, mniej więcej dwa dni po afroncie w sali numer dwadzieścia, schodząc po schodach, zorientowałam się, że idzie za mną Moira B. Zaczęłyśmy rozmawiać — o niczym szczególnym — i razem wyszłyśmy z głównego budynku. Musiało to się dziać podczas przerwy na lunch, ponieważ na dziedzińcu było około dwudziestu wychowanków, którzy kręcili się i rozmawiali w małych grupkach. Mój wzrok pobiegł natychmiast ku Ruth i trzem innym członkiniom tajnej straży, które stały po drugiej stronie dziedzińca, odwrócone do nas plecami, pilnie obserwując południowe boisko. Starłam się dojrzeć, co je tak zainteresowało, i nagle zdałam sobie sprawę, że Moira stoi tuż przy mnie i też je obserwuje. Uprzytomniłam sobie, że jeszcze przed miesiącem ona również należała do tajnej straży i została wydalona. Świadomość, że stoimy obok siebie, obie tak samo upokorzone, mając przed oczyma obraz naszego odtrącenia, wprawiała mnie na kilka sekund w bolesne zakłopotanie. Być może Moira doznawała podobnych uczuć; tak czy owak, to ona przerwała w końcu milczenie.

— To taka głupota, cała ta historia z tajną strażą — powiedziała. — Jak one mogą wierzyć w takie rzeczy? Zupełnie jakby wciąż były w maluchach.

Do dzisiaj dziwi mnie siła emocji, które ogarnęły mnie, kiedy usłyszałam te słowa z ust Moiry.

— A co ty możesz o tym wiedzieć? — zapytałam, odwracając się do niej z wściekłością. — Po prostu o niczym nie wiesz, bo nie było cię tam od wieków! Gdybyś wiedziała o rzeczach, które odkryłyśmy po twoim odejściu, nie ośmieliłabyś się opowiadać takich bredni!

— Nie pleć bzdur. — Moira nigdy nie dawała się łatwo zbić z tropu. — To kolejna z fantazji Ruth, nic więcej.

— Więc jak to się stało, że osobiście słyszałam, jak o tym mówili? Mówili, że mają zamiar wywieźć pannę Geraldine w furgonetce mleczarza. Jak to się stało, że na własne uszy słyszałam, jak to planują, i nie ma to nic wspólnego z Ruth i nikim innym?

Moira posłała mi niepewne spojrzenie.

— Słyszałaś to na własne uszy? Jak to? Gdzie?

— Słyszałam, jak rozmawiali, całkiem wyraźnie. Słyszałam każde słowo, a oni nie wiedzieli, że tam jestem. Naradzali się przy stawie i nie wiedzieli, że ich słyszę. I to najlepiej świadczy, jak mało o wszystkim wiesz!

Przecisnęłam się koło niej i idąc przez zatłoczony dziedziniec, zerknęłam w stronę Ruth i innych dziewczynek, które wciąż wpatrywały się w południowe boisko, nieświadome tego, co wydarzyło się właśnie między mną i Moirą. I zdałam sobie sprawę, że wcale nie jestem już na nie zła; byłam po prostu naprawdę wściekła na Moirę.

Nawet dzisiaj, kiedy jadę długą szarą drogą i nie mam na czym zatrzymać myśli, przylapuję się na tym, że wszystko to analizuję. Dlaczego potraktowałam z taką wrogością Moirę B. w momencie, gdy była moją naturalną sojuszniczką? Przypuszczam, że zrobiłam to, bo Moira sugerowała, że przekroczyliśmy razem jakąś granicę, a ja nie byłam na to jeszcze gotowa. Wyczuwałam chyba, że za tą granicą czai się coś mroczniejszego i trudniejszego i nie chciałam jej przekraczać. Nie chciałam tego dla siebie i dla żadnej z nas.

Kiedy indziej wydaje mi się jednak, że chodziło o coś innego — że miało to po prostu coś wspólnego ze mną i Ruth, z tym rodzajem lojalności, którą we mnie wówczas zaszczepiła. I może właśnie dlatego, mimo że kilka razy naprawdę chciałam to zrobić, nigdy, przez cały ten czas, kiedy opiekowałam się Ruth w ośrodku w Dover, nie wspominałam o tym, co zaszło tamtego dnia między mną i Moirą.

Cała ta historia z panną Geraldine przypomina mi coś, co zdarzyło się trzy lata później, długo po tym, jak w naszej pamięci zatarł się pomysł tajnej straży.

Siedzieliśmy w sali numer pięć na parterze z tyłu domu, czekając na rozpoczęcie lekcji. Sala numer pięć była najmniejsza ze wszystkich i zwłaszcza w takie jak ten zimowe wieczory, kiedy grzały wielkie kaloryfery i szyby były całe zaparowane, robiło się tam naprawdę duszno. Może przesadzam, ale pamiętam, że gdy weszła tam cała klasa, uczniowie musieli sobie autentycznie włożyć na plecy.

Tego ranka Ruth usiadła na krześle przy biurku, a ja na jego blacie. Pozostałe dwie lub trzy dziewczyny z naszej grupki siedziały albo stały gdzieś obok. I wydaje mi się, że po raz pierwszy zobaczyłam piórnik z futrzanym pomponikiem, kiedy przesuwałam się, żeby pozwolić którejś z nich usiąść koło mnie.

Widzę go, zupełnie jakby leżał teraz przede mną. Zamykany na zamek błyskawiczny, lśnił niczym wypastowany but i był ciemnobrązowy, w czerwone kropki. O mało na nim nie usiadłam, robiąc miejsce jednej z dziewczyn, i Ruth szybko go zabrała. Zdążyłam go jednak zobaczyć — dokładnie tak jak zamierzała.

— O! Skąd to masz? Dostałaś na wyprzedaży? — zapytałam.

Na sali panował hałas, ale stojące obok dziewczyny usłyszały mnie i kilka z nich zaczęło podziwiać piórnik. Ruth nie mówiła nic przez kilka sekund, lustrując uważnie otaczające ją twarze.

— Powiedzmy. Powiedzmy, że dostałam go na wyprzedaży — odparła w końcu i znacząco się do nas wszystkich uśmiechnęła.

Mogło to zabrzmieć całkiem niewinnie, lecz ja poczułam się tak, jakby wymierzyła mi policzek, i przez kilka chwil oblewały mnie jednocześnie gorące poty i przechodziły zimne dreszcze. Wiedziałam dokładnie, co chciała dać do zrozumienia, udzielając takiej

odpowiedzi i tak się uśmiechając: sugerowała, że piórnik był prezentem od panny Geraldine.

Nie mogło być mowy o pomyłce, ponieważ sprawa ciągnęła się od kilku tygodni. Pamiętam pewien specyficzny uśmiech i specyficzny ton – towarzyszył im czasami palec przy ustach oraz sceniczny gest uniesionej dłoni – których Ruth używała, gdy chciała zwrócić uwagę na jakieś specjalne względy okazywane jej przez pannę Geraldine. Panna Geraldine pozwalała jej puszczać taśmę z muzyką w sali bilardowej przed godziną czwartą w powszedni dzień; panna Geraldine zabroniła rozmów podczas spaceru, ale kiedy Ruth się z nią zrównała, zaczęła z nią gawędzić i pozwoliła na to innym. Były to zawsze tego rodzaju rzeczy, nigdy nie wypowiedziane wprost, sugerowane wyłącznie przez uśmiech i minę, która oznaczała „nie mówmy o tym więcej”.

Oficjalnie wychowawcom nie wolno było oczywiście nikogo faworyzować, lecz stale dochodziło do sytuacji, w których traktowali jakichś wychowanków z większą niż innych sympatią. Nie wykraczało to naturalnie poza pewne granice i większość tego, co dawała do zrozumienia Ruth, absolutnie się w nich mieściło. Mimo to nie znosiłam, kiedy się w ten sposób zachowywała. Nie byłam oczywiście nigdy pewna, czy mówi prawdę, ale ponieważ w gruncie rzeczy wcale tego nie „mówiła”, wyłącznie sugerowała, nie sposób było zarzucić jej kłamstwa. Dlatego za każdym razem, kiedy zdarzało się coś takiego, puszczałam to mimo uszu, przygryzając wargę i mając nadzieję, że wkrótce zaczniemy mówić o czym innym.

Czasami, po sposobie, w jaki toczyła się rozmowa, domyślałam się, że nadchodzi ta chwila, i byłam na nią przygotowana. Ale i tak sprawiało mi to dużą przykrość i przez kilka minut nie mogłam się skoncentrować na niczym innym. Jednak tego zimowego poranka w sali numer pięć zupełnie mnie to zaskoczyło. Nawet kiedy zobaczyłam piórnik, pomysł, żeby wychowawca dawał tego rodzaju prezent, do tego stopnia nie mieścił mi się w głowie, że niczego się nie spodziewałam. Dlatego gdy Ruth powiedziała to, co powiedziała, nie mogłam opanować wzburzenia. Wpatrywałam się po prostu w nią, nie kryjąc gniewu. Ruth wyczuła chyba nadciągające niebezpieczeństwo, bo syknęła do mnie scenicznym szeptem „Ani słowa!” i znowu się uśmiechnęła. Ja jednak nie odwzajemniłam jej uśmiechu i w dalszym ciągu piorunowałam ją wzrokiem. Na szczęście chwilę później pojawił się wychowawca i zaczęła się lekcja.

Nigdy nie byłam dzieckiem, które zadręczałoby się całymi godzinami jakąś jedną sprawą. Ostatnio nabrałam trochę tego zwyczaju, lecz wiąże się to chyba z wykonywaną pracą, długimi godzinami, gdy przemierzam w kompletnej ciszy puste pola. Nie byłam podobna na przykład do Laury, która mimo wszystkich swoich błazeństw potrafiła zamartwiać się całymi dniami, nawet tygodniami, jakimś drobiazgiem, czymś, co ktoś jej powiedział. Ale po tym poranku w sali numer pięć byłam zupełnie jak w transie. Wyłączałam się w środku rozmowy; mijały całe lekcje, w trakcie których nie wiedziałam, co się dzieje. Tym razem nie zamierzałam pozwolić, by Ruth uszło to na sucho, lecz przez dłuższy czas nie robiłam w tej sprawie nic konkretnego; snułam tylko fantazje, w których demaskowałam ją i zmuszałam do przyznania, że wszystko to sobie wymyśliła. Wyobrażałam sobie nawet, że dowiaduje się o tym sama panna Geraldine i publicznie ją przy wszystkich ruga.

Po kilku dniach zaczęłam myśleć bardziej konstruktywnie. Jeżeli piórnika nie dała jej panna Geraldine, w takim razie skąd pochodził? Mogła go dostać od innej wychowanki, ale było to mało prawdopodobne. Gdyby należał przedtem do kogoś innego, nawet z wyższej klasy, tego rodzaju ekstrawagancki przedmiot nie przeszedłby niezauważony. Ruth nigdy nie wysunęłaby takiej sugestii, wiedząc, że piórnik pojawił się w Hailsham już wcześniej. Prawie na pewno kupiła go na wyprzedaży. Również w takim wypadku istniała możliwość, że widziały go wcześniej inne osoby. Jeżeli jednak — jak zdarzało się czasami, choć oficjalnie było zabronione — dowiedziała się o piórniku z odpowiednim wyprzedzeniem i zarezerwowała go u jednego z dyżurnych przed otwarciem wyprzedaży, mogła mieć pewność, że nikt nie widział go na oczy.

Na nieszczęście dla Ruth wszystko, co zostało sprzedane na wyprzedażach, zapisywane było w rejestrze razem z nazwiskami kupujących. Dostęp do rejestrów nie był łatwy — po każdej wyprzedaży dyżurni odnosili je z powrotem do gabinetu panny Emily — lecz nie były one ściśle tajne. Wiedziałam, że jeśli przy następnej wyprzedaży pokręcę się trochę przy dyżurnym, z pewnością uda mi się przekartkować rejestr.

Miałam więc plan i przez kilka dni dopracowywałam chyba szczegóły, jednak w pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że nie muszę tego wcale robić. Jeśli się nie myliłam i piórnik rzeczywiście został kupiony na wyprzedaży, musiałam tylko posłużyć się blefem.

W ten sposób doszło między mną i Ruth do rozmowy pod okapem. Dzień był mglisty i padała mżawka. Szłyśmy obie z naszych domków, kierując się chyba w stronę sali gimnastycznej, ale nie jestem tego do końca pewna. Tak czy owak, kiedy przecinałyśmy dziedziniec, zaczął padać większy deszcz i ponieważ nam się nie śpieszyło, schowałyśmy się pod okapem głównego budynku, z boku przy głównym wejściu.

Stałyśmy tam przez jakiś czas. Co chwila jakiś wychowanek wylaniał się z mgły i wbiegał do budynku, ale deszcz wcale się nie zmniejszał. I im dłużej tam tkwiłyśmy, tym bardziej byłam spięta, bo zdawałam sobie sprawę, że trafia się sposobność, na którą czekałam. Jestem pewna, że Ruth również wyczuwała, że coś się święci. W końcu postanowiłam wyłożyć kawę na ławę.

— Na wyprzedazy w zeszły wtorek — powiedziałam — przeglądałam księgę. Wiesz, tę z rejestrem transakcji.

— Po co przeglądałaś rejestr? — zapytała szybko Ruth. — Po co robiłaś coś takiego?

— Och, bez powodu. Jednym z dyżurnych był Christopher C. Zwyczajnie z nim gawędziłam. To najfajniejszy chłopak wśród seniorów, zdecydowanie. I przerzucałam kartki rejestru, żeby zająć po prostu czymś ręce.

Widziałam, że Ruth gorączkowo się zastanawia i dociera już chyba do niej, do czego zmierzam.

— Dosyć nudne zajęcie — odparła jednak chłodno.

— Przeciwnie, całkiem interesujące. Można się dowiedzieć, co kupili ludzie.

Powiedziałam to, wpatrując się w deszcz. A potem zerknęłam na Ruth i doznałam prawdziwego szoku. Nie wiem, czego oczekiwałam; mimo wszystkich fantazji, które snułam w ostatnim miesiącu, nigdy nie zastanawiałam się, jak to będzie wyglądało naprawdę, w realnej sytuacji, która rozwijała się na moich oczach. Zobaczyłam, jak bardzo Ruth jest wytrącona z równowagi; chyba po raz pierwszy zabrakło jej słów i była na skraju łez. I nagle to, co robiłam, wydało mi się wyjątkowo paskudne. Tyle starań, tyle planów i wszystko po to, żeby zdenerwować moją najbliższą przyjaciółkę. No i co z tego, że nabrała nas trochę w kwestii piórnik? Czyż od czasu do czasu nie marzyłyśmy wszystkie, że ta czy inna wychowawczyni nagnie przepisy i zrobi dla nas coś wyjąt-

kowego? Uściśnięcie od serca, da nam sekretny liścik albo podarunek? Ruth można było co najwyżej zarzucić, że posunęła to nieszkodliwe marzenie trochę dalej; z drugiej strony nie wymieniła nawet imienia panny Geraldine.

Czułam się okropnie i byłam zbита z tropu. I kiedy tak tam stałyśmy, wpatrując się w mgłę i deszcz, nie miałam zielonego pojęcia, jak naprawić szkodę, którą wyrządziłam. Powiedziałam chyba coś żalosego, w rodzaju „Nic się nie stało, nic takiego nie zobaczyłam” i moje słowa zawisły głupio w powietrzu. A potem, po kilku sekundach milczenia Ruth wyszła na deszcz.

Rozdział 6

Sądzę, że nie żałowałabym tak bardzo tego, co się wydarzyło, gdyby Ruth miała mi to w oczywisty sposób za złe. Ale był to jedyny przypadek, kiedy nabrała wody w usta. Tak jakby była zbyt zawstydzona całą historią — zbyt zdruzgotana — żeby się gniewać albo chcieć się odegrać. W pierwszym okresie po rozmowie pod okapem spodziewałam się z jej strony jakichś dąsów, ale nie, była uprzedzająco grzeczna, a nawet jakby trochę zgaszona. Przyszło mi do głowy, że boi się, iż ją zdemaskuję — piórnik naturalnie szybko zniknął z widoku — i miałam ochotę ją zapewnić, że nic jej z mojej strony nie grozi. Kłopot polegał na tym, że nic nie zostało powiedziane wprost i nie wiedziałam, jak to wszystko wyjaśnić.

Tymczasem zaś robiłam wszystko, co mogłam, aby przekonać Ruth, że ma wyjątkowe miejsce w sercu panny Geraldine. Jedna z okazji trafiła się, kiedy cała nasza paczka chciała wyjść na dwór i poćwiczyć grę w palanta, ponieważ wkrótce czekał nas mecz z drużyną z wyższej klasy. Niestety padał deszcz i wydawało się mało prawdopodobne, żeby wypuścili nas na zewnątrz.

— Jeśli Ruth pójdzie i poprosi pannę Geraldine, wtedy mamy jakąś szansę — powiedziałam wówczas, wiedząc, że panna Geraldine jest jedną z pełniących dyżur wychowawczyń.

Z tego, co pamiętam, nie podchwyciono mojej propozycji; być może mało kto ją usłyszał, bo wszyscy się wzajemnie przekrzykiwali. Lecz powiedziałam to, stojąc tuż za Ruth, i widziałam, że sprawiło jej przyjemność.

Innym razem kilkoro z nas wychodziło z klasy z panną Geraldine i zbliżając się do drzwi, zupełnie przypadkowo znalazłam się tuż za nią. W tym momencie zwolniłam, żeby idąca za mną Ruth mogła zamiast mnie przejść przez drzwi obok wychowawczyń. Zrobiłam to zupełnie nieostentacyjnie, jakby było to czymś naturalnym i stosownym, czymś, czego wymagałaby ode mnie sama panna Geraldine; podobnie jak uczyniłabym to, gdybym, powiedzmy, znalazła się przypadkiem między dwiema najlepszymi

przyjaciółkami. Przypominam sobie, że Ruth zrobiła wówczas zdziwioną i skosternowaną minę, ale potem skinęła lekko głową i szybko mnie wyprzedziła.

Tego rodzaju drobiazgi mogły oczywiście sprawiać przyjemność Ruth, lecz były zbyt luźno związane z tym, co zdarzyło się między nami pod okapem w tamten mglisty dzień, i obawiałam się, że nigdy nie zdołam naprawić łączących nas stosunków. Pamiętam zwłaszcza pewną chwilę, kiedy siedziałam sama wieczorem na ławce przed salą gimnastyczną, próbując znaleźć jakieś rozwiązanie, i frustracja oraz wyrzuty sumienia doprowadziły mnie niemal do łez. Nie wiem, co by było, gdyby sytuacja nie uległa zmianie. Może wszystko zostałoby zapomniane; a może Ruth i ja na dobre oddaliłybyśmy się od siebie. Tymczasem zaś zupełnie niespodziewanie wyłoniła się szansa na odkręcenie wszystkiego.

Działo się to na jednej z lekcji wychowania plastycznego u pana Rogera, który w połowie zajęć gdzieś wyszedł. Włóczyłyśmy się w związku z tym między sztalugami, gawędząc i oglądając wzajemnie swoje prace. W którymś momencie do miejsca, gdzie stałyśmy ja i Ruth, podeszła dziewczyna, która nazywała się Midge A.

— Gdzie twój piórnik? — zapytała przyjaznym tonem. — Jest taki śliczny.

Ruth stężała i rozejrzała się szybko dookoła, żeby sprawdzić, kto jest obecny. Otaczała nas ta sama co zwykle grupka i być może kilka outsiderek. Oczywiście nikomu nie mówiłam o historii z rejestrem wyprzedaży, ale Ruth nie mogła o tym chyba wiedzieć.

— Nie mam go tutaj — odparła ciszej niż zazwyczaj. — Trzymam go w mojej skrzyni z kolekcją.

— Jest taki śliczny. Skąd go masz?

Midge zagadnęła ją zupełnie niewinnie, to nie ulegało kwestii. Ale stały przy nas prawie wszystkie dziewczyny, które były w sali numer pięć, gdy po raz pierwszy zobaczyłyśmy piórnik, i widziałam, że Ruth się waha. Dopiero później, gdy odtwarzałam to wszystko w pamięci, zdałam sobie sprawę, jak idealna była wyłaniająca się przede mną okazja. W tamtym momencie w ogóle się nad tym nie zastanawiałam.

— Nie możemy powiedzieć, skąd pochodzi — wtrąciłam, zanim Midge i ktokolwiek inny zdążył spostrzec, że Ruth jest dziwnie zmieszana.

Ruth, Midge i cała reszta spojrzwały na mnie lekko zaskoczone, ja jednak zachowałam zimną krew.

— Są ważne powody, dla których nie możemy ci powiedzieć, skąd pochodzi — dodałam, zwracając się wyłącznie do Midge.

— Więc to tajemnica — stwierdziła, wzruszając ramionami.

— Wielka tajemnica — potwierdziłam, po czym uśmiechnęłam się, żeby pokazać, że nie próbuję być wobec niej nieuprzejma.

Inne pokiwały głowami, żeby mnie wesprzeć, ale sama Ruth miała niewyraźną minę, jakby jej myśli zajęło nagle coś zupełnie innego. Midge ponownie wzruszyła ramionami i z tego, co pamiętam, na tym się to wszystko skończyło. Albo sobie poszła, albo zaczęła mówić o czymś innym.

Ruth nie mogła mi oczywiście podziękować za to, jak uporałam się z Midge, z tych samych powodów, dla których ja nie mogłam porozmawiać z nią otwarcie o tym, dlaczego napomknęłam o rejestrze wyprzedaży. Z tego, jak zachowywała się w stosunku do mnie nie tylko przez kilka następnych dni, lecz przez całe tygodnie, wynikało jednak jasno, że jest ze mnie zadowolona. A ponieważ byłam ostatnio w całkiem podobnej sytuacji, bez trudu rozpoznałam oznaki wskazujące na to, że Ruth szuka sposobności, by zrobić dla mnie coś miłego, coś naprawdę wyjątkowego. Było to przyjemne uczucie i pamiętam, że raz czy dwa pomyślałam nawet, że byłoby lepiej, gdyby taka sposobność nie nastąpiła jeszcze przez długi okres i to przyjemne uczucie mogło trwać całe wieki. W rzeczywistości sposobność wyłoniła się mniej więcej miesiąc po epizodzie z Midge, kiedy straciłam moją ulubioną kasetę.

Do tej pory mam taśmę z tymi nagraniami i do niedawna słuchałam jej od czasu do czasu, przemierzając kraj w dżdżysty dzień. Ale teraz odtwarzacz w moim samochodzie tak często się psuje, że boję się ją puszczać. A kiedy jestem w swojej kawalerce, najwyraźniej nigdy nie mam czasu jej wysłuchać. Mimo to uważam, że to jedna z najcenniejszych rzeczy, które mam. Może pod koniec tego roku, kiedy przestanę być opiekunką, będę mogła ją częściej puszczać.

Album nazywa się *Piosenki po zmroku*, wykonawczynią jest Judy Bridgewater. Nie jest to oryginalna kasetka, którą miałam kiedyś w Hailsham i którą straciłam. To kasetka, którą ja i Tommy odnaleźliśmy w hrabstwie Norfolk po wielu latach — ale to inna historia, do której jeszcze wrócę. Teraz chcę opowiedzieć o pierwszej taśmie, tej, która mi zginęła.

Zanim przejdę dalej, powinnam wspomnieć o legendzie, która krążyła u nas w tamtym okresie o Norfolk. Trwało to długie lata — przypuszczam, że stało się naszym prywatnym dowcipem — i zaczęło się od pewnej konkretnej lekcji, którą mieliśmy, kiedy byliśmy bardzo mali.

O różnych hrabstwach Anglii uczyła nas sama panna Emily. Zawieszała na tablicy wielką mapę, a obok niej ustawiała statyw. I jeśli mówiliśmy, powiedzmy, o Oxfordshire, rozkładała na statywie wielki kalendarz z fotografiami tego hrabstwa. Miała całkiem pokazną kolekcję ilustrowanych kalendarzy i przerobiliśmy w ten sposób większość hrabstw. Stukała wskazówką w jakieś miejsce na mapie, po czym odwracała się i pokazywała zdjęcie na kalendarzu. Były tam małe wioski z przepływającymi przez nie strumieniami, białe pomniki na stokach wzgórz, stare kościółki stojące na skraju pola; jeśli opowiadała nam o jakiejś nadmorskiej miejscowości, oglądaliśmy zatłoczone plaże i klify, nad którymi fruwały mewy. Przypuszczam, że chciała, abyśmy mieli jakieś pojęcie o tym, co otacza nas na zewnątrz, i zadziwiające jest, do jakiego stopnia, po tylu przejechanych przeze mnie milach, moje wyobrażenie na temat różnych hrabstw w dalszym ciągu opiera się na ilustracjach, które pokazywała nam na swoim statywie. Jadąc na przykład przez Derbyshire i łapiąc się na tym, że wpatruję się w jakieś wiejskie błonia z wojennym pomnikiem i pubem w podrabianym stylu Tudorów, uświadamiam sobie nagle, że taki właśnie pejzaż panna Emily pokazywała nam za pierwszym razem, kiedy w ogóle usłyszałam o tym hrabstwie.

Tak czy inaczej, chodzi o to, że w kolekcji panny Emily była pewna luka; w żadnym z kalendarzy nie było ani jednego obrazka z Norfolk. Wysłuchaliśmy kilkakrotnie tych samych wykładów i zastanawiałam się, czy przy kolejnej okazji pokaże nam jakieś zdjęcie z tego hrabstwa, lecz za każdym razem było tak samo. Panna Emily machała wskazówką nad mapą i mówiła jakby po namyśle: „A tutaj mamy Norfolk. Bardzo tam ładnie”.

Pamiętam, że w trakcie tamtej konkretnej lekcji, powiedziawszy to, przerwała i zadumała się, być może dlatego, że nie wiedziała, jak ma nam zastąpić obrazek. W końcu ocknęła się i postukała znowu w mapę.

— Ponieważ Norfolk leży tu, na wschodzie, na tym garbie wcinającym się w morze, nikomu nie jest tam po drodze. Ludzie jeżdżą na północ i na południe — przesunęła wskazówką w górę i w dół — i mijają to hrabstwo z boku. Z tej racji to spokojny zakątek Anglii, raczej miły. Ale poza tym trochę zagubiony.

Zagubiony zakątek. Tak właśnie nazywaliśmy Norfolk i od tego to się zaczęło. Ponieważ w Hailsham mieliśmy na trzecim piętrze nasz własny „zagubiony zakątek”, gdzie trzymaliśmy zgubione rzeczy. Jeśli ktoś coś zgubił albo coś znalazł, szedł właśnie w to miejsce. Któryś z wychowanków — nie mogę sobie przypomnieć, kto to był — stwierdził po tej lekcji, że panna Emily chciała nam zasugerować, iż Norfolk jest takim „zagubionym zakątkiem” Anglii, miejscem, do którego trafiają wszystkie zgubione w Anglii rzeczy. Pomysł został, jak się zdaje, zaakceptowany i przez cały rok stał się uznanym faktem.

Kiedy wspominaliśmy niedawno to wszystko z Tommym, był zdania, że nigdy tak naprawdę w to nie uwierzyliśmy, że od samego początku traktowaliśmy to jako żart. Ja jednak jestem całkiem pewna, że się w tej kwestii myli. Jasne, kiedy mieliśmy dwanaście lub trzynaście lat, opowieści o Norfolku stały się przedmiotem żartów. Jednak z tego, co pamiętam — i Ruth zapamiętała to w identyczny sposób — na początku wierzyliśmy w Norfolk w najbardziej dosłowny sposób: że tak jak do Hailsham przyjeżdżają ciężarówki z żywnością i artykułami na nasze wyprzedaje, coś podobnego, tyle że na znacznie większą skalę, odbywa się w Anglii, że cały kraj przemierzają pojazdy wiozące wszystko, co zostało zgubione na polach i w pociągach, do owego miejsca, które nazywa się Norfolk. To, że nigdy nie widzieliśmy żadnego zdjęcia tego hrabstwa, potęgowało tylko jego mistyczny charakter.

Wszystko to może brzmieć głupio, ale musicie pamiętać, że na tym etapie naszego życia każde miejsce poza Hailsham wydawało się nam krainą z baśni; mieliśmy bardzo mgliste pojęcie o zewnętrznym świecie i o tym, co tam jest, a co nie jest możliwe. Poza tym nigdy nie chciało nam się sprawdzać prawdziwości naszej teorii na temat Norfolku. Ważne było dla nas — co stwierdziła pewnego wieczoru Ruth, kiedy siedziałyśmy w tej

wyłożonej glazurą izolatce w Dover i obserwowaliśmy zachód słońca — że „gdy zgubimy coś cennego i po długich poszukiwaniach nie możemy tego znaleźć, nie musimy wcale upadać na duchu. Zawsze mamy ten ostatni rąbek nadziei, świadomość, że pewnego dnia, kiedy będziemy dorośli i wolno nam będzie podróżować po kraju, możemy pojechać do Norfolku i odnaleźć tę rzecz”.

Jestem pewna, że Ruth miała w tym punkcie rację. Norfolk stał się dla nas prawdziwym źródłem otuchy, prawdopodobnie w większym stopniu, niż mieliśmy wówczas ochotę przyznać, i dlatego, kiedy byliśmy starsi, wciąż o nim mówiliśmy — nawet żartem. I dlatego właśnie, kiedy po wielu latach Tommy i ja znaleźliśmy egzemplarz mojej zgubionej kasety w pewnym mieście na wybrzeżu Norfolku, nie uznaliśmy tego po prostu za zabawny traf; oboje poczuliśmy, jak gdzieś głęboko budzi się w nas dawne pragnienie, by uwierzyć w coś, co było bliskie naszym sercom.

Ale chciałam opowiedzieć o mojej kasecie, o *Piosenkach po zmroku* Judy Bridgewater. Przypuszczam, że pierwotnie był to longplay — nagranie zrobiono w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym — lecz ja miałam kasetę i ilustracja na okładce musiała być pomniejszoną wersją tej, którą zamieszczono na okładce płyty. Judy Bridgewater ma tam na sobie purpurową satynową suknię, jedną z tych sukien bez ramiączek, które były popularne w tamtych czasach, i widać ją mniej więcej od pasa w górę, ponieważ siedzi przy barowym stolku. Tło miało chyba wyobrażać Amerykę Południową, ponieważ widać tam palmy i śniadych kelnerów w białych smokingach. Patrzymy na Judy z miejsca, w którym powinien stać barman, kiedy podaje jej drinka, a ona odwzajemnia spojrzenie w przyjazny, lecz niezbyt wyzywający sposób, jakby trochę nas kokietowała, ale właściwie znała nas chyba z dawnych czasów. Jeszcze jedną ciekawą rzeczą na okładce jest to, że Judy opiera się łokciami o bar i trzyma w ręku zapalonego papierosa. I właśnie z jego powodu nie mówiłam nikomu o tej kasecie od pierwszej chwili, gdy zobaczyłam ją na wyprzedaży.

Nie wiem, jak to wyglądało tam, gdzie byliście, ale w Hailsham wychowawcy byli bardzo surowi, gdy chodziło o palenie papierosów. Jestem przekonana, że według nich najlepszym wyjściem byłoby, gdybyśmy nigdy nie dowiedzieli się o ich istnieniu; ponieważ jednak było to niemożliwe, pamiętali, żeby wygłosić nam coś w rodzaju kazania

przy każdej wzmiance o papierosach. Nawet jeśli pokazywano nam zdjęcie sławnego pisarza albo światowego przywódcy i przypadkiem trzymali oni w ręku papierosa, cała lekcja przybierała inny obrót. Krążyły plotki, że niektórych klasycznych dzieł — na przykład powieści o Sherlocku Holmesie — nie ma w naszej bibliotece, bo główni bohaterowie za dużo palili, i że kiedy w jakiejś książce albo ilustrowanym czasopiśmie brakuje kartki, dzieje się tak dlatego, że było tam czyjeś zdjęcie z papierosem. Poza tym mieliśmy całe lekcje, na których pokazywano wstrząsające ilustracje, przedstawiające, w jaki sposób palenie niszczy nasze zdrowie. Dlatego było dla nas takim szokiem, kiedy Marge K. zadała pannie Lucy swoje pytanie.

Siedziałyśmy na trawie po meczu palanta i panna Lucy udzielała nam typowych przestróg na temat palenia, kiedy nagle Marge zapytała, czy ona sama zapaliła kiedyś w życiu papierosa. Panna Lucy przez kilka sekund w ogóle się nie odzywała.

— Chciałabym powiedzieć, że nie — odparła w końcu. — Ale szczerze mówiąc, przez krótki okres paliłam. Przez dwa lata, kiedy byłam młodsza.

Możecie sobie wyobrazić, jaki to był szok. Jeszcze przed udzieleniem przez pannę Lucy odpowiedzi piorunowałyśmy wszystkie Marge wzrokiem za to, że zadała takie obcesowe pytanie — w naszym przekonaniu mogłaby równie dobrze zapytać, czy panna Lucy nie zarąbała kogoś siekierą. I pamiętam, że przez kilka następnych dni starałyśmy się maksymalnie obrzydzić życie Marge; ten incydent, o którym wspomniałam wcześniej, noc, kiedy przyciskałyśmy jej twarz do szyby, zmuszając do wpatrywania się w las, stanowiła część tego, co nastąpiło po jej pytaniu. Ale w tamtej chwili, kiedy panna Lucy powiedziała to, co powiedziała, byłyśmy zbyt skonsternowane, żeby w ogóle myśleć o Marge. Patrzyłyśmy chyba wszystkie z przerażeniem na pannę Lucy, czekając, co jeszcze nam powie. Kiedy się w końcu odezwała, ważyła ostrożnie każde słowo.

— To, że paliłam, nie było dobre. Nie było dobre dla mnie, dlatego przestałam. Ale musicie zrozumieć, że dla was, dla was wszystkich, to jest o wiele gorsze, niż było kiedykolwiek dla mnie. — W tym momencie przerwała i umilkła. Ktoś powiedział później, że zaczęła śnić na jawie, lecz ja, podobnie zresztą jak Ruth, nie miałam wątpliwości, że zastanawia się, co może jeszcze dodać.

— Już wam o tym mówiono — stwierdziła w końcu. — Jesteście wychowankami. Jesteście... wyjątkowi. Dlatego właściwy tryb życia i dbałość o zdrowie są dla każdego z was o wiele ważniejsze niż dla mnie.

Powiedziawszy to, znowu przerwała i spojrzała na nas w dziwny sposób. Później, kiedy o tym dyskutowaliśmy, część z nas była przekonana, że nie mogła się doczekać, żeby ktoś z nas zapytał „Ale dlaczego? Dlaczego to jest dla nas o wiele ważniejsze?”. Lecz nikt tego nie zrobił. Myślałam często o tamtym dniu i w świetle tego, co wydarzyło się później, jestem teraz pewna, że wystarczyło tylko zapytać i panna Lucy wszystko by nam wyjawiała. Trzeba było tylko zadać to jedno pytanie na temat palenia.

Dlaczego więc milczeliśmy tamtego dnia? Chyba dlatego, że już w tamtym okresie — mieliśmy wówczas dziewięć albo dziesięć lat — wiedzieliśmy dość dużo, by obawiać się tej tematyki. Trudno sobie teraz przypomnieć, ile już wówczas wiedzieliśmy. Z całą pewnością zdawaliśmy sobie sprawę — chociaż w niezbyt głębokim sensie — że różnimy się od naszych wychowawców, a także od normalnych ludzi na zewnątrz; wiedzieliśmy chyba nawet, że gdzieś tam, pod koniec drogi czekają nas donacje. Tak naprawdę nie mieliśmy jednak pojęcia, co to oznacza. Jeżeli z premedytacją unikaliśmy pewnych tematów, działało się tak przede wszystkim dlatego, że wprawiały nas w zakłopotanie. Nie znosiliśmy, kiedy nasi wychowawcy, na co dzień tak dobrze we wszystkim zorientowani, gubili wątek za każdym razem, gdy wkraczaliśmy na to terytorium. Ta zmiana w ich zachowaniu zbijała nas z tropu. Moim zdaniem dlatego właśnie nie zadaliśmy tego pytania i dlatego tak okrutnie ukaraliśmy Marge K. za to, że poruszyła tę kwestię po meczu palanta.

Tak czy inaczej, z tego właśnie powodu nie mówiłam nikomu o mojej kasecie. Odwróciłam nawet okładkę na drugą stronę, żeby można było zobaczyć Judy oraz jej papierosa dopiero po otwarciu plastikowego pudełka. Jednak fakt, że ta taśma tyle dla mnie znaczyła, nie miał nic wspólnego z paleniem ani nawet ze sposobem, w jaki śpiewała Judy Bridgewater — która była jedną z barowych piosenkarek, wykonującą numery zupełnie niepodobne do tego, co lubiliśmy w Hailsham. Taśma była dla mnie taka ważna z powodu jednej konkretnej piosenki: nagrania numer trzy, *Nie opuszczaj mnie*.

W tej powolnej, nocnej melodii w amerykańskim stylu jest jeden kawałek, który stale się powtarza, kiedy Judy śpiewa: „Nie opuszczaj mnie... och, kochanie... nigdy mnie nie opuszczaj...”. Miałam wówczas jedenaście lat i niezbyt często słuchałam muzyki, lecz ta jedna piosenka wywarła na mnie niesamowite wrażenie. Zawsze starałam się przewinąć taśmę akurat do tego miejsca, żeby móc ją puścić, kiedy tylko nadarzy się okazja.

Pamiętajcie, że tych okazji nie było aż tak wiele, działa się to bowiem na kilka lat przed pojawieniem się na wyprzedażach pierwszych walkmanów. W sali bilardowej stała wielka machina, ale prawie nigdy nie puszczałam na niej mojej kasety, ponieważ było tam zawsze pełno ludzi. W pracowni plastycznej również był magnetofon, ale panował tam na ogół straszny hałas. Jedynym miejscem, w którym mogłam jej spokojnie posłuchać, była nasza sypialnia.

W tym czasie przenieśliśmy się już do małych sześciuosobowych sypialni w oddzielnych domkach i w naszej mieliśmy przenośny kasetowy magnetofon, który stał na półce nad kaloryferem. I tam właśnie, kiedy nie było nikogo, chodziłam w ciągu dnia i puszczałam bez przerwy moją piosenkę.

Co było w niej takiego wyjątkowego? Chodzi o to, że nie słuchałam zbyt uważnie całego tekstu; czekałam tylko na ten kawałek, który brzmiał: „kochanie, nigdy mnie nie opuszczaj”. I wyobrażałam sobie kobietę, której powiedziano, że nie może mieć dzieci, i która naprawdę chciała je mieć przez całe życie. A potem dzieje się jakiś cud, kobieta ma dziecko, trzyma je przy samej piersi i śpiewa „kochanie, nigdy mnie nie opuszczaj”, częściowo dlatego, że jest taka szczęśliwa, a częściowo dlatego, że boi się, iż wydarzy się coś złego i dziecko zachoruje albo zostanie jej odebrane. Nawet wówczas zdawałam sobie sprawę, że to nie może być prawda, że ta interpretacja nie pasuje do reszty tekstu. Nie stanowiło to jednak dla mnie większego problemu. Piosenka była o tym, co powiedziałam, i słuchałam jej po kilka razy, kiedy tylko miałam okazję.

W tym właśnie czasie wydarzył się pewien dziwny incydent, o którym powinnam opowiedzieć, rzecz, która naprawdę wytrąciła mnie z równowagi i chociaż dopiero po latach miałam uświadomić sobie jej prawdziwe znaczenie, myślę, że już wówczas wyczułam, że kryje się w niej głębszy sens.

Tego słonecznego popołudnia poszłam po coś do naszej sypialni. Pamiętam, że było bardzo jasno, bo zasłony w naszym pokoju nie były porządnie zasunięte i wpadały do środka pojedyncze promienie słońca i cały unoszący się w powietrzu kurz. Początkowo nie miałam wcale zamiaru puszczać kasety, ale ponieważ nie było tam nikogo, wyjęłam ją pod wpływem nagłego impulsu z mojej skrzynki i włożyłam do magnetofonu.

Może ten, kto z niego poprzednio korzystał, nastawił zbyt dużą siłę głosu, nie wiem. Muzyka była jednak o wiele głośniejsza, niż kiedy ją normalnie puszczałam, i pewnie dlatego nie usłyszałam, że ktoś się pojawił. A może po prostu zapomniałam o bożym świecie. Tak czy inaczej, w tym momencie kołysałam się powoli w rytmie piosenki, przyciskając do piersi wyimaginowane niemowlę. Jeszcze bardziej krępujące było to, że złapałam poduszkę, która miała mi zastępować dziecko, i wykonując ten powolny taniec, zaciskałam powieki i nuciłam cicho za każdym razem, gdy usłyszałam ten fragment:

— Och, kochanie, nigdy mnie nie opuszczaj,..

Piosenka prawie się skończyła, kiedy uświadomiłam sobie nagle, że nie jestem sama. Otworzyłam oczy i zobaczyłam wpatrującą się we mnie od progu Madame.

Zszokowana zastygłam w bezruchu. A potem, po kilku sekundach ogarnął mnie nowy rodzaj niepokoju, uświadomiłam sobie bowiem, że cała sytuacja ma w sobie coś dziwnego. Drzwi były prawie do połowy otwarte — na mocy jednej z niepisanych reguł nie wolno nam było zamykać drzwi sypialni, chyba że szłyśmy spać — lecz Madame w ogóle nie przestąpiła progu. Stała na korytarzu zupełnie nieruchomo, przekrzywiając głowę, żeby lepiej zobaczyć, co robię. I najdziwniejsze było to, że płakała. Niewykluczone, że to właśnie jej szloch wyrwał mnie z mojego snu na jawie.

Kiedy o tym teraz myślę, przychodzi mi do głowy, że chociaż nie należała do personelu, była przecież osobą dorosłą i powinna była coś zrobić lub powiedzieć, w ostateczności udzielić mi reprimendy. Wiedziałabym wówczas, jak się zachować. Ale ona po prostu tam stała, płacząc i patrząc na mnie od progu z takim samym wyrazem twarzy, z jakim zawsze na nas patrzyła, jakby widziała coś, od czego ciarki chodziły jej po plecach. Tyle że tym razem w jej spojrzeniu było coś jeszcze, coś dodatkowego, czego nie mogłam rozszyfrować.

Nie wiedziałam, co zrobić lub powiedzieć i czego mam się po niej spodziewać. Mogła wejść do sypialni i zacząć na mnie krzyczeć albo nawet uderzyć, nie miałam pojęcia. Ostatecznie odwróciła się i chwilę później usłyszałam, jak wychodzi z domku. Uświadomiwszy sobie, że zaczęła się następna piosenka, zatrzymałam taśmę i usiadłam na najbliższym łóżku. Robiąc to, zobaczyłam przez okno Madame, która szła szybko w stronę głównego budynku. Nie oglądała się za siebie, ale poznałam po jej zgarbionych plecach, że wciąż szłocha.

Kiedy po kilku minutach wróciłam do moich koleżanek, nie powiedziałam ani słowa o tym, co się stało. Ktoś zauważył, że coś jest ze mną nie w porządku, i zaczął się dopytywać, lecz ja wzruszyłam tylko ramionami i dalej milczałam. Właściwie nie byłam wcale zawstydzona: ten moment przypomni mi trochę to, co czułam, kiedy osaczyliśmy na dziedzińcu wysiadającą z samochodu Madame. W gruncie rzeczy żałowałam, że ta historia w ogóle się wydarzyła, i uważałam, że nie mówiąc o niej, wyświadczam przysługę sobie i wszystkim.

Mimo to rozmawiałam o tym kilkakrotnie z Tommym parę lat później. Było to w okresie, który nastąpił po naszej rozmowie przy stawie, gdy opowiedział mi o rozmowie z panną Lucy; w trwającym długie lata okresie, gdy — jak mi się zdaje — zaczęliśmy się we dwójkę nad wszystkim zastanawiać i zadawać dotyczące nas pytania. Kiedy powiedziałam Tommy'emu, co wydarzyło się z Madame w sypialni, wysunął dość prostą hipotezę. W tym czasie wiedzieliśmy już oczywiście wszyscy o rzeczy, o której nie wiedziałam wcześniej, a mianowicie, że nikt z nas nie może mieć dzieci. Było całkiem możliwe, że kiedy byłam młodsza, całkiem nieświadomie to sobie przyswoiłam i dlatego właśnie słyszałam to, co słyszałam, słuchając tej piosenki. W tamtym okresie na pewno nie zdawałam sobie z tego jasno sprawy. Za to później, kiedy dyskutowaliśmy z Tommym, byliśmy już o tym poinformowani. Swoją drogą, nikt się specjalnie nie przejął; pamiętam, że niektórzy ludzie cieszyli się nawet, że mogą uprawiać seks, nie martwiąc się w ogóle o te sprawy — chociaż na tym etapie większość z nas miała dopiero przed sobą prawdziwy seks. Tak czy owak, kiedy opowiedziałam Tommy'emu, co się wydarzyło, stwierdził, że Madame nie jest prawdopodobnie taka zła, mimo że przyprawia nas o dreszcze.

— I kiedy zobaczyła, jak tańczysz w ten sposób, uznała widać, że to naprawdę tragiczne, że nie możesz mieć dzieci — dodał.

— Ależ, Tommy — zaprotestowałam. — Skąd mogła wiedzieć, że ta piosenka ma w ogóle coś wspólnego z dziećmi? Skąd mogła wiedzieć, że ta poduszka, którą trzymam, ma być niemowlakiem? Wszystko to sobie wymyśliłam.

Tommy przez chwilę się nad tym zastanawiał.

— Może Madame potrafi czytać w myślach — odparł pół żartem, pół serio. — Może przejrzała cię na wylot. Wcale by mnie to nie zdziwiło.

Na myśl o tym przeszły nas ciarki i chociaż się roześmialiśmy, nie mówiliśmy już o tym więcej.

Kaseta zniknęła kilka miesięcy po incydencie z Madame. Nie łączyłam wówczas ze sobą tych dwóch wydarzeń i nie mam powodu łączyć ich teraz. Siedziałam któregoś wieczoru w sypialni tuż przed zgaszeniem świateł i grzebałam w swojej skrzyni, żeby czymś się zająć, zanim z łazienki wrócą inne dziewczyny. To dziwne, ale kiedy po raz pierwszy dotarło do mnie, że nie ma tam mojej kasety, pomyślałam przede wszystkim o tym, żeby nie dać po sobie poznać, jak bardzo jestem wzburzona. Pamiętam, że szukając dalej, celowo nuciłam coś pod nosem. Dużo o tym myślałam i wciąż nie wiem, jak to wytłumaczyć: chociaż mieszkałam ze swoimi najbliższymi przyjaciółkami, nie chciałam, żeby wiedziały, jak bardzo zmartwiła mnie utrata tej kasety.

Wynikało to chyba z tego, że w gruncie rzeczy nikt nie wiedział, ile dla mnie znaczyła. Może wszyscy mieliśmy w Hailsham podobne małe sekrety — utkane w powietrzu małe zakamarki, w których mogliśmy się ukryć z naszymi lękami i pragnieniami. A jednak to, że odczuwaliśmy taką potrzebę, wydawało nam się wówczas czymś niestosownym — jakbyśmy sprawiali komuś zawód.

Tak czy inaczej, upewniwszy się, że kasetą rzeczywiście zniknęła, zapytałam bardzo swobodnym tonem inne dziewczęta w sypialni, czy jej przypadkiem nie widziały. Nie byłam kompletnie zdruzgotana, ponieważ nie można było wykluczyć, że zostawiłam ją w sali bilardowej; poza tym miałam nadzieję, że ktoś ją sobie pożyczył i odda nazajutrz.

Niestety kasetą nie odnalazła się nazajutrz i nie mam pojęcia, co się z nią stało. Przypuszczam, że tak naprawdę w Hailsham było więcej kradzieży, aniżeli my i wychowawcy byliśmy kiedykolwiek skłonni przyznać. Ale relacjonuję to tak szczegółowo, żeby

opowiedzieć o Ruth, o tym, jak na to zareagowała. Musicie pamiętać, że straciłam kasetę niespełna miesiąc po tym, jak Midge wypytywała w pracowni plastycznej Ruth o jej piórniki i przysłałam przyjaciółce na ratunek. Od tego czasu, jak już powiedziałam, Ruth szukała okazji, by wyświadczyć mi jakąś przysługę, i zniknięcie kasety dało jej tę sposobność. Można nawet powiedzieć, że dopiero po zniknięciu kasety nasze stosunki wróciły do normy — może po raz pierwszy od owego deszczowego poranka, gdy napomknęłam o rejestrach wyprzedaży pod okapem głównego budynku.

Tej nocy, kiedy zauważyłam zniknięcie kasety, pamiętałam, żeby zapytać o nią wszystkie dziewczyny i wśród nich była oczywiście Ruth. Patrząc wstecz, widzę, że musiała już wówczas wiedzieć, co dokładnie to dla mnie oznacza i jednocześnie jak ważne jest dla mnie, żeby nie robić z tego wielkiej afery. Odpowiedziała mi zatem, wzruszając obojętnie ramionami, i zajęła się dalej tym, co robiła. Jednak wracając nazajutrz rano z łazienki, usłyszałam, jak pyta — zupełnie od niechcienia, jakby to nie było nic ważnego — czy Hannah na pewno nie widziała mojej kasety.

A potem, może dwa tygodnie później, kiedy od dawna pogodziłam się z jej stratą, podeszła do mnie podczas przerwy na lunch. Był jeden z pierwszych dni prawdziwej wiosny i siedziałam na trawie, rozmawiając z dwiema starszymi dziewczynami. Kiedy Ruth znalazła mnie i zapytała, czy nie mam ochoty wybrać się na małą przechadzkę, nie ulegało kwestii, że nie robi tego bez powodu. Zostawiłam więc starsze dziewczynki i podeszłam wraz z nią do skraju północnego boiska, a potem wspięliśmy się na północny pagórek i stojąc przy drewnianym płocie, spojrzaliśmy na szeroki pas zieleni, na którym tu i ówdzie widać było grupki wychowanków. Na szczycie wzgórza wiał silny wiatr i pamiętam, że mnie to zaskoczyło, ponieważ siedząc na trawie, wcale go nie czułam. Przez chwilę stałyśmy tam, przyglądając się całemu terenowi, a potem Ruth podała mi małą torebkę. Biorąc ją, domyśliłam się, że w środku jest kasetka magnetofonowa, i zabiło mi szybciej serce.

— To nie jest twoja kasetka, Kathy — uprzedziła mnie natychmiast. — Ta, którą zgubiłaś. Próbowałam ją dla ciebie znaleźć, ale naprawdę przepadła.

— No tak — mruknęłam. — Trafiała do Norfolku.

Obie roześmiałyśmy się. Wyjęłam z zawieszoną miną kasetę i kiedy się jej przyjrzałam, rozczarowanie nie zniknęło chyba z mojej twarzy.

Trzymałam w ręku coś, co nosiło tytuł *Dwadzieścia klasycznych melodii tanecznych*. Kiedy przesłuchałam później kasetę, okazało się, że to orkiestrowe kawałki do puszczania na sali balowej. Oczywiście, kiedy Ruth mi ją dawała, nie miałam pojęcia, jaki to rodzaj muzyki, wiedziałam tylko, że na pewno nie przypomina Judy Bridgewater. Prawie natychmiast uświadomiłam sobie jednak, że nie mogła o tym wiedzieć — dla Ruth, której słoń nadepnął na ucho, ta kasetka mogła z łatwością zastąpić tamtą, którą straciłam. I nagle rozczarowanie ulotniło się i poczułam prawdziwą radość. W Hailsham nieczęsto obejmowaliśmy się i ściskali. Wzięłam jednak w obie ręce jej dłoń, uścisnęłam mocno i podziękowałam.

— Znalazłam to na ostatniej wyprzedazy. Pomyślałam, że to coś, co ci się spodoba — wyjaśniła, a ja odparłam, że owszem, to dokładnie coś takiego.

Wciąż mam tę kasetę. Nie puszczam jej zbyt często, ponieważ muzyka jest do niczego. Traktuję ją jak broszkę lub obrączkę, i teraz, kiedy Ruth odeszła, to jedna z moich najcenniejszych rzeczy.

Rozdział 7

Chciałabym teraz przejść do naszych ostatnich lat w Hailsham. Mówię o okresie między ukończeniem przez nas trzynastego i szesnastego roku życia, kiedy wyjechaliśmy. Życie w Hailsham dzieli się dla mnie na dwie wyraźne części; tę ostatnią epokę oraz wszystko, co było przedtem. Wcześniejsze lata — te, o których już opowiadałam — wydają się czymś w rodzaju złotego wieku i kiedy myślę o nich, nawet o tym, co było złe, nie mogę powstrzymać radosnego uśmiechu. Ostatnie lata wyglądały inaczej. Właściwie nie były nieszczęśliwe — zostało mi po nich wiele cennych wspomnień — lecz na pewno poważniejsze i pod pewnymi względami mroczniejsze. Być może przesadzam, ale mam wrażenie, że wszystko zaczęło się wówczas szybko zmieniać, tak jakby dzień przechodził w noc.

Weźmy choćby tę rozmowę z Tommym przy stawie: traktuję ją teraz jako rodzaj cezury między dwiema epokami. Nie żeby zaraz potem zaczęło się dziać coś ważnego; dla mnie był to punkt zwrotny. Z całą pewnością zaczęłam patrzeć na wszystko inaczej. Tam gdzie wcześniej cofałam się przed krępującymi kwestiami, teraz coraz częściej zadawałam pytania, jeśli nie na głos, to przynajmniej w duchu.

Nasza rozmowa pozwoliła mi zwłaszcza ujrzeć w nowym świetle pannę Lucy. Obserwowałam ją uważnie, gdy miałam okazję, nie tylko z ciekawości, lecz ponieważ traktowałam ją obecnie jako ważne źródło informacji. I faktycznie w ciągu następnego roku zauważyłam różne dziwne rzeczy, które powiedziała lub zrobiła i które całkowicie umykały uwagi moich przyjaciół.

Był na przykład okres, może kilka tygodni po tej rozmowie przy stawie, kiedy panna Lucy prowadziła z nami lekcje angielskiego. Przerabialiśmy poezję, ale nie wiadomo dlaczego zaczęliśmy mówić o żołnierzach drugiej wojny światowej, którzy byli trzymani w obozach jenieckich. Jeden z chłopców zapytał, czy to prawda, że druty wokół obozu były pod napięciem, a potem ktoś inny powiedział, jakie to musiało być dziwne, życie w miejscu, w którym można było popełnić samobójstwo, kiedy tylko się chciało, dotykając po prostu ogrodzenia. Stwierdził to całkiem serio, ale cała reszta uznała, że to

bardzo zabawne. Śmiałyśmy się i mówiliśmy wszyscy naraz, a Laura — co dla niej typowe — wstała z krzesła i odegrała w histeryczny sposób scenkę porażenia prądem. Przez chwilę zapanował kompletny rejwach: wszyscy krzyczeli i udawali, że dotykają drutów pod napięciem.

Obserwowałam pannę Lucy w trakcie tego epizodu i zauważyłam, że kiedy nam się przyglądała, przez jej twarz przemknął dziwnie upiorny cień. Po chwili jednak — cały czas pilnie ją obserwowałam — opanowała się i uśmiechnęła.

— Dobrze, że ogrodzenie Hailsham nie jest pod napięciem. Zdarzają się czasem straszne wypadki — stwierdziła.

Powiedziała to dość cicho, a ponieważ ludzie hałasowali, jej słowa utonęły w zgiełku. Lecz ja usłyszałam je całkiem wyraźnie. „Zdarzają się czasem straszne wypadki”. Jakie wypadki? Gdzie? Nikt jednak tego nie podjął i wróciliśmy do analizy wiersza.

Były również inne podobne do tego drobne incydenty i wkrótce doszłam do wniosku, że panna Lucy różni się od pozostałych wychowawców. Całkiem możliwe, że już wówczas zaczęłam zdawać sobie sprawę, skąd biorą się jej obawy i frustracje. Ale posuwam się chyba zbyt daleko; nie można wykluczyć, że dostrzegając wówczas te wszystkie rzeczy, nie miałam pojęcia, co o nich myśleć. I jeśli te incydenty wydają się teraz ważne i układają w większą całość, dzieje się tak prawdopodobnie dlatego, że patrzę na nie w świetle zdarzeń, które nastąpiły później — zwłaszcza owego dnia, kiedy schroniliśmy się przed ulewą w sali gimnastycznej.

Mieliśmy wtedy po piętnaście lat i był to nasz ostatni rok w Hailsham. Tego dnia mieliśmy rozegrać mecz palanta. Chłopcy byli wówczas w fazie, gdy „polubili” palanta, bo dzięki temu mogli z nami flirtować, i tego popołudnia zebrało się tam przeszło trzydzieści osób. Deszcz lunął, kiedy przebieraliśmy się w sali gimnastycznej, i czekając, aż przestanie padać, zgromadziliśmy się na zadaszonej werandzie. Ale deszcz dalej lał i kiedy doszły do nas ostatnie osoby, na werandzie zrobił się prawdziwy ścisk i wszyscy niespokojnie się wierzili. Pamiętam, że Laura demonstrowała mi szczególnie odstręczający sposób wydmuchiwania nosa, przydatny, kiedy chciało się zniechęcić chłopaka.

Panna Lucy była tam jedyną wychowawczynią. Wychylona przez balustradę z przodu werandy, wpatrywała się w deszcz, jakby chciała objąć wzrokiem całe boisko.

Obserwowałam ją uważnie, jak zawsze w tamtym okresie, i nawet śmiejąc się z wygłupów Laury, zerkałam co jakiś czas na jej plecy. Pamiętam, że przyszło mi do głowy, iż jest coś dziwnego w jej pozycji, w sposobie, w jaki pochyliła trochę zbyt nisko głowę, tak że wyglądała niczym szykujące się do skoku zwierzę. Poza tym wychylała się przez balustradę tak bardzo, że kapiące z wystającej rynny krople mijały ją zaledwie o cal — lecz ona nie zwracała na to najwyraźniej uwagi. Pamiętam, że tłumaczyłam sobie nawet, że nie ma w tym nic niezwykłego — panna Lucy nie mogła się po prostu doczekać, żeby deszcz przestał padać — i ponownie zainteresowałam się paplaniną Laury. A potem, po kilku minutach, kiedy całkiem zapomniałam o panie Lucy i śmiałam się z czegoś do rozpuku, uświadomiłam sobie nagle, że wokół zrobiło się cicho i że panna Lucy coś do nas mówi.

Stała w tym samym miejscu co przedtem, ale odwróciła się do nas twarzą, tak że opierała się teraz o balustradę plecami i miała za sobą zasnutę deszczem niebo.

— Nie, nie, przepraszam, ale muszę wam przerwać — mówiła i zobaczyłam, że zwraca się do dwóch chłopców siedzących na ławkach bezpośrednio przed nią. W jej głosie nie było nic niezwykłego, lecz mówiła bardzo głośno, tonem, którego używała, żeby oznajmić coś większej liczbie słuchaczy, i dlatego właśnie wszyscy umilkliśmy. — Nie, Peter, będę musiała ci przerwać. Nie mogę cię dalej słuchać i milczeć — stwierdziła, po czym podniosła wzrok, aby objąć nim nas wszystkich, i wzięła głęboki oddech. — W porządku, możecie posłuchać, to jest przeznaczone dla wszystkich. Pora, żeby ktoś wam to powiedział.

Czekaliśmy, a ona świdrowała nas wzrokiem. Kilka osób przyznało później, że myśleli, iż panna Lucy chce nas zdrowo objechać; innym wydawało się, że ma zamiar ogłosić nowe zasady gry w palanta. Ja jednak od razu wiedziałam, że chodzi o coś więcej.

— Musicie mi wybaczyć, że was podsłuchiwałam, chłopcy. Ale siedzieliście tuż za mną i nie mogłam na to nic poradzić. Peter, może powtórzysz innym to, co mówiłeś właśnie Gordonowi?

Peter J. był wyraźnie zmieszany i widziałam, że ma zamiar przybrać minę urażonej niewinności.

— Śmiało, Peter — odezwała się ponownie panna Lucy, tym razem łagodniejszym tonem. — Proszę, powiedz innym, o czym mówiliście.

Peter wzruszył ramionami.

— Mówiliśmy o tym, jak by to wyglądało, gdybyśmy zostali aktorami. Jakie to by było życie.

— Tak — potwierdziła panna Lucy — i powiedziałaś Gordonowi, że musiałbyś pojechać do Ameryki, żeby mieć większe szanse.

Peter J. ponownie wzruszył ramionami.

— Tak, panno Lucy — mruknął cicho.

Panna Lucy obejmowała już wzrokiem nas wszystkich.

— Wiem, że nie mieliście na myśli nic złego. Ale za dużo jest po prostu takich rozmów. Słyszę je przez cały czas, pozwala się na nie i to nie jest w porządku. — Widziałam, jak kapiące z rynny krople lądują na jej barku, ona jednak chyba w ogóle tego nie czuła. — Jeśli nikt inny nie ma zamiaru z wami porozmawiać — podjęła — w takim razie ja to zrobię. Problem polega według mnie na tym, że wam powiedziano i nie powiedziano. Powiedziano wam, lecz żadne z was tego naprawdę nie zrozumiało i ośmielę się twierdzić, że niektórzy chętnie by na tym poprzestali. Ale ja nie zamierzam na tym poprzestać. Jeśli macie uczciwie żyć, w takim razie musicie to wiedzieć, i to wiedzieć dokładnie. Żadne z was nie pojedzie do Ameryki, żadne nie zostanie gwiazdą filmową. I żadne nie będzie pracowało w supermarkecie, jak to słyszałam parę dni temu. Wasza przyszłość jest już ustalona. Niedługo dorośniecie, a potem, zanim się zestarzejecie, zanim nawet wejdziecie w wiek średni, zaczniecie oddawać wasze narządy wewnętrzne. Do tego właśnie każdy z was został stworzony. Nie jesteście podobni do aktorów, których oglądacie na wideo, nie jesteście nawet podobni do mnie. Zostaliście powołani do życia w określonym celu i wasza przyszłość, przyszłość was wszystkich jest już ustalona. Dlatego nie powinniście więcej prowadzić takich rozmów. Niedługo opuścicie Hailsham i niezbyt odległy jest dzień, kiedy zaczniecie się przygotowywać do pierwszych donacji. Powinniście o tym pamiętać. Jeśli macie uczciwie żyć, musicie wiedzieć, kim jesteście i co was czeka, czeka was wszystkich.

Panna Lucy umilkła, lecz ja miałam wrażenie, że w duchu mówi dalej różne rzeczy, ponieważ przez jakiś czas omiatała nas wzrokiem, przeskakując od jednej do drugiej twarzy, jakby w dalszym ciągu do nas przemawiała. Odetchnęliśmy z prawdziwą ulgą, kiedy odwróciła się i ponownie spojrzała na boisko.

— Nie jest tak źle — stwierdziła, chociaż deszcz wcale nie zelżał. — Wyjdźmy stąd. Wtedy może słońce także wyjdzie zza chmur.

To było chyba wszystko, co wtedy nam rzekła. Kiedy przed kilku laty dyskutowałam o tym z Ruth w ośrodku w Dover, ta twierdziła, iż panna Lucy powiedziała nam o wiele więcej; że wspomniała o centrach rehabilitacji, o praktykowanej na ogół kolejności donacji, a także o tym, że jeszcze przed ich rozpoczęciem każde z nas będzie przez jakiś czas opiekunem. Ale ja jestem przekonana, że tego nie zrobiła. W porządku, być może miała taki zamiar, kiedy zaczęła mówić. Domyślam się jednak, że widząc w trakcie swojej przemowy nasze zakłopotane twarze, uświadomiła sobie, że nie zdoła doprowadzić do końca tego, co zaplanowała.

Trudno jasno określić, jaki wpływ wywarł na nas wybuch panny Lucy w sali gimnastycznej. Wieść o nim szybko się rozeszła, lecz dyskusje koncentrowały się raczej na samej pannie Lucy niż na tym, co próbowała nam przekazać. Niektórzy wychowankowie uważali, że jej na moment odbiło; inni, że to panna Emily oraz pozostali wychowawcy prosili ją, żeby powiedziała to, co powiedziała; znaleźli się nawet tacy, którzy faktycznie tam byli i uważali, że panna Lucy zrugła nas za to, że awanturowaliśmy się na werandzie. Jak już wspomniałam, zaskakująco mało dyskutowaliśmy o treści jej wynurzeń. Jeśli do tego dochodziło, ludzie wzruszali na ogół ramionami. No i cóż z tego, pytali. I tak przecież o wszystkim wiedzieliśmy.

Ale to właśnie miała na myśli panna Lucy. Jak to określiła, „powiedziano nam i nie powiedziano”. Kiedy kilka lat temu wałkowaliśmy to po raz kolejny z Tommym i przypominałam mu o tym zdaniu panny Lucy, wysunął pewien wniosek.

Jego zdaniem nie można wykluczyć, że w ciągu całego naszego pobytu w Hailsham wychowawcy planowali bardzo starannie i rozważnie, kiedy i co nam powiedzieć, tak żebyśmy zawsze byli trochę zbyt młodzi, by zrozumieć kolejną podawaną nam porcję informacji. Lecz oczywiście na jakimś poziomie przyswajaliśmy ją sobie i wkrótce wszystko to tkwiło w naszych głowach, mimo że porządnie się nad tym nie zastanowiliśmy.

Za bardzo pachnie mi to teorią spiskową — nie sądzę, żeby nasi wychowawcy byli aż tak sprytni — lecz prawdopodobnie coś w tym jest. Rzeczywiście wydaje mi się, jakbym zawsze w jakiś mglisty sposób wiedziała o donacjach, nawet kiedy miałam sześć lub siedem lat. I to dziwne: gdy byliśmy starsi i wychowawcy mówili nam o tych

rzeczach, nigdy nas to kompletnie nie zaskakiwało. Tak jakbyśmy o wszystkim gdzieś wcześniej słyszeli.

Przychodzi mi teraz do głowy, że kiedy wychowawcy zaczęli nas po raz pierwszy uświadamiać seksualnie, zawsze łączyli te lekcje z rozmowami na temat donacji. W tym wieku — ponownie mam na myśli mniej więcej trzynaście lat — byliśmy wszyscy w dość dużym stopniu zaabsorbowani i podekscytowani seksem i spychaliśmy naturalnie te drugie informacje na margines. Innymi słowy, całkiem możliwe, że wychowawcom udało się niepostrzeżenie przemyścić nam do głów wiele podstawowych informacji o naszej przyszłości.

Trzeba przyznać, że łączenie tych dwóch tematów wydaje się dość naturalne. Jeśli mówili, powiedzmy, jak bardzo musimy uważać, żeby nie zarazić się jakimiś chorobami podczas uprawiania seksu, trudno było nie wspomnieć, dlaczego jest to dla nas o wiele ważniejsze niż dla ludzi z zewnątrz. A to naturalnie wiązało się z donacjami.

No i były oczywiście wszystkie te kwestie związane z tym, że nie mogliśmy mieć dzieci. Panna Emily wygłaszała osobiście wiele pogadanek o seksie i pamiętam, jak przyniosła raz z pracowni biologicznej naturalnej wielkości szkielet, żeby pokazać nam, jak to się robi. Patrzyliśmy kompletnie zaskoczeni, jak wykręca szkielet na różne sposoby, wciskając tu i tam swoją wskazówkę, bez najmniejszego skrepowania. Przedstawiła z najdrobniejszymi szczegółami, jak to wygląda, co gdzie wchodzi, z różnymi wariantami, jakby to była lekcja geografii. I nagle, mając za sobą ten obscenicznie wygięty na biurku szkielet, zaczęła nam mówić, jak bardzo musimy uważać, z kim uprawiamy seks. Nie tylko z powodu chorób, lecz także dlatego, jak powiedziała, „że seks wpływa na uczucia w sposób, jakiego nigdy byście się nie spodziewali”. Uprawiając seks w zewnętrznym świecie, musimy być wyjątkowo ostrożni, zwłaszcza z ludźmi, którzy nie byli wychowankami, ponieważ seks oznacza dla nich najprzeróżniejsze rzeczy. Tam, na zewnątrz, ludzie walczą nawet i zabijają się o to, kto uprawia z kim seks. A jest to dla nich takie ważne — o wiele ważniejsze niż, powiedzmy, taniec albo tenis stołowy — ponieważ ludzie z zewnątrz różnią się od nas tym, że uprawiając seks, mogą mieć dzieci. Dlatego to dla nich takie ważne, to pytanie, kto z kim to robi. I chociaż, jak już wiemy, absolutnie nie możemy mieć dzieci, na zewnątrz musimy zachowywać się tak jak oni. Musimy przestrzegać reguł i traktować seks jako coś wyjątkowego.

Ten wykład panny Emily był typowy, dokładnie ilustruje to, o czym mówię. Koncentrowaliśmy się na seksie i nagle wypływała ta druga sprawa. Przypuszczam, że w ten właśnie sposób „mówiono nam i nie mówiono”.

Wydaje mi się, że w rezultacie musieliśmy przyswoić sobie całkiem sporo wiadomości, ponieważ pamiętam, że mniej więcej w tym czasie nastąpiła znacząca zmiana w naszym podejściu do donacji. Do tego momentu, jak już mówiłam, robiliśmy wszystko, żeby unikać tego tematu; wycofywaliśmy się na pierwszy sygnał, że wkraczamy na to terytorium, i każdego głupka — takiego jak Marge — który nie zachowywał odpowiedniej ostrożności, czekała surowa kara. Lecz po skończeniu przez nas trzynastu lat wszystko zaczęło się zmieniać. W dalszym ciągu nie rozmawialiśmy otwarcie o donacjach i o tym, co im towarzyszyło; czuliśmy się niepewnie na tym gruncie. Co nie przeszkadzało, że stały się one czymś, o czym mogliśmy żartować, w podobny sposób jak żartowaliśmy o seksie. Spoglądając teraz wstecz, mogę powiedzieć, że obowiązywała zasada, aby nie mówić otwarcie o donacjach. Robienie żartobliwych aluzji do tego, co nas czekało, było jednak czymś akceptowanym, a nawet pożądanym.

Dobrym przykładem jest to, co zaszło, kiedy Tommy skaleczył się w łokieć. Musiało się to zdarzyć jeszcze przed naszą rozmową przy stawie; w okresie kiedy, jak przypuszczam, Tommy wychodził dopiero z fazy, w której wszyscy się z nim droczyli i mu dokuczali.

To nie było takie straszne skaleczenie i chociaż wysłano go do Krowiej Mordy, żeby je opatrzyła, prawie zaraz pojawił się z powrotem z kwadratowym opatrunkiem na łokciu. Nikt nie zwrócił na to większej uwagi aż do chwili, kiedy kilka dni później Tommy zdjął opatrunek, odsłaniając coś, co znajdowało się w stanie pośrednim pomiędzy blizną i otwartą raną. Widać było zasklepiającą się skórę i prześwitującą pod spodem miękką czerwoną tkankę. Ponieważ działo się to w trakcie lunchu, wszyscy zaczęli tłoczyć się dookoła, żeby powybrzydzać.

— Fatalnie, że to w tym miejscu łokcia — oznajmił nagle ze śmiertelną powagą Christopher H. z wyższej o rok klasy. — Gdziekolwiek indziej nie miałyby to znaczenia.

Tommy wyraźnie się zmartwił — Christopher był w tamtym okresie osobą, z której zdaniem się liczył — i zapytał, co ma na myśli. Christopher, nie śpiesząc się, przełknął kęs.

— Nie wiesz? — odparł nonszalanckim tonem. — Jeśli jest w tym miejscu, łokieć może się rozpiąć. Wystarczy tylko szybko zgiąć rękę. Nie tylko w miejscu skaleczenia, ale na całej ręce, zupełnie jak torba. Myślałem, że o tym wiesz.

Usłyszałam, jak Tommy skarży się, że Krowia Morda nic mu o tym nie powiedziała. Christopher wzruszył na to ramionami.

— Na pewno myślała, że wiesz — stwierdził. — Wszyscy wiedzą.

Kilka stojących obok osób potwierdziło to zgodnym pomrukiem.

— Musisz trzymać rękę sztywno wyprostowaną — powiedział ktoś inny. — Zginanie jej jest naprawdę niebezpieczne.

Nazajutrz zobaczyłam, że Tommy chodzi ze zmartwioną miną i trzyma sztywno rękę. Wszyscy się z niego nabijali i trochę mnie to denerwowało, lecz musiałam przyznać, że było w tym coś śmiesznego. Pod koniec dnia, kiedy szliśmy do pracowni plastycznej, Tommy zaczepił mnie.

— Mogę zamienić z tobą kilka słów? — zapytał.

Było to chyba kilka tygodni po tym, jak podeszłam do niego na boisku, żeby przypomnieć mu o jego koszulce polo, rozeszły się więc wieści, że jesteśmy kimś w rodzaju przyjaciół. Jednak fakt, że tak się do mnie bezceremonialnie zwrócił, prosząc o chwilę rozmowy, był dość krępujący i wytrącił mnie z równowagi. To przynajmniej częściowo wyjaśnia, dlaczego okazałam się tak mało pomocna.

— Nie chodzi o to, żebym się specjalnie zamartwiał — oznajmił, kiedy znaleźliśmy się na osobności. — Ale nie chcę niepotrzebnie ryzykować. Nie powinniśmy nigdy narażać naszego zdrowia. Ktoś musi mi pomóc, Kath. — Wyjaśnił, że niepokoi go to, co może się zdarzyć, kiedy śpi. W nocy mógł przecież zgiąć rękę w łokciu. — Stale śni mi się, że walczę z całym mnóstwem rzymskich legionistów.

Kiedy wzięłam go na spytki, okazało się, że najróżniejsi ludzie — których wcale nie było tam w porze lunchu — przychodzili do niego, aby powtórzyć ostrzeżenie Christophera H. Kilku z nich posunęło się jeszcze dalej: jeden z wychowanków powiedział, że

poszedł spać z podobnym do niego skaleczeniem na łokciu i obudziwszy się, odkrył, że ma całe przedramię i dłoń obnażone aż do kości, ze skórą, która zwisała „niczym jedna z tych długich rękawiczek w *My Fair Lady*”.

W związku z tym Tommy poprosił mnie o pomoc w unieruchomieniu ręki, tak aby nie mógł jej zgiąć w nocy.

— Nie wierzę nikomu poza tobą — powiedział, biorąc grubą linijkę, której zamierzał użyć jako łubka. — Ktoś inny mógłby ją umyślnie przywiązać tak, żeby się oblużowała.

Wpatrywał się we mnie z absolutną ufnością i naprawdę nie wiedziałam, co robić. Z jednej strony miałam wielką ochotę powiedzieć mu, co jest grane. Przypuszczam, że zdawałam sobie sprawę, iż nie robiąc tego, zburzę zaufanie, jakim obdarzał mnie od chwili, gdy przypomniałam mu o jego koszulce polo. Pomagając mu usztywnić rękę linijką, dołączałam do grupy, która się z niego nabijała. Wstydzę się, że mu wtedy nic nie powiedziałam. Musicie jednak pamiętać, że byłam jeszcze dość młoda i miałam tylko parę sekund na zastanowienie. A kiedy ktoś prosi was w tak błagalny sposób, bardzo trudno jest odmówić.

Przypuszczam, że przede wszystkim nie chciałam go martwić. Widziałam bowiem, że mimo obaw związanych z łokciem Tommy był wzruszony troską, którą, jak wierzył, mu okazywano. Zdawałam sobie oczywiście sprawę, że wcześniej czy później pozna prawdę, lecz w tym momencie nie mogłam mu jej po prostu zakomunikować.

— Czy Krowia Morda kazała ci to zrobić? — zapytałam, i to było wszystko, na co mogłam się zdobyć.

— Nie. Ale pomyśl tylko, jaka będzie wściekła, kiedy odepnie mi się łokieć.

Do tej pory mam z tego powodu wyrzuty sumienia, ale w końcu obiecałam, że pomogę mu unieruchomić rękę — w sali numer czternaście na pół godziny przed nocnym dzwonkiem — i patrzyłam, jak odchodzi, wdzięczny i pokrzepiony na duchu.

Tak się złożyło, że zostało mi to oszczędzone, ponieważ Tommy odkrył wcześniej prawdę. To było koło ósmej wieczorem. Schodząc po głównych schodach, usłyszałam głośny śmiech dobiegający z parteru i natychmiast domyśliłam się, że to musi mieć coś wspólnego z Tommym. Stałam przygnębiona na podeście pierwszego piętra i

wychylając się przez balustradę, zobaczyłam Tommy'ego, który tupiąc głośno, wybiegł z sali bilardowej. „Przynajmniej nie krzyczy”, pamiętam, że pomyślałam. I rzeczywiście nie krzyczał, idąc do szatni, skąd zabrał swoje rzeczy, i wychodząc z głównego budynku. Przez cały ten czas z otwartych drzwi sali bilardowej dobiegały śmiechy i okrzyki w rodzaju „Jeśli się zdenerwujesz, łokieć na pewno ci wyskoczy!”.

Zastanawiałam się, czy nie pójść za nim i nie spróbować go dogonić, nim dotrze do swojego domku, lecz potem przypomniałam sobie, jak obiecywałam mu przymocować na noc linijkę do ręki, i nie ruszyłam się z miejsca. „Przynajmniej nie dostał ataku złości — powtarzałam sobie. — Przynajmniej zdołał się opanować”.

Ale odbiegam nieco od tematu. Opowiadałam o tym wszystkim, ponieważ pomysł „odpinania” różnych rzeczy, który zrodził się przy okazji łokcia Tommy'ego, stał się naszym dyżurnym żartem, kiedy była mowa o donacjach. Wyobrażaliśmy sobie, że kiedy nadejdzie pora, będziemy mogli się trochę rozpiąć, nerka albo coś innego wysunie się na zewnątrz i ją oddamy. Samo w sobie specjalnie nas to nie śmieszyło; był to bardziej sposób na popsucie komuś apetytu. Odpinało się, powiedzmy, swoją wątrobę i podrzucało na czyjś talerz, tego rodzaju rzeczy. Pamiętam, jak Gary B., który odznaczał się niewiarygodnym apetytem, wrócił kiedyś z trzecią dokładką puddingu i prawie wszyscy przy stole zaczęli „odpinać” jakieś swoje narządy i wrzucać mu na talerz, podczas gdy on, nie bacząc na to, dalej się opychał.

Tommy nigdy nie lubił żartów o odpinaniu, ale okres, kiedy mu dokuczano, już minął i nikt nie kojarzył tego z jego osobą. Robiło się to dla hecy, żeby popsuć komuś smak podczas obiadu — i jak przypuszczam, żeby nawiązać w jakiś sposób do tego, co nas czekało. I do tego właśnie zmierzam. W tym okresie naszego życia nie uciekaliśmy już od tematu donacji, tak jak to się działo rok albo dwa lata wcześniej, lecz w dalszym ciągu nie traktowaliśmy ich poważnie, nie dyskutowaliśmy o nich. Cała historia z „odpinaniem” dobrze ilustruje naszą postawę wobec tej kwestii, kiedy mieliśmy trzynaście lat.

A zatem moim zdaniem panna Lucy ujęła to dość trafnie, stwierdzając parę lat później, że „powiedziano nam i nie powiedziano”. I co więcej, kiedy się nad tym teraz zastanawiam, skłonna jestem sądzić, że to, co powiedziała nam owego popołudnia, doprowadziło do prawdziwego przełomu w naszych postawach. Po tym dniu skończyły się żarty o donacjach i zaczęliśmy myśleć tak jak trzeba o całej sprawie. Właściwie

donacje stały się z powrotem tematem, którego unikaliśmy, ale w inny sposób, niż to się działo, kiedy byliśmy młodszy. Tym razem nie było to już coś krępującego lub żenującego, lecz ponurego i poważnego.

— To zabawne — powiedział mi Tommy, kiedy ponownie wspominaliśmy to wszystko przed kilku laty. — Żadne z nas nie pomyślało o tym, jak czuła się sama panna Lucy. Nigdy nie martwiliśmy się, czy mówiąc nam to, co powiedziała, nie napyta sobie biedy. Byliśmy wtedy tacy samolubni.

— Nie możesz nas przecież winić — odparłam. — Nauczono nas myśleć o sobie wzajemnie, ale nigdy o wychowawcach. Nigdy nie przyszło nam do głowy, że występują między nimi różnice zdań.

— Nie byliśmy przecież tacy mali — upierał się Tommy. — W tym wieku powinno nam to przyjść do głowy. Ale nie przyszło. W ogóle nie myśleliśmy o biednej pannie Lucy. Nawet po tym dniu, no wiesz, kiedy ją zobaczyłaś.

Zgadłam od razu, co ma na myśli. Mówił o poranku na początku ostatniego spędzonego przez nas w Hailsham lata, gdy zobaczyłam ją w sali numer dwadzieścia dwa. Kiedy się nad tym teraz zastanawiam, dochodzę do wniosku, że Tommy miał jednak rację. Po tamtym dniu nawet dla nas powinno stać się jasne, w jakie kłopoty wpadła panna Lucy. Lecz jak powiedział Tommy, nigdy nie przyjmowaliśmy jej punktu widzenia i nigdy nie przyszło nam do głowy, żeby ją jakoś wesprzeć.

Rozdział 8

Wielu z nas skończyło już wtedy szesnaście lat. Tego ranka świeciło jasno słońce i kiedy po lekcji w głównym budynku wyszliśmy wszyscy na dziedziniec, przypomniałam sobie, że zostawiłam coś w klasie. Wróciłam więc na trzecie piętro i tak doszło do mojego spotkania z panną Lucy.

W tamtym okresie miałam taką swoją tajną grę. Kiedy byłam sama, stawałam w miejscu i czekałam, aż w zakreślonym przeze mnie polu widzenia – powiedzmy z okna albo z korytarza na salę – nie będzie nikogo. Robiłam to, żeby chociaż przez kilka sekund cieszyć się iluzją, że wszędzie dookoła nie roi się od wychowanków i że Hailsham jest cichym spokojnym domem, w którym mieszka tylko pięć albo sześć osób. Żeby to się udało, trzeba było pogрузić się w czymś w rodzaju snu i odsunąć od siebie wszystkie przypadkowe hałasy i głosy. Na ogół trzeba było także mieć anielską cierpliwość: jeśli, powiedzmy, patrząc z okna, skupiało się wzrok na jakimś konkretnym fragmencie boiska, można było czekać bez końca na te kilka sekund, kiedy nikogo tam nie było. Tak czy owak, tym właśnie zajmowałam się tego ranka, kiedy zabrałam to, co zostawiłam wcześniej w klasie, i przystanąłam na podeście trzeciego piętra.

W ogóle się nie poruszając, wpatrywałam się we fragment dziedzińca, gdzie zaledwie przed kilkoma chwilami sama stałam. Moje przyjaciółki poszły gdzieś i dziedziniec stopniowo pustoszał. Czekając, aż uda mi się moja sztuczka, usłyszałam nagle coś, co brzmiało jak ulatniająca się para lub gaz.

Syk trwał mniej więcej przez dziesięć sekund, a potem urywał się i rozlegał ponownie. Niespecjalnie mnie to zaniepokoiło, ale ponieważ byłam jedyną osobą w pobliżu, pomyślałam, że lepiej będzie, jeśli pójde sprawdzic.

Ruszyłam korytarzem w stronę źródła dźwięku i minawszy klasę, w której byłam przed chwilą, dotarłam do sali numer dwadzieścia dwa, drugiej od końca. Drzwi były lekko uchylone i kiedy do nich podeszłam, syk rozległ się ponownie, głośniejszy niż poprzednio. Nie wiem, co spodziewałam się odkryć, otwierając ostrożnie drzwi, lecz ujrawszy pannę Lucy, byłam autentycznie zaskoczona.

W sali numer dwadzieścia dwa rzadko kiedy odbywały się jakieś lekcje, bo była bardzo mała i nawet w takie jak ten słoneczne dni prawie nie docierało do niej światło. Wychowawcy przychodzili tam czasem, żeby poprawić nasze prace albo coś przeczytać. Tego ranka było tam ciemniej niż zwykle, ponieważ żaluzje były opuszczone prawie do samego końca. Dwa stoły stały przysunięte do siebie tak, by mogło przy nich usiąść więcej osób, ale panna Lucy siedziała sama z tyłu. Na stole przed nią zobaczyłam kilka arkuszy ciemnego błyszczącego papieru. Ona sama pochylała się nisko nad biurkiem, opierając przedramiona o blat i kreśląc wściekle kartkę ołówkiem. Pod grubymi czarnymi maźnięciami widziałam eleganckie niebieskie pismo. Na moich oczach panna Lucy zaczęła znowu wodzić czubkiem ołówka po papierze, prawie tak samo, jak to robiliśmy, cieniując rysunek na zajęciach plastycznych, tyle że jej ruchy były o wiele bardziej gniewne, zupełnie jakby miała ochotę podrzeć całą kartkę. W tym momencie zdałam sobie sprawę, że stąd właśnie bierze się ten dziwny odgłos i że to, co brałam za arkusze ciemnego lśniącego papieru, jeszcze przed chwilą pokryte było eleganckim pismem.

Panna Lucy była tak pochłonięta tym, co robiła, że dopiero po chwili zdała sobie sprawę z mojej obecności. Kiedy zaskoczona podniosła głowę, zauważyłam, że jest zaczerwieniona, lecz na jej policzkach nie było śladu łez. Popatrzyła na mnie i odłożyła ołówek.

— Witaj, moja panno — zagadnęła i wzięła głęboki oddech. — Co mogę dla ciebie zrobić?

W tym momencie chyba się odwróciłam, żeby nie patrzeć na nią i leżące na biurku papiery. Nie pamiętam, czy w ogóle cokolwiek powiedziałam — czy wspomniałam o dziwnym hałasie i o tym, że bałam się, że to ulatniający się gaz. Tak czy inaczej, nie doszło między nami do dłuższej rozmowy: panna Lucy nie chciała, żeby jej przeszkadzać, i ja również tego nie chciałam. Wydukałam chyba jakieś przeprosiny i wyszłam, spodziewając się trochę, że mnie zawoła. Ona jednak nie zrobiła tego i pamiętam teraz, że kiedy schodziłam po schodach, policzki płonęły mi ze wstydu i urazy. W tamtym momencie niczego nie żałowałam tak bardzo jak tego, że zobaczyłam to, co zobaczyłam, chociaż gdybyście zapytali, co mnie tak ubodło, nie zdołałabym pewnie tego wyjaśnić. W dużym stopniu wynikało to ze wstydu i wściekłości, chociaż właściwie nie wściekałam się

na samą pannę Lucy. Byłam bardzo zmieszana i chyba dlatego przez długi czas nie wspomniałam o tym ani słowem moim przyjaciółkom.

Po tym poranku uwierzyłam, że z panną Lucy związany jest jakiś sekret — niewykluczone, że straszny — i miałam oczy i uszy szeroko otwarte. Mijały jednak kolejne dni i niczego nie zauważyłam. Nie wiedziałam wówczas, że coś ważnego zdarzyło się zaledwie parę dni po tym, jak widziałam ją w sali numer dwadzieścia dwa — coś, co zaszło między panną Lucy i Tommym i co go zmartwiło i zdezorientowało. Trochę wcześniej Tommy i ja natychmiast przekazalibyśmy sobie tego rodzaju informacje; tamtego lata działy się jednak różne rzeczy, w wyniku których nie rozmawialiśmy ze sobą już tak swobodnie.

Dlatego tak długo o tym nic nie wiedziałam. Później mogłam sobie tylko pluć w brodę, że się nie domyśliłam, nie zagadnęłam Tommy'ego i nie wzięłam go na spytki. Ale, jak już wspomniałam, dużo się wtedy działo, między Tommym i Ruth, i nie tylko, i temu przypisywałam wszystkie zmiany, które w nim zauważyłam.

Posunęłabym się prawdopodobnie za daleko, twierdząc, że tamtego lata Tommy pokazał swoją prawdziwą twarz, lecz bywały chwile, kiedy żywiłam poważne obawy, czy nie zmienia się na powrót w nieporadnego i chimerycznego chłopaka sprzed kilku lat. Kiedyś na przykład wracałyśmy z sali gimnastycznej do domku i zorientowałyśmy się, że idzie przed nami Tommy i kilku innych chłopców. Dzieliło nas od nich tylko parę kroków i wszyscy, łącznie z Tommym, wydawali się w dobrym humorze, śmiali się i popychali. Właściwie to ich przykład zachęcił Laurę, która szła obok mnie, żeby się trochę powygłupiać. Chodziło o to, że Tommy musiał wcześniej siedzieć na ziemi, ponieważ do koszulki polo przylepiła mu się z tyłu grudka błota. Nie zdawał sobie z tego oczywiście sprawy i nie sądzę, by widzieli to jego koledzy, bo z pewnością by jakoś zareagowali. Tak czy inaczej, Laura nie byłaby Laurą, gdyby nie zawołała: „Tommy! Masz kupę na tyłku! Coś ty wyprawiał?”.

Zrobiła to absolutnie bez złych zamiarów i jeśli niektóre z nas wydały również jakieś odgłosy, należało to do rzeczy, które robiłyśmy bez przerwy. Dlatego byliśmy kompletnie zszokowane, kiedy Tommy stanął jak wryty w miejscu, obrócił się na pięcie i zmierzył Laurę wściekłym spojrzeniem. Zatrzymaliśmy się wszyscy — chłopcy wydawali się tak samo skonsternowani jak my — i przez kilka sekund myślałam, że po raz pierwszy

od kilku lat Tommy ponownie wybuchnie. Ale on nagle odmaszerował, a my wszyscy spojrzeliśmy na siebie i wzruszyliśmy ramionami.

Prawie tak samo fatalnie skończył się epizod, kiedy pokazałam mu kalendarz Patricii C. Patricia była dwie klasy niżej od nas, lecz wszyscy podziwiali jej talent do rysowania i wykonane przez nią rzeczy były zawsze rozchwytywane na targach sztuki. Byłam wyjątkowo zadowolona z kalendarza, który udało mi się zdobyć na ostatnich targach, ponieważ wieści o nim krążyły już od kilku tygodni. W niczym nie przypominał przedstawiających angielskie hrabstwa kolorowych kalendarzy panny Emily. Kalendarz Patricii był mały i pękaty i każdemu miesiącowi towarzyszyła jakaś śliczna, narysowana ołówkiem scenka z Hailsham. Żałuję, że już go nie mam, zwłaszcza że na kilku ilustracjach — na przykład tej z czerwca i września — widać twarze poszczególnych wychowanków i wychowawców. To jedna z rzeczy, które przepadły mi, kiedy wyjeżdżając z Chałup, miałam umysł zajęty czym innym i nie dbałam o to, co ze sobą zabieram — ale opowiem o tym wszystkim w stosownym czasie. Teraz chodzi mi o to, że kalendarz Patricii był naprawdę śliczny, byłam z niego dumna i dlatego właśnie chciałam go pokazać Tommy'emu.

Spostrzegłam go późnym popołudniem, kiedy stał w promieniach zachodzącego słońca przy wielkim jaworze, niedaleko południowego boiska, i ponieważ miałam kalendarz w torbie — pokazywałam go na lekcji muzyki — od razu do niego podeszłam.

Tommy śledził z uwagą mecz futbolowy, który rozgrywali na sąsiednim boisku jacyś młodsi chłopcy, i wydawał się w tym momencie pogodny, nawet wyciszony. Uśmiechnął się, kiedy do niego podeszłam, i przez minutę gawędziliśmy o różnych sprawach.

— Popatrz, Tommy, co udało mi się zdobyć — powiedziałam w końcu.

Nie próbowałam nawet ukryć brzmiącego w moim głosie triumfu i podając mu kalendarz, mogłam nawet radośnie zanucić. Biorąc go do ręki, uśmiechał się, ale kiedy zaczął przerzucać kartki, zobaczyłam, że coś się w nim zamyka.

— To Patricia — zaczęłam mówić, słysząc, jak zmienia mi się głos. — Jest taka zdolna...

Lecz Tommy oddawał mi już kalendarz. A potem, nie mówiąc ani słowa, oddalił się w stronę głównego budynku.

Ten incydent powinien dać mi do myślenia. Gdybym się chwilę zastanowiła, być może domyśliłabym się, że humory Tommy'ego mają coś wspólnego z panną Lucy i jego dawnymi problemami z „kreatywnością”. Ale ponieważ równocześnie działo się mnóstwo innych rzeczy, w ogóle nie myślałam w tych kategoriach. Uważałam chyba, że te dawne problemy skończyły się wraz z osiągnięciem przez nas pewnego wieku i że teraz mogą nas absorbować tylko „wielkie” problemy, które obecnie wydawały się takie ważne.

Więc cóż takiego się działo? Przede wszystkim Ruth i Tommy na dobre ze sobą zerwali. Byli parą przez mniej więcej sześć miesięcy; tyle w każdym razie chodzili ze sobą „publicznie” — obejmując się wzajemnie i tak dalej. Szanowano ich, bo nie byli zbyt ostentacyjni. To, jak się zachowywali inni, na przykład Sylvia B. i Roger D., mogło czasami przyprawiać o mdłości i trzeba było chóralnych odgłosów wymiotnych, żeby przywołać ich do porządku. Ale Ruth i Tommy nigdy nie robili nic wulgarnego w obecności innych i jeśli czasem się obściskiwali czy coś w tym rodzaju, widać było, że robią to z autentycznej potrzeby, a nie na użytek widowni.

Patrząc teraz wstecz, widzę, że cały ten obszar seksu wprawiał nas w nieliczne zakłopotanie. Trudno się chyba temu dziwić, jeśli się zważy na to, że mieliśmy zaledwie szesnaście lat. Zamęt w naszych głowach potęgowany był dodatkowo — spostrzegam to teraz znacznie wyraźniej — przez fakt, że zdeorientowani byli także wychowawcy. Z jednej strony mieliśmy, powiedzmy, pogadanki panny Emily, która mówiła nam, jakie to ważne, żebyśmy nie wstydzili się naszych ciał, „szanowali nasze fizyczne potrzeby” oraz że seks jest „przepięknym darem”, pod warunkiem że obie osoby naprawdę go pragną. Kiedy jednak przychodziło co do czego, wychowawcy stwarzali sytuację, w której niemożliwością było zrobienie czegokolwiek bez złamania reguł. Po godzinie dziewiątej nie mogliśmy odwiedzać chłopców w ich sypialniach, a oni nie mogli przychodzić do nas. Wiezorami klasy były oficjalnie „strefą zakazaną”, podobnie jak teren za szopami i sala gimnastyczna. I nikt nie miał ochoty robić tego w polu, nawet kiedy było dość ciepło, ponieważ prawie zawsze odkrywał potem, że ma widownię obserwującą go z głównego budynku i podającą sobie z rąk do rąk lornetki. Innymi słowy, mimo całej gadki o tym, jaki seks jest piękny, nie mogliśmy się oprzeć wrażeniu, że jeśli złapią nas na nim wychowawcy, napytamy sobie biedy.

Mówię tak, mimo że osobiście słyszałam tylko o jednym podobnym wydarzeniu: kiedy przeszkodzono Jenny C. i Robowi D. w sali numer czternaście. Robili to po lunchu, na jednej z ławek, i nagle wszedł tam po coś pan Jack. Według Jenny poczerwieniał i natychmiast wyszedł, ale wybiło ich to z rytmu i przestali. Kiedy jakoś się przyodziali, pan Jack pojawił się ponownie, zupełnie jakby wszedł tam po raz pierwszy, i udał zaskoczonego i zszokowanego.

— Wiem dobrze, co tutaj robiliście, i to bardzo niestosowne zachowanie — powiedział, po czym kazał obojgu zgłosić się do naczelnej wychowawczynie. Kiedy jednak stawili się w jej gabinecie, panna Emily oznajmiła, że wychodzi właśnie na ważne zebranie i nie ma czasu z nimi rozmawiać.

— Zdajecie sobie sprawę, że nie powinniście robić tego, co robiliście, i mam nadzieję, że to się nie powtórzy — stwierdziła i wybiegła gdzieś ze swoimi papierami.

W jeszcze większą konsternację wprawiał nas seks homoseksualny. Z jakiegoś powodu nazywaliśmy go „seksem parasolowym”; ktoś, komu podobała się osoba tej samej płci, był „parasolem”. Nie wiem, jak to wyglądało tam, gdzie byliście, ale w Hailsham jakiegokolwiek oznaki gejowskiego zachowania z całą pewnością nie spotykały się z życzliwym przyjęciem. Zwłaszcza chłopcy zdolni byli do najokrutniejszych reakcji. Zdaniem Ruth działało się tak, ponieważ wielu z nich robiło ze sobą różne rzeczy, kiedy byli młodszy i nie zdawali sobie sprawy z ich znaczenia. Nie wiem, czy miała rację, ale oskarżenie kogoś o to, że „jest parasolem”, mogło rzeczywiście zakończyć się bójką.

Dyskutując o tych sprawach — a wówczas robiliśmy to bez przerwy — nie potrafiliśmy rozstrzygnąć, czy nasi wychowawcy chcą, czy nie chcą, żebyśmy uprawiali seks. Część ludzi uważała, że chcą, a cały problem wynika z tego, że próbujemy to robić w niewłaściwym czasie. Hannah miała teorię, że nakłanianie nas do seksu należy do ich obowiązków, ponieważ w przeciwnym wypadku nie będziemy później dobrymi dawcami. Według niej takie rzeczy jak nerki i trzustka nie funkcjonują prawidłowo, jeśli nie uprawia się seksu. Ktoś inny twierdził, że nie powinniśmy zapominać, iż wychowawcy są „normalni”. Dlatego tak dziwnie na to reagowali; w ich przeświadczeniu seks uprawiało się, kiedy chciało się mieć dzieci, i chociaż wiedzieli, że my nie możemy ich mieć, fakt, że go uprawiamy, wprawiał ich w zakłopotanie, gdyż w głębi serca nie mogli uwierzyć, iż nie skończy się to ich urodzeniem.

Annette B. miała inną teorię: uważała, że wychowawcy są zmieszani, kiedy uprawiamy ze sobą seks, ponieważ mają wówczas ochotę uprawiać go z nami. Zwłaszcza pan Chris, powiedziała, spogląda na nas, dziewczęta, w taki sposób. Laura odparła, że w gruncie rzeczy Annette chodzi o to, że sama chciałaby uprawiać seks z panem Chrisem. Uśmieliśmy się z tego po pachy, bo pomysł uprawiania seksu z panem Chrisem był absurdalny i przyprawiał o mdłości.

Moim zdaniem najbliższą prawdy teorię zaprezentowała Ruth.

— Opowiadają nam o seksie, mając na myśli okres, kiedy opuścimy Hailsham — powiedziała. — Chcą, żebyśmy robili to prawidłowo, z kimś, kogo lubimy, nie ryzykując zarażenia się jakąś chorobą. Ale tak naprawdę chodzi im o to, żebyśmy uprawiali go, kiedy stąd wyjedziemy. Nie chcą, żebyśmy robili to tutaj, bo mieliby z tym za dużo kłopotu.

Tak czy owak, skłaniam się do przekonania, że seksu było o wiele mniej, niż o nim opowiadali ludzie. Było być może dużo obłapiania się, dotykania i sugerowania przez pary, że go uprawiają. Spoglądając wstecz, zastanawiam się, ile z tego było prawdą. Gdyby każdy, kto twierdził, że uprawia seks, rzeczywiście to robił, wtedy spacerując po Hailsham, nie widziałoby się nic poza tarzającymi się na prawo i lewo parami.

Pamiętam również, że istniało niepisane porozumienie, aby nie pytać zbyt dociekliwie o te sprawy. Jeśli, powiedzmy, podczas rozmowy o jakiejś innej dziewczynie Hannah przewróciła oczyma i mruknęła „to dziewica” — myśląc: „my oczywiście mamy to już za sobą, ale ona nie, więc czegoś innego można się po niej spodziewać” — z całą pewnością nie należało jej wówczas pytać: „Z kim to zrobiłaś? Kiedy? Gdzie?”. Kiwało się po prostu znacząco głową. Tak jakby istniał jakiś równoległy wszechświat, do którego przenosiłyśmy się wszystkie, żeby uprawiać cały ten seks.

Musiałam już wówczas zdawać sobie sprawę, że wszystkie te relacje wzajemnie się nie sumują. Lecz w miarę jak zbliżało się lato, zaczęłam coraz silniej odczuwać, że odstaję od reszty. Pod pewnym względem seks stał się tym, czym parę lat wcześniej była kreatywność. Czuło się, że jeśli człowiek jeszcze tego nie zrobił, powinien szybko nadrobić zaległości. W moim przypadku sytuację komplikował dodatkowo fakt, że dwie z dziewczyn, z którymi byłam najbliżej, z całą pewnością już to zrobiły. Laura z Robem D., mimo że nigdy nie byli regularną parą. A Ruth z Tommym.

Mimo to zwlekałam z tym całe wieki, powtarzając w myślach słowa panny Emily: „Jeśli nie możecie znaleźć kogoś, z kim naprawdę pragnęlibyście to wspólnie przeżyć, nie róbcie tego!”. Wiosną roku, o którym teraz opowiadam, zaczęłam jednak dochodzić do przekonania, że nie miałabym nic przeciwko, żeby to zrobić. Nie tylko, żeby zobaczyć, jak to jest; przyszło mi do głowy, że muszę zapoznać się z seksem i nie od rzeczy będzie poćwiczyć to najpierw z chłopcem, na którym specjalnie mi nie zależy. Dzięki temu, kiedy znajdę później kogoś wyjątkowego, będę miała większe szanse na zrobienie wszystkiego jak trzeba. Chcę przez to powiedzieć, że jeżeli panna Emily miała rację i seks był dla ludzi taki ważny, nie chciałam go uprawiać po raz pierwszy w sytuacji, kiedy to, jak mi pójdzie, będzie miało tak duże znaczenie.

Upatrzyłam więc sobie Harry'ego C. Wybrałam go z wielu powodów. Po pierwsze, wiedziałam, że na pewno już to robił z Sharon D. Po wtóre, nie podobał mi się aż tak bardzo, lecz z drugiej strony nie przyprawiał o mdłości. Był poza tym dyskretny i porządny, nie musiałam się więc obawiać, że będzie o mnie opowiadał na lewo i prawo, kiedy rzecz okaże się kompletną katastrofą. I kilka razy napomknął, że chciałby się ze mną przespać. W porządku, w tamtym czasie przystawiało się do nas wielu chłopców, ale zawsze było wiadomo, kiedy mają to naprawdę na myśli, a kiedy to tylko szczeniackie wygłupy.

Wybrałam więc Harry'ego i zwlekałam z tym przez kilka miesięcy wyłącznie dlatego, że chciałam upewnić się, że będę w odpowiedniej fizycznej kondycji. Panna Emily powiedziała nam, że to może okazać się bolesne i zakończyć się fiaskiem, jeśli dziewczyna nie będzie dość wilgotna, i to było moje jedyne prawdziwe zmartwienie. Nie chodziło mi wcale o to, że zostanę rozdarta tam na dole, o czym często żartowaliśmy i czego bały się w skrytości ducha niektóre dziewczyny. Powtarzałam sobie, że jeśli zrobię się szybko wilgotna, nie będzie żadnego problemu, i żeby mieć pewność, ćwiczyłam to często sama.

Zdaję sobie sprawę, że to brzmi, jakbym miała na tym punkcie obsesję, pamiętam jednak, że spędziłam wiele czasu, czytając na nowo fragmenty książek, w których ludzie uprawiali seks, wracając do nich bez przerwy i próbując czegoś się dowiedzieć. Kłopot polegał na tym, że książki, które mieliśmy w Hailsham, nie okazały się zbyt pomocne. Mieliśmy mnóstwo dziewiętnastowiecznych powieści Thomasa Hardy'ego i podobnych

autorów, ale były one w dużym stopniu bezużyteczne. W niektórych współczesnych książkach, autorstwa Edny O'Brien i Margaret Drabble, było trochę o seksie, ale nigdy nie przedstawiały jasno, co się dzieje, ponieważ autorki zakładały, że czytelnik uprawiał go już wcześniej i nie ma potrzeby wchodzić w szczegóły. Czytanie tych książek było więc dla mnie frustrujące, a filmy nie były dużo lepsze. Kilka lat temu w sali bilardowej pojawił się odtwarzacz wideo i przez ten czas uzbierała się pokaźna kolekcja filmów. W wielu z nich uprawiano seks, lecz większość scen kończyła się w tym samym momencie, kiedy się zaczynał, względnie widziało się tylko twarze i plecy. A gdy trafiła się jakaś użyteczna scena, trudno było się dokładnie przyjrzeć, ponieważ na sali siedziało na ogół dwadzieścia innych osób. Wypracowaliśmy specjalny system, żeby oglądać parę razy ulubione sceny — na przykład kiedy ten Amerykanin przeskakiwał motocyklem nad drutem kolczastym w *Wielkiej ucieczce*. Krzyczano chórem „Cofnij! Cofnij!”, aż do chwili gdy ktoś brał pilota, i oglądaliśmy fragment ponownie, czasami trzy i cztery razy. Nie mogłam jednak krzyżeć, żeby cofnięto taśmę wyłącznie po to, by obejrzeć od nowa sceny erotyczne.

Zwlekałam zatem kolejne tygodnie, przez cały czas się przygotowując, aż w końcu nadeszło lato i uznałam, że jestem już gotowa. W tym czasie pozbyłam się wszelkich wątpliwości i zaczęłam dawać Harry'emu do zrozumienia, o co mi chodzi. Wszystko szło świetnie i zgodnie z planem, kiedy nagle Tommy i Ruth zerwali ze sobą i sytuacja się skomplikowała.

Rozdział 9

Parę dni po tym, jak się rozstali, siedziałam z kilkoma dziewczynami w pracowni plastycznej, rysując martwą naturę. Pamiętam, że było duszno, choć za naszymi plecami terkotał wiatraczek. Rysowałyśmy węglem, a ponieważ ktoś zarekwirował wszystkie sztalugi, musiałyśmy trzymać rysunki na kolanach. Siedziałam obok Cynthii E. i gawędziłyśmy ze sobą, skarżąc się na upał. A potem rozmowa zesłała na chłopców.

— Weźmy Tommy'ego — powiedziała nagle Cynthia, nie podnosząc wzroku znad rysunku. — Wiedziałam, że z Ruth to nie potrwa długo. No cóż, przypuszczam, że jesteś naturalną następczynią.

Rzuciła to zupełnie mimochodem. Ale Cynthia była spostrzegawczą osobą i fakt, że nie należała do naszej paczki, wzmacniał tylko wymowę jej słów. Chcę przez to powiedzieć, że było dla mnie jasne, iż wyraża pogląd typowy dla kogoś, kto spogląda na to z pewnego dystansu. Zanim zaczęły się tworzyć pary, byłam w końcu przez wiele lat przyjaciółką Tommy'ego. Nie można było wykluczyć, że dla kogoś z zewnątrz wydawałam się „naturalną następczynią Ruth”. Puściłam jednak jej uwagę mimo uszu, a Cynthia, która nie starała się robić z tego wielkiej sprawy, nie dodała nic więcej.

A potem, może dzień lub dwa później, kiedy wychodziłam z sali gimnastycznej z Hannah, ta trąciła mnie łokciem i wskazała głową grupę chłopców na północnym boisku.

— Zobacz — powiedziała cicho. — Tommy. Siedzi sam jeden.

Wzruszyłam ramionami, jakbym chciała powiedzieć „No i co z tego?”. I na tym się skończyło. Ale wracałam do tego często. Być może Hannah chciała tylko powiedzieć, że od czasu zerwania z Ruth Tommy przypomina trochę zużytą część. Nie do końca mnie to jednak przekonało: za dobrze znałam Hannah. Sposób, w jaki mnie trąciła i zniżyła głos, sugerował, że ona także wyraża pogląd, iż jestem „naturalną następczynią” — być może sondując przy tym ostrożnie grunt.

Wszystko to wytrąciło mnie, jak mówię, nieco z równowagi, ponieważ do tego momentu byłam nastawiona na realizację planu związanego z Harrym. W gruncie rzeczy, spoglądając teraz wstecz, jestem przekonana, że gdyby nie te uwagi o „naturalnej

następczyni", na pewno bym się z nim przespała. I wciąż uważam, że na tamtym etapie mojego życia byłby to dobry wybór. Myślę, że Harry okazałby się taktowny i łagodny i zrozumiałby, czego od niego chcę.

Widziałam w przelocie Harry'ego kilka lat temu w ośrodku rehabilitacyjnym w Wiltshire. Skierowano go tam po donacji. Nie byłam w najlepszym nastroju, ponieważ poprzedniej nocy zszedł dawca, którym się opiekowałam. Nikt mnie o to nie winił — operację przeprowadzono wyjątkowo niechlujnie — ale i tak nie czułam się najlepiej. Nie spałam prawie całą noc, załatwiając różnego rodzaju sprawy, i zobaczyłam Harry'ego, stojąc w recepcji i szykując się do wyjścia. Wwieziono go na wózku inwalidzkim — jak dowiedziałam się później, nie dlatego, że nie mógł chodzić, lecz dlatego, że był taki słaby — i nie wiem, czy mnie poznał, kiedy podeszłam i się z nim przywitałam. Przypuszczam, że nie było powodu, bym utkwiała mu w pamięci. Z wyjątkiem tego krótkiego epizodu, nigdy nie byliśmy ze sobą blisko. Jeśli mnie w ogóle zapamiętał, byłam dla niego tą stukniętą dziewczyną, która zapytała kiedyś, czy nie chciałby się z nią przespać, a potem się wycofała. Musiał być dojrzały jak na swój wiek, ponieważ wcale się nie zezłościł i nie opowiadał później ludziom, że mu się naprzykrzałam czy coś w tym rodzaju. Dlatego widząc go tamtego dnia, poczułam wobec niego wdzięczność i żałowałam, że to nie ja się nim opiekuję. Rozejrzałam się dookoła, ale nie było przy nim jego własnej opiekunki. Pielęgniarze chcieli jak najszybciej przewieźć go do izolatki, więc nie rozmawiałam z nim długo. Przywitałam się tylko i powiedziałam, że mam nadzieję, iż wkrótce poczuje się lepiej, a na jego twarzy pojawił się znużony uśmiech. Kiedy wspomniałam o Hailsham, podniósł w górę kciuki, lecz widziałam, że mnie nie poznał. Może później, kiedy nie był taki zmęczony i przestały działać silne leki, zdołał umiejscowić mnie w pamięci.

Ale mówiłam o tym, co zdarzyło się wcześniej: jak po rozstaniu Ruth i Tommy'ego wszystkie moje plany wzięły w łeb. Kiedy to teraz wspominam, trochę mi żal Harry'ego. Po wszystkich tych aluzjach, które robiłam tydzień wcześniej, pojawiłam się nagle, szepcząc, że nic z tego nie będzie. Byłam chyba święcie przekonana, że nie może się doczekać, żeby się ze mną przespać, i niełatwo mi go będzie zniechęcić. Dlatego kiedy tylko go widziałam, bąkałam coś szybko, po czym odchodziłam, nie dając mu czasu na odpowiedź. Dopiero znacznie później, gdy się nad tym zastanawiałam, przyszło mi do głowy, że mógł w ogóle nie mieć ochoty na seks. Z tego, co wiem, mógł się nawet ucieszyć

z takiego obrotu sprawy, gdyby nie to, że za każdym razem, kiedy zobaczył mnie na korytarzu lub na dworze, podchodziłam i tłumaczyłam szeptem, dlaczego nie mogłam z nim wówczas tego zrobić. Musiał mnie wziąć za niezłą wariatkę i gdyby nie był przyzwoitym facetem, w krótkim czasie stałabym się pośmiewiskiem. Tak czy inaczej, okres zniechęcania Harry'ego trwał nie dłużej niż dwa tygodnie, a potem Ruth zwróciła się do mnie ze swoją prośbą.

Tamtego lata, aż do nastania pierwszych chłodów, nabraliśmy dziwnego zwyczaju wspólnego słuchania muzyki na błoniach. Mniej więcej od roku na wyprzedażach zaczęły się pojawiać walkmany i latem w obiegu było ich co najmniej sześć. Szczytem szyku było, kiedy kilka osób siadało na trawie wokół jednego walkmana i przekazywało sobie słuchawki. Zgoda, wydaje się to dość głupim sposobem słuchania muzyki, ale miało się przy tym całkiem fajne uczucie. Każdy słuchał może przez dwadzieścia sekund, po czym zdejmował słuchawki i podawał je dalej. To zaskakujące, lecz po jakimś czasie, jeśli puszczało się przez cały czas tę samą taśmę, można było ją odsłuchać prawie w całości. Jak powiedziałam, tamtego lata stało się to naprawdę bardzo popularne i podczas przerw na lunch wszędzie widziało się grupki wychowanków leżących na trawie wokół walkmanów. Wychowawcom nie bardzo się to podobało i powtarzali, że dostaniemy infekcji uszu, ale zbytnio nam nie przeszkadzali. Wspominając to ostatnie lato, zawsze myślę o popołudniach wokół walkmanów. Ktoś podchodził, pytał: „Co gracie?” i jeśli mu to pasowało, siadał na trawie i czekał na swoją kolej. Panowała tam zawsze miła atmosfera i nie pamiętam, żeby komuś odmówiono słuchawek.

Tak czy inaczej, w ten właśnie sposób spędzałem czas z kilkoma innymi dziewczynami, kiedy podeszła do nas Ruth i zapytała, czy możemy porozmawiać. Zorientowawszy się, że to coś ważnego, zostawiłam koleżanki i poszłyśmy we dwie do naszego domku. Gdy weszłyśmy do sypialni, usiadłam na łóżku Ruth, blisko okna — słońce ogrzało jej koc — a ona na moim, przy tylnej ścianie. Wokół nas latała z bzykiem mucha plujka i przez minutę wygłupiałyśmy się, grając w „muszy tenis” — machając rękoma tak, że ogłupiałe stworzenie krążyło między nami. W końcu mucha zdołała uciec przez okno.

— Chcę ponownie zacząć chodzić z Tommym. Pomożesz mi, Kath? — powiedziała Ruth. — O co chodzi? — zapytała po chwili.

— O nic. Jestem tylko trochę zaskoczona po tym, co się stało. Oczywiście, że pomogę.

— Nie mówiłam nikomu, że chcę wrócić do Tommy'ego. Nie wie o tym nawet Hannah. Ufam tylko tobie.

— Co chcesz, żebym zrobiła?

— Po prostu z nim porozmawiaj. Zawsze miałaś do niego odpowiednie podejście. Posłucha cię. I będzie wiedział, że go nie nabierasz.

Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu, dyndając nogami.

— Naprawdę dobrze, że się z tym do mnie zwróciłaś — stwierdziłam w końcu. — Jestem chyba najlepszą osobą. Żeby porozmawiać z Tommym i w ogóle.

— Chcę, żebyśmy zaczęli od nowa. Jesteśmy chyba ze sobą kwita. Oboje robiliśmy głupie rzeczy, żeby się wzajemnie zranić, ale trzeba z tym skończyć. Żeby związać się z kimś takim jak ta cholerna Martha H.! Może zrobił to tylko po to, żeby mnie rozśmieszyć. Więc możesz powiedzieć Tommy'emu, że mu się udało i wyrównaliśmy rachunki. Czas, żebyśmy dorośli i zaczęli od nowa. Wiem, że potrafisz go przekonać, Kathy. Poradzisz sobie z tym lepiej niż ktokolwiek. A jeśli nie jest gotów zmądrzeć, będę wiedziała, że nie ma sensu zawracać sobie nim głowę.

— Jak powiedziałaś, Tommy i ja zawsze umieliśmy ze sobą rozmawiać — odparłam, wzruszając ramionami.

— Tak, i on cię naprawdę szanuje. Wiem, bo często mi o tym mówił. Twierdzi, że jesteś odważna i zawsze robisz to, co obiecałaś, że zrobisz. Wyznał mi raz, że gdyby przyparto go do muru, wolałby mieć do pomocy ciebie, a nie któregoś z chłopaków. — Ruth parsknęła krótkim śmiechem.

— Przyznasz, że to prawdziwy komplement. Więc sama widzisz, że musisz nam przyjść na ratunek. Tommy i ja jesteśmy dla siebie stworzeni i na pewno cię posłucha. Zrobisz to dla nas, prawda, Kathy?

Przez chwilę się nie odzywałam.

— Czy naprawdę masz poważne zamiary w stosunku do Tommy'ego? — zapytałam w końcu. — To znaczy, nie zranisz go ponownie, jeśli uda mi się go przekonać i zejdziesz się z powrotem?

Ruth westchnęła poirytowana.

— Oczywiście, że mam poważne zamiary. Jesteśmy już dorośli. Wkrótce opuścimy Hailsham. Skończyła się zabawa.

— Dobrze. Porozmawiam z nim. Jak powiedziałaś, wkrótce stąd odejdziemy. Nie możemy dłużej tracić czasu.

Pamiętam, że jeszcze przez jakiś czas siedziałyśmy na łózkach i rozmawiałyśmy. Ruth nie przestawała o tym mówić: jaki Tommy był głupi, jak do siebie naprawdę pasują, jak będą się teraz zupełnie inaczej zachowywać, nie afiszując się swoją znajomością i uprawiając seks w lepszych miejscach i lepszym czasie. Rozmawiałyśmy o tym i co chwila zasięgała mojej rady. A potem, kiedy spoglądałam przez okno na widoczne w oddali wzgórza, wzdrygnęłam się, czując, że stanęła tuż obok i ścisnęła mnie za ramiona.

— Wiem, że możemy na tobie polegać, Kathy — powiedziała. — Tommy ma rację. Można się do ciebie zwrócić, kiedy człowiek jest przyparty do muru.

Miałam na głowie tyle spraw, że przez kilka następnych dni nie udało mi się porozmawiać z Tommym. A potem zauważyłam raz w porze lunchu, że bawi się piłką na skraju południowego boiska. Wcześniej kopał ją razem z kilkoma chłopcami, ale teraz był sam i podbijał ją w górę. Podeszłam bliżej i usiadłam za nim na trawie, opierając się plecami o słupek ogrodzenia. Musiało to być wkrótce po tym, jak pokazałam mu kalendarz Patricii C. i zostawił mnie samą, ponieważ pamiętam, że nie byliśmy pewni, jak właściwie wyglądają nasze stosunki. Tommy bawił się dalej piłką — marszcząc w skupieniu czoło i odbijając ją kolanem, stopą, głową i ponownie stopą — a ja siedziałam tam, zrywając listki koniczyiny i patrząc na majaczący w oddali las, którego kiedyś tak się baliśmy. W końcu postanowiłam przełamać impas.

— Porozmawiajmy, Tommy — odezwałam się. — Jest coś, o czym chciałam z tobą omówić.

Kiedy tylko to powiedziałam, zostawił piłkę i usiadł koło mnie. To było dla niego typowe: ilekroć uświadamiał sobie, że mam z nim ochotę pogadać, przestawał się dąsać i uśmiechał z wdzięcznością, która przywodziła na myśl okres, gdy byliśmy w juniorach, a stworzający nas wychowawca wracał do swojej normalnej roli. Tommy posapywał lekko i chociaż wiedziałam, że to po zabawie z piłką, wydawał się przez to jeszcze bardziej przejęty. Innymi słowy, wzięłam jego stronę, zanim jeszcze zaczęliśmy rozmawiać.

— Nie nabierzesz mnie, Tommy — powiedziałam. — Ostatnio nie jesteś zbyt szczęśliwy.

— Co ty mówisz? Jestem jak najbardziej szczęśliwy. Naprawdę — odparł, po czym uśmiechnął się od ucha do ucha i głośno roześmiał.

I to mnie zmroziło. Po wielu latach, widząc na jego twarzy cień tego dawnego entuzjazmu, po prostu się uśmiechałam. Wówczas jednak naprawdę mnie to drażniło. Jeśli Tommy mówił na przykład „Bardzo mnie to martwi”, na poparcie swoich słów musiał natychmiast wykrzywić usta w podkowę. I nie robił tego z ironią. Naprawdę uważał, że będzie bardziej przekonujący. I teraz, aby udowodnić, że jest szczęśliwy, starał się tryskać dobrym humorem. Jak już rzekłam, doszłam później do przekonania, że to słodkie; tamtego lata jednak potwierdzało to wyłącznie, jak bardzo jest dziecinny i jak łatwo można go wykorzystać. Nie wiedziałam wówczas wiele o tym, co czekało nas za bramami Hailsham, ale domyślałam się, że będzie nam potrzebny cały spryt, jaki mamy, i kiedy Tommy robił coś w tym rodzaju, czułam, że wpadam w panikę. Wcześniej nigdy tego nie komentowałam — zawsze wydawało się to zbyt trudne do wytłumaczenia — lecz tym razem wybuchłam.

— Jak ty głupio wyglądasz, Tommy, kiedy tak się śmiejesz! Jeśli chcesz udąć, że jesteś szczęśliwy, nie musisz tego robić w ten sposób! Uwierz mi, po prostu tak się nie robi. W żadnym wypadku! Posłuchaj, musisz dorosnąć. I musisz wrócić na właściwą drogę. Ostatnio nic ci nie wychodzi i oboje wiemy dlaczego.

Tommy zrobił zdziwioną minę.

— Masz rację — stwierdził, upewniwszy się, że skończyłam. — Wszystko sypie mi się z rąk. Ale nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi, Kath. Co to znaczy „oboje wiemy”? Nie wiem, skąd ty miałabyś wiedzieć. Nikomu nic nie mówiłem.

— Nie znam naturalnie szczegółów. Ale wszyscy wiemy, że rozstałaś się z Ruth.

Na jego twarzy znowu odmalowało się zdziwienie. A potem roześmiał się krótko, lecz tym razem widać było, że to autentyczny śmiech.

— Rozumiem, co masz na myśli — mruknął, po czym przez chwilę nad czymś się zastanawiał. — Ale jeśli mam być z tobą szczery, Kath — stwierdził w końcu — wcale nie tym się martwię. Chodzi o coś zupełnie innego. Bez przerwy o tym myślę. O pannie Lucy.

W ten sposób dowiedziałam się, co wydarzyło się na początku lata między Tommym i panną Lucy. Później, gdy miałam czas się nad tym zastanowić, doszłam do wniosku, że musiało się to stać najwyżej kilka dni po tym, jak zobaczyłam ją w sali numer dwadzieścia dwa, bazgrzącą w swoich papierach. I jak mówiłam, plułam sobie w brodę, że nie zapytałam go o to wcześniej.

Działo się to po południu, w „martwej godzinie” — kiedy lekcje były skończone, ale zostało jeszcze trochę czasu do kolacji. Tommy zobaczył pannę Lucy, która wychodziła z głównego budynku, obładowana segregatorami i blokami rysunkowymi, a ponieważ wyglądało na to, że zaraz coś upuści, podbiegł do niej i zaproponował pomoc.

— Dała mi parę rzeczy i powiedziała, że pójdziemy z tym wszystkim do jej mieszkania. Nawet dla nas dwojga było tego za dużo i po drodze upuściłem kilka segregatorów. A potem, kiedy podchodziliśmy do Oranżerii, stanęła raptem jak wryta i pomyślałem, że znowu coś upuściła. Ale ona popatrzyła na mnie, o tak, prosto w oczy, i miała bardzo poważną minę. I nagle powiedziała, że musimy porozmawiać, na serio porozmawiać. Dobrze, mówię. Weszliśmy do Oranżerii, do jej mieszkania, i odłożyliśmy wszystkie rzeczy. Kazała mi usiąść i znalazłem się dokładnie w tym samym miejscu, w którym byłem poprzednio, no wiesz, przed kilku laty. I widzę, że ona też dobrze pamięta tamten moment, bo zaczęła o nim mówić, jakby to było wczoraj. Bez żadnych wyjaśnień, wstępów, zaczyna coś w tym rodzaju: „Mówiąc to, co ci wtedy powiedziałam, popełniłam błąd, Tommy. I powinnam ci to wyjaśnić o wiele wcześniej”. Potem oznajmiła, że muszę zapomnieć o wszystkim, co mi wcześniej powiedziała. Że wyświadczyła mi złą przysługę, mówiąc, że nie powinienem się przejmować kreatywnością. Że inni wychowawcy mieli od samego początku rację i nic nie usprawiedliwia tego, że moje prace są takie denne...

— Zaczekaj, Tommy... Rzeczywiście powiedziała, że twoje prace są denne?

— Nawet jeśli nie użyła tego słowa, to było coś podobnego. Nic niewarte. Tak mogła powiedzieć. Albo nieudolne. Choć mogła też powiedzieć, że są denne. Stwierdziła, że żałuje tego, co powiedziała mi poprzednio, ponieważ gdyby tego nie zrobiła, mógłbym się z tym jakoś uporać.

— Co na to odparłeś?

— Nie wiedziałem, co powiedzieć. Na samym końcu wprost mnie o to zapytała. „Co o tym sądzisz, Tommy?”, powiedziała. Odparłem więc, że sam nie wiem, ale nie

powinna się w żadnym wypadku martwić, bo moja sytuacja jest dobra. A ona na to, że nie, wcale nie jest dobra. Moje prace są denne, i to po części jej wina, bo powiedziała mi to, co powiedziała. Ale jakie to ma znaczenie, zapytałem. Moja sytuacja jest dobra, nikt już się ze mnie z tego powodu nie nabija. Lecz ona dalej potrząsała głową i powtarzała: „To ma znaczenie. Nie powinnam była mówić ci tego, co powiedziałam”. Przyszło mi więc do głowy, że chodzi jej o to, co będzie później, no wiesz, kiedy stąd odejdziemy. I powiedziałem: „Ale przecież nic mi nie będzie, proszę pani. Jestem zdrowy, wiem, jak o siebie zadbać. Kiedy zaczną się donacje, naprawdę sobie poradzę”. Kiedy to powiedziałem, zaczęła znowu kręcić głową tak energicznie, że myślałem, iż dostanie zawrotów. „Posłuchaj, Tommy, twoja sztuka jest ważna — powiedziała w końcu, — I nie tylko dlatego, że stanowi dowód. Jest ważna dla ciebie samego. Dużo ci da, tobie samemu”.

— Zaczekaj. Co to znaczy, że „stanowi dowód”?

— Nie wiem. Ale na pewno tak się wyraziła. Powiedziała, że nasza sztuka jest ważna, „nie tylko dlatego, że stanowi dowód”. Bóg jeden wie, co miała na myśli. Właściwie nawet ją o to zapytałem. Powiedziałem, że nie rozumiem, o czym mówi, i czy to ma coś wspólnego z Madame i jej Galerią. A panna Lucy westchnęła głęboko i odparła: „Galeria Madame, owszem, to jest ważne. O wiele ważniejsze, niż kiedyś myślałam. Teraz to widzę”. A potem dodała: „Posłuchaj, jest mnóstwo rzeczy, których nie rozumiesz, Tommy, a ja nie mogę ci o nich opowiedzieć. Rzeczy, które dotyczą Hailsham, waszego miejsca w otaczającym świecie i tak dalej. Ale może któregoś dnia uda ci się wszystkiego dowiedzieć. Nie ułatwili wam tego, lecz jeśli będzie ci na tym zależało, naprawdę zależało, możesz się dowiedzieć”. Powiedziawszy to, zaczęła znowu potrząsać głową, chociaż nie tak mocno jak poprzednio. „Ale dlaczego miałbyś się różnić od innych? — zapytała nagle. — Wychowankowie, którzy stąd odeszli, nigdy dużo się nie dowiedzieli. Dlaczego miałbyś się od nich różnić?”. Nie wiedziałem, o czym ona nawija, powtórzyłem więc tylko: „Poradzę sobie, proszę pani”. Panna Lucy przez chwilę milczała, a potem wstała, pochyliła się nade mną i uścisnęła. Ale nie w erotyczny sposób. Bardziej tak, jak to robili, kiedy byliśmy mali. Staralem się w ogóle nie poruszać. A ona cofnęła się i jeszcze raz powtórzyła, że żałuje tego, co powiedziała wcześniej. I że nie jest jeszcze za późno, powinienem zacząć od razu nadrabiać stracony czas. Nic na to chyba nie odpowiedziałem, a ona spojrzała na mnie i myślałem, że znowu mnie uściska. „Po prostu

zrób to dla mnie, Tommy", powiedziała zamiast tego. Odparłem, że zrobię, co w mojej mocy, bo w tym momencie chciałem się stamtąd po prostu wyrwać. Byłem prawdopodobnie czerwony jak burak, po tych jej uściskach i w ogóle. Mam na myśli, że kiedy jesteśmy duzi, to zupełnie coś innego.

Aż do tej chwili byłem tak pochłonięta opowieścią Tommy'ego, że zapomniałam o powodach, dla których zaczęłam z nim rozmawiać. Jego uwaga, że „jesteśmy duzi”, przypomniała mi jednak o mojej misji.

— Posłuchaj, Tommy — zagadnęłam. — Musimy to wszystko dokładnie przedyskutować. To naprawdę ciekawe i rozumiem, jak musiało cię to zdeprymować. Ale jakkolwiek się rzeczy mają, musisz wziąć się w garść. Tego lata stąd odchodzimy. Musisz uporządkować swoje sprawy i jedną rzecz możesz zrobić od razu. Ruth oświadczyła, że jest gotowa przymknąć oczy na wszystko i pogodzić się z tobą. Moim zdaniem to dla ciebie wielka szansa. Nie zmarnuj jej.

Tommy przez kilka sekund milczał.

— Nie wiem, Kath — mruknął w końcu. — Jest tyle innych rzeczy, nad którymi trzeba się zastanowić.

— Posłuchaj, Tommy. Jesteś prawdziwym szczęściarzem. Ze wszystkich ludzi akurat ty wpadłeś jej w oko. Kiedy stąd odejdziemy i będziesz razem z nią, nie musisz się o nic martwić. Jest najlepsza i dopóki będziecie razem, nic ci się nie stanie. Ruth mówi, że chce zacząć na nowo. Więc nie zepsuj tego.

Czekałam, że coś powie, lecz on milczał i ponownie poczułam, że wpadam w panikę.

— Posłuchaj, idioto — powiedziałam, pochylając się do przodu. — Nie będziesz miał następnej szansy. Nie rozumiesz, że już niedługo skończy się to nasze wspólne życie?

Ku mojemu zdziwieniu, odpowiedź Tommy'ego, kiedy jej udzielił, była spokojna i rozważna — w tym momencie pokazał się od strony, która z biegiem lat miała się coraz wyraźniej uwidaczniać.

— Rozumiem to, Kath. Dlatego właśnie nie mogę się tak śpieszyć z Ruth. Musimy się poważnie zastanowić nad naszym następnym ruchem — stwierdził, po czym

westchnął i spojrzał mi prosto w oczy. — Dokładnie tak, jak powiedziałaś, Kath. Wkrótce stąd odejdziemy. Skończyła się zabawa. Musimy się poważnie zastanowić.

Zabrakło mi nagle słów i siedziałam tam, zrywając listki koniczyny. Czułam, że mi się przygląda, ale nie podnosiłam wzroku. Siedzielibyśmy tak pewnie dłużej, lecz nam przerwano. Zdaje mi się, że pojawili się z powrotem chłopcy, z którymi wcześniej grał w piłkę, albo usiedli przy nas jacyś inni spacerujący w pobliżu wychowankowie. Tak czy inaczej, nasza szczerza rozmowa dobiegła końca i odchodząc stamtąd, czułam, że nie zrobiłam tego, co sobie zaplanowałam, że w jakiś sposób zawiodłam Ruth.

Nie miałam czasu ocenić wszystkich konsekwencji mojej rozmowy z Tommym, ponieważ już nazajutrz dowiedzieliśmy się o pannie Lucy. Stało się to w połowie poranka, kiedy byliśmy na zajęciach z kultury osobistej. Musieliśmy na nich grać role różnych ludzi, których spotkamy tam na zewnątrz — kelnerów w kafejkach, policjantów i tak dalej. Te sesje zawsze bardzo nas podniecały i jednocześnie niepokoiły, więc i tak byliśmy już niezłe podkręceni. I nagle pod sam koniec lekcji, kiedy już wychodziliśmy, do sali wpadła Charlotte F. i w mgnieniu oka rozeszła się wśród nas wiadomość, że panna Lucy odchodzi z Hailsham. Pan Chris, który prowadził zajęcia i musiał o tym wiedzieć od początku, oddalił się, powłócząc nogami, ze spuszczoną głową, zanim zdążyliśmy go o cokolwiek zapytać. Z początku nie byliśmy pewni, czy Charlotte nie powtarza jakiejś plotki, ale im dłużej mówiła, tym jaśniejsze stawało się, że to prawda. Wcześniej tego ranka jedna ze starszych klas czekała w sali numer dwanaście na lekcję wychowania muzycznego z panną Lucy. Zamiast niej pojawiła się panna Emily i powiedziała, że panna Lucy nie może chwilowo przyjść i ona sama poprowadzi zajęcia. Przez jakieś dwadzieścia minut wszystko toczyło się normalnym trybem. I nagle — jak się zdaje, w połowie zdania — panna Emily przestała mówić o Beethovenie i oznajmiła, że panna Lucy odeszła z Hailsham i już tu więcej nie wróci. Lekcja skończyła się kilka minut wcześniej — panna Emily wybiegła z marsem na czole — i wieść o tym rozeszła się, kiedy tylko wychowankowie wylegli na korytarz. Natychmiast ruszyłam na poszukiwanie Tommy'ego, ponieważ bardzo chciałam, żeby usłyszał o tym ode mnie. Ale kiedy wyszłam na dziedziniec, zobaczyłam, że jest już za późno. Tommy stał po drugiej stronie w kręgu kolegów, przysłuchując się temu, co mówili. Chłopcy byli ożywieni, może nawet podekscytowani, lecz jego oczy wydawały się puste. Tego samego wieczoru Tommy i

Ruth wrócili do siebie, i pamiętam, że kilka dni później Ruth odnalazła mnie i podziękowała, że tak „dobrze wszystko załatwiłam”. Odparłam, że to chyba nie moja zasługa, ona jednak w ogóle mnie nie słuchała. Miałam u niej najwyraźniej wielkie fory. I tak już mniej więcej pozostało do końca naszego pobytu w Hailsham.

Część II

Rozdział 10

Czasami, jadąc długą krętą drogą przez moczary albo porane bruzdami pola, pod wielkim, szarym, niezmiennym się przez całe mile niebem, łapię się na tym, że rozmyślam o swoim eseju, tym, który miałam napisać dawno temu, kiedy byliśmy w Chałupach. Przez całe ostatnie lato wychowawcy mówili o esejach, starając się pomóc nam wybrać temat, który zaabsorbowałby nas należycie nawet przez dwa lata. Jednakże — być może wynikało to z ich zachowania — tak naprawdę nikt nie wierzył, że eseje są naprawdę ważne, i między sobą prawie o nich nie dyskutowaliśmy. Pamiętam, że kiedy poszłam powiedzieć pannie Emily, że będę pisała o powieściach wiktoriańskich, specjalnie się nad tym nie zastanawiałam i widziałam, że ona świetnie o tym wie. Mimo to posłała mi jedno z tych swoich badawczych spojrzeń i nie odezwała się.

Ale kiedy znaleźliśmy się w Chałupach, eseje stały się na nowo ważne. W pierwszych dniach naszego tam pobytu, a w wypadku niektórych osób o wiele dłużej, trzymaliśmy się kurczowo tego ostatniego zadania z Hailsham, jakby to był pożegnalny dar od naszych wychowawców. Później nie zaprzętałyśmy sobie aż tak bardzo głów esejami, lecz przez pewien czas pomagały nam przetrwać w nowym otoczeniu.

Myśląc dzisiaj o swoim eseju, zaczynam go szczegółowo analizować: dostrzegam czasem zupełnie nowe podejście, które mogłam obrać, albo innych pisarzy i książki, na których mogłam się oprzeć. Mogę na przykład siedzieć w przydrożnej kafeterii, obserwując przez wielkie okna autostradę, i nagle bez żadnego powodu zaczynam dumać o swoim eseju. I siedząc tam i na nowo go analizując, doznaję całkiem miłego uczucia. Bardzo niedawno zastanawiałam się, czy teraz, kiedy przestanę być opiekunką i będę miała dużo czasu dla siebie, nie wrócić do niego i trochę nad nim nie popracować. W gruncie rzeczy jednak nie myślę o tym poważnie. To tylko nostalgia, która pomaga zabić czas. Wspominam swój esej w taki sam sposób, w jaki mogłabym wspominać rozegraną w Hailsham mecz palanta, w którym wypadłam wyjątkowo dobrze, albo dawną sprzeczkę, w której powinnam użyć lepszych argumentów, niż użyłam. To wszystko rozgrywa się na poziomie snów na jawie. Ale, jak powiadam, na początku naszego pobytu w Chałupach wyglądało to zupełnie inaczej.

Z grupy, która opuściła Hailsham tamtego lata, ośmioro wylądowało w Chałupach. Inni pojechali do Białego Dworku na walijskich wzgórzach albo do Topolowej Farmy w Dorset. Nie wiedzieliśmy wówczas, że wszystkie te miejsca są bardzo luźno związane z Hailsham. Przybyliśmy do Chałup, spodziewając się, że będzie to coś w rodzaju Hailsham dla starszych wychowanków, i przypuszczam, że przez pewien czas tak właśnie traktowaliśmy to miejsce. Z pewnością nie zastanawialiśmy się nad naszym późniejszym życiem, nad tym, kto będzie nim kierował i jak odnajdziemy się w szerszym świecie. Nikt z nas nie rozumował wówczas w tych kategoriach.

Chałupy były tym, co pozostało po farmie, która przestała istnieć jakiś czas wcześniej. Był tam stary wiejski dom, a wokół niego stodoły, stajnie i zabudowania gospodarcze, przerobione na kwatery mieszkalne. Dalej stało kilka obracających się w ruinę innych budynków, które nie bardzo mogły się nam do czegoś przydać, lecz za które czuliśmy się w jakiś sposób odpowiedzialni, głównie ze względu na Keffersa. Tak nazywał się zrzędlawy staruszek, który pojawiał się raz czy dwa razy w tygodniu w swojej zabłoconej furgonetce, żeby doglądać farmy. Nie lubił wdawać się z nami w długie rozmowy i patrząc, jak wzdycha i potrząsa z niesmakiem głową, domyślaliśmy się, że nie dbamy w wystarczającym stopniu o gospodarstwo. Nie wiadomo było jednak, czego od nas wymaga. Zaraz po naszym przyjeździe dał nam listę zadań, a wychowankowie, którzy już tam byli — „weterani”, jak nazywała ich Hannah — znacznie wcześniej opracowali grafik, którego się trzymaliśmy. Poza zgłaszaniem ciekących rynien i wycieraniem zalanych podłóg nie było tam jednak wiele do roboty.

W starym domu — sercu Chałup — znajdowało się kilka kominków, na których mogliśmy palić porąbanym drzewem, zmagazynowanym w stodołach. Poza tym musieliśmy się zadowolić wielkimi, kłocowatymi grzejnikami. Problem polegał na tym, że były na gaz, a Keffers nie dostarczał nam zbyt wielu butli, chyba że było naprawdę zimno. Prosiliśmy go, żeby zostawił nam ich więcej, lecz on potrząsał ponuro głową, jakbyśmy mieli zamiar użyć ich do zabawy albo spowodować eksplozję. Pamiętam więc, że z wyjątkiem letnich miesięcy, było nam bardzo często zimno. Chodziło się w dwóch, nawet trzech swetrach, a dżinsy były zimne i sztywne. Czasami przez cały dzień nie zdejmowaliśmy wellingtonów, zostawiając w pokojach kałuże i błoto. Widząc to, Keffers

znowu potrząsał głową, ale kiedy pytaliśmy, co jeszcze mamy robić, skoro podłogi są w takim stanie, w jakim są, nic nie odpowiadał.

W mojej relacji nie wygląda to najlepiej, lecz nikomu z nas ani trochę nie przeszkadzały niewygody — wszystko to składało się na niewątpliwy urok Chałup. W chwili szczerości większość przyznawała jedynie, że brakuje nam wychowawców. Kilkoro z nas próbowało nawet widzieć w takiej roli Keffersa, ale on zupełnie się do niej nie nadawał. Kiedy podjeżdżał swoją furgonetką i ktoś podchodził, żeby się z nim przywitać, patrzył na niego jak na wariata. To była jedyna rzecz, którą powtarzano nam bez końca — że po wyjeździe z Hailsham nie będziemy już mieli wychowawców i musimy dbać o siebie sami. I generalnie rzecz biorąc, mogę powiedzieć, że w Hailsham dobrze nas do tego przygotowano.

Większość ludzi, z którymi się przyjaźniłam, wylądowała tamtego lata w Chałupach. Cynthia E. — dziewczyna, którą lubiłam i która powiedziała wówczas w pracowni plastycznej, że jestem „naturalną następczynią” Ruth — pojechała do Dorset razem ze swoją paczką. A Harry, chłopak, z którym o mało się nie przespałam, pojechał, jak słyszałam, do Walii. Cała nasza grupa została jednak razem. I jeśli czasami brakowało nam dawnych znajomych, mogliśmy sobie powiedzieć, że nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy ich odwiedzili. Mimo wszystkich lekcji geografii z panną Emily, nie mieliśmy wówczas pojęcia o odległościach, o tym, jak łatwo lub trudno jest dotrzeć do jakiegoś miejsca. Mówiliśmy, że podwożą nas weterani, kiedy będą wybierali się na którąś ze swoich wycieczek, albo że po pewnym czasie nauczymy się sami jeździć i będziemy mogli odwiedzić starych znajomych, gdy tylko przyjdzie nam ochota.

Naturalnie w rzeczywistości, zwłaszcza w pierwszych miesiącach, rzadko kiedy przekraczaliśmy granice Chałup. Nie chodziliśmy nawet po okolicy i nie odwiedzaliśmy pobliskiej wioski. Jak sądzę, niekoniecznie dlatego, że się baliśmy. Wszyscy wiedzieliśmy, że nikt nas nie zatrzyma, jeśli wypuścimy się gdzieś dalej, pod warunkiem że wrócimy w terminie, który wpisaliśmy do księgi Keffersa. Tamtego lata, zaraz po naszym przyjeździe, stale widywaliśmy weteranów pakujących torby i plecaki i wybierających się na dwu- i trzydniowe wędrówki, z zatrważającą, jak nam się wydawało, nonszalancją. Obserwowaliśmy ich ze zdumieniem, zastanawiając się, czy rzeczywiście pójdziemy za rok w ich ślady. Tak się oczywiście stało, ale wówczas, na samym początku, wydawało się

to niemożliwe. Musicie pamiętać, że do tego czasu nigdy nie przekraczaliśmy granicy Hailsham i byliśmy po prostu oszołomieni. Gdybyście mi powiedzieli, że za rok będę nie tylko wybierała się na długie samotne spacerunki, ale zacznę uczyć się jeździć, wzięłabym was za szaleńców.

Nawet Ruth wydawała się onieśmielona w ów słoneczny dzień, kiedy minibus zostawił nas przed budynkiem farmy, okrążył mały staw i zniknął za wzniesieniem. W oddali widzieliśmy wzgórza przypominające te, które otaczały Hailsham, lecz wydawały się dziwnie przekrzywione, jak wówczas gdy narysujemy portret przyjaciela, który jest niezupełnie podobny do oryginału, i na widok twarzy na papierze przechodzi nas dreszcz. Ale było przynajmniej lato i Chałupy nie wyglądały tak jak kilka miesięcy później, ze ściętymi lodem kałużami i zmarzniętą na kość ziemią. Okolica wydawała się piękna i przytulna i wszędzie rosła wysoka trawa, co było dla nas czymś nowym. Cała nasza ósemka zbiła się w gromadkę i patrząc, jak Keffers wchodzi do budynku i potem wychodzi, oczekiwaliśmy, że lada chwila coś do nas powie. Lecz on wcale tego nie zrobił i słyszeliśmy, jak poirytowany mruczy coś na temat wychowanków, którzy już tam mieszkali. Idąc po coś do swojej furgonetki, zmierzył nas ponurym spojrzeniem, a potem wrócił do budynku i zamknął za sobą drzwi.

Jednakże zaraz potem weterani, którzy nieźle się ubawili, obserwując naszą żalną gromadkę — my zachowaliśmy się w podobny sposób rok później — wyszli i zajęli się nami. W gruncie rzeczy, spoglądając wstecz, widzę, że naprawdę wiele z siebie dali, pomagając nam się zadomowić. Mimo to przez pierwsze tygodnie czuliśmy się dziwnie i cieszyliśmy się, że siebie mamy. Wszędzie chodziliśmy razem i wydaje mi się, że przez znaczną część dnia staliśmy zagubieni przed domem, nie wiedząc, co robić.

Wspominanie tych pierwszych dni jest zabawne, ponieważ kiedy myślę o spędzonych w Chałupach dwóch latach, ten trwożny, niepewny początek zupełnie nie pasuje do reszty pobytu. Jeśli ktoś napomyka dziś o Chałupach, myślę o płynących leniwie dniach, które spędzaliśmy wzajemnie w swoich pokojach, o tym, jak popołudnia przechodziły bezboleśnie w wieczory, a potem w noc. Myślę o moim stosie starych książek, które miały spuchnięte kartki, zupełnie jakby wyłowiono je z morza. Myślę o tym, jak je czytałam, leżąc na brzuchu na trawie w ciepłe popołudnia, z opadającymi na

kartki włosami, które wtedy zapuściłam. Myślę o porankach, kiedy budziłam się w mojej sypialni na strychu Czarnej Stodoły, słysząc głosy wychowanków, którzy spierali się na dworze o poezję i filozofię, lub o długich zimach, śniadaniach w zaparowanej kuchni i meandrach prowadzonych przy stole dyskusji o Kafce albo Picassie. Podczas śniadania zawsze poruszaliśmy takie tematy; nigdy nie mówiliśmy o tym, kto z kim spał poprzedniej nocy, albo dlaczego Larry i Helen już ze sobą nie rozmawiają.

Choć z drugiej strony, zastanawiając się nad tym, mam wrażenie, że ten nasz obraz, kiedy stoimy pierwszego dnia zbici w gromadkę przed budynkiem farmy, nie jest wcale taki absurdalny. Być może odzwierciedlał naszą sytuację w większym stopniu, niż nam się kiedyś wydawało. Ponieważ gdzieś pod spodem, w głębi ducha, tacy właśnie pozostaliśmy: zatrwożeni otaczającym nas światem i — niezależnie od tego, jak bardzo sobą za to gardziliśmy — nie do końca gotowi opuścić jedno drugiego.

Weterani, którzy nie znali oczywiście historii stosunków Tommy'ego i Ruth, traktowali ich niczym okrzeplą parę i Ruth niezmiernie się z tego cieszyła. Przez pierwsze tygodnie po naszym przyjeździe bardzo się tym afiszowała, bez przerwy obejmując Tommy'ego i czasami migdałać się z nim w kącie, kiedy inni nie wyszli jeszcze z pokoju. Cóż, tego rodzaju zachowanie mogło uchodzić w Hailsham, lecz w Chałupach wydawało się niedojrzałe. Weterani nigdy nie manifestowali publicznie łączących ich uczuć, zachowując się w rozsądny sposób, tak jak mogliby się zachowywać matka i ojciec w normalnej rodzinie.

Tak się złożyło, że zauważyłam u par weteranów coś, czego Ruth, tak pilnie im się przyglądająca, wcale nie dostrzegła — a mianowicie to, że wiele ich manieryzmów pochodzi z telewizji. Po raz pierwszy zdałam sobie z tego sprawę, obserwując Susie i Grega — najprawdopodobniej najstarszych wychowanków w Chałupach, których uważano za „zawiadujących” całym domem. Była pewna rzecz, którą Susie robiła za każdym razem, kiedy Greg zaczynał jedną z gadek na temat Prousta albo czegoś innego: uśmiechała się wówczas do nas, przewracała oczyma i mówiła z wielkim naciskiem, ale prawie bezgłośnie: „Boże, miej nas w swojej opiece”. Dostęp do telewizji był w Hailsham dość ograniczony, a w Chałupach — choć nikt nie zabraniał nam jej oglądać na okrągło — też za nią raczej nie przepadaliliśmy. Był jednak jeden stary telewizor w domu i drugi w

Czarnej Stodole i od czasu do czasu coś oglądałam. Dzięki temu zorientowałam się, że zwrot „Boże, miej nas w swojej opiece”, pochodzi z amerykańskiego serialu, jednego z tych, na których widownia śmieje się ze wszystkiego, co ktokolwiek powie albo zrobi. Była tam pewna postać — wielka kobieta, mieszkająca tuż obok głównych bohaterów — która robiła dokładnie to samo co Susie. Dlatego kiedy jej mąż zaczynał dłuższą przemowę, widownia czekała, aż kobieta przewróci oczyma i powie: „Boże, miej nas w swojej opiece”, żeby móc wybuchnąć tym swoim gromkim śmiechem. Po pierwszym odkryciu zaczęłam dostrzegać inne rzeczy, które pary weteranów zaczerpnęły z programów telewizyjnych — to, jak gestykulowały, siadały razem na sofach, a nawet klóciły się i wybiegały z pokoju.

Tak czy inaczej, chodzi mi o to, że Ruth dość szybko zorientowała się, iż sposób, w jaki afiszuje się z Tommym, niezbyt pasuje do Chałup, i postanowiła zmienić zachowanie w obecności innych ludzi. Był zwłaszcza jeden gest, który przejęła od weteranów. Wcześniej, w Hailsham, jeśli para rozstawała się choć na kilka minut, stawało się to pretekstem do długich uścisków i pieszczot. W Chałupach, kiedy partnerzy żegnali się ze sobą, działało się to praktycznie bez słów, a tym bardziej bez uścisków i pocałunków. Zamiast tego trącało się partnera palcami w okolicy łokcia, podobnie jak to się robi, gdy chce się zwrócić czyjąś uwagę. Dziewczyna trącała na ogół w łokieć chłopaka, tuż zanim się rozstali. Ten zwyczaj zanikł z nastaniem zimy, lecz kiedy przyjechaliśmy, widywało się go bez przerwy i Ruth zaczęła to wkrótce robić z Tommym. Co ciekawe, Tommy nie miał na początku pojęcia, co jest grane, i odwracał się do niej raptownie, pytając: „Co?”, a ona piorunowała go wzrokiem, jakby grali w jakiejś sztuce i zapomniał kwestii. Przypuszczam, że w końcu się z nim rozmówiła, ponieważ mniej więcej po tygodniu zdołali dopracować ten numer i wykonywali go prawie tak samo dobrze jak pary weteranów.

Chociaż nie widziałam trącania się w łokieć w telewizji, byłam przekonana, że stamtąd właśnie pochodzi ten gest i że Ruth nie zdaje sobie z tego sprawy. Dlatego tamtego popołudnia, kiedy leżąc na trawie, czytałam *Daniela Derondę*, a Ruth zaczęła działać mi na nerwy, uznałam, że nadeszła pora, by ktoś zwrócił jej na to uwagę.

Zbliżała się jesień i zaczęły się chłody. Weterani spędzali więcej czasu w domu i generalnie wrócili do zajęć, jakie wykonywali przed nastaniem lata. Tylko ci z nas, którzy przyjechali z Hailsham, siadywali dalej na nieskoszonej trawie, pragnąc robić tak długo, jak się dało, jedyną rzecz, do której przywykli. Jednakże tego konkretnego popołudnia na polu siedziały oprócz mnie tylko trzy albo cztery pogrążone w lekturze osoby, a ponieważ starałam się bardzo znaleźć jakiś cichy zakątek, jestem przekonana, że nikt nie podsłuchał mojej rozmowy z Ruth.

Leżałam na kawałku starej plandeki, czytając, jak już wspomniałam, *Daniela Derondę*, i w pewnym momencie pojawiła się Ruth i usiadła koło mnie. Przyjrzała się okładce mojej książki i pokiwała głową. A potem, po mniej więcej minucie, zgodnie z tym, czego się spodziewałam, zaczęła mi streszczać jej fabułę. Przedtem byłam w pogodnym nastroju i ucieszył mnie jej widok, lecz teraz ogarnęła mnie irytacja. Ruth robiła mi to wcześniej kilka razy i widziałam, że robiła to innym. Najgorsza była poza, którą wówczas przybierała: nonszalancka i jednocześnie serdeczna, jakby spodziewała się, że ludzie będą jej naprawdę wdzięczni za pomoc. Już wtedy zdawałam sobie z grubsza sprawę, co się za tym kryje. W tamtych pierwszych miesiącach doszliśmy w jakiś sposób do przekonania, że o tym, jak dobrze ktoś się zadomowił w Chałupach — jak dobrze sobie radził — świadczyła liczba przeczytanych książek. Brzmi to dziwnie, ale tak to wyglądało, tak to sobie wykombinowaliśmy w gronie osób, które przybyły z Hailsham. Cała sprawa celowo nie była dopowiedziana do końca — przypominała trochę sposób, w jaki traktowaliśmy w Hailsham seks. Można było sugerować wszystkim, że przeczytało się najróżniejsze rzeczy, kiwając znacząco głową, kiedy w rozmowie padła wzmianka, powiedzmy, o *Wojnie i pokoju*, i rozumiało się samo przez się, że nikt nie będzie tego zbyt gorliwie sprawdzał. Musicie wiedzieć, że ponieważ od przybycia do Chałup przebywaliśmy właściwie stale w swoim towarzystwie, nie sposób było przeczytać *Wojny i pokoju* tak, by nie zauważyła tego cała reszta. Podobnie jednak jak to było z seksem w Hailsham, przyjmowaliśmy na mocy niepisanego porozumienia istnienie tajemniczego czwartego wymiaru, w który przenosiliśmy się, żeby przeczytać te wszystkie książki.

Był to, jak mówię, rodzaj zabawy, której wszyscy do pewnego stopnia się oddawaliśmy. Mimo to Ruth posuwała się w niej dalej niż ktokolwiek inny. Udawała, że zna każdą książkę, którą ktokolwiek akurat czytał; i ona jedna doszła do wniosku, że

najlepszym sposobem udowodnienia tego, jaka jest czytana, będzie streszczenie ludziom powieści, które doczytali tylko do połowy. Dlatego kiedy zaczęła mi opowiadać *Daniela Derondę*, który, nawiasem mówiąc, wcale mi się tak bardzo nie podobał, zamknęłam książkę, usiadłam i wypaliłam zupełnie niespodziewanie:

— Miałam cię zamiar o coś spytać, Ruth. Dlaczego zawsze trącasz w ten sposób Tommy'ego w ramię, kiedy się z nim żegnasz? Wiesz, o co mi chodzi.

Ruth odparła oczywiście, że nie wie, wyjaśniłam jej więc cierpliwie, o czym mówię. Wysłuchała mnie i wzruszyła ramionami.

— Nie zdawałam sobie sprawy, że to robię. Musiałam po prostu nabrać takiego zwyczaju.

Parę miesięcy wcześniej mogłabym zadowolić się taką odpowiedzią — lub prawdopodobnie w ogóle nie poruszyłabym tego tematu. Tamtego popołudnia brnęłam jednak dalej, wyjaśniając jej, że to coś, co pochodzi z serialu.

— Nie warto tego naśladować — powiedziałam. — To nie jest coś, co robią ludzie tam na zewnątrz, w prawdziwym życiu, jeśli tak ci się wydawało.

Widziałam, że Ruth jest zła, ale nie bardzo wie, jak się bronić. Uciekła w bok wzrokiem i ponownie wzruszyła ramionami.

— I co z tego? — zapytała. — To żaden problem. Wielu z nas to robi.

— Masz na myśli, że robią to Chrissie i Rodney — odparłam.

Mówiąc to, zdałam sobie sprawę, że popełniłam błąd; dopóki nie wymieniłam tych dwóch imion, Ruth znajdowała się w ślepej uliczce, lecz teraz udało jej się z niej wydostać. Przypominało to uczucie, które ma się podczas gry w szachy, kiedy zaraz po oderwaniu palców od figury człowiek widzi, że się pomylił, i ogarnia go panika, bo nie wie jeszcze, jak duża jest skala czekającej go katastrofy. W oczach Ruth pojawił się błysk i kiedy się odezwała, jej głos zabrzmiał zupełnie inaczej.

— A więc to właśnie martwi biedną małą Kathy. Ruth nie poświęca jej dość uwagi. Ruth ma nowych dużych przyjaciół i nie bawi się wystarczająco często ze swoją małą siostrzyczką...

— Daj spokój. Tak czy inaczej, nie tak to wygląda w prawdziwych rodzinach. Nic o nich nie wiesz.

— No tak, Kathy, wielka specjalistka od prawdziwych rodzin. Tak mi przykro. Ale o to właśnie ci chodzi, prawda? Wciąż w to wierzysz. My z Hailsham musimy się trzymać razem, jesteśmy zamkniętą małą grupą, nie wolno nam się przyjaźnić z nikim innym.

— Nigdy tego nie powiedziałam. Mówię tylko o Chrissie i Rodneyu. To takie głupie, kiedy ich we wszystkim naśladujesz.

— Ale mam rację, prawda? — nie dawała za wygraną Ruth. — Martwisz się, bo udało mi się pójść do przodu, znaleźć nowych przyjaciół. Niektórzy z weteranów nie wiedzą nawet, jak się nazywasz, i trudno ich o to winić. Rozmawiasz tylko z ludźmi z Hailsham. Ale nie możesz oczekiwać, że będę cię przez cały czas trzymała za rączkę. Jesteśmy tu już od dwóch miesięcy.

— Nie chodzi mi o mnie i nie chodzi mi o Hailsham — odrzekłam, nie dając się podpuścić. — Myślę, że zostawiasz na lodzie Tommy'ego. Obserwowałam cię, zrobiłaś to parę razy tylko w tym tygodniu. Odstawiasz go niczym zużytą część. To nieuczciwe. Ty i Tommy jesteście podobno parą. To oznacza, że powinnaś o niego dbać.

— Zgadza się, Kathy, jesteśmy parą, tak jak mówisz. I skoro musisz się wtrącać, coś ci powiem. Rozmawialiśmy o tym i uzgodniliśmy to. Jeśli Tommy nie ma czasem ochoty robić czegoś z Chrissie i Rodneyem, to jego wybór. Nie zamierzam zmuszać go do tego, do czego nie jest jeszcze gotów. Ale uzgodniliśmy, że nie powinien mnie ograniczać. Swoją drogą, to miło, że tak się o nas troszczysz. Właściwie kiedy się nad tym zastanowić — dodała całkiem innym tonem — dość szybko nawiązałaś znajomość z niektórymi z weteranów.

Powiedziawszy to, Ruth przyjrzała mi się uważnie i wybuchnęła śmiechem, jakby chciała powiedzieć: „Wciąż jesteśmy przyjaciółkami, prawda?”. Ja jednak nie widziałam nic śmiesznego w jej ostatniej uwadze. Zabrałam po prostu swoją książkę i bez słowa odeszłam.

Rozdział 11

Powinłam wyjaśnić, dlaczego byłam tak poruszona tym, co powiedziała Ruth. Te pierwsze miesiące w Chałupach były dziwnym okresem w naszej przyjaźni. Kłóciłyśmy się o najprzeróżniejsze drobiazgi, jednocześnie jednak wywnętrzałyśmy się bardziej niż kiedykolwiek, zwłaszcza w trakcie rozmów, które prowadziłyśmy ze sobą tylko we dwie, najczęściej na strychu Czarnej Stodoły, tuż przed pójściem spać. Można rzec, że stanowiły one kontynuację pogaduszek w naszej sypialni po zgaszeniu świateł. I niezależnie od tego, jak mocno mogłyśmy poprzytykać się w ciągu dnia, późnym wieczorem Ruth i ja siadałyśmy zawsze na moim materacu i popijając coś ciepłego, mówiłyśmy sobie wszystko, co sądzimy o naszym nowym życiu, tak jakby nic między nami nie zaszło. I tym, co pozwalało nam kontynuować te rozmowy od serca – można nawet powiedzieć tym, co ocaliło całą naszą przyjaźń – było przekonanie, że wszystko, co wówczas powiemy, będzie traktowane z najwyższym szacunkiem: że zachowamy pełną dyskrecję i bez względu na to, jak bardzo się pokłócimy, nie użyjemy przeciw sobie niczego, co ujawniłyśmy podczas tych rozmów. No dobrze, nigdy nie przyrzekłyśmy sobie tego na głos, ale takie, jak mówię, istniało między nami ciche porozumienie i aż do owego popołudnia, kiedy czytałam *Daniela Derondę*, żadna z nas ani razu go nie złamała. Dlatego gdy Ruth powiedziała to, co powiedziała, że szybko nawiązałam znajomość z niektórymi z weteranów, nie byłam po prostu poirytowana. Dla mnie to była zdrada. Ponieważ nie było żadnych wątpliwości, co przez to rozumiała: nawiązywała do tego, co powiedziałam jej któregoś wieczoru o swoich problemach z seksem.

Jak można się było spodziewać, seks w Chałupach różnił się od tego, co robiliśmy w Hailsham. Był o wiele bardziej bezpośredni – bardziej „dojrzały”. Nie biegało się, chichocząc i plotkując, kto z kim spółkuje. Jeśli ktoś wiedział, że dwoje wychowanków uprawia seks, nie zaczynał natychmiast spekulować, czy zostaną regularną parą. I jeśli któregoś dnia pojawiała się nowa para, nie trąbiło się o tym na lewo i prawo, jakby to było wielkie wydarzenie. Przyjmowało się to po prostu spokojnie do wiadomości i od tego momentu, mówiąc o kimś, wspominało się także o tej drugiej osobie, o „Chrissie i Rodneyu” albo o „Ruth i Tommym”. Tak samo bezpośrednio załatwiała się sprawę, gdy

ktoś chciał się z kimś przespać. Chłopak podchodził do dziewczyny i pytał, czy nie chce „dla odmiany” spędzić nocy w jego pokoju — coś w tym rodzaju, bez wielkich ceregieli. Czasami był zainteresowany tym, żeby z tobą chodzić, innym razem chodziło o jednorazowy numerek.

Atmosfera, jak mówię, była znacznie bardziej dojrzała. A jednak kiedy spoglądam wstecz, seks w Chałupach wydaje mi się nieco funkcjonalny. Może właśnie dlatego, że pozbawiony został otoczki plotek i tajemniczości. A może z powodu zimna.

Kiedy wspominam seks w Chałupach, przychodzą mi na myśl lodowate pomieszczenia, kompletna ciemność i sterty koców. I często nie były to koce, lecz naprawdę dziwne rzeczy — stare zasłony, a nawet kawałki dywanów. Czasami było tak zimno, że musieliśmy się przykryć wszystkim, co mieliśmy, i uprawiając seks tam na dole, przygniecenzi zwałami pościeli, właściwie nie do końca wiedzieliśmy, czy robimy to ze sobą, czy ze wszystkimi tymi nakryciami.

Tak czy owak, chodzi o to, że zaraz po przyjeździe do Chałup zaliczyłam kilka szybkich numerków. Właściwie wcale tego nie planowałam. Miałam zamiar spokojnie z tym zaczekać i związać się z kimś, kogo starannie wybiorę. Nigdy przedtem z nikim nie chodziłam i obserwując przez jakiś czas Ruth i Tommy'ego, nabrałam ochoty, żeby samej tego spróbować. Taki, jak mówię, miałam plan, i kiedy szybkie numerki zaczęły się powtarzać, trochę mnie to zaniepokoiło. Dlatego postanowiłam tamtej nocy zwierzyć się Ruth.

Pod wieloma względami był to dla nas typowy wieczór. Przyniosłyśmy sobie herbatę w kubkach i siedziałyśmy w moim pokoju na materacu, pochylając lekko głowy z powodu niskich belek. Mówiłyśmy o różnych chłopcach w Chałupach i o tym, czy któryś z nich jest dla mnie odpowiedni. Ruth dodawała mi tego wieczoru otuchy i była wspaniała: wesola, taktowna i mądra. Dlatego uznałam, że mogę jej opowiedzieć o moich przygodach. Wyjaśniłam, że dochodzi do nich, choć w gruncie rzeczy wcale tego nie chcę, i że chociaż nie możemy mieć od tego dzieci, seks w dziwny sposób wpływa na moje uczucia, dokładnie tak, jak nas ostrzegała panna Emily.

— Chciałam cię o coś zapytać, Ruth — powiedziałam na koniec. — Czy miałaś kiedyś uczucie, że naprawdę musisz to zrobić? Praktycznie z każdym?

Ruth wzruszyła ramionami.

— Mam partnera. Więc jeśli chcę to robić, po prostu robię to z Tommym.

— No tak, rzeczywiście. Może to dotyczy tylko mnie. Może coś ze mną jest nie w porządku, tam na dole. Bo czasami naprawdę muszę to zrobić.

— To dziwne, Kathy — mruknęła Ruth i zmierzyła mnie zatroskanym spojrzeniem, co jeszcze bardziej mnie zaniepokoiło.

— Więc ty nigdy czegoś takiego nie czułaś? — zapytałam.

Ruth ponownie wzruszyła ramionami.

— Nie aż tak, żebym chciała to robić dosłownie z każdym. To, co mówisz, brzmi trochę dziwnie, Kathy. Ale może za jakiś czas ci minie.

— Czasami przez całe wieki nic nie czuję. A potem to nagle przychodzi. Tak właśnie było za pierwszym razem. On zaczął mnie całować, a ja chciałam tylko, żeby się odczepił. A potem nagle, ni stąd, ni zowąd, to mnie ogarnęło. Po prostu musiałam to zrobić.

Ruth potrząsnęła głową.

— To brzmi trochę dziwnie — powtórzyła. — Ale najprawdopodobniej minie. To chyba z powodu tutejszego jedzenia.

Nie pomogła mi zbyt wiele, ale okazała współczucie i poczułam się trochę lepiej. Dlatego tak mną wstrząsnęło, kiedy wyjechała z tym później w trakcie kłótni, którą miałyśmy tamtego popołudnia na polu. W porządku, nikt nas chyba nie mógł podsłuchać, lecz mimo to w jej postępowaniu było coś niewłaściwego. W ciągu tych pierwszych miesięcy w Chałupach nasza przyjaźń pozostała nienaruszona, ponieważ przynajmniej ja miałam odczucie, że istnieją dwie różne Ruth. Była Ruth, która starała się bez przerwy imponować weteranom i która nie zawahałaby się wypiąć na mnie, na Tommy'ego i innych, gdyby uznała, że nie pasujemy do jej stylu. To była Ruth, której nie lubiłam, Ruth, którą codziennie widziałam, jak się puszy i udaje — Ruth, która trącała Tommy'ego w łokieć. Lecz Ruth, która siedziała u schyłku dnia w moim małym pokoiku na strychu, ze zsuniętymi z materaca nogami i parującym w obu dłoniach kubkiem — to była Ruth z Hailsham, i bez względu na to, co działo się w ciągu dnia, mogłam z nią zawsze podjąć wątek, który przerwałyśmy poprzedniego wieczoru. I aż do tego popołudnia na polu było jasne, że te dwie Ruth nie łączą się ze sobą; Ruth, której zwierzałam się

przed snem, była tą, której mogłam absolutnie ufać. Dlatego tak się zdenerwowałam, kiedy powiedziała, że „szybko nawiązałam znajomość z niektórymi z weteranów”. Dlatego zabrałam po prostu moją książkę i odeszłam.

Lecz myśląc o tym teraz, jestem w stanie spojrzeć na sytuację również z jej punktu widzenia. Widzę na przykład, że mogła dojść do przekonania, iż to ja pierwsza złamałam nasze porozumienie, i jej drobna uszczypliwość była tylko odwetem. Wówczas w ogóle nie przyszło mi to do głowy, lecz teraz przyjmuję to jako całkiem możliwe wytłumaczenie. Bezpośrednio przed jej uwagą mówiłam przecież o całej tej historii z trącaniem się w łokcie. Może trudno to wyjaśnić, ale z pewnością istniała między nami zgoda w kwestii tego, jak Ruth zachowywała się w obecności weteranów. W porządku, często blefowała i sugerowała najróżniejsze rzeczy, o których wiedziałam, że nie są prawdziwe. Czasami, jak już wspomniałam, starała się zaimponować weteranom naszym kosztem. Wydaje mi się jednak, że na pewnym poziomie uważała, iż robi to wszystko dla naszego dobra. A ja, jako najbliższa przyjaciółka, powinnam jej udzielać milczącego wsparcia, zupełnie jakbym siedziała w pierwszym rzędzie widowni, a ona występowała na scenie. Starła się za wszelką cenę stać kimś innym i być może odczuwała większą niż my presję, ponieważ, jak mówię, wzięła w pewien sposób odpowiedzialność za nas wszystkich. W takim przypadku to, co mówiłam o trącaniu się w łokcie, mogło zostać odebrane jako zdrada i Ruth poczuła, że może odplacić mi pięknym za nadobne. Tego rodzaju wytłumaczenie przyszło mi, jak mówię, do głowy dopiero niedawno. W tamtym czasie nie brałam pod uwagę szerszego kontekstu ani roli, jaką sama odegrałam w całej sprawie. Przypuszczam, że w ogóle nie zdawałam sobie sprawy, ile wysiłku kosztuje Ruth, żeby dorosnąć i zostawić Hailsham za sobą. Myśląc o tym teraz, przypominam sobie, co powiedziała mi, kiedy opiekowałam się nią w ośrodku rehabilitacyjnym w Dover. Siedziałyśmy w jej izolatce, obserwując, jak to często czyniłyśmy, zachód słońca, popijając wodę mineralną i zajadając przyniesione przeze mnie herbatniki. I w pewnym momencie powiedziałam, że do tej pory mam większość rzeczy z mojej kolekcji z Hailsham, bezpiecznie schowane w sosnowej skrzyni w mojej kawalerce.

— Po wyjeździe z Hailsham nie miałaś już swojej kolekcji, prawda? — zapytałam ją nagle.

Nie miałam na myśli nic złego ani nie chciałam niczego udowadniać; po prostu tak mi się wymknęło. Ruth, która siedziała na łóżku, przez dłuższą chwilę milczała. Na kafelkach za jej plecami odbijało się zachodzące słońce.

— Pamiętasz, jak wychowawcy jeszcze przed naszym wyjazdem przypominali, że możemy zabrać ze sobą nasze kolekcje — powiedziała w końcu. — Wyjęłam więc wszystko z mojego pojemnika i włożyłam do podróźnej torby. Po przyjeździe do Chałup miałam zamiar znaleźć porządną drewnianą skrzynkę na te rzeczy. Ale kiedy tam dotarliśmy, zobaczyłam, że żaden z weteranów nie zachował swojej kolekcji. Mieliśmy je tylko my, to nie było normalne. Musieliśmy wszyscy zdawać sobie z tego sprawę, nie byłam przecież jedyna, ale w ogóle o tym nie rozmawialiśmy, prawda? Więc nie szukałam już nowej skrzynki. Moje rzeczy leżały przez kilka miesięcy w torbie i w końcu je wyrzuciłam.

Przyjrzałam się jej uważnie.

— Wyrzuciłaś swoją kolekcję do śmieci? — zapytałam.

Ruth potrząsnęła głową i przez kilka chwil odtwarzała chyba w pamięci pełny skład swojej kolekcji.

— Włożyłam ją całą do worka — wyznała wreszcie — ale nie chciałam wystawiać go razem z resztą śmieci. Zapytałam więc starego Keffersa, kiedy stamtąd wyjeżdżał, czy może go zawieźć do sklepu. Słyszałam o prowadzonych przez instytucje charytatywne sklepach z używanymi rzeczami, wszystkiego się wywiedziałam. Keffers grzebał przez chwilę w worku, nie mając pojęcia, co do czego służy... skąd zresztą mógłby wiedzieć... a potem roześmiał się jak to on i powiedział, że żaden znany mu sklep nie zechce czegoś takiego. A ja odparłam, że to są porządne rzeczy, naprawdę porządne. Zobaczył wówczas, że podchodzę do tego trochę emocjonalnie, i zmienił ton. Powiedział coś w rodzaju: „Dobrze, panienko. Zawiozę to do Oxfam”, a potem wykrzesał z siebie nawet odrobinę entuzjazmu, dodając: „Teraz kiedy się lepiej przyjrzałem, masz rację, to całkiem porządne rzeczy!”. Nie zabrzmiało to jednak zbyt przekonująco.. Przypuszczam, że po prostu zabrał to i wyrzucił gdzieś do pojemnika. Ale nie musiałam o tym przynajmniej wiedzieć. Ty byłaś inna — dodała Ruth z uśmiechem. — Pamiętam. Nigdy nie wstydziałaś się swojej kolekcji i zatrzymałaś ją. Żałuję teraz, że też tego nie zrobiłam.

Opowiadałam o tym, żeby pokazać, że wszyscy staraliśmy się przystosować do nowego życia, i przypuszczam, że wszyscy robiliśmy wówczas rzeczy, których później żałowaliśmy. W tamtym czasie uwaga Ruth naprawdę mnie zabolęła, lecz teraz nie ma sensu potępiać jej ani kogokolwiek innego za to, jak zachowywał się w początkowym okresie w Chałupach.

Kiedy nadeszła jesień i poznałam lepiej nasze otoczenie, zaczęłam zauważać rzeczy, które uszły wcześniej mojej uwadze. Na przykład dziwny stosunek do wychowanków, którzy niedawno wyjechali. Weterani bez przerwy opowiadali wesołe anegdotki o ludziach, z którymi spotykali się w trakcie wycieczek do Białego Dworku albo Topolowej Farmy; prawie w ogóle nie wspominali jednak o wychowankach, którzy aż do naszego przyjazdu musieli być ich najbliższymi przyjaciółmi.

Kolejną rzeczą, którą zauważyłam i która wiąże się jakby z poprzednią, było milczenie otaczające weteranów, którzy wyjeżdżali na „kursy” przygotowujące — o czym wiedzieliśmy nawet my — do pracy opiekuna. Nie było ich przez cztery albo pięć dni i w tym czasie prawie się o nich nie mówiło; a kiedy wracali, nikt ich o nic nie pytał. Przypuszczam, że mogli rozmawiać w cztery oczy ze swoimi najbliższymi znajomymi, istniała jednak niepisana zasada, żeby nie mówić publicznie o tych wyjazdach. Pamiętam, jak obserwując pewnego ranka przez zaparowane okna naszej kuchni dwóch wyjeżdżających na kurs weteranów, zastanawiałam się, czy wkrótce nie wyjadą na dobre i czy będziemy pamiętać, żeby przypadkiem o nich nie zapomnieć.

Przesadziłabym jednak chyba, twierdząc, że wychowankowie, którzy wyjechali, byli czymś w rodzaju tabu. Napomykaliśmy o nich, kiedy było to konieczne. Najczęściej mówiło się o nich pośrednio, w związku z jakąś rzeczą albo wykonywanymi przez nich obowiązkami. Jeśli na przykład trzeba było naprawić rynnę, dyskutowało się długo, „jak to robił Mike”. Niedaleko Czarnej Stodoły był pień drzewa, który wszyscy nazywali „pniem Dave'a”, ponieważ prawie przez trzy lata aż do wyjazdu, który nastąpił kilka tygodni przed naszym przybyciem, Dave siadywał na nim, żeby czytać lub pisać, nawet kiedy padało albo było zimno. Najbardziej żywą pamięć pozostawił po sobie jednak Steve. Nikt z nas nie dowiedział się nigdy, jakiego pokroju był osobą — poza tym, że lubił pornosy.

Co jakiś czas można było znaleźć w Chałupach czasopismo pornograficzne, rzucone za sofę lub leżące w stosie starych gazet. Należały do rodzaju określanego mianem „miękkie porno”, chociaż wówczas nie znaliśmy tych rozróżnień. Nigdy przedtem się z czymś takim nie spotkaliśmy i nie wiedzieliśmy, co o tym sądzić. Kiedy się pojawiały, weterani wybuchali zwykle śmiechem, po czym kartkowali je w zblazowany sposób i odrzucali na bok, w związku z czym my robiliśmy to samo. Gdy rozmawialiśmy o tym z Ruth przed kilku laty, twierdziła, że w Chałupach krążyły dziesiątki tych czasopism.

— Nikt się nie przyznawał, że je lubi — powiedziała. — Ale pamiętasz, jak to wyglądało. Jeśli jakieś czasopismo pojawiło się nagle w pokoju, wszyscy udawali, że ich śmiertelnie nudzi. A potem przychodziło się za pół godziny i nie było po nim śladu.

Tak czy inaczej, chodzi mi o to, że za każdym razem kiedy na nie trafialiśmy, ludzie twierdzili, że to pozostałość po „kolekcji Steve'a”. Innymi słowy, Steve był odpowiedzialny za każdy pornos, który wpadł nam kiedykolwiek w ręce. Jak mówię, nigdy nie dowiedzieliśmy się dużo więcej o nim samym. Dostrzegaliśmy jednak już wówczas komiczny aspekt tej konstatacji i kiedy ktoś mówił: „Patrzcie, to jedno z czasopism Steve'a”, robił to z pewną dozą ironii.

Tak się składało, że pornosy doprowadzały starego Keffersa do furii. Krążyły plotki, że jest religijny i nienawidzi nie tylko pornografii, ale jakiegokolwiek seksu. Czasami wpadał w prawdziwy szal — pod jego siwym zarostem widać było szkarłatną ze złości twarz — i biegał po całym domu, tupiąc głośno i wpadając bez pukania do sypialni ludzi, zdecydowany zarekwirować wszystkie „czasopisma Steve'a”. Usiłowaliśmy doszukać się w tych sytuacjach czegoś zabawnego, ale można się go było autentycznie przestraszyć, kiedy miał te swoje napady. Przede wszystkim przestawał mamrotać pod nosem i samo jego milczenie przyprawiało nas o dreszcze.

Pamiętam, jak Keffers wytropił raz sześć albo siedem „czasopism Steve'a” i wybiegł z nimi do swojej furgonetki. Laura i ja obserwowałyśmy go z mojego pokoju i śmiałam się akurat z czegoś, co wcześniej powiedziała. Zobaczyłam wtedy, jak Keffers otwiera drzwi furgonetki i ponieważ potrzebował chyba obu rąk, żeby przesunąć coś w środku, kładzie czasopisma na ustawionych przy kotłowni ceglach — weterani próbowali kilka miesięcy wcześniej zbudować grill na świeżym powietrzu. Pochyłony do przodu

Keffers — jego głowa i ramiona tkwiły w środku furgonetki — grzebał się niemiłosiernie długo i domyśliłam się, że mimo całej wcześniejszej furii, musiał zapomnieć o czasopismach. I rzeczywiście po kilku minutach zobaczyłam, jak prostuje się, siada za kierownicą, zatrzaskuje drzwi i odjeżdża.

— Nie poleżą tam długo — stwierdziła Laura, kiedy pokazałam jej, że Keffers zostawił pornosy. — Będzie musiał zapolować na nie jeszcze raz, podczas następnej rewizji.

Kiedy jednak przechodziłam pół godziny później koło kotłowni, czasopisma dalej tam leżały. Zastanawiałam się przez chwilę, czy nie zabrać ich do swojego pokoju, wiedziałam jednak, że jeśli ktoś je tam znajdzie, uszczypliwościom nie będzie końca i ludzie z całą pewnością nie zrozumieją, dlaczego zrobiłam coś takiego. Dlatego zabrałam czasopisma i weszłam z nimi do kotłowni.

Była to w rzeczywistości kolejna stodoła, dobudowana do budynku mieszkalnego i wypełniona starymi kosiarkami i widłami — rzeczami, które według Keffersa nie powinny zająć się łatwo ogniem, jeśli któregoś dnia kocioł postanowi wybuchnąć. Trzymał tam również roboczy stół, na którym położyłam czasopisma, a następnie odsunęłam na bok stare szmaty i usiadłam na jego blacie. W kotłowni nie było zbyt jasno, ale gdzieś za mną było zabrudzone okienko i otworzywszy pierwszego pornosa, stwierdziłam, że widzę całkiem dobrze ilustracje.

Było tam mnóstwo obrazków dziewczyn rozchylających nogi albo wypinających pupy. Przyznaję, że zdarzały się chwile, kiedy oglądając podobne zdjęcia, bywałam podniecona, chociaż nigdy nie miałam ochoty robić tego z dziewczyną. Nie tego jednak szukałam tamtego popołudnia. Przerzucałam szybko kartki, nie chcąc, by rozpraszał mnie emanujący z tych kartek erotyzm. W gruncie rzeczy prawie nie patrzyłam na powykręcane ciała, ponieważ koncentrowałam się na twarzach. Nawet w małych reklamach filmów i na innych zamieszczonych z boku obrazkach sprawdzałam twarz każdej modelki, zanim obróciłam stronicę.

Dopiero kiedy przerzuciłam większość czasopism, uświadomiłam sobie, że ktoś stoi na zewnątrz, niedaleko progu. Zostawiłam otwarte drzwi, bo tak zawsze je zostawiano, a poza tym chciałam mieć więcej światła; już wcześniej dwukrotnie zerkałam w ich stronę, bo wydawało mi się, że słyszę jakiś szelest. Ale nikogo tam nie dostrzegłam i

za każdym razem wracałam do tego, co robiłam. Teraz jednak byłam pewna, że ktoś tam stoi, i odkładając czasopismo, wydałam z siebie głośne westchnienie.

Oczekiwałam, że rozlegną się chichoty i do kotłowni wpadnie kilku wychowanków nieposiadających się z radości, że złapali mnie ze stertą pornosów w rękach. Nic takiego się jednak nie stało.

— Miło mi, że nie jestem sama. Skąd ta nieśmiałość? — zawołałam, starając się, by w moim głosie zabrzmiało znużenie.

Usłyszałam ciche parsknięcie i w progu pojawił się Tommy.

— Cześć, Kath — powiedział niepewnie, po czym ostrożnie podszedł i zatrzymał się kilka kroków ode mnie. — Nie wiedziałem, że lubisz te rzeczy — mruknął, zerkając na kocioł.

— Dziewczynom chyba też wolno? — odparłam, przerzucając kartki, i przez kilka następnych sekund Tommy milczał.

— Nie chciałem cię szpiegować — usłyszałam w końcu. — Ale zobaczyłem cię z mojego pokoju. Zobaczyłem, że tu idziesz i bierzesz czasopisma, które zostawił Keffers.

— Chętnie ci je oddam, kiedy skończę.

Tommy roześmiał się z zakłopotaniem.

— To tylko seks. Zresztą chyba już je widziałem. — Roześmiał się jeszcze raz, ale podnosząc wzrok, zobaczyłam, że obserwuje mnie z poważną miną. — Szukasz tam czegoś, Kath? — zapytał.

— O co ci chodzi? Oglądam po prostu świńskie zdjęcia.

— Żeby się podniecić?

— Można tak chyba powiedzieć — odparłam, odkładając jedno czasopismo i biorąc do ręki następne.

Usłyszałam, że kroki Tommy'ego zbliżają się i w końcu stanął tuż przy mnie. Kiedy ponownie podniosłam wzrok, kręcił dłońmi w powietrzu, jakbym wykonywała jakieś trudne manualnie zadanie i chciał mi koniecznie pomóc.

— Kath, ty przecież nie... Jeśli chcesz się podniecić, nie robi się tego w ten sposób. Musisz uważniej przyglądać się zdjęciom. To nie działa, jeśli robisz to tak szybko.

— Skąd wiesz, jak to działa na dziewczyny? Może przeglądałeś je razem z Ruth? Przepraszam, nie chciałam tego powiedzieć.

— Czego ty szukasz, Kath?

Zignorowałam go. Przejrzałam już prawie cały stos i zależało mi na tym, żeby doprowadzić rzecz do końca.

— Widziałem już raz, jak to robiłaś — powiedział nagle.

Tym razem przerwałam i bacznie mu się przyjrzałam.

— O co ci chodzi, Tommy? Czy Keffers zwerbował cię do swojego antypornograficznego patrolu?

— Nie chciałem cię szpiegować. Widziałem cię w zeszłym tygodniu, po tym jak siedzieliśmy wszyscy w pokoju Charleya. Leżało tam jedno z tych czasopism i myślałaś, że już sobie poszliśmy. Ale ja wróciłem się po sweter, a drzwi Claire były otwarte i mogłem przez nie zajrzeć prosto do pokoju Charleya. I wtedy zobaczyłem, że je oglądasz.

— No i co z tego? Wszyscy musimy sobie jakoś ulżyć.

— Nie robiłaś tego, żeby sobie ulżyć. Widziałem to, podobnie jak widzę to teraz. Widać to po twojej twarzy, Kath. Wtedy w pokoju Charleya miałaś dziwną twarz. Tak jakbyś była smutna. I trochę wystraszona.

Zeskoczyłam ze stołu, złapałam czasopisma i wcisnęłam mu je w dłoń.

— Masz. Daj je Ruth. Zobacz, może na nią zadziałają — prychnęłam, po czym ominęłam go i wyszłam z kotłowni.

Wiedziałałam, że nie wyjaśniając niczego, sprawiam mu zawód, lecz w tym momencie sama tego dobrze nie przemyślałam i nie byłam gotowa komukolwiek się zwierzać. Nie miałam jednak pretensji, że poszedł za mną do kotłowni. Wcale mi to nie przeszkadzało. Przeciwnie, poczułam się pokrzepiona na duchu, nieomal otoczona opieką. Ostatecznie zdradziłam mu swój sekret, lecz stało się to dopiero kilka miesięcy później, kiedy pojechaliśmy na wycieczkę do Norfolk.

Rozdział 12

Chcę opowiedzieć o wycieczce do Norfolku i o wszystkim, co wydarzyło się tamtego dnia, najpierw jednak muszę się nieco cofnąć, aby przedstawić całe tło i wyjaśnić, po co się tam wybraliśmy.

Dobiegała wówczas końca nasza pierwsza zima w Chałupach i byliśmy znacznie bardziej zdomowieni. Mimo wszystkich drobnych nieporozumień Ruth i ja w dalszym ciągu kończyliśmy dzień w moim pokoju, popijając coś ciepłego, i właśnie podczas jednej z tych rozmów, kiedy się z czegoś zaśmiewaliśmy, zwróciła się do mnie z nagłym pytaniem.

— Słyszałaś chyba, co mówili Chrissie i Rodney? — Kiedy zaprzeczyłam, parsknęła śmiechem. — Pewnie robią sobie ze mnie żarty — wyjaśniła. — Takie mają poczucie humoru. Zapomnij, że o tym wspomniałam.

Widziałam jednak, że chce, żebym to z niej wyciągnęła, i zaczęłam ją wypytywać.

— Pamiętasz, jak w zeszłym tygodniu Chrissie i Rodney wyjechali z Chałup? — powiedziała w końcu półgłosem. — Byli w takim mieście, które nazywa się Cromer, na północnym wybrzeżu Norfolku.

— Co tam robili?

— Och, mają tam chyba znajomego, który tu kiedyś mieszkał. Ale nie to jest ważne. Chodzi o to, że ich zdaniem widzieli... tę osobę. Pracującą w takim otwartym na przestrzał biurze. No i wiesz... Uważają, że ta osoba była pierwowzorem. Moim pierwowzorem.

Chociaż większość z nas zetknęła się z konceptem „pierwowzorów” jeszcze w Hailsham, wyczuwaliśmy, że nie powinniśmy o tym dyskutować, i nie robiliśmy tego — chociaż naturalnie bardzo nas to intrygowało i niepokoiło. Nawet w Chałupach nie był to temat, który poruszało się od niechcienia. Każda rozmowa o pierwowzorach była z pewnością o wiele bardziej krępująca niż, powiedzmy, o seksie. Równocześnie było jednak widać, że ludzie są tym zafascynowani — w niektórych przypadkach ogarnięci obsesją —

sprawa więc stale wpływała, na ogół w formie poważnych sporów, różniących się diametralnie od tych, które prowadziliśmy na przykład na temat Jamesa Joyce'a.

Podstawowe punkty teorii pierwowzorów były proste i nie wywoływały większych kontrowersji. Wyglądało to mniej więcej tak. Ponieważ każdy z nas był w którymś momencie skopiowany z normalnej osoby, gdzieś tam musiał istnieć jego żyjący swoim własnym życiem model. Oznaczało to, przynajmniej w teorii, że można było odnaleźć osobę, na wzór której zostało się stworzonym. Dlatego będąc tam na zewnątrz — w miastach, centrach handlowych, przydrożnych kafejkach — wypatrywało się pierwowzorów — ludzi, którzy mogli być modelami dla ciebie i twoich przyjaciół.

Poza tymi ogólnymi punktami mało w czym się jednak zgadzaliśmy. Przede wszystkim nie wiadomo było, czego dokładnie szukamy, wypatrując pierwowzorów. Część wychowanków uważała, że powinniśmy szukać osób o dwadzieścia, trzydzieści lat starszych od nas — w wieku, w którym byliby nasi normalni rodzice. Inni byli zdania, że to sentymentalne podejście. Dlaczego nas i naszych modeli miałyby dzielić „naturalna” różnica pokolenia? Mogli przecież użyć niemowlaków lub starców, nie robiło im to żadnej różnicy. Pierwsza grupa argumentowała, że wybierali osoby u szczytu zdrowia i dlatego właśnie powinni oni być w wieku „normalnych rodziców”. W tym punkcie wyczuwaliśmy jednak wszyscy, że wkraczamy na terytorium, na które nie mamy ochoty wkraczać, i spory ustawały.

Padaly również pytania, po co w ogóle chcemy tropić nasze pierwowzory. Jedno z ważniejszych podawanych uzasadnień głosiło, że odnajdując modela, będziemy mogli poznać własną przyszłość. Nie chcę przez to powiedzieć, iż ktokolwiek naprawdę uważał, że jeśli jego model okaże się na przykład facetem pracującym na stacji kolejowej, on też tam wyląduje. Zdawaliśmy sobie sprawę, że to nie takie proste. Wszyscy wierzyliśmy jednak, w mniejszym lub większym stopniu, że widząc osobę, z której zostaliśmy powieleni, będziemy mogli odkryć, kim w gruncie rzeczy jesteśmy, a może również, co nas czeka w życiu.

Byli i tacy, którzy uważali, że zawracanie sobie głowy pierwowzorami jest zwyczajną głupotą. To, kim są nasi modele, jest nieważne, byli potrzebni tylko z technicznego punktu widzenia, abyśmy mogli w ogóle powstać. My sami powinniśmy w miarę możliwości próbować kształtować własne życie. Do tego stronnictwa zaliczała się

zawsze Ruth i chyba ja sama. Mimo to za każdym razem, kiedy słyszeliśmy o modelach — nieważne czyich — nie mogliśmy powstrzymać ciekawości.

Z tego, co pamiętam, doniesienia o modelach pojawiały się falami. Mogło minąć kilka tygodni, kiedy nikt nie poruszał tego tematu, a potem wiadomość o dostrzeżeniu jednego powodowała cały wysyp. Większości tych relacji nie sposób było sprawdzić — ktoś zobaczył modela w przejeżdżającym samochodzie... tego rodzaju rzeczy. Co jakiś czas wiadomość wydawała się jednak w miarę konkretna — i tak było z pierwowzorem, o którym Ruth opowiedziała mi tamtej nocy.

Według niej Chrissie i Rodney, zwiedzając nadmorskie miasteczko, do którego się wybrali, na jakiś czas się rozłączyli. Kiedy się ponownie spotkali, Rodney był bardzo podniecony i powiedział Chrissie, że włócząc się zaułkami niedaleko głównej ulicy, natknął się na biuro z wielką przeszkloną ścianą. Wewnątrz było mnóstwo ludzi; część siedziała, a część chodziła między biurkami i rozmawiała. I tam właśnie dostrzegł pierwowzór Ruth.

— Zaraz po ich powrocie Chrissie przysłała mi o tym opowiedzieć. Kazała Rodneyowi wszystko opisać, a on starał się, jak mógł, ale trudno było cokolwiek przesądzić. Teraz bez przerwy powtarzają, że powinnam tam z nimi pojechać, lecz ja nie jestem przekonana. Nie wiem, czy powinnam w ogóle coś w tej sprawie robić.

Nie pamiętam dokładnie, co jej odpowiedziałam tamtej nocy, lecz byłam nastawiona dość sceptycznie. Szczerze mówiąc, uważałam, że Chrissie i Rodney wszystko to sobie wymyślili. Nie chcę przez to sugerować, że byli złymi ludźmi — to byłoby nieuczciwe. Pod wieloma względami nawet ich lubiłam. Nie ulegało jednak kwestii, że ich stosunek do nowo przybyłych, a zwłaszcza do Ruth, daleki był od prostolinijności.

Chrissie była wysoką dziewczyną i wyglądałaby całkiem ładnie, gdyby się wyprostowała. Nie zdawała sobie jednak z tego sprawy i stale się garbiła, żeby się od nas nie odróżniać. Dlatego bardziej przypominała Babę Jagę aniżeli gwiazdę filmową — wrażenie to pogłębiał irytujący zwyczaj dźgania palcem rozmówcy na sekundę, zanim się do niego odezwała. Zamiast dzinsów nosiła zawsze długie spódnice i wciśnięte zbyt mocno na nos niewielkie okulary. Należała do tych weteranów, którzy naprawdę miło nas przyjęli, kiedy tam przyjechalśmy; z początku bardzo ją lubiłam i starałam się brać z niej

przykład. Po kilku tygodniach zaczęłam jednak mieć pewne zastrzeżenia. Było coś dziwnego w uporze, z jakim podkreślała to, że pochodzimy stąd, skąd pochodzimy. Stale wypytywała nas o Hailsham — o drobne szczegóły, podobnie jak teraz moi dawcy — i chociaż starała się to robić zupełnie niezobowiązująco, widziałam w jej zainteresowaniu całkiem nowy wymiar. Nie podobało mi się również to, że zawsze starała się nas rozdzielić: zabierając na stronę jedno z nas, kiedy coś razem robiliśmy, lub prosząc dwoje z nas, abyśmy w czymś uczestniczyli, i zostawiając na lodzie pozostałych dwoje — tego rodzaju sprawy.

Rzadko kiedy widywało się Chrissie bez jej chłopaka Rodneya, który chodził z włosami związanymi w kucyk, niczym rockowy muzyk z lat siedemdziesiątych i rozprawiał często o takich rzeczach jak reinkarnacja. Właściwie nawet go lubiłam, chociaż pozostawał pod wielkim wpływem Chrissie. Wiadomo było, że w każdej dyskusji weźmie jej stronę, a jeśli zdarzyło jej się powiedzieć coś w najmniejszym stopniu zabawnego, chichotał i potrząsał głową, jakby nie mógł uwierzyć, że to takie śmieszne.

No dobrze, może jestem wobec tych dwojga zbyt surowa. Kiedy mówiłam o nich nie tak dawno z Tommym, stwierdził, że byli dość przyzwoitymi ludźmi. Ale opowiadam wam teraz o tym wszystkim, żeby wyjaśnić, dlaczego odniosłam się z takim sceptycyzmem do doniesień o odnalezieniu pierwowzoru Ruth. Moją pierwszą reakcją było, jak mówię, niedowierzenie i podejrzenie, że Chrissie coś knuje.

Kolejnym powodem moich wątpliwości był konkretny opis, przekazany przez Chrissie i Rodneya: obraz kobiety pracującej w eleganckim, przeszklonym biurze. Wydawał mi się zbyt bliski temu, co było nam wówczas znane jako „wymarzona przyszłość” Ruth.

Przypuszczam, że o „wymarzonej przyszłości” dyskutowaliśmy tamtej zimy głównie my, nowo przybyli, chociaż robili to również niektórzy weterani. Część starszych — zwłaszcza ci, którzy zaczęli już szkolenie — wzdychała cicho i wychodziła z pokoju za każdym razem, kiedy zaczynała się rozmowa na ten temat, lecz my przez dłuższy czas w ogóle tego nie zauważaliśmy. Nie jestem pewna, co działo się w naszych głowach podczas tych dyskusji. Zdawaliśmy sobie chyba sprawę, że nie mówimy serio, z drugiej strony jestem jednak pewna, że nie traktowaliśmy ich jako czystej fantazji. Możliwe, że po wyjeździe z Hailsham, mniej więcej przez pół roku, zanim jeszcze zaczęły się rozmowy o

zostaniu opiekunami, nauka jazdy oraz inne rzeczy, mogliśmy na długi czas zapomnieć, kim naprawdę jesteśmy; zapomnieć, co powiedzieli nam wychowawcy; zapomnieć o wybuchu panny Lucy tamtego deszczowego popołudnia na werandzie sali gimnastycznej, a także o wszystkich teoriach, które snuliśmy przez te lata. Nie mogło to oczywiście długo trwać, ale, jak rzekłam, przez kilka miesięcy udało nam się jakoś przetrwać w tym słodkim stanie zawieszenia, w którym mogliśmy myśleć o naszym życiu bez tych samych co zwykle ograniczeń. Spoglądając teraz wstecz, odnoszę wrażenie, że trwało to całe wieki — okres, kiedy przesiadując po śniadaniu w zaparowanej kuchni albo do późna w nocy przy wygasającym ogniu w kominku, rozprawialiśmy o naszych planach na przyszłość.

Zwróćcie uwagę, że nikt z nas nie posuwał się w tych marzeniach zbyt daleko. Nie pamiętam, by ktoś mówił, że zostanie gwiazdą filmową czy kimś w tym rodzaju. Napomykało się prędzej o karierze listonosza względnie o pracy na farmie. Sporo wychowanków chciało zostać różnego rodzaju kierowcami i często, kiedy rozmowa schodziła na te tory, weterani zaczęli opisywać szczególnie malownicze drogi, którymi podróżowali, ulubione przydrożne kafejki, trudne do pokonania ronda, tego rodzaju rzeczy. Dzisiaj oczywiście mogłabym w tej dziedzinie zapędzić ich wszystkich w kozi róg, ale wówczas wyłącznie słuchałam, w ogóle się nie odzywając i spijając słowa z ich ust. Czasami późną porą zamykałam oczy, przytulałam się do poręczy sofy względnie do chłopaka, jeśli akurat z kimś byłam, zapadałam w płytką drzemkę i przed moimi oczyma przesuwały się obrazy dróg.

Tak czy inaczej, w trakcie tych naszych rozmów Ruth zapędzała się często dalej niż ktokolwiek inny — zwłaszcza jeśli towarzyszyli nam weterani. Opowiadała o najprzeróżniejszych biurach od samego początku zimy, ale dopiero po poranku, kiedy poszłam z nią do wioski, te historie naprawdę nabrały życia, stały się jej „wymarzoną przyszłością”.

Nadeszły akurat silne mrozy i nasze kłocowate gazowe grzejniki przysparzały nam wielu kłopotów. Całymi godzinami pstrykaliśmy, próbując je bezskutecznie zapalić, i coraz częściej musieliśmy spisywać je na straty, a wraz z nimi pokoje, które miały ogrzać. Keffers nie chciał się tym zająć, twierdząc, że to nasz kłopot, ale kiedy zrobiło się naprawdę zimno, dał nam w końcu kopertę z pieniędzmi i nazwą jakiegoś płynu, który powinniśmy nabyć. Ruth i ja zgodziłyśmy się kupić go w wiosce i dlatego właśnie maszerowałyśmy alejką w ten mroźny poranek. Kiedy znalazłyśmy się w miejscu, gdzie

po obu stronach rosły wysokie żywopłoty, a na ziemi leżały zmarznięte krowie placki, idąca kilka kroków za mną Ruth nagle się zatrzymała.

Zdałam sobie z tego sprawę dopiero po chwili. Kiedy się odwróciłam, chuchała w palce i wpatrywała się z zainteresowaniem w coś, co leżało u jej stóp. Pomyślałam, że to jakieś biedne stworzonko, które zamarzło na śmierć, ale gdy do niej podeszłam, okazało się, że to kolorowe czasopismo — nie „czasopismo Steve'a", lecz jedna z tych darmowych jaskrawych broszur, które wkładają do gazet. Leżała otwarta na dwustronicowej lśniącej reklamie i chociaż papier był wilgotny i w jednym rogu zabłocony, widać było wyraźnie piękne, nowoczesne, otwarte na przestrzeń biuro, a w nim trzy albo cztery osoby, które tam pracowały i chyba ze sobą żartowały. Całe pomieszczenie aż się skrzyło, podobnie zresztą jak ludzie. Ruth wbijała wzrok w obrazek.

— To byłoby odpowiednie miejsce pracy — powiedziała, zorientowawszy się, że przy niej stoje.

I nagle się zawstydziła — a może nawet zdenerwowało ją to, że dała się zaskoczyć — i ruszyła do przodu szybciej niż poprzednio.

Lecz parę dni później, kiedy siedzieliśmy wieczorem w kilka osób przy kominku w starym domu, zaczęła nam opowiadać o czymś w rodzaju biura, w którym będzie pracowała, i natychmiast je rozpoznałam. Opisywała wszystko bardzo szczegółowo — rośliny, lśniący sprzęt, krzesła z obrotowymi siedzeniami i kółkami — i było to takie wyraziste, że przez całe wieki nikt jej nie przerywał. Pilnie ją obserwowałam, ale najwyraźniej nie pomyślała, że skojarzę jedno z drugim — być może zapomniała, skąd wziął się w jej głowie ten obraz. Stwierdziła nawet w pewnej chwili, że wszyscy ludzie w jej biurze będą „dynamicznymi, przebojowymi osobami", i przypomniałam sobie, że te same określenia wybite były wielkimi literami na górze reklamy: „Czy jesteś dynamiczną, przebojową osobą?" — coś w tym rodzaju. Oczywiście nic nie powiedziałam. W gruncie rzeczy, słuchając jej, zaczęłam się zastanawiać, czy to wszystko nie jest przypadkiem możliwe: czy pewnego dnia nie wylądujemy w takim miejscu i nie będziemy tam razem żyli.

Chrissie i Rodney też tam byli tamtego wieczoru i wsłuchiwali się w każde jej słowo. A potem, przez kilka dni Chrissie próbowała nakłonić Ruth, żeby coś jeszcze opowiedziała. Mijałam je siedzące w rogu pokoju i Chrissie pytała na przykład: „Jesteś

pewna, że nie będą sobie przeszkadzać, pracując wszyscy razem w jednym pomieszczeniu?", i robiła to tylko po to, by Ruth powtórzyła wszystko od początku.

Chodzi o to, że Chrissie — to samo odnosiło się zresztą do wielu weteranów — chociaż bezpośrednio po naszym przyjeździe traktowała nas nieco protekcyjnie, była pod wielkim wrażeniem tego, że jesteśmy z Hailsham. Pojęłam to dopiero po dłuższym czasie. Weźmy choćby tę historię z biurem Ruth: sama Chrissie nigdy nie opowiadała, że będzie pracowała w jakimkolwiek biurze, a tym bardziej w takim. Ponieważ jednak Ruth była z Hailsham, cała sprawa wydawała się bardziej prawdopodobna. Tak to widziała Chrissie, i przypuszczam, że Ruth mówiła co jakiś czas różne rzeczy, by wzmocnić w niej przekonanie, że istotnie, nas, wychowanków Hailsham, obowiązują inne reguły. Nigdy nie słyszałam, żeby okłamywała wprost weteranów; bardziej polegało to na niedementowaniu pewnych rzeczy oraz na sugerowaniu innych. Bywały chwile, kiedy mogłam ją postawić w naprawdę przykrew sytuacji, lecz chociaż zerkała na mnie czasem z zakłopotaniem w środku tej czy innej historii, była najwyraźniej przekonana, że jej nie zdemaskuję. I oczywiście nie zrobiłam tego.

Takie było zatem tło opowieści Chrissie i Rodneya o tym, że widzieli pierwowzór Ruth, i być może rozumiecie teraz, dlaczego odniosłam się do całej sprawy z taką nieufnością. Nie potrafiłam tego wyjaśnić, ale nie podobało mi się po prostu, że Ruth ma z nimi jechać do Norfolku. A kiedy stało się jasne, że jest absolutnie zdecydowana, powiedziałam, że wybiorę się tam razem z nimi. Z początku kręciła na to nosem i można było odnieść wrażenie, że nie pozwoli jechać ze sobą nawet Tommy'emu. Ostatecznie jednak pojechaliśmy wszyscy, cała nasza piątka: Chrissie, Rodney, Ruth, Tommy i ja.

Rozdział 13

Rodney, który miał prawo jazdy, umówił się wcześniej z robotnikami rolnymi z leżącego kilka mil dalej Metchley, że pożyczy od nich na jeden dzień samochód. W przeszłości robił to wiele razy, lecz teraz, na dzień przed naszym wyjazdem, okazało się, że nic z tego nie wyjdzie. Chociaż problem udało się dość łatwo rozwiązać — Rodney poszedł na farmę i obiecano mu inny samochód — interesujące było, jak zareagowała Ruth i jak zachowywała się w ciągu tych kilku godzin, kiedy wydawało nam się, że podróż trzeba będzie odwołać.

Do tego momentu można było pomyśleć, że cała sprawa jest dla niej czymś w rodzaju żartu: że jedzie tam przede wszystkim, aby zrobić przyjemność Chrissie. Mówiła dużo o tym, że od opuszczenia Hailsham w bardzo małym stopniu korzystamy z naszej wolności i że w ogóle zawsze chciała pojechać do Norfolku, aby odnaleźć „nasze zgubione rzeczy”. Innymi słowy, starała się dać nam do zrozumienia, że nie traktuje zbyt poważnie możliwości odnalezienia swojego pierwowzoru.

Pamiętam, że dzień przed naszym wyjazdem Ruth i ja byliśmy na spacerze i zajrzałyśmy do kuchni, gdzie Fiona i kilku weteranów pitrasili gulasz. I to właśnie Fiona, nie podnosząc wzroku znad tego, co robiła, poinformowała nas, że chłopak z farmy przybiegł wcześniej z wiadomością. Ruth stała tuż przede mną, nie mogłam więc zobaczyć jej miny, ale cała zastygła w bezruchu. A potem bez słowa odwróciła się, minęła mnie i wybiegła z kuchni. Udało mi się dostrzec na moment jej twarz i dopiero wówczas zdałam sobie sprawę, jak ją to dotknęło.

— Och, nie miałam pojęcia... — bąknęła Fiona, lecz ja szybko jej przerwałam.

— Ruth wcale się tym nie przejęła. Zmartwiło ją coś innego, co zdarzyło się wcześniej — powiedziałam.

Nie było to zbyt przekonujące, lecz w tym momencie nie stać mnie było na więcej.

Ostatecznie, jak powiedziałam, kryzys ze środkiem transportu został rozwiązany i nazajutrz wczesnym rankiem nasza piątka wsiadła w kompletnej ciemności do poobijanego, lecz poza tym całkiem przyzwoitego samochodu marki Rover. Chrissie

usiadła z przodu obok Rodneya, a nasza trójka z tyłu. Taki układ wydawał nam się naturalny i zajęliśmy miejsca, w ogóle o tym nie myśląc. Ale już po kilku minutach, kiedy Rodney zjechał z mrocznej krętej drogi na porządną szosę, Ruth, która siedziała w środku, pochyliła się do przodu, oparła dłonie o przednie fotele i zaczęła rozmawiać z dwojgiem weteranów. Robiła to tak, że siedzący po jej obu stronach ja i Tommy nie mogliśmy usłyszeć, co mówi, a ponieważ nas rozdzielała, nie mogliśmy również rozmawiać ze sobą. Czasami, bardzo rzadko, odchyliła się do tyłu. Próbowałam wówczas mówić o czymś, co zainteresowałoby całą naszą trójkę, ale Ruth nie podejmowała rozmowy i wkrótce znowu pochyliła się do przodu, wtykając twarz między dwa przednie siedzenia.

Po mniej więcej godzinie, kiedy zaczęło świtać, zrobiliśmy postój, żeby rozprostować nogi i pozwolić Rodneyowi się wysikać. Zatrzymaliśmy się przy dużym pustym polu, przeskoczyliśmy przez rów i przez kilka minut zacieraliśmy ręce i przyglądaliśmy się, jak w górę unoszą się obłoczki naszych oddechów. W którymś momencie spostrzegłam, że Ruth oddaliła się od reszty i patrzy na wschodzące nad polem słońce. Podeszłam do niej i powiedziałam, że skoro chce rozmawiać tylko z weteranami, może zamienić się miejscami ze mną. Dzięki temu będzie mogła dalej konwersować z Chrissie, a Tommy i ja pogadamy ze sobą, żeby skrócić jakoś podróż.

— Dlaczego musisz robić trudności? — syknęła, nie dając mi skończyć. — Akurat teraz! Nie rozumiem tego! Dlaczego szukasz dziury w całym?

A potem obróciła mnie tak, że stanęliśmy plecami do reszty i tamci nie mogli się zorientować, że się kłócimy. I właśnie to, bardziej niż słowa Ruth, sprawiło, że spojrzałam na całą sytuację jej oczyma: spostrzegłam, że Ruth bardzo się stara, żeby we właściwy sposób zaprezentować nie tylko siebie, lecz nas wszystkich Rodneyowi i Chrissie, a ja chcę to zepsuć i dążę do jakiejś scysji. Uświadomiwszy sobie wszystko, dotknęłam jej ramienia i odeszłam do innych. I po powrocie do samochodu zadbałam o to, by nasza trójka usiadła dokładnie tak samo jak poprzednio. Ale w tej części podróży Ruth właściwie wcale się nie odzywała, siedząc sztywno na swoim siedzeniu, i nawet kiedy Chrissie i Rodney krzyczeli do nas, odpowiadała ponurymi monosylabami.

Atmosfera poprawiła się zasadniczo, gdy dojechaliśmy do naszego nadmorskiego miasteczka. Dotarliśmy tam w porze lunchu i zostawiliśmy auto na parkingu przy polu

minigolfa, nad którym trzepotały chorągiewki. Był słoneczny, rześki dzień i pamiętam, że przez pierwszą godzinę prawie w ogóle nie myśleliśmy o tym, co nas tam przywiodło, tak bardzo byliśmy upojeni faktem, że wyrwaliśmy się na wolność. W którymś momencie, kiedy szliśmy wznoszącą się w górę ulicą, mijając z rzadka jakiś sklep, Rodney wydał nawet kilka radosnych okrzyków i zamachał rękoma. Wysokie niebo wskazywało, że zbliżamy się do morza.

Kiedy do niego dotarliśmy, okazało się, że stoimy na wykutej w klifie drodze. Z początku wydawało nam się, że od plaży na dole dzieli nas stroma przepaść, lecz wychylając się przez balustradę, zobaczyliśmy zygzakowate ścieżki, prowadzące w dół, do samego morza.

W tym momencie umieraliśmy już z głodu i zajrzeliśmy do małej kafejki, która stała na szczycie klifu, w miejscu, gdzie zaczynała się jedna ze ścieżek. Kiedy tam weszliśmy, w środku były tylko dwie tęgie kobiety w fartuchach. Paliły papierosy przy jednym ze stolików, ale szybko wstały i zniknęły w kuchni, żebyśmy mogli mieć cały lokal dla siebie.

Zajęliśmy stolik z tyłu — czyli ten, który znajdował się najbliżej klifu — i kiedy przy nim usiedliśmy, mieliśmy niemal wrażenie, że unosimy się nad otwartym morzem. W tamtym czasie nie miałam żadnej skali porównawczej, ale teraz uświadamiam sobie, że kafejka była mała, z trzema albo czterema małymi stolikami. Kobiety zostawiły otwarte okno — prawdopodobnie, żeby w środku nie było czuć smażenia — i co jakiś czas przez salę przechodził podmuch wiatru, szeleszcząc kartkami, na których przedstawione były kulinarne oferty. Nad kontuarem przypięty był arkusz bristolu z wykonanymi kolorowymi flamastrami napisem i na samej górze było słowo „oko” z narysowanym w środku każdego „o” wytrzeszczonym okiem. Ostatnio widzę coś podobnego tak często, że nawet tego nie zauważam, wówczas jednak zobaczyłam to po raz pierwszy. Przyglądając się z podziwem napisowi, zorientowałam się, że Ruth również przypatruje mu się z podziwem, i obie wybuchnęłyśmy śmiechem. To było przyjemne i odprężające i mogło się zdawać, że mamy już za sobą nieprzyjemne chwile w samochodzie. Okazało się jednak, że był to ostatni taki moment między mną i Ruth, w trakcie całej wycieczki.

Od przyjazdu do miasta w ogóle nie mówiliśmy o pierwowzorze i przypuszczałam, że skoro już usiedliśmy, w końcu to przedyskutujemy. Ale kiedy jedliśmy sandwicze,

Rodney zaczął opowiadać o ich starym znajomym Martinie, który wyjechał z Chałup rok wcześniej i mieszkał teraz gdzieś w mieście. Chrissie skwapliwie podjęła temat i wkrótce zarzucili nas anegdotkami o komicznych rzeczach, które robił Martin. Nie bardzo za nimi nadążaliśmy, lecz Chrissie i Rodney naprawdę świetnie się bawili. Bez przerwy do siebie mrugali i wybuchali śmiechem i choć udawali, że opowiadają o tym przez wzgląd na nas, było jasne, że największą frajdę sprawia to im samym. Kiedy się nad tym teraz zastanawiam, przychodzi mi do głowy, że panujący w Chałupach zwyczaj niemówienia o ludziach, którzy stamtąd wyjechali, mógł ich powstrzymywać przed wspomnianiem Martina i dopiero znalazłszy się na zewnątrz, poczuli, że mogą sobie pofolgować.

Za każdym razem kiedy wybuchali śmiechem, ja śmiałam się także, nie chcąc być niegrzeczna. Tommy, który chyba w jeszcze mniejszym stopniu ode mnie rozumiał całą sytuację, reagował spóźnionymi niezdecydowanymi parsknięciami. Za to Ruth śmiała się do rozpuku i kiwała głową na wszystko, co tamci opowiadali o Martinie, tak jakby też go świetnie знаła. Kiedy Chrissie napomknęła o czymś naprawdę niejasnym — powiedziała coś w rodzaju: „O tak, wtedy, kiedy ściągnął džinsy!” — Ruth wybuchnęła gromkim śmiechem i wskazała jej nas oboje, jakby chciała powiedzieć: „No, dalej, wyjaśnij im, o co chodzi, żeby też się z nami pośmiali”. Puszczalam to wszystko mimo uszu, lecz gdy Chrissie i Rodney zaczęli dyskutować, czy nie powinniśmy odwiedzić Martina w jego mieszkaniu, w końcu zareagowałam.

— Co on tu właściwie robi? — zapytałam, być może nieco chłodno. — Dlaczego ma mieszkanie?

Zapadła cisza, a potem usłyszałam, jak Ruth wzdycha z irytacją. Chrissie nachyliła się ku mnie nad stolikiem.

— Jest opiekunem — wyjaśniła cicho, jakby mówiła do dziecka. — Co innego mógłby, twoim zdaniem, robić? Jest teraz prawdziwym opiekunem.

Przy stole zapanowało lekkie poruszenie.

— O to właśnie mi chodzi — powiedziałam. — Nie możemy tak po prostu pójść i go odwiedzić.

— No dobrze — westchnęła Chrissie. — Nie wolno nam odwiedzać opiekunów. Mówiąc bez ogródek. Z pewnością nie jest to mile widziane.

— Oczywiście, że nie jest to mile widziane — powtórzył Rodney i zachichotał. — Bardzo niegrzecznie jest odwiedzać Martina.

— Bardzo niegrzecznie — mruknęła Chrissie i zacmokała.

— Kathy nie lubi być niegrzeczna — dołączyła do nich Ruth. — Więc lepiej tam nie chodźmy i go nie odwiedzajmy.

Tommy przyglądał się jej, najwyraźniej nie wiedząc, z kim trzyma, i ja również nie byłam tego pewna. Przyszło mi do głowy, że Ruth nie chce, żebyśmy tracili niepotrzebnie czas, i dlatego bierze niechętnie moją stronę. Uśmiechnęłam się do niej, lecz ona nie odwzajemniła mojego uśmiechu.

— W którym miejscu widziałeś pierwowzór Ruth, Rodney? — zapytał nagle Tommy.

— Och... — Teraz, kiedy dojechaliśmy na miejsce, Rodney nie wydawał się już taki zainteresowany pierwowzorem i zobaczyłam na twarzy Ruth niepokój. — Trzeba skręcić z głównej ulicy, bliżej drugiego końca — powiedział po chwili. — Oczywiście mogą mieć dzisiaj wolny dzień. Oni mają wolne dni, wiecie — dodał, gdy nikt się nie odezwał. — Nie zawsze są w pracy.

Kiedy to powiedział, przez chwilę bałam się, że popełniliśmy fatalny błąd; z tego, co wiedzieliśmy, weterani często wspominali o pierwowzorach tylko po to, żeby wybrać się na wycieczkę, i nie oczekiwali, że ktoś będzie to sprawdzał. Ruth musiało przyjść do głowy to samo, ponieważ wydawała się teraz autentycznie zmartwiona. W końcu jednak cicho się roześmiała, jakby Rodney stroił sobie żarty.

— Wiesz co, Ruth? Za parę lat możemy tu przyjechać, żeby cię odwiedzić — odezwała się zupełnie innym tonem Chrissie. — Kiedy będziesz pracowała w jakimś miłym biurze. Nie sądzę, żeby ktoś mógł nam wtedy zabronić cię odwiedzić.

— Zgadza się — odparła szybko Ruth. — Możecie wszyscy przyjechać i złożyć mi wizytę.

— Przypuszczam — powiedział Rodney — że nie ma żadnych przepisów dotyczących odwiedzania ludzi, którzy pracują w biurze. Nic o tym w każdym razie nie wiemy — dodał, wybuchając nagle śmiechem. — Nigdy się to wcześniej nie zdarzało.

— Nic nie będzie stało na przeszkodzie — mówiła Ruth. — Pozwolą wam to zrobić. Możecie wszyscy przyjechać mnie odwiedzić. Oczywiście z wyjątkiem Tommy'ego — dodała.

Na Tommym wywarło to piorunujące wrażenie.

— Dlaczego nie będę mógł przyjechać? — wyjąkał.

— Bo będziesz ze mną, głuptasie — odrzekła Ruth. — Zatrzymam cię.

Wszyscy się roześmialiśmy, Tommy ponownie z pewnym opóźnieniem.

— Słyszałam o tej dziewczynie w Walii — zmieniła temat Chrissie. — Była w Hailsham, kilka lat wyżej od was. Podobno pracuje teraz w sklepie z konfekcją. Prawdziwa spryciara.

Przy stole rozległy się pomruki aprobaty i przez chwilę wpatrywaliśmy się wszyscy sennym wzrokiem w chmury.

— To dlatego, że jesteście z Hailsham — stwierdził w końcu Rodney i potrząsnął głową, jakby sam nie potrafił w to uwierzyć.

— No i była też ta inna osoba... — dodała Chrissie, zwracając się do Ruth. — Ten chłopak, o którym nam opowiadałaś przed kilku dniami. Starszy od was trochę... który jest teraz dozorcą w parku.

Ruth pokiwała w zadumie głową. Przyszło mi do głowy, że powinnam posłać Tommy'emu ostrzegawcze spojrzenie, lecz kiedy się do niego odwróciłam, otworzył już usta.

— Jaki chłopak? — zapytał skonsternowany.

— Przecież wiesz, o kim mówimy — wtrąciłam szybko.

Kopanie go pod stołem albo nawet użycie znaczącego tonu było zbyt ryzykowne; Chrissie od razu by się zorientowała. Powiedziałam więc to całkiem zwyczajnie, z lekkim znużeniem, jakbyśmy wszyscy mieli po dziurki w nosie jego zapominalstwa. W rezultacie jednak Tommy niczego nie załapał.

— To ktoś, kogo znamy?

— Tommy, nie zaczynajmy tego od nowa — powiedziałam. — Powinieneś sobie zbadać mózg.

Tommy pojął wreszcie aluzję i się przymknął.

— Wiem, jakie to szczęście, że wylądowałam w Chałupach — oznajmiła Chrissie. — Ale wy z Hailsham jesteście prawdziwymi szczęściarzami. Wiecie... — dodała, zniżając głos i pochylając się do przodu — jest coś, o czym chciałam z wami od dawna porozmawiać. Tyle że w Chałupach to niemożliwe. Wszyscy zawsze strzygą uszami.

Rozejrzała się dookoła, po czym utkwiła wzrok w Ruth. Rodney nagle stężał i także pochylił się do przodu. Coś powiedziało mi, że nastąpi teraz to, co dla Chrissie i Rodneya było głównym celem naszej ekspedycji.

— Kiedy Rodney i ja byliśmy na północy w Walii... — podjęła Chrissie. — Kiedy dowiedzieliśmy się o tej dziewczynie w sklepie z konfekcją. Usłyszeliśmy wtedy coś jeszcze, coś o wychowankach Hailsham. Ludzie mówili, że niektórym wychowankom Hailsham udawało się w przeszłości, w wyjątkowych okolicznościach, uzyskać odroczenie. Że to jest coś, o co można się starać, jeśli było się w Hailsham. Można poprosić, żeby przełożono donacje o trzy, a nawet cztery lata. To nie jest łatwe, ale czasami na to pozwalają. Pod warunkiem że potrafi się ich przekonać. Pod warunkiem że spełnia się odpowiednie wymogi.

Chrissie przerwała i potoczyła po nas wzrokiem, może dla większego dramatycznego efektu, a może żeby przekonać się, czy za nią nadażamy. Tommy i ja zrobiliśmy prawdopodobnie głupie miny, ale po twarzy Ruth nie można było niczego poznać.

— Mówiło się — ciągnęła Chrissie — że jeśli ludzie byli razem, kochali się, naprawdę, szczerze się kochali i potrafili to udowodnić, wtedy ci, którzy rządzą Hailsham, im to umożliwiali. Można było wówczas spędzić kilka lat razem, zanim zaczęły się donacje.

Przy stoliku zapanowała dziwna atmosfera; poczuliśmy, jak przechodzą nas ciarki.

— Kiedy byliśmy w Walii — mówiła dalej Chrissie — wychowankowie w Białym Dworku słyszeli o tej parze z Hailsham. Chłopakowi brakowało tylko kilka tygodni do momentu, kiedy miał zostać opiekunem. Poszli do kogoś i udało im się wszystko przesunąć o trzy lata. Pozwolono im razem zamieszkać, na północy, w Białym Dworku, całe trzy lata. Nie musieli kontynuować szkolenia i w ogóle niczego robić. Trzy lata tylko dla siebie, bo zdołali udowodnić, że się szczerze kochają.

W tym właśnie momencie zauważyłam, że Ruth kiwa z przekonaniem głową. Chrissie i Rodney też to zauważyli i przez kilka sekund wpatrywali się w nią jak zahipnotyzowani. A ja wyobraziłam ich sobie nagle w Chałupach, w miesiącach poprzedzających tę chwilę, jak opukują i ostukują sprawę między sobą. Widziałam, jak poruszają ją po raz pierwszy, z początku bardzo niepewnie, jak wzruszają ramionami, odkładają ją na bok, wracają do niej, ani na chwilę nie mogą o niej zapomnieć. Widziałam, jak dyskutują, czy nas o to zapytać, zastanawiają się, jak to dokładnie zrobić, co konkretnie powiedzieć. Spojrzałam ponownie na wpatrzonych w Ruth, siedzących przede mną Chrissie i Rodneya, i próbowałam wyczytać coś z ich twarzy. Chrissie wydawała się jednocześnie pełna obaw i nadziei. Rodney spoglądał na krawędź klifu, jakby bał się, że wyskoczy z czymś, czego nie powinien był mówić.

Nie po raz pierwszy zetknęłam się wówczas z plotkami o odroczeniu. W ciągu poprzednich kilku tygodni dotarły do mnie kilkakrotnie ich strzępy. Rozsiewali je zawsze weterani i kiedy pojawiał się ktoś z nas, milkli zakłopotani. Usłyszałam jednak dosyć, żeby domyślić się, o co chodzi, i wiedziałam, że ma to coś wspólnego z wychowankami Hailsham. Mimo to dopiero tamtego dnia, w tamtej nadmorskiej kafejce uświadomiłam sobie, jak duże znaczenie ma ta sprawa dla niektórych weteranów.

— Przypuszczam — podjęła lekko drżącym głosem Chrissie — że powinniście coś o tym wiedzieć. O zasadach, tego rodzaju rzeczach.

Razem z Rodneyem zerknęli najpierw na mnie, potem na Tommy'ego i w końcu ponownie utkwili wzrok w Ruth, która głośno westchnęła.

— No cóż, powiedziano nam oczywiście kilka rzeczy — odparła. — Ale to nie jest coś, o czym byśmy dużo wiedzieli — dodała, wzruszając ramionami. — Tak naprawdę nigdy o tym ze sobą nie rozmawialiśmy. A zresztą powinniśmy już chyba ruszać.

— Do kogo trzeba pójść? — zapytał nagle Rodney. — Do kogo, powiedzieli wam, trzeba pójść, jeśli chce się, no wiecie, złożyć podanie?

Ruth ponownie wzruszyła ramionami.

— Już wam mówiłam. To nie była rzecz, o której często mówiliśmy — wyjaśniła, po czym niemal instynktownie spojrzała na mnie i Tommy'ego, szukając wsparcia, co było prawdopodobnie błędem.

— Szczerze mówiąc — bąknął Tommy — nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz. Co to za zasady?

Ruth spiorunowała go wzrokiem.

— No wiesz, Tommy — wtrąciłam szybko. — Mówimy o tych wszystkich opowieściach, które krążyły w Hailsham.

Tommy potrząsnął głową.

— Nie pamiętam żadnych opowieści — odparł stanowczo. I tym razem, podobnie jak Ruth, widziałam, że nie wynika to bynajmniej ze spóźnionego refleksu. — Nie pamiętam niczego takiego z Hailsham.

Ruth odwróciła się do niego plecami.

— Musicie wiedzieć — powiedziała do Chrissie — że chociaż Tommy był w Hailsham, trudno go uznać za pełnoprawnego wychowanka. W nic go nie wtajemniczano i ludzie zawsze się z niego nabijali. Więc nie ma sensu wypytywać go o takie rzeczy. A teraz chcę iść odnaleźć tę osobę, którą widział Rodney.

W oczach Tommy'ego pojawił się błysk, na widok którego zaparło mi dech w piersiach. To był błysk, którego nie widziałam od bardzo dawna; należał do Tommy'ego, który barykadował się w klasie i wywracał ławki. A potem ten błysk zgasł, Tommy spojrział na niebo za oknem i ciężko westchnął.

Weterani w ogóle tego nie zauważyli, bo w tym samym momencie Ruth wstała i zaczęła wkładać płaszcz. A potem wszyscy równocześnie odsunęliśmy krzesła od małego stolika i zrobiło się niewielkie zamieszanie. Ponieważ miałam się zajmować finansami, podeszłam do kontuaru, żeby zapłacić. Pozostali wyszli na zewnątrz. Czekając, aż wydadzą mi resztę, obserwowałam przez jedną z wielkich zaparowanych szyb, jak stoją w słońcu, nie rozmawiając i spoglądając w dół na morze.

Rozdział 14

Kiedy wyszłam z kafejki, było jasne, że po podnieceniu, które ogarnęło nas zaraz po przyjeździe, nie zostało ani śladu. Prowadzeni przez Rodneya kroczyliśmy w milczeniu uliczkami, do których nie docierało prawie słońce, tak wąskimi, że musieliśmy co chwila dreptać gęsiego. Z prawdziwą ulgą wyszliśmy na gwarną i rojną główną ulicę, na której nasze kwaśne miny nie rzucały się tak bardzo w oczy.

Kiedy przechodziliśmy na światłach, spostrzegłam, że Chrissie i Rodney o czymś konferują, i zastanawiałam się, w jakim stopniu panująca między nami zła atmosfera wzięła się z ich przekonania, iż ukrywamy jakąś wielką tajemnicę dotyczącą Hailsham, a w jakim z tego, jak Ruth potraktowała Tommy'ego.

Po przejściu na drugą stronę ulicy Chrissie oznajmiła, że ona i Rodney chcą kupić urodzinowe kartki. Ruth kompletnie osłupiała, lecz Chrissie zbytnio się tym nie przejęła.

— Lubimy kupować od razu dużo kartek — wyjaśniła. — Zawsze wychodzi taniej. I ma się je pod ręką, kiedy wypadają czyjeś urodziny. Można tutaj dostać całkiem fajne za naprawdę niską cenę — dodała, wskazując wejście do sklepu Woolwortha.

Rodney pokiwał głową i miałam wrażenie, że kpiąco się uśmiechnął.

— Oczywiście — powiedział — ma się później mnóstwo takich samych kartek, ale można umieścić na nich własne ilustracje. No wiecie, nadać im osobisty charakter.

Oboje weterani stali pośrodku chodnika, nie zwracając uwagi na mijających ich ludzi z dziecinnymi wózkami i patrząc nam wyzywająco w oczy. Widziałam, że Ruth jest wściekła, lecz bez pomocy Rodneya niewiele mogliśmy zdziałać.

Weszliśmy więc do Woolwortha i natychmiast poprawił mi się nastrój. Nawet teraz lubię takie miejsca: duże sklepy z wieloma alejkami, w których można znaleźć plastikowe zabawki, kartki z pozdrowieniami, sterty kosmetyków, może nawet automat do robienia zdjęć. Jeśli jestem dzisiaj w jakimś mieście i mam trochę czasu, chętnie odwiedzam podobne przybytki, gdzie można się powłóczyć, niczego nie kupując, a ekspedientkom w ogóle to nie przeszkadza.

Weszliśmy zatem do środka i wkrótce każde z nas znalazło się w innej alejce. Rodney zatrzymał się blisko wejścia przy wielkim regale z kartkami; trochę bardziej w głębi, pod plakatem grupy rockowej zobaczyłam Tommy'ego, który przerzucał kasety magnetofonowe. Po mniej więcej dziesięciu minutach, będąc gdzieś z tyłu sklepu, usłyszałam głos Ruth i ruszyłam w tamtą stronę. Dopiero skręciwszy we właściwą alejkę — z pluszowymi zwierzakami i układankami w wielkich pudłach — zorientowałam się, że Ruth i Chrissie stoją przy samym końcu, pogrążone w intymnej rozmowie. Nie wiedziałam, co robić: nie miałam zamiaru im przeszkadzać, lecz właściwie powinniśmy już wyjść i nie chciałam znowu się oddalać. Zatrzymałam się więc tam, gdzie stałam, udałam, że oglądam układankę, i czekałam, aż mnie zauważą.

Po chwili zdałam sobie sprawę, że ponownie mówią o tych plotkach.

— Ale dziwię się, że przez cały czas, kiedy tam byliście, tak mało interesowaliście się, jak to zrobić — mówiła ściszym tonem Chrissie. — Do kogo pójść i w ogóle.

— Nic nie rozumiesz — tłumaczyła jej Ruth. — Gdybyś była z Hailsham, wcale by to cię nie dziwiło. Dla nas to nigdy nie było nic wielkiego. Przypuszczam, że zawsze wiedzieliśmy, że jeśli nas to kiedyś zainteresuje, wystarczy, że damy znać do Hailsham...

Ruth zobaczyła mnie i przerwała w pół zdania. Kiedy odstawiłam układankę i odwróciłam się do nich twarzą, obie zmierzyły mnie gniewnym wzrokiem. Jednocześnie odsunęły się od siebie z zażenowaniem, jakbym złapała je na czymś, czego nie powinny robić.

— Pora już iść — powiedziałam, udając, że nic nie usłyszałam.

Ale Ruth nie dała się nabrać i przechodząc obok mnie, posłała mi naprawdę wredne spojrzenie.

Kiedy prowadzeni przez Rodneya ruszyliśmy na poszukiwanie biura, w którym zobaczył przed miesiącem pierwowzór Ruth, atmosfera stała się jeszcze gęstsza. Sytuację pogarszał dodatkowo Rodney, który stale wybierał złe uliczki. Co najmniej cztery razy skręcił pewnym krokiem z głównej ulicy, ale już po chwili sklepy i biura kończyły się i musieliśmy wracać tam, skąd przyszliśmy. Po jakimś czasie zniechęcił się i gotów był dać za wygraną. I wtedy właśnie nam się udało.

Po raz kolejny zawróciliśmy ku głównej ulicy i nagle Rodney zatrzymał się i wskazał bez słowa dom po drugiej stronie.

I rzeczywiście było tam to biuro. Niezupełnie takie samo jak na reklamie w gazecie, którą znalazłyśmy na ziemi, idąc do wioski, ale też niezbyt od niego odbiegające. Na poziomie ulicy miało wielką oszkloną ścianę, dzięki której każdy przechodzień mógł zajrzeć do środka dużego otwartego pomieszczenia z kilkunastoma biurkami ustawionymi w kształcie litery L. Były tam palmy w doniczkach, lśniące urządzenia oraz smukłe biurkowe lampy. Ludzie chodzili między biurkami albo opierali się o ścianki działowe, gawędząc i opowiadając sobie dowcipy, a inni przysunęli do siebie swoje obrotowe krzesła i jedli kanapki, popijając kawą.

— Patrzcie — powiedział Tommy. — Mają przerwę na lunch, ale nie wychodzą na zewnątrz. Wcale im się nie dziwię.

Obserwowaliśmy dalej biuro, które sprawiało wrażenie eleganckiego, miłego i samowystarczalnego. Zerknęłam na Ruth i zauważyłam, że wodzi niespokojnie oczyma po widniejących za szybą twarzach.

— No dobrze, Rod — mruknęła Chrissie. — Która z nich jest pierwowzorem?

Powiedziała to niemal z przekąsem, jakby była pewna, że cała ta historia okaże się jednym wielkim niewypałem.

— Tam — odezwał się nagle Rodney drżącym z przejęcia głosem. — Tam w rogu. W niebieskim ubraniu. Rozmawia z tą dużą kobietą w czerwonym stroju.

Nie było to takie oczywiste, ale im dłużej jej się przyglądaliśmy, tym bardziej byliśmy przekonani, że widzimy jakieś podobieństwo. Kobieta miała koło pięćdziesiątki i zachowała całkiem niezłą figurę. Jej włosy były ciemniejsze od włosów Ruth — chociaż mogły być farbowane — i związała je z tyłu w prostego kucyka, zupełnie jak to robiła ona. Śmiała się z czegoś, co powiedziała jej znajoma w czerwonym ubraniu, i jej twarz, zwłaszcza gdy skończyła się śmiać i potrząsnęła głową, odznaczała się bardziej niż powierzchownym podobieństwem do Ruth.

Obserwowaliśmy ją wszyscy, w ogóle się nie odzywając. A potem uświadomiliśmy sobie, że w innej części biura zauważyło nas kilka kobiet. Jedna z nich podniosła rękę i

niepewnie do nas pomachała. To złamało zakłęcie i z panicznym chichotem rzuciliśmy się do ucieczki.

Zatrzymaliśmy się w głębi ulicy i podnieceni zaczęliśmy mówić wszyscy jednocześnie. To znaczy wszyscy, z wyjątkiem Ruth, która zachowywała milczenie. Trudno było w tym momencie wyczytać coś z jej twarzy; z pewnością nie była rozczarowana, ale nie wyglądała również na uszczęśliwioną. W kącikach jej ust błąkał się uśmiech podobny do uśmiechu pojawiającego się na twarzy matki w normalnej rodzinie, gdy waży wszystkie argumenty za i przeciw, podczas gdy jej dzieci krzyczą i podskakują dookoła, prosząc, by pozwoliła im zrobić to czy tamto. Staliśmy więc tam, mówiąc wszyscy, co myślimy, i cieszyłam się, mogąc wraz z innymi stwierdzić, że kobieta, którą widzieliśmy, była całkiem możliwą kandydatką. Prawdę mówiąc, wszyscy odczuliśmy ulgę; chociaż nie zdawaliśmy sobie z tego do końca sprawy, szykowaliśmy się na rozczarowanie. Teraz jednak mogliśmy spokojnie wracać do Chałup: Ruth pokrzepiona tym, co zobaczyła, a pozostali w pełni ją wspierając. Biurowe życie, które prowadziła tamta kobieta, wydawało się maksymalnie bliskie tego, które Ruth miała nadzieję prowadzić sama. Bez względu na to, co działo się między nami owego dnia, w głębi ducha nikt nie chciał, żeby Ruth wróciła do domu zawiedziona, i w tym momencie wydawało się, że nam to nie grozi. I jestem pewna, że na tym by się skończyło, gdybyśmy dali sobie wówczas spokój.

— Usiądźmy tam — powiedziała jednak po chwili Ruth, wskazując murek otaczający niewielki parking. — Tylko na parę minut. Kiedy o nas zapomną, możemy tam wrócić i jeszcze raz rzucić okiem.

— Ale nawet jeśli jej już nie zobaczymy, wszyscy zgadzamy się, że to pierwowzór. A biuro jest urocze. Naprawdę — oznajmiła, być może nieco zbyt skwapliwie, Chrissie.

— Zaczekajmy po prostu kilka minut — powtórzyła Ruth. — Potem tam wrócimy.

Sama nie usiadłam na murku, ponieważ był mokry i popękany, a poza tym obawiałam się, że ktoś może się zaraz zjawić i skarcić nas, że tam siedzimy. Lecz Ruth usiadła na nim okrakiem, jakby dosiadała wierzchowca. I do dzisiaj pamiętam dokładnie te dziesięć, piętnaście minut, kiedy tam czekaliśmy. Nikt nie mówi już o pierwowzorze. Udajemy zamiast tego, że spędzamy czas w jakimś malowniczym miejscu w trakcie beztrudnej wycieczki. Rodney wykonuje specjalny taniec, żeby zademonstrować, w jakim jest dobrym humorze. Wskakuje na murek, balansuje na jego krawędzi, a potem

umyślnie z niego spada. Tommy robi sobie żarty z mijających przechodniów i chociaż nie są wcale takie zabawne, wszyscy się z nich śmiejemy. Tylko Ruth siedzi okrakiem pośród nas i milczy. Uśmiecha się, ale w ogóle się nie porusza, i tylko wiatr rozwiewa jej włosy. Jaskrawe zimowe słońce świeci jej prosto w oczy i właściwie nie wiadomo, czy je mruży, czy uśmiecha się z naszych wygłupów. To są obrazy, które zapamiętałam z tych kilkunastu minut. Czekaliśmy chyba, żeby Ruth zdecydowała, czy możemy już wrócić i rzucić po raz drugi okiem. Tak się jednak złożyło, że nie musiała wcale podejmować tej decyzji.

Tommy, który wygłupiał się na murku razem z Rodneyem, zeskoczył z niego nagle i zastygł w bezruchu.

— To ona — powiedział. — Ta sama.

Wszyscy przestaliśmy robić to, co robiliśmy, i obserwowaliśmy nadchodzącą od strony biura postać. Miała teraz na sobie kremowe palto i idąc, starała się zamknąć swoją teczkę. Zamek sprawiał jej kłopoty i co chwila zwalniała i z powrotem przyśpieszała. Patrzyliśmy zahipnotyzowani, jak idzie po drugiej stronie jezdni. Kiedy skręciła w główną ulicę, Rodney podskoczył w miejscu.

— Zobaczmy, dokąd idzie — zawołał.

Otrząsnęliśmy się z transu i ruszyliśmy za nią tak szybkim krokiem, że Chrissie musiała nam powtarzać, żebyśmy zwolnili, bo pomyślała, że jesteśmy goniącymi tę biedaczkę chuliganami. Szliśmy za nią w rozsądnej odległości, omijając z chichotem przechodniów, rozdzielając się i łącząc z powrotem. Musiało już być koło drugiej i ulica wypełniona była robiącymi zakupy ludźmi. Chwilami traciliśmy ją niemal z oczu, ale nie dawaliśmy za wygraną, zatrzymując się przed wystawami, kiedy wchodziła do jakiegoś sklepu, i przemykając między dziecinnymi wózkami i staruszkami, kiedy z niego wychodziła.

A potem kobieta skręciła w niewielką alejkę w pobliżu klifu. Chrissie obawiała się, że z dala od tłumu będziemy się bardziej rzucali w oczy, lecz Ruth parla dalej do przodu, a my szliśmy w ślad za nią.

W końcu weszliśmy w wąski zaułek, przy którym stały zwykłe domy i tylko z rzadka trafiał się jakiś sklep. Ponownie musieliśmy kroczyć gęsiego, a kiedy z naprzeciwka nadjechała furgonetka, stanęliśmy z boku, żeby ją przepuścić. Wkrótce na

całej uliczce byliśmy tylko my i ta kobieta i gdyby się obejrzała, musiałaby nas zauważyć. Mimo to szła dalej, wyprzedzając nas o kilkanaście kroków, a potem skierowała się do drzwi prowadzących do Galerii Portway.

Od tego czasu byłam w Galerii Portway wiele razy. Przed kilku laty zmieniła właściciela i teraz sprzedaje się tam wszelkiego rodzaju artystyczną galanterię: dzbanki, talerze i zwierzaki z gliny. Wówczas były tam wyłącznie dwie duże białe sale wypełnione obrazami — pięknie wyeksponowanymi, z mnóstwem wolnej przestrzeni. Nad drzwiami wisi do tej pory ten sam drewniany szyld. Tak czy inaczej, kiedy Rodney zwrócił nam uwagę, że wyglądamy bardzo podejrzanie w pustej cichej uliczce, postanowiliśmy, że wejdziemy do środka. W galerii mogliśmy przynajmniej udawać, że oglądamy obrazy.

Wewnątrz przekonaliśmy się, że kobieta, którą śledziliśmy, rozmawia ze znacznie starszą siwowłosą panią, wyglądającą na kierowniczkę galerii. Siedziały po obu stronach małego biureczka niedaleko drzwi i oprócz nich nie było tam nikogo. Żadna z nich nie zwróciła na nas większej uwagi, gdy minęliśmy je i krążąc po galerii, próbowaliśmy udawać, że fascynują nas wystawione płótna.

Mimo że byłam zaabsorbowana pierwowzorem Ruth, obrazy, a także panująca w całym miejscu spokojna atmosfera zaczęły mi się autentycznie podobać. Można było pomyśleć, że znaleźliśmy się sto mil od głównej ulicy. Tu i ówdzie, wysoko pod samym gzymsem zawieszony był kawałek rybackiej sieci albo nadgniły fragment łodzi. Same obrazy — w większości oleje utrzymane w odcieniach głębokiego błękitu i zieleni — miały również morską tematykę. Być może dopadło nas nagłe zmęczenie — byliśmy przecież w podróży od samego rana — ale nie tylko ja trochę się tam rozmarzyłam. Chodziliśmy wszyscy z kąta w kąt, oglądając kolejne obrazy i co jakiś czas wołając do siebie ściszym tonem: „Chodź, popatrz na to!”. I przez cały czas słyszeliśmy, jak siwa pani i kobieta będąca pierwowzorem Ruth rozmawiają ze sobą. Nie robiły tego zbyt głośno, lecz ich głosy zdawały się wypełniać całą przestrzeń. Dyskutowały na temat jakiegoś mężczyzny, którego obie znały, o tym, że nie ma podejścia do dzieci. I w miarę jak im się przysłuchiwaaliśmy, zerkając raz po raz ukradkiem w ich stronę, coś zaczęło się zmieniać. Odczułam to wyraźnie i widziałam, że odczuwają to pozostali. Gdybyśmy zadowolili się widokiem kobiety przez szybę jej biura, gdybyśmy nawet śledzili ją i zgubili gdzieś w mieście, moglibyśmy wrócić do Chałup podekscytowani i z poczuciem triumfu. Teraz

jednak, w tej galerii, była zbyt blisko nas, o wiele bliżej, niż tego naprawdę chcieliśmy. I im dłużej jej się przysłuchiwalismy i przyglądalismy, tym mniej wydawała się podobna do Ruth. Utwierdzalismy się w tym przekonaniu niemal namacalnie i widziałam, że Ruth, która wpatrywała się w obraz po drugiej stronie sali, powzięła je w tym samym stopniu co reszta. Dlatego pewnie tak długo dreptalismy po tej galerii, opóźniając moment, gdy będziemy musieli się naradzić.

A potem kobieta nagle wyszła, a my wszyscy stalismy dalej w miejscu, nie patrząc sobie w oczy. Nikomu nie przyszło jednak do głowy, by ruszyć w ślad za nią, i w miarę jak mijaly kolejne sekundy, stalo się jasne, że zgadzamy się raczej w ocenie sytuacji.

Siwa pani wstala w koncu od swojego biurka.

— To wyjątkowo urocza praca — powiedziala do Tommy'ego, który stal najbliziej.
— Nalezny do moich ulubionych.

Tommy odwrócił się do niej i parsknal śmiechem.

— Jesteście studentami sztuki? — zapytala pani, kiedy podeszlam, zeby przyjść mi z pomocą.

— Niezupełnie — odparlam, zanim Tommy zdazyl się odezwac. — Po prostu lubimy ogladac obrazy.

Siwa pani rozpromienila się. Oznajmila, że artysta, którego prace ogladamy, jest z nią spokrewniony, i zaczela opowiadac o całej jego dotychczasowej karierze. Dzieki temu ocknelismy się przynajmniej z transu, w którym się znajdowalismy, i otoczyliśmy ją wianuszkami, tak jak to robilismy w Hailsham, gdy zaczynal do nas przemawiac jakis wychowawca. Dodalo to faktycznie animuszu siwej pani, a my potakiwalismy i glosno się zachwycalismy, kiedy informowala nas, gdzie artysta malowal swoje obrazy, o jakiej porze dnia lubi to robic oraz że niektóre maluje w ogóle bez szkiców. Po jakimś czasie jej wyklad w naturalny sposób się zakonczyl, a my odetchnelismy z ulgą, podziekowalismy i wyszlimy.

Uliczka na zewnatrz byla taka waska, że nie mogliśmy się porzadnie naradzić i byliśmy chyba z tego wszyscy zadowoleni. Kiedy, idac gęsiego, oddalalismy się od galerii, widzialam, że kroczący przed nami Rodney rozprostowuje w teatralnym gęście ramiona, upajajac się chwilą tak samo, jak robil to zaraz po przyjeździe do miasteczka. Nie bylo to

jednak zbyt przekonujące i kiedy uliczka zrobiła się szersza, stanęliśmy wszyscy w miejscu.

Znaleźliśmy się ponownie niedaleko klifu. I podobnie jak wcześniej można było, wychylając się przez balustradę, dostrzec biegnące zygzakiem w dół ścieżki, tyle że tym razem widać było również nadmorską promenadę z rzędem zabitych deskami straganów.

Przez kilka chwil gapiliśmy się po prostu w dół, wystawieni na podmuchy wiatru. Rodney próbował nadrabiać miną, tak jakby nie chciał, żeby cały ten incydent zepsuł nam miłą wycieczkę. Pokazał Chrissie coś na morzu, daleko, prawie przy samym horyzoncie, lecz ona odwróciła się do niego plecami.

— No cóż, chyba się zgadzamy? — zapytała. — To nie jest Ruth. — Roześmiała się cicho i położyła dłoń na ramieniu Ruth. — Przykro mi. Wszystkim nam jest przykro. Ale naprawdę nie możemy winić o to Rodneya. To nie był taki głupi pomysł. Musicie przyznać, że kiedy zobaczyliśmy ją przez to okno, wydawało się...

Chrissie urwała i ponownie położyła dłoń na ramieniu Ruth, która nic nie odpowiedziała, wzruszyła tylko ramionami, prawie jakby chciała ją strącić. Wpatrywała się przy tym zmrużonymi oczyma w dal, bardziej w niebo niż w morze. Widziałam, że jest zdenerwowana, ale ktoś, kto jej nie znał, mógł dojść do wniosku, że się po prostu zamyśliła.

— Przykro mi, Ruth — powiedział Rodney i on także klepnął Ruth po ramieniu.

Jednocześnie uśmiechał się, jakby ani przez chwilę nie sądził, by można go było o cokolwiek winić. Jakby próbował wyświadczyć jej jakąś grzeczność, lecz nic z tego nie wyszło.

Pamiętam, że obserwując w tym momencie Chrissie i Rodneya, pomyślałam, że są w porządku. Byli na swój sposób mili i próbowali pocieszyć Ruth. Ale pamiętam również, że chociaż to oni mówili, jak im przykro, a ja i Tommy milczeliśmy, byłam na nich zła ze względu na Ruth. Ponieważ niezależnie od tego, jak jej współczuli, widziałam, że w gruncie rzeczy odetchnęli z ulgą. Zrobili to, bo sytuacja ułożyła się tak, jak się ułożyła: bo mogli ją teraz pocieszać, zamiast wlec się w ogonie jej rozbudzonych nadziei. Odetchnęli z ulgą, albowiem nie potwierdziło się, dobitniej niż kiedykolwiek, to przekonanie, które ich jednocześnie fascynowało, dręczyło i trwożyło: że przed wychowankami Hailsham

stoją otworem najróżniejsze możliwości, które nie stoją otworem przed nimi. Pamiętam, iż pomyślałam wówczas, że Chrissie i Rodney różnią się jednak bardzo od naszej trójki.

— Nie rozumiem, jakie to w końcu ma znaczenie — oznajmił nagle Tommy. — Chodziło chyba o to, żeby się zabawić.

— Może to była zabawa dla ciebie, Tommy — stwierdziła chłodno Ruth, wpatrując się prosto przed siebie. — Nie uważałbyś tak, gdybyśmy szukali twojego pierwowzoru.

— Chybabym tak uważał — odparł Tommy. — Nie rozumiem, dlaczego to takie ważne. Nawet jeśli znajdziesz swój pierwowzór, prawdziwą osobę, z której cię skopiowali. Nawet wówczas nie rozumiem, jakie to w ogóle ma znaczenie.

— Dzięki za twoje głębokie przemyślenia, Tommy — powiedziała Ruth.

— Ale moim zdaniem Tommy ma rację — wtrąciłam. — Głupotą jest sądzić, że twoje życie potoczy się tak samo jak życie twojego modelu. Zgadzam się z Tommym. To była czysta zabawa. Nie powinniśmy tego tak poważnie traktować.

Mówiąc to, również wyciągnęłam rękę i dotknęłam ramienia Ruth. Chciałam, żeby poczuła kontrast między moim dotknięciem i dotknięciem Chrissie i Rodneya, i umyślnie wybrałam dokładnie to samo miejsce. Spodziewałam się jakiejś reakcji, jakiegoś sygnału, że między naszą trójką istnieje porozumienie innego, głębszego rodzaju aniżeli to, które łączyło ją z weteranami. Ale Ruth w ogóle nie zareagowała, nie wzruszyła nawet ramionami jak wówczas, gdy dotknęła ją Chrissie.

Gdzieś za plecami słyszałam Rodney'a, który chodził w tę i z powrotem, wydając odgłosy wskazujące, że marznie na silnym wietrze.

— Może byśmy odwiedzili teraz Martina? — zaproponował. — Jego mieszkanie jest niedaleko, za tymi domami.

Ruth nagle westchnęła i odwróciła się do nas.

— Szczerze mówiąc — oznajmiła — od samego początku wiedziałam, że to głupota.

— Jasne — potwierdził skwapliwie Tommy. — Chodziło o to, żeby trochę się zabawić.

Ruth posłała mu poirytowane spojrzenie.

— Bądź tak łaskaw i przestań pleść te bzdury o „zabawianiu się”, Tommy. I tak nikt cię nie słucha — odezwała się, po czym odwróciła się do Chrissie i Rodneya. — Nie

chciałam tego mówić, kiedy mi po raz pierwszy powiedzieliście. Ale to się nigdy nie trzymało kupy. Oni nigdy, przenigdy nie używają kogoś w rodzaju tej kobiety. Pomyślcie tylko. Dlaczego miałyby się na to zgodzić? Wszyscy o tym wiemy, więc dlaczego nie powiedzieć tego wprost? Nie jesteśmy skopiovani z tego rodzaju ludzi...

— Ruth — przerwałam jej stanowczo. — Przestań, Ruth.

Lecz ona mówiła dalej:

— Wszyscy o tym wiemy. Jesteśmy skopiovani z hołoty. Ćpunów, prostytutek, pijaków, meneli. Być może więźniów, pod warunkiem że nie są stuknięci. Od nich właśnie pochodzimy. Wszyscy o tym wiemy, więc dlaczego nie powiedzieć tego wprost? Kobieta tego pokroju? Dajcie spokój. Tak, masz rację, Tommy. Chodzi o to, żeby się zabawić. Zabawmy się trochę i poudawajmy. Ta druga kobieta, jej przyjaciółka, starsza pani w galerii, wzięła nas za studentów sztuki. Myślicie, że w ogóle by z nami rozmawiała, gdyby wiedziała, kim naprawdę jesteśmy? Co waszym zdaniem by odpowiedziała, gdybyśmy zapytali: „Przepraszamy, ale czy nie sądzi pani, że jej przyjaciółka była kiedyś modelem dla klonów?”. Wyrzuciłaby nas na ulicę. Wiemy o tym, więc możemy powiedzieć to na głos. Jeśli chcecie szukać pierwowzorów, jeśli chcecie to robić jak należy, szukajcie ich w rynsztoku. Szukajcie w śmietnikach. Szukajcie w szambie, tam zobaczycie, skąd się wszyscy wzięliśmy.

— Ruth — odezwał się Rodney i w jego głosie zabrzmiał ostrzegawczy ton. — Zapomnijmy o tym i chodźmy odwiedzić Martina. Ma dzisiaj wolne popołudnie. Spodoba ci się, to naprawdę zabawny facet.

Chrissie objęła ją ramieniem.

— Chodź, Ruth. Zróbmy to, co mówi Rodney. Ruth wyprostowała się, a Rodney ruszył alejką.

— Wy możecie iść — powiedziałam cicho. — Ja nie idę.

Ruth odwróciła się i bacznie mi się przyjrzała.

— I co ty w ogóle wiesz? Kto jest teraz zdenerwowany — zapytała?

— Nie jestem zdenerwowana. Ale czasami opowiadasz bzdury, Ruth.

— Och, popatrzcie, kto jest teraz zdenerwowany. Biedna Kathy. Nigdy nie lubiła, kiedy wykladała się kawę na ławę.

— To nie ma z tym nic wspólnego. Nie chcę odwiedzać opiekuna. Nie powinniśmy tego robić, i nawet nie znam tego faceta.

Ruth wzruszyła ramionami i wymieniła spojrzenia z Chrissie.

— No cóż — mruknęła — nie ma powodu, żebyśmy przez cały czas chodzili wszędzie razem. Jeśli wielka pani nie chce iść z nami, wcale nie musi. Niech się sama przespaceruje — syknęła i nachyliła się do Chrissie. — To zawsze najlepszy sposób, kiedy Kathy ma muchy w nosie — dodała scenicznym szeptem. — Trzeba zostawić ją w spokoju, samo jej przejdzie.

— Bądź przy samochodzie o czwartej. W przeciwnym razie będziesz musiała wracać autostopem — przestrzegł mnie Rodney i roześmiał się. — Daj spokój, Kathy, nie dąsaj się. Chodź z nami — dodał.

— Nie. Idźcie sami. Ja nie mam ochoty.

Rodney wzruszył ramionami i ruszył alejką. Ruth i Chrissie podążyły w ślad za nim, ale Tommy nie ruszył się z miejsca.

— Zostaję z Kath — oznajmił, kiedy Ruth posłała mu pytające spojrzenie. — Jeśli się rozdzielamy, zostaję z Kath.

Ruth spojrzała na niego spode łba, po czym odwróciła się i odmaszerowała. Wyraźnie skrepowani Chrissie i Rodney popatrzyli na niego i także odeszli.

Rozdział 15

Tommy i ja oparliśmy się o balustradę i podziwialiśmy widoki, aż do chwili kiedy Ruth, Chrissie i Rodney zniknęli z pola widzenia.

— To tylko takie gadanie — stwierdził w końcu. — Ludzie mówią takie rzeczy, kiedy się nad sobą użalają. To tylko takie gadanie. Wychowawcy nigdy nam czegoś takiego nie mówili.

Ruszyłam w przeciwną stronę niż tamci i pozwoliłam, żeby Tommy zrównał się ze mną krokiem.

— Nie warto się tym denerwować — podjął po chwili. — Ruth zawsze robi takie rzeczy. W ten sposób się wyładowuje. Zresztą, jak już jej mówiliśmy, nawet jeśli to prawda, nawet w małej części prawda, nie widzę, jakie to mogłoby mieć znaczenie. To, kim są nasze pierwowzory, nie ma z nami nic wspólnego, Kath. Nie warto się po prostu tym przejmować.

— W porządku — odparłam i celowo trąciłam go ramieniem. — W porządku, w porządku.

Szliśmy chyba w stronę centrum, ale nie byłam tego taka pewna. Zastanawiałam się, jak zmienić temat, lecz Tommy zrobił to pierwszy.

— Pamiętasz ten sklep Woolwortha, w którym byliśmy wcześniej? — zapytał. — Kiedy stałaś tam z tyłu razem z innymi, próbowałem coś znaleźć. Coś dla ciebie.

— Prezent? — Spojrzałam na niego zdziwiona. — Nie wiem, czy Ruth byłaby zadowolona. Chyba że jej kupiłbyś coś o wiele większego.

— Coś w rodzaju prezentu. Tyle że nie mogłem go znaleźć. Miałem ci nic nie mówić, ale teraz może znowu go poszukam. Pod warunkiem że mi pomożesz. Nie jestem zbyt dobry w robieniu zakupów.

— O czym ty mówisz, Tommy? Chcesz mi dać prezent, ale ja mam pomóc ci go wybrać...?

— Nie, ja wiem, co to jest. Chodzi o to, że... — Tommy roześmiał się i wzruszył ramionami. — No dobrze, mogę ci zresztą powiedzieć. W tym sklepie, gdzie byliśmy, mieli regał z mnóstwem płyt i kaset. I szukałem tam tej, którą wtedy zgubiłaś. Pamiętasz, Kath? Tylko że nie potrafiłem sobie przypomnieć, co to było.

— Chodzi ci o moją kasetę? Nie miałam pojęcia, że o niej wiesz, Tommy.

— Jasne, że wiem. Ruth mówiła ludziom, żeby jej szukali, i powtarzała, że naprawdę zmartwiła cię jej strata. Więc próbowałem ją znaleźć. Nigdy ci o tym nie mówiłem, ale naprawdę bardzo się starałem. Przyszło mi do głowy, że mogę przeszukać pewne miejsca, do których ty nie masz dostępu. Na przykład męskie sypialnie. Pamiętam, że szukałem całe wieki, ale bez skutku.

Zerknęłam na niego i poczułam, że mija mi zły nastrój.

— Nic o tym nie wiedziałam — mruknęłam. — To miło z twojej strony.

— Niewiele to wszystko dało. Ale naprawdę chciałem ją dla ciebie znaleźć. I kiedy zorientowałem się wreszcie, że nic z tego nie wyjdzie, pomyślałem sobie: „Któregoś dnia pojedę do Norfolku i znajdę to dla niej”.

— W zagubionym zakątku Anglii — powiedziałam i rozejrzałam się dookoła. — I właśnie tu jesteśmy!

Tommy także się rozejrzał i zatrzymaliśmy się w miejscu. Byliśmy w kolejnym zaułku, lecz nie tak wąskim jak ten przy galerii. Przez chwilę rozglądaliśmy się teatralnie na wszystkie strony, a potem parsknęliśmy śmiechem.

— Zatem to nie był wcale taki głupi pomysł — stwierdził Tommy. — W tym sklepie Woolwortha były najróżniejsze kasety, więc pomyślałem, że muszą mieć i twoją. Ale chyba jej nie mają.

— Chyba jej nie mają? Och, Tommy, chcesz powiedzieć, że nawet porządnie nie sprawdziłeś?

— Sprawdziłem, Kath. Chodzi o to, że... to naprawdę irytujące, ale nie mogę sobie przypomnieć tytułu. Wtedy w Hailsham szperałem w skrzyniach z kolekcjami i w ogóle wszędzie, a teraz nie mogę sobie za nic przypomnieć. To była Julie Bridges czy coś...

— Judy Bridgewater. *Piosenki po zmroku*.

Tommy potrząsnął zdecydowanie głową.

— Na pewno jej nie mieli.

Roześmiałam się i szturchnęłam go w ramię.

— Czegoś takiego nie będą mieli u Woolwortha, Tommy — wyjaśniłam, kiedy zrobił zdziwioną minę. — Mają najnowsze przeboje. Judy Bridgewater to ktoś, kto występował całe wieki temu. Pojawiła się po prostu przypadkiem na jednej z naszych wyprzedaży. Nie będzie jej teraz u Woolwortha, ty głuptasie!

— Mówiłem już, że się na tym nie znam. Ale mają tam tyle kaset...

— Mają trochę kaset, Tommy. Zresztą nieważne. To miło z twojej strony. Jestem naprawdę wzruszona. To wspaniały pomysł. W końcu jesteśmy w Norfolku — oznajmiłam i ruszyliśmy dalej.

— No więc dlatego musiałem ci o tym powiedzieć — mruknął z wahaniem Tommy. — Chciałem zrobić ci niespodziankę, lecz nic z tego nie wyszło. Nawet znając tytuł płyty, nie wiem, gdzie jej szukać. Ale teraz, kiedy ci powiedziałem, możesz mi pomóc. Możemy jej poszukać razem.

— O czym ty mówisz, Tommy? — zapytałam.

Chciałam, żeby w moim głosie zabrzmiał karcący ton, lecz nie mogłam się nie roześmiać.

— Mamy ponad godzinę. To prawdziwa okazja.

— Tommy, ty głuptasie. Naprawdę w to wierzysz, tak? W te wszystkie opowieści o zagubionym zakątku?

— Niekoniecznie wierzę. Lecz skoro już tu jesteśmy, możemy poszukać. To znaczy, chciałabyś chyba odszukać tę kasetę? Co mamy do stracenia?

— No dobrze. Kompletnie zgłupiałeś, ale dobrze.

Tommy rozpostarł bezradnie ręce.

— No więc dokąd pójdziemy, Kath? Mówiłem już, że nie znam się na robieniu zakupów.

— Musimy zajrzeć do sklepów z używanymi rzeczami — odparłam po krótkim zastanowieniu. — Tam gdzie sprzedaje się stare ubrania i stare książki. Mają tam czasami całe pudła z płytami i kasetami.

— W porządku. Ale gdzie są te sklepy?

Kiedy przypominam sobie, jak stałam tam w zaułku z Tommym tuż przed rozpoczęciem naszych poszukiwań, ogarnia mnie błogie uczucie. Wszystko wydało mi się nagle idealnie piękne: mieliśmy wolną godzinę i nie było lepszego sposobu, żeby ją spędzić. Musiałam się z całej siły powstrzymać, żeby nie wybuchnąć głupawym śmiechem albo nie zacząć podskakiwać w miejscu niczym małe dziecko. Gdy niedawno temu, opiekując się Tommym, napomknęłam o naszej wycieczce do Norfolku, wyznał, że czuł dokładnie to samo. Ruszając na poszukiwanie mojej zagubionej kasety, mieliśmy wrażenie, że nagle rozwiały się wszystkie chmury i czeka nas tylko radość i dobra zabawa.

Z początku zaglądaliśmy w nieodpowiednie miejsca: do antykwariatów albo sklepów, w których pełno było odkurzaczy, lecz ani jednego nagrania. Po pewnym czasie Tommy uznał, że zna się na zakupach nie gorzej ode mnie, i oświadczył, że to on nas poprowadzi. Traf chciał, że chwilę później odkrył uliczkę z czterema sklepami dokładnie w rodzaju, jakiego szukaliśmy, ulokowanymi praktycznie obok siebie. W witrynach było pełno sukienek, damskich torebek i szkolnych albumów, a kiedy weszliśmy do środka, w nozdrza uderzył nas słodki zapach stęchlizny. Były tam sterty wymiętych tanich książek i zakurzone pudła z pocztówkami i świecidełkami. Jeden ze sklepów specjalizował się w hipisowskim asortymencie, w innym mieli wojenne medale i fotografie żołnierzy na pustyni. Ale w każdym było jedno albo dwa duże pudła z płytami długogrającymi i kasetami magnetofonowymi. Zaczęliśmy tam myszkować i szczerze mówiąc, po kilku minutach zapomnieliśmy chyba trochę o Judy Bridgewater. Cieszyło nas po prostu, że możemy przetrząsać te wszystkie rzeczy, rozdzielając się, a potem odnajdując w tych samych miejscach, być może polując na to samo oświetlone promykiem słońca, stojące w zakurzonym kącie pudło ze starociami.

I oczywiście znalazłam tę kasetę. Przerzucałam pudełka, skupiona na czymś innym, i nagle zobaczyłam ją między palcami, wyglądającą zupełnie tak samo jak przed laty: Judy z papierosem i niewyraźnymi palmami w tle spoglądała kokieteryjnie na barmana.

Nie krzyknęłam z radości, tak jak to czyniłam, trafiając na coś, co choć umiarkowanie mi się podobało. Stałam tam zupełnie nieruchomo, spoglądając na plastikowe pudełko i nie wiedząc, czy jestem, czy nie jestem uradowana. Przez sekundę

wydawało mi się nawet, że stało się coś złego. Kasetę była idealnym pretekstem do całej zabawy, lecz teraz, kiedy się znalazła, musieliśmy ją przerwać. Być może dlatego, ku własnemu zaskoczeniu, z początku w ogóle się nie odezwałam; udawałam, że jej nie widzę. Teraz, kiedy przede mną leżała, było w niej coś w nieokreślony sposób krępującego, jakbym z tego wszystkiego wyrosła. Posunęłam się nawet do tego, że puściłam pudełko i pozwoliłam, by przykryło je następne. Ale wciąż widziałam jego grzbiet i w końcu zawołałam Tommy'ego.

— To ta? — zapytał z autentycznym niedowierzaniem, być może dlatego, że byłam taka spokojna.

Wyciągnęłam kasetę z pudła, wzięłam w obie dłonie i nagle poczułam ogromną radość — a także coś więcej, coś bardziej skomplikowanego, co przyprawiało mnie niemal o płacz. Opanowałam jednak emocje i uściśniłam tylko ramię Tommy'ego.

— Tak, to ta — odrzekłam i po raz pierwszy uśmiechnęłam się podniecona. — Potrafisz w to uwierzyć? Naprawdę ją znaleźliśmy!

— Myślisz, że to ta sama? To znaczy właśnie ta? Ta, którą zgubiłaś?

Obracając ją w palcach, odkryłam, że pamiętam szczegóły tylnej okładki, tytuły nagrań, wszystko.

— Z tego, co wiem, to całkiem możliwe — zauważyłam. — Ale muszę ci powiedzieć, Tommy, że mogą ich być tysiące.

Teraz ja z kolei dostrzegłam, że Tommy nie ma takiej triumfalnej miny, jakiej można by się spodziewać.

— Widzę, że nie bardzo się ze mną cieszysz — powiedziałam, starając się, by zabrzmiało to żartobliwie.

— Cieszę się razem z tobą, Kath. Żałuję tylko, że sam jej nie znalazłem — odparł i cicho się roześmiał. — Kiedy ją zgubiłaś, wyobrażałem sobie, jak to będzie wyglądało, kiedy ją znajdę i ci przyniosę. Co wtedy powiesz, jaką zrobisz minę, wszystko.

Mówił ciszej niż zwykle i wbijał wzrok w plastikowe pudełko w moich dłoniach. I nagle uświadomiłam sobie bardzo wyraźnie, że z wyjątkiem starszego pana, który sterczał za ladą przy wejściu, wykonując jakąś papierkową robotę, jesteśmy tam zupełnie sami. Staliśmy przy tylnej ścianie, na podwyższeniu, które było pogrążone w mroku i

bardziej ustronne, jak gdyby starszy pan nie chciał myśleć o znajdujących się tam rzeczach i oddzielił je w myślach zasłoną. Przez kilka sekund Tommy wyglądał, jakby wpadł w trans, i domyślałam się, że snuje te swoje stare fantazje o wręczaniu mi kasety. A potem wyrwał mi nagle z ręki pudełko.

— Ale mogę ci ją przynajmniej kupić — oznajmił z uśmiechem i nim zdołałam go powstrzymać, ruszył w stronę wejścia.

Kiedy starszy pan szukał kasety, żeby włożyć ją do pudełka, pokręciłam się jeszcze trochę na tyłach sklepu. Żałowałam, że znaleźliśmy ją tak szybko i dopiero później, gdy wróciliśmy do Chałup i usiadłam sama w swoim pokoju, naprawdę doceniłam, że ją z powrotem mam — kasetę i tę piosenkę. Ale wszystko to przepojone było nostalgią, i dzisiaj, jeśli przypadkiem na nią spojrzę, przychodzi mi na myśl zarówno tamto popołudnie w Norfolkku, jak i nasz pobyt w Hailsham.

Po wyjściu ze sklepu zależało mi na tym, żeby odzyskać beztroski, niemal głupawy nastrój, w jakim byliśmy poprzednio. Kilka razy zażartowałam, lecz Tommy był pogrążony w zadumie i nic nie odpowiedział.

Zaczęliśmy wspinać się stromą ścieżką i mniej więcej sto jardów nad nami zobaczyliśmy na samym skraju klifu coś w rodzaju punktu widokowego z ławkami zwróconymi w stronę morza. W lecie zwyczajna rodzina mogłaby tam usiąść i urządzić piknik. Mimo chłodnego wiatru ruszyliśmy w tamtą stronę, ale kiedy zostało nam jeszcze trochę drogi, Tommy wyraźnie zwolnił.

— Chrissie i Rodney mają naprawdę obsesję na tym punkcie — powiedział. — No wiesz, że ludzie mogą uzyskać odroczenie donacji, jeśli się naprawdę kochają. Są przekonani, że wszystko na ten temat wiemy, ale przecież w Hailsham nikt o tym nie mówił. Przynajmniej ja nigdy o czymś takim nie słyszałem, a ty, Kath? Nie, to po prostu coś, czym pasjonują się ostatnio weterani. A osoby takie jak Ruth podsycają w nich tę nadzieję.

Przyjrzałam mu się uważnie, ale nie wiedziałam, czy powiedział to z żartobliwą czułością, czy z rodzajem niechęci. Tak czy owak, widziałam, że w gruncie rzeczy chodzi mu o coś innego, co nie miało nic wspólnego z Ruth, milczałam więc i czekałam. Tommy w końcu stanął i zaczął trącać stopą leżącą na ziemi, zgniecioną tekturową filiżankę.

— Właściwie, Kath, zastanawiam się nad tym od pewnego czasu — ciągnął dalej. — Jestem pewien, że się nie mylimy, w Hailsham nic o tym nie mówiono. Ale było wówczas mnóstwo rzeczy, które nie miały sensu. I pomyślałem, że jeśli ta plotka jest prawdziwa, toby dużo wyjaśniało. Dużo rzeczy, nad którymi łamaliśmy sobie głowy.

— Co masz na myśli? Jakie rzeczy?

— Na przykład Galerię. — Tommy ściszył głos i przysunął się do mnie bliżej, jakbyśmy byli w Hailsham i rozmawiali w kolejce po obiad albo przy stawie. — Nigdy nie odkryliśmy do końca, po co istniała Galeria. Dlaczego Madame zabierała nasze najlepsze prace. Ale teraz chyba wiem. Pamiętasz, Kath, jak wszyscy kłócili się o żetony? Czy nie powinniśmy ich dostawać za rzeczy, które zabrała Madame. Roy J. poszedł nawet w tej sprawie do panny Emily. I było coś, co panna Emily wówczas powiedziała, coś, co jej się wymknęło i co nie dawało mi spokoju.

Obok przeszły dwie kobiety, trzymając na smyczach psy, i chociaż było to zupełnie absurdalne, umilkliśmy i podjęliśmy rozmowę dopiero, kiedy weszły wyżej i znalazły się poza zasięgiem głosu.

— Co to było, Tommy? Co się wymknęło panie Emily? — spytałam.

— Kiedy Roy J. zapytał, po co Madame zabiera nasze rzeczy. Pamiętasz, co mu podobno odpowiedziała?

— Że to przywilej i że powinniśmy być z tego dumni.

— Ale to nie wszystko. — Tommy ściszył teraz głos do szeptu. — Pamiętasz, Kath, co odpowiedziała Royowi, co jej się wymknęło, czego zapewne nie powinna była mówić? Powiedziała Royowi, że rzeczy takie, jak obrazy i poezja, wszystkie tego rodzaju rzeczy odsłaniają, jacy jesteśmy w środku. Odsłaniają naszą duszę.

Kiedy to powiedział, przypomniałam sobie nagle rysunek naszych wnętrzności, który zrobiła pewnego razu Laura, i roześmiałam się. Jednocześnie jednak coś zaczęło mi świtać.

— Zgadza się — odparłam. — Pamiętam. Więc do czego zmierzasz?

— Oto co mi się wydaje — kontynuował Tommy. — Przypuśćmy, że to, co mówią weterani, to prawda. Przypuśćmy, że dla wychowanków Hailsham zostały wprowadzone jakieś specjalne reguły. Przypuśćmy, że dwoje ludzi mówi, że się kochają i chcą więcej

czasu, żeby ze sobą pobyć. Wtedy, Kath, musi być jakiś sposób, żeby ocenić, czy rzeczywiście mówią prawdę. Czy nie mówią tego tylko po to, żeby odroczyć swoje donacje. Rozumiesz, jakie trudne może się to okazać do ustalenia? Para może naprawdę wierzyć, że jest zakochana, ale w rzeczywistości chodzi im tylko o seks. Albo to zwykłe zauroczenie. Pojmujesz, co chcę powiedzieć, Kath? Naprawdę trudno to osądzić i najprawdopodobniej nie sposób uniknąć pomyłek. Chodzi o to, że ktokolwiek to robi, Madame czy ktoś inny, musi mieć coś, na czym mógłby się oprzeć.

Pokiwałam powoli głową.

— Więc dlatego zabierali nasze prace...

— Całkiem możliwe. Madame ma gdzieś Galerię wypełnioną pracami wykonanymi przez wychowanków, od czasu kiedy byli mali. Przypuśćmy, że dwoje ludzi przychodzi i mówi, że się kochają. Madame może odszukać to, co wykonywali przez lata. Może zobaczyć, czy się nadają. Czy spełniają wymagania. Nie zapominaj, Kath, że to, co tam jest, odsłania nasze dusze. I Madame może sama zdecydować, który związek jest trwały, a który opiera się tylko na głupim zauroczeniu.

Zaczęłam powoli iść ścieżką, prawie nie patrząc przed siebie. Tommy zrównał się ze mną krokiem i czekał, co powiem.

— Sama nie wiem — stwierdziłam w końcu. — To, co mówisz, może z całą pewnością tłumaczyć to, co panna Emily powiedziała Royowi. I chyba tłumaczy, dlaczego wychowawcy zawsze uważali, że umiejętność malowania i inne rzeczy są dla nas takie ważne.

— Właśnie. I dlatego... — Tommy westchnął i z pewnym wysiłkiem podjął przerwana myśl. — Dlatego panna Lucy musiała przyznać, że się myliła, mówiąc mi, że tak naprawdę to nie ma znaczenia. Powiedziała to, ponieważ było jej mnie wtedy żal. Lecz w głębi duszy wiedziała, że to ma znaczenie. Kiedy jesteś z Hailsham, masz specjalną szansę. Ale jeśli twoje prace nie trafią do Galerii Madame, wtedy ją przepaszczasz.

Dopiero gdy skończył, uświadomiłam sobie nagle z prawdziwym dreszczem, dokąd zmierza. Zatrzymałam się i odwróciłam do niego twarzą, lecz on wybuchnął śmiechem, zanim zdążyłam się odezwać.

— Więc jeśli dobrze kombinuję, wygląda na to, że straciłem swoją szansę.

— Czy jakakolwiek twoja rzecz trafiła kiedykolwiek do Galerii, Tommy? Może kiedy byłeś o wiele młodszy? — zapytałam.

W odpowiedzi pokręcił głową.

— Wiesz, jakim byłem beztalenciem. No a potem zdarzyła się ta historia z panną Lucy. Wiem, że chciała dobrze. Żałowała mnie i chciała mi pomóc. Jestem tego pewien. Ale jeśli moja teoria jest słuszna...

— To tylko teoria, Tommy — wymamrotałam. — Wiesz, jakie są twoje teorie. — Chciałam rozładować trochę atmosferę, lecz nie mogłam odnaleźć właściwego tonu i nie ulegało kwestii, że zastanawiam się intensywnie nad tym, co powiedział. — Może mają różne inne sposoby, żeby to ocenić. Może sztuka jest tylko jedną z wielu rzeczy, na których się opierają.

Tommy ponownie pokręcił głową.

— Jakich rzeczy? Madame nigdy nas nie poznała. Nie pamięta indywidualnie żadnego z nas. Poza tym decyzja nie należy prawdopodobnie tylko do niej. Są tam pewnie ludzie wyżej postawieni, którzy nigdy nie znaleźli się w Hailsham. Dużo o tym myślałam, Kath. Wszystko do siebie pasuje. Dlatego Galeria była taka ważna i dlatego wychowawcom zależało na tym, żebyśmy tworzyli sztukę i poezję. O czym ty myślisz, Kath? — chciał wiedzieć.

Rzeczywiście odbiegłam nieco myślami od tego, co mówił. Przypomniałam sobie to popołudnie, kiedy byłam sama w naszej sypialni i puszczałam kasetę, którą przed chwilą znaleźliśmy: kiedy kręciłam się w kółko, przyciskając do piersi poduszkę, a Madame obserwowała mnie od progu ze łzami w oczach. Nawet ten epizod, którego nigdy dotąd nie potrafiłam przekonująco wytłumaczyć, najwyraźniej pasował do teorii Tommy'ego. Wyobrażałam sobie wówczas, że trzymam na rękach dziecko, ale Madame nie mogła o tym oczywiście wiedzieć. Przypuszczała zapewne, że w swoich marzeniach trzymam w ramionach kochanka. Jeśli teoria Tommy'ego była trafna, jeśli Madame przyjeżdżała do nas wyłącznie po to, żeby później, kiedy się zakochamy, odroczyć nasze donacje, w takim razie sprawa była jasna — mimo okazywanego nam chłodu, Madame była autentycznie wzruszona, widząc tego rodzaju scenę. Wszystkie te myśli przemknęły

mi przez głowę i przez chwilę miałam zamiar wyjawić to Tommy'emu. Potem jednak ugryzłam się w język, ponieważ chciałam teraz pomniejszyć znaczenie jego teorii.

— Myślałam po prostu o wszystkim, co mi powiedziałeś — odparłam. — Powinniśmy już wracać. Może chwilę potrwać, nim znajdziemy parking.

Ruszyliśmy po własnych śladach w dół zbocza, wiedzieliśmy jednak, że mamy jeszcze sporo czasu i nie śpieszyliśmy się.

— Powiedziałeś o tym Ruth? — zapytałam go po kilku chwilach.

Tommy pokręcił głową i nie zwolnił kroku.

— Prawda jest taka — odpowiedział w końcu — że Ruth wierzy we wszystko, co mówią weterani. Zgoda, lubi udawać, że wie o wiele więcej, niż wie. Ale wierzy w to. I wcześniej czy później będzie chciała posunąć się dalej.

— Chcesz powiedzieć, że ona...

— Tak. Będzie chciała o to wystąpić. Choć jeszcze tego dobrze nie przeanalizowała. Tak jak my teraz.

— Nigdy nie opowiedziałeś jej o swojej teorii na temat Galerii?

Tommy ponownie pokręcił głową i nic nie odpowiedział.

— Jeśli przedstawiś jej swoją teorię — mruknęłam — a ona w nią uwierzy... Będzie wściekła.

Tommy wydawał się pogrążony w zadumie i dłuższy czas milczał. Odezwał się dopiero, kiedy znaleźliśmy się znowu pośród wąskich uliczek. W jego głosie zabrzmiała nagle nieśmiałość.

— Właściwie, Kath — oznajmił — robię pewne rzeczy. Na wszelki wypadek. Nikomu o nich nie powiedziałem, nawet Ruth. Dopiero zacząłem.

Wtedy właśnie po raz pierwszy usłyszałam o jego wymyślonych zwierzętach. Kiedy zaczął mi opisywać, co robi — zobaczyłam to na własne oczy dopiero kilka tygodni później — trudno było mi wykrzesać z siebie choć odrobinę entuzjazmu. Muszę przyznać, że w pierwszej chwili skojarzyłam to z jego dawnym rysunkiem słonia w trawie, który zapoczątkował wszystkie problemy Tommy'ego w Hailsham. Wyjaśnił, że inspiracją stała się dla niego pozbawiona okładki, stara dziecinna książeczka, którą znalazł za jakąś sofą w Chałupach. Poprosił Keffersa, żeby dał mu jeden z małych czarnych zeszytów, w

których tamten prowadził swoje rachunki, i od tego czasu narysował co najmniej tuzin fantastycznych stworów.

— Istotne jest to, że rysuję je naprawdę niewielkie. Malutkie. W Hailsham nigdy na to nie wpadłem. Chyba tu właśnie popełniłem błąd. Jeśli narysuje się je malutkie, a inaczej nie można, bo takie są kartki, wtedy wszystko się zmienia. Wyglądają, jakby pojawiły się same z siebie. Potem trzeba im dorysować najróżniejsze detale. Trzeba pomyśleć, jak się bronią, jak sięgają po rzeczy. Naprawdę, Kath, to w niczym nie przypomina tego, co robiłem w Hailsham.

Zaczął mi opisywać swoje najlepsze rysunki, lecz ja naprawdę nie mogłam się skoncentrować; im bardziej się ekscytował, opowiadając o swoich zwierzakach, tym bardziej nieswojo się czułam. „Znowu zrobisz z siebie pośmiewisko, Tommy — miałam ochotę go ostrzec. — Wyimaginowane zwierzęta? Co ci strzeliło do głowy?”. Ale nie powiedziałam tego.

— To naprawdę ciekawe — powtarzałam tylko, bacznie mu się przyglądając.

— Jak już wspomniałem, Ruth nic nie wie o tych zwierzętach — oświadczył w pewnym momencie. I mówiąc to, przypomniał sobie całą resztę, dlaczego o nich w ogóle mówimy, i znowu zmarkotniał. Przez jakiś czas szliśmy w milczeniu.

— Jeśli w twojej teorii jest ziarno prawdy, Tommy — powiedziałam, kiedy wyszliśmy na główną ulicę — musimy dowiedzieć się wielu innych rzeczy. Na przykład, jak para ma wystąpić o odroczenie? Co mają zrobić? Nie widać raczej leżących wszędzie formularzy.

— Też się nad tym zastanawiałem. — Głos Tommy'ego był ponownie poważny i cichy. — Z tego, co widzę, jest tylko jedna oczywista droga. Musimy odnaleźć Madame.

— To może nie być takie łatwe — odparłam po krótkim namyśle. — Nic o niej nie wiemy. Nie znamy nawet jej nazwiska. I pamiętasz, jaka była? Nie lubiła, kiedy się do niej zbliżaliśmy. Nawet jeśli ją wytropimy, nie sądzę, żeby nam wiele pomogła.

Tommy westchnął.

— Wiem — zgodził się. — No cóż, mamy jeszcze czas. Nikomu z nas się specjalnie nie śpieszy.

Kiedy dotarliśmy w pobliże parkingu, niebo zachmurzyło się i zrobiło się całkiem chłodno. Pozostali jeszcze się nie pojawili, więc Tommy i ja oparliśmy się o nasz samochód i patrzyliśmy na pole do minigolfa. Nie było tam nikogo i chorągiewki trzepotały na wietrze. Ponieważ nie chciałam już mówić o Madame, Galerii i podobnych sprawach, wyciągnęłam z małej torebki kasetę z Judy Bridgewater i uważnie jej się przyjrzałam.

— Dziękuję, że mi ją kupiłeś.

Tommy uśmiechnął się.

— Gdybym to ja podszedł do pudła z kasetami, a ty do płyt, znalazłbym ją pierwszy. Biedny stary Tommy miał pecha.

— To bez znaczenia. Znaleźliśmy ją tylko dlatego, że wpadłeś na ten pomysł. Zapomniałam o opowieści o zaginionym zakątku. Po tym, co mi nagadała Ruth, byłam w fatalnym nastroju. Judy Bridgewater. Moja stara przyjaciółka. Tak jakbym jej nigdy nie straciła. Ciekawe, kto ją wtedy ukradł?

Przez chwilę spoglądaliśmy na ulicę, wypatrując pozostałych.

— Wiesz... kiedy Ruth powiedziała wcześniej to, co powiedziała — mruknął Tommy — i zobaczyłem, jak cię to zdenerwowało...

— Daj spokój, Tommy. Już mi przeszło. I nie zamierzam do tego wracać, kiedy się pojawi.

— Nie, nie o to mi chodziło. — Tommy odsunął się od samochodu, odwrócił się i trącił stopą przednią oponę, jakby chciał ją sprawdzić. — Chodziło mi o to, że kiedy Ruth wyjechała z tym wszystkim, zdałem sobie sprawę, dlaczego oglądałaś te pornosy. No dobrze, nie zdałem sobie sprawy. To tylko teoria. Kolejna z moich teorii. Ale kiedy Ruth powiedziała to, co powiedziała, wszystko zaczęło jakby do siebie pasować.

Wiedziałam, że mnie obserwuje, lecz patrzyłam w milczeniu prosto przed siebie.

— Mimo to w dalszym ciągu nie do końca rozumiem, Kath — wysapał wreszcie. — Nawet jeśli to, co mówi Ruth, jest prawdą, a nie bardzo w to wierzę, dlaczego szukasz swojego pierwowzoru w starych pornosach? Dlaczego twoim modelem miałyby być jedna z tych dziewczyn?

Wzruszyłam ramionami, nie patrząc na niego.

— Nie twierdę, że to ma jakiś sens — odparłam. — Po prostu to robię. — Do oczu napłynęły mi łzy i próbowałam to przed nim ukryć. Nie udało mi się jednak opanować drżenia głosu. — Jeśli tak to cię drażni, nie będę już tego robić — dodałam.

Nie wiem, czy Tommy zobaczył łzy. Tak czy inaczej, zdołałam je powstrzymać, kiedy podszedł do mnie i wziął w ramiona. To było coś, co robił już czasami wcześniej, nie specjalnego ani nowego. A jednak w jakiś sposób pokrzepiło mnie na duchu i cicho się roześmiałam. Tommy puścił mnie, lecz dalej staliśmy przy sobie, dotykając się biodrami i opierając plecami o samochód.

— No dobrze, to nie ma sensu — przyznałam. — Ale wszyscy to robimy, prawda? Wszyscy myślimy o naszych modelach. W końcu po to tu dzisiaj przyjechaliśmy. Wszyscy to robimy.

— Chyba wiesz, Kath, że nikomu o tym nie powiedziałem. O naszym spotkaniu w kotłowni. Ani Ruth, ani nikomu. Ale po prostu tego nie rozumiem. Nie wiem, o co chodzi.

— No dobrze, Tommy. Powiem ci. Być może kiedy się dowiesz, wcale nie wyda ci się to bardziej sensowne, lecz i tak ci powiem. Chodzi po prostu o to, że czasami, kiedy mam ochotę na seks, to uczucie jest naprawdę silne. Nachodzi mnie i przez godzinę albo dwie aż się tego boję. Z tego, co wiem, mogłabym to zrobić nawet ze starym Keffersem, takie jest silne. Dlatego... to jedyny powód, dla którego zrobiłam to z Hughiem. I z Oliverem. To nie jest nic głębokiego. Nawet ich specjalnie nie lubię. Nie wiem, co to jest, i potem, kiedy to uczucie mija, po prostu się boję. Dlatego zaczęłam myśleć, że, no wiesz... że chyba skądś to się bierze. Że to musi mieć coś wspólnego z tym, jaka jestem. — Na chwilę umilkłam, ale kiedy Tommy się nie odezwał, zaczęłam mówić dalej: — Więc pomyślałam, że gdybym znalazła jej zdjęcie w jednym z tych czasopism, to by przynajmniej coś wyjaśniało. Nie chciałam chodzić i jej szukać, nic w tym rodzaju. To by po prostu wyjaśniało, no wiesz... dlaczego jestem taka, jaka jestem.

— Ja też tak czasami mam — przyznał Tommy. — Czasami naprawdę strasznie chcę to zrobić. Myślę, że gdyby ludzie byli szczerzy, wszyscy by się do tego przyznali. Nie sądzę, żebyś się specjalnie różniła od innych, Kath. Mnie na przykład nachodzi to dość często...

Nagle urwał i wybuchnął śmiechem, lecz ja nie roześmiałam się razem z nim.

— To, o czym mówię, jest inne — wyjaśniłam. — Obserwowałam inne osoby. Mają ochotę, ale nie muszą tego od razu robić. Nigdy nie zachowują się tak jak ja, nie robią tego z ludźmi takimi jak Hughie...

Być może zaczęłam znowu płakać, ponieważ poczułam, jak Tommy obejmuje mnie ramieniem. Ale chociaż byłam wytrącona z równowagi, pamiętałam, gdzie się znajdujemy, i nie zrobiłam niczego, co zostałoby źle zrozumiane, gdyby ulicą nadeszła Ruth z innymi i ujrzeli nas w tej chwili. Staliśmy obok siebie, opierając się o samochód, i tamci zobaczyliby najwyżej, że spotkała mnie jakaś przykrość, a Tommy mnie pociesza.

— Nie uważam, żeby to było koniecznie coś złego, Kath — usłyszałam jego głos. — Kiedy znajdziesz kogoś, z kim naprawdę chcesz być, wtedy to może być całkiem fajne. Pamiętasz, co mówili nam wychowawcy? Jeżeli robisz to z właściwą osobą, możesz poczuć się naprawdę dobrze. Poruszyłam ramieniem, chcąc, by zabrał swoją dłoń, i głęboko odetchnęłam.

— Zapomnijmy o tym. Zresztą radzę sobie coraz lepiej z tym pragnieniem, kiedy mnie nachodzi. Więc po prostu zapomnijmy o tym.

— Mimo to, Kath, oglądanie tych czasopism to głupota.

— To głupota, zgoda. Dajmy temu spokój, Tommy. Już mi lepiej.

Nie pamiętam, o czym jeszcze rozmawialiśmy, zanim zjawili się pozostali. Nie omawialiśmy już żadnej ważnej sprawy i jeśli tamci wyczuli, że coś wisi w powietrzu, nie dali tego po sobie poznać. Byli w dobrych humorach i zwłaszcza Ruth wyraźnie chciała zatrzeć złe wrażenie po tym, co zdarzyło się między nami wcześniej. Podeszła i dotknęła mojego policzka, wygłaszając jakiś zabawny komentarz, a potem, gdy wsiedliśmy do samochodu, dbała o to, żebyśmy pozostali w wesołym nastroju. Ona i Chrissie uznały, że Martin jest niesamowicie komiczny, i teraz, kiedy opuściły już jego mieszkanie, korzystały z okazji, żeby zrywać boki ze śmiechu. Rodneyowi nie bardzo się to podobało i zdałam sobie sprawę, że Ruth i Chrissie wychodzą z siebie głównie po to, żeby mu dokuczyć. Wszystko to było dość zabawne. Zauważyłam jednak, że podczas gdy wcześniej Ruth zależało, by wszelkie żarty i aluzje pozostały niezrozumiałe dla mnie i Tommy'ego, teraz, podczas podróży powrotnej, bez przerwy się do mnie odwracała i wyjaśniała dokładnie wszystko, o czym mówili. Po jakimś czasie stało się to nawet dość męczące, ponieważ można było odnieść wrażenie, że cała rozmowa w samochodzie ma na celu

oświecenie nas — a w każdym razie mnie. Cieszyłam się jednak, że Ruth zadaje sobie tyle trudu. Razem z Tommym domyślałam się, że rozumie, iż wcześniej źle się zachowała, i w ten właśnie sposób przyznaje się do winy. Siedziała między nami tak jak wcześniej, lecz teraz bez przerwy ze mną rozmawiała, odwracając się co jakiś czas w drugą stronę, żeby uścisnąć lekko albo pocałować Tommy'ego. Atmosfera była dobra i nikt już nie wspominał o jej pierwowzorze ani niczym podobnym. A ja nie napomknęłam ani słowem o kasecie Judy Bridgewater, którą kupił mi Tommy. Wiedziałam, że Ruth wcześniej czy później o niej się dowie, lecz nie chciałam, żeby stało się to w tym momencie. W trakcie tej podróży do domu, kiedy nad długimi pustymi drogami zapadała ciemność, można było pomyśleć, że cała nasza trójka jest ze sobą znowu blisko, i nie chciałam, żeby cokolwiek zepsuło to wrażenie.

Rozdział 16

Co dziwne, po powrocie z Norfolku prawie w ogóle nie mówiliśmy o naszej wycieczce i w rezultacie przez jakiś czas krążyły najprzeróżniejsze plotki o tym, co tam robiliśmy. Mimo to zachowywaliśmy milczenie, aż w końcu ludzie przestali się tym interesować.

Nie wiem, dlaczego tak się działo. Może czuliśmy, że to sprawa Ruth, że to ona powinna zdecydować, jak dużo powiemy, i czekaliśmy, że da nam jakąś wskazówkę. A Ruth z jakiegoś powodu — może była zakłopotana tym, jak zakończyła się historia z jej pierwowzorem, a może spodobała jej się po prostu ta aura tajemniczości — w ogóle nie poruszała tego tematu. Nawet między sobą unikaliśmy rozmów o wycieczce.

Wszystko to sprawiło, że łatwiej było mi nie mówić jej o kupionej przez Tommy'ego kasecie z Judy Bridgewater. Nie posunęłam się do tego, żeby ją przed nią ukrywać. Leżała przez cały czas w mojej kolekcji, pośród innych rzeczy, które trzymałam w niewielkich stertach przy listwie przypodłogowej. Pamiętałam jednak zawsze, żeby nie zostawiać jej na wierzchu. Bywały chwile, kiedy strasznie chciałam jej powiedzieć o tej kasecie i powspominać razem Hailsham przy dźwiękach puszczonej w tle piosenki. Lecz im więcej czasu upływało od wycieczki do Norfolku, a ja nie wspomniałam o kasecie, tym bardziej stawało się to czymś w rodzaju grzesznego sekretu. Oczywiście w końcu, o wiele później, zauważyła ją, i stało się to chyba w znacznie gorszej chwili, ale tak to już czasem bywa.

Z nadejściem wiosny zaczęło od nas wyjeżdżać na szkolenie coraz więcej weteranów i chociaż robili to bez wielkiego szumu, sama ich zwiększająca się liczba sprawiała, że nie sposób było tego zignorować. Nie jestem pewna, co czuliśmy, będąc świadkami tych wyjazdów. Przypuszczam, że chyba im trochę zazdrościliśmy. Czuło się, że czeka ich wielki, bardziej ekscytujący świat. Poza tym jednak wprawiało nas to oczywiście w coraz większe zakłopotanie.

A potem — to było chyba w kwietniu — jako pierwsza z naszej pochodzącej z Hailsham grupy wyjechała Alice F., a wkrótce potem Gordon C. Oboje poprosili, żeby

wysłać ich na szkolenie, i wyjechali, wesoło się uśmiechając, lecz po ich odejściu atmosfera w Chałupach, przynajmniej dla nas, na zawsze się zmieniła.

Ta epidemia wyjazdów wywarła wrażenie również na wielu weteranach i być może z tego powodu pojawiła się nowa fala plotek podobnych do tych, o których opowiadali w Norfolkku Chrissie i Rodney. Mówiło się o wychowankach gdzieś w innej części kraju, którzy dostali odroczenie, ponieważ udowodnili, że się kochają. Obecnie dotyczyło to również tych, którzy nie pochodzili z Hailsham. Nasza piątka, która była w Norfolkku, konsekwentnie unikała tych tematów; nawet Chrissie i Rodney, kiedyś chętnie biorący udział w podobnych dyskusjach, odwracali ze skrepowaniem wzrok, gdy tylko się zaczynały.

„Efekt Norfolkku” objął również mnie i Tommy'ego. Po powrocie spodziewałam się, że będziemy wykorzystywali każdą okazję, żeby porozmawiać w cztery oczy o jego teorii na temat Galerii. A jednak z jakiegoś powodu — trudno powiedzieć, czy bardziej z mojej, czy z jego winy — nigdy do tego nie doszło. Jedyńm wyjątkiem była, jak przypuszczam, owa chwila, kiedy pokazał mi w kurniku swoje wymaginowane zwierzęta.

Szopa, którą nazywaliśmy kurnikiem, stała na obrzeżach Chałup i ponieważ przeciekał w niej mocno dach, a drzwi stale spadały z zawiasów, wykorzystywały ją wyłącznie pary, zakradające się tam w cieplejszych miesiącach. W tym czasie zaczęłam chodzić na długie samotne spacery i wyruszałam chyba na jeden z nich, kiedy minąwszy kurnik, usłyszałam, że woła mnie Tommy. Odwróciłam się i zobaczyłam, że stoi na bosaka pośród wielkich kałuż, opierając się jedną ręką o ścianę szopy, żeby nie stracić równowagi.

— Co się stało z twoimi wellingtonami, Tommy? — zapytałam.

Poza tym że był boso, miał na sobie jak zwykle gruby sweter i džinsy.

— Właśnie, no wiesz, rysowałem... — odparł ze śmiechem, pokazując mi mały czarny notes, podobny do tego, z jakim chodził wszędzie Keffers. Od naszej wycieczki do Norfolkku minęły już przeszło dwa miesiące, ale widząc notes, od razu zorientowałam się, o co chodzi. — Jeśli chcesz, Kath, pokażę ci — dodał Tommy, po czym przeskakując przez kałuże, ruszył pierwszy do szopy.

Spodziewałam się, że w środku będzie ciemno, ale trochę światła wpadało przez świetliki. Przy jednej ze ścian stały różne graty wyrzucone tam w ciągu ostatnich lat —

połamane stoły, stare lodówki, tego rodzaju rzeczy. Tommy przesunął chyba wcześniej na środek dwusoobową kanapę z wyłazłą spod czarnego plastiku wyściółką, i domyśliłam się, że kiedy przechodziłam obok szopy siedział tam, wykonując swoje rysunki. W pobliżu leżały przewrócone wellingtony, z których wystawały jego piłkarskie skarpetki.

Tommy wskoczył na kanapę i zaczął obmacywać wielki palec u stopy.

— Przepraszam, trochę śmierdzą mi nogi. Zupełnie machinalnie zdjąłem buty i skarpetki. Chyba się skaleczyłem. Chcesz zobaczyć, Kath? Ruth obejrzała je w zeszłym tygodniu i od tego czasu bardzo chciałem ci pokazać. Oprócz niej nikt ich nie widział. Spójrz, Kath.

Wtedy właśnie po raz pierwszy zobaczyłam jego zwierzęta. Słuchając o nich w Norfolku, wyobraziłam sobie pomniejszoną wersję rysunków, które robił, kiedy byliśmy mali. Byłam więc bardzo zaskoczona, widząc, że zostały wykonane z wielką dbałością o szczegóły. Właściwie dopiero po chwili widać było, że przedstawiają zwierzęta. W pierwszym momencie przypominały radio po zdjęciu tylnej ścianki; malutkie kanaliki, kręte ścięgna, miniaturowe śrubki i kółeczka narysowane były wszystkie z obsesyjną precyzją i dopiero po odsunięciu kartki na pewną odległość widziało się, że to, powiedzmy, jakiś pancernik albo ptak.

— To mój drugi zeszyt — wyjaśnił Tommy. — Nie ma mowy, żebym pokazał komuś pierwszy! Chwilę trwało, zanim się rozkręciłem.

Leżał teraz na kanapie, wciągając z nonszalancką miną skarpetkę, ale wiedziałam, że ciekawi go moja reakcja. Mimo to przez dłuższą chwilę nie stać mnie było na szczerą pochwałę. Po części mogło to wynikać z obawy, że wszelka praca artystyczna ściągnie mu ponownie na głowę kłopoty. Poza tym jednak rysunki, na które patrzyłam, tak diametralnie różniły się od tego, czego uczyli nas wychowawcy w Hailsham, że nie wiedziałam, jak je ocenić.

— Boże, Tommy, to wymagało niesamowitej koncentracji. Dziwię się, że w takim oświetleniu potrafisz narysować te wszystkie szczegóły — odezwałam się po chwili. — Ciekawe, co powiedziałyby Madame, gdyby je zobaczyła — dodałam, przerzucając kartki, być może dlatego, że wciąż starałam się odnaleźć właściwe słowa.

Powiedziałam to żartobliwym tonem i Tommy zareagował parsknięciem śmiechu, lecz w tym momencie coś się między nami zmieniło. Przerzucając dalej kartki zeszytu —

który wypełniony był rysunkami mniej więcej w jednej czwartej — nie patrzyłam na niego i żałowałam, że w ogóle wspomniałam o Madame.

— Przypuszczam, że powinienem się znacznie podciągnąć, jeśli chcę, żeby rzuciła na to okiem — usłyszałam w końcu.

Nie byłam pewna, czy chce mnie w ten sposób zachęcić do wyrażenia pochwały, lecz te fantastyczne stwory zdążyły już mnie autentycznie zafascynować. Mimo całej metalicznej ekstrawagancji, każdy z nich miał w sobie coś słodkiego, nawet podatnego na zranienie. Przypomniałam sobie, jak Tommy opowiadał mi w Norfolku, że tworząc je, troszczył się, jak będą się bronić i sięgać po różne rzeczy. Przyglądając im się teraz, wyczuwałam tę samą troskę, jednak z przyczyn, których nie potrafiłam zrozumieć, wstrzymywałam się z pochwałą.

— Tak czy owak, rysuję te zwierzaki nie tylko z tamtych powodów — oznajmił w pewnym momencie Tommy. — Po prostu lubię to robić. Zastanawiałem się, Kath, czy powinienem się z tym kryć. Pomyślałem, że nie zaszkodzi, jeśli ludzie dowiedzą się, że to robię. Hannah maluje swoje akwarele i wielu weteranów robi podobne rzeczy. Nie chcę powiedzieć, że będę chodził i podtykał to wszystkim pod nos. Ale pomyślałem, że nie ma powodu, abym trzymał to dalej w tajemnicy.

Wreszcie byłam w stanie spojrzeć mu prosto w oczy.

— Nie ma powodu, Tommy, nie ma absolutnie żadnego powodu — powiedziałam z przekonaniem. — Te rysunki są dobre. Naprawdę bardzo dobre. Jeśli chowasz się tu z ich przyczyny, to głupota.

Tommy nic nie odpowiedział, lecz na jego twarzy pojawił się uśmiech, jakby przypomniał sobie jakiś żart, i widziałam, że sprawiłam mu wielką przyjemność. Nie sądzę, żebyśmy ze sobą jeszcze długo rozmawiali. Tommy włożył wkrótce swoje wellingtony i wyszliśmy z szopy. Jak powiadam, był to chyba jedyny raz, kiedy mówiliśmy tamtej wiosny o jego teorii.

A potem nadeszło lato i minął rok od naszego przyjazdu. Minibusem przyjechała, podobnie jak my wcześniej, nowa grupa wychowanków, ale żaden z nich nie był z Hailsham. Z pewnych względów sprawiło nam to ulgę; wszyscy obawialiśmy się chyba trochę, że nowi wychowankowie z Hailsham mogą skomplikować sytuację. Ten fakt wzmógł we mnie jednak poczucie, że Hailsham jest teraz daleko za nami i więzi łączące

naszą starą paczkę wyraźnie słabną. Nie chodziło tylko o to, że Hannah i jej podobni bez przerwy mówili o pójściu w ślady Alice i rozpoczęciu szkolenia; inne dziewczyny, jak Laura, znalazły sobie chłopaków, którzy nie pochodzili z Hailsham, i można było niemal zapomnieć, że mają z nami coś wspólnego.

Do tego dochodziło zachowanie Ruth, która stale udawała, że zapomina najróżniejsze związane z Hailsham rzeczy. Zgoda, były to w większości zupełnie trywialne detale, ale coraz bardziej mnie to irytowało. Siedzieliśmy na przykład pewnego razu przy kuchennym stole po drugim śniadaniu, Ruth, ja oraz kilkoro weteranów i jeden z nich opowiadał, że jedzenie wieczorem sera źle wpływa na sen. Odwróciłam się wtedy do Ruth i powiedziałam: „Pamiętasz, jak panna Geraldine zawsze nam to powtarzała?”. Była to zupełnie zdawkowa uwaga i wystarczyłoby, żeby Ruth się uśmiechnęła albo kiwnęła głową. Ona jednak spojrzała na mnie tak, jakby nie miała zielonego pojęcia, co ja plotę. Dopiero kiedy wyjaśniłam weteranom, że mówię o jednej z naszych wychowawczyń, Ruth zmarszczyła brwi i pokiwała głową, jakby właśnie sobie przypomniała.

Wówczas jej to darowałam. Nie darowałam za to innym razem, kiedy siedzieliśmy wieczorem pod rozpadającą się wiatą przystanku autobusowego. Zdenerwowałam się wtedy, ponieważ czym innym było prowadzenie tej gry w obecności weteranów, a czym innym, kiedy byliśmy tylko we dwie i rozmawialiśmy na poważne tematy. Chwilę wcześniej nawiązałam zupełnie mimochodem do faktu, że w Hailsham nie wolno było skracać sobie drogi do stawu przez zagon rabarbaru, i kiedy Ruth zrobiła wielkie oczy, przestałam mówić o tym, o czym akurat mówiłam.

— Nie mogłaś o tym zapomnieć, Ruth — prychnęłam. — Więc nie wciskaj mi tego kitu.

Być może gdybym nie zareagowała tak ostro — gdybym obróciła sprawę w żart i kontynuowała to, o czym wcześniej mówiłam — dostrzegłaby, jak absurdalne jest jej zachowanie, i wybuchłaby śmiechem. Ponieważ jednak na nią napadłam, spiorunowała mnie wzrokiem.

— A jakie to ma w ogóle znaczenie? — zapytała. — Co rabarbar ma z tym wszystkim wspólnego? Po prostu powiedz, co masz do powiedzenia.

Robiło się późno, zapadał letni zmierzch i pod starą wiatą zalatywało stęchlizną i wilgocią po ostatniej burzy z piorunami. Nie miałam więc głowy do tłumaczenia jej,

dlaczego to takie ważne. Ale chociaż nie drążyłam tej kwestii i podjęłam przerwany wątek, atmosfera się ochłodziła i nie pomogło nam to wcale rozwikłać trudnych spraw, którymi się wtedy zajmowałyśmy.

Żeby wyjaśnić, o czym rozmawialiśmy tamtego wieczoru, muszę się jednak cofnąć w czasie. I to co najmniej o kilka tygodni, do wcześniejszej części lata. Utrzymywałam wtedy z jednym z weteranów, niejakim Lennym, dość bliskie stosunki, które, szczerze mówiąc, sprowadzały się głównie do seksu. A potem Lenny postanowił nagle rozpocząć szkolenie i wyjechał. Wytrąciło mnie to trochę z równowagi i Ruth była w tym okresie wspaniała, dyskretnie się mną opiekując, zawsze gotowa mnie pocieszyć, jeśli wpadałam w ponury nastrój. Wyświadczała mi również drobne przysługi, robiąc na przykład kanapki albo zastępując przy sprzątanii.

Mniej więcej dwa tygodnie po wyjeździe Lenny'ego siedziałyśmy obie po północy w moim pokoiku na strychu, popijając herbatę, i uwagi Ruth sprawiły, że Lenny zaczął mnie autentycznie śmieszyć. Nie był z niego taki zły facet, ale kiedy opowiedziałam jej o różnych jego bardziej intymnych zwyczajach, wszystko w nim wydało się niesamowicie komiczne i nie mogłyśmy przestać się śmiać. W którymś momencie Ruth zaczęła wodzić palcem po moich kasetach, które stały w niewielkich stertach przy listwie przypodłogowej. Robiła to zupełnie machinalnie, śmiejąc się, lecz później podejrzewałam przez dłuższy czas, że nie było w tym nic przypadkowego: że zauważyła kasetę być może kilka dni wcześniej, być może nawet obejrzała, żeby się upewnić, a potem poczekała na najlepszy moment, żeby ją „odkryć”. Po wielu latach łagodnie jej to zasugerowałam, lecz ona nie miała najwyraźniej pojęcia, o czym mówię, więc może się myliłam. Tak czy inaczej, siedziałyśmy tam, zrywając boki za każdym razem, kiedy dorzucałam jakiś szczegół o biednym Lennym, i nagle zrobiło się tak, jakby ktoś wyciągnął wtyczkę z gniazdka. Ruth leżała na boku na moim dywaniku, zerkając w przyćmionym świetle na grzbiety kaset, i raptem taśma z Judy Bridgewater znalazła się w jej rękach.

— Od jak dawna ją znowu masz? — zapytała po chwili, która zdawała się trwać całą wieczność.

Odpowiedziałam jej, najspokojniej jak mogłam, że Tommy i ja znaleźliśmy ją tamtego dnia w Norfolku, kiedy nas zostawili.

— Więc to Tommy ją znalazł — stwierdziła, przyglądając się kasecie.

— Nie. Ja ją znalazłam. Ja ją pierwsza zobaczyłam.

— Żadne z was nic mi nie powiedziało. — Ruth wzruszyła ramionami. — A nawet jeśli to zrobiliście, nigdy to do mnie nie dotarło.

— To, co mówiliśmy o Norfolku, okazało się prawdą — powiedziałam. — No wiesz, o tym, że to zagubiony zakątek Anglii.

Przemknęło mi przez myśl, że Ruth będzie znowu udawać, że nie wie, o co chodzi, lecz ona pokiwała w zadumie głową.

— Powinłam była o tym pamiętać — mruknęła. — Znalazłabym może mój czerwony szalik.

Obie roześmiałyśmy się i mogło się zdawać, że krępujący moment minął. Ale sposób, w jaki Ruth odłożyła bez słowa kasetę, świadczył, że sprawa nie jest jeszcze zakończona.

Nie wiem, czy to, jak potoczyła się później nasza rozmowa, było przez nią z góry zaplanowane i związane z jej odkryciem, czy też i tak zaczęłybyśmy o tym mówić i Ruth dopiero później zdała sobie sprawę, że może to wykorzystać tak, jak wykorzystwała. Wróciłyśmy do rozmowy o Lennym, zwłaszcza o tym, jak uprawiał seks, i znowu się z niego zaśmiewałyśmy. W tym momencie odczuwałam chyba ulgę, że Ruth znalazła w końcu kasetę i nie zrobiła z tego wielkiej afery, i pewnie dlatego nie miałam się na baczności. Ponieważ po kilku chwilach zamiast z Lenny'ego zaczęłyśmy się śmiać z Tommy'ego. Z początku było to bardzo dobroduszne, jakbyśmy obie żywiły do niego wyłącznie ciepłe uczucia. Potem jednak zaczęłyśmy się śmiać z jego zwierząt.

Jak mówię, nigdy nie byłam pewna, czy Ruth celowo skierowała rozmowę w tę stronę. Szczerze mówiąc, nie wiem nawet, czy to ona pierwsza wspomniała o zwierzętach. Ale kiedy już zaczęłyśmy, śmiałam się razem z nią — z tego, że jedno z nich wygląda, jakby było w majtkach, a dla innego inspiracją musiał być chyba zgnieciony jeź. Przypuszczam, że w którymś momencie powinłam była powiedzieć, że te zwierzęta są dobre i że naprawdę wiele z siebie dał, żeby przedstawić je tak, jak przedstawił. Lecz nie zrobiłam tego. Stało się to częściowo z powodu kasety, a częściowo, jeśli mam być szczerą, ponieważ cieszyłam się, że Ruth nie traktuje serio tych rysunków i wszystkiego, co było z nimi związane. Rozstając się tamtej nocy, czułyśmy się ze sobą związane bliżej niż kiedykolwiek. Wychodząc, Ruth dotknęła mojego policzka.

— To naprawdę miłe, że nigdy nie upadasz na duchu, Kathy — powiedziała.

Nie spodziewałam się więc w ogóle tego, co zdarzyło się kilka dni później na wiejskim cmentarzu. Tamtego lata, mniej więcej pół mili od Chałup, Ruth odkryła uroczy stary kościół, do którego przylegał duży cmentarz z wystającymi z trawy starodawnymi nagrobkami. Wszystko było pozarastane, ale miejsce tchnęło spokojem i Ruth chodziła tam często czytać na ławce pod rozłożystą wierzbą, blisko tylnego ogrodu. Z początku niezbyt mi się to podobało, pamiętałam bowiem, jak poprzedniego lata siadywaliśmy wszyscy razem na trawie przed naszym domem. Mimo to, jeśli zmierzałam akurat w tamtą stronę w trakcie któregoś z moich spacerów i wiedziałam, że mogę tam znaleźć Ruth, przechodziłam przez niską drewnianą bramę i szłam pozarastaną zielskim ścieżką, czytając po drodze nazwiska na nagrobkach. Tamtego dnia było ciepło i bezwietrznie i idąc w rozmarzonym nastroju ścieżką, zobaczyłam na ławce pod wierzbą nie tylko Ruth, lecz również Tommy'ego.

Właściwie to Ruth siedziała na ławce. Tommy stał z jedną stopą opartą o zardzewiałą poręcz, rozmawiając z nią i robiąc jakieś ćwiczenia na rozciąganie. Nie wyglądało to na poważną rozmowę i bez wahania do nich podeszłam. Może powinnam była się czegoś domyślić po sposobie, w jaki mnie przywitali, lecz z pewnością nie było to nic oczywistego. Umierałam z niecierpliwości, żeby opowiedzieć im jakąś plotkę — coś o jednym z nowo przybyłych — i w związku z tym przez jakiś czas mówiłam tylko ja, a oni co najwyżej kiwali głowami albo zadawali pytania. Dopiero po dłuższej chwili zdałam sobie sprawę, że coś jest nie w porządku, ale nawet wówczas, kiedy przerwałam i zapytałam, czy im w czymś nie przeszkodziłam, zrobiłam to w żartobliwy sposób.

— Tommy opowiadał mi o swojej wielkiej teorii — poinformowała mnie Ruth. — Mówi, że tobie już powiedział. Wieki temu. A teraz, to bardzo miło z jego strony, zapoznał z nią również mnie. — Tommy westchnął i miał zamiar coś wtrącić, lecz Ruth mu nie pozwoliła. — Wielka teoria Tommy'ego na temat Galerii — dodała szyderczym szeptem.

Oboje wpatrywali się we mnie, jakbym to ja trzymała wszystkie nitki i tylko ode mnie zależało, co się zaraz wydarzy.

— To wcale nie jest taka zła teoria — zauważyłam. — Może być słuszna, nie wiem. Jak sądzisz, Ruth?

— Musiałam ją na siłę wyciągać z tu obecnego Milusińskiego. Niezbyt chętnie dopuścił mnie do sekretu, prawda, kociaczku? Zrobił to dopiero, kiedy zaczęłam wypytywać, co się kryje za wszystkimi tymi rysunkami.

— Nie robię ich wyłącznie z tego powodu — mruknął nadąsany Tommy. Jego stopa w dalszym ciągu opierała się o poręcz i wciąż wykonywał swoje ćwiczenia. — Powiedziałem tylko, że jeśli to, co mówię o Galerii, jest słuszne, wtedy mogę spróbować dołączyć te zwierzęta...

— Tommy, kochanie, nie rób z siebie idioty przy naszej przyjaciółce. Przy mnie możesz to robić, proszę bardzo. Ale nie przy naszej drogiej Kathy.

— Nie widzę, dlaczego to ma być takie śmieszne — powiedział Tommy. — Ta teoria jest tak samo dobra jak każda inna.

— To nie twoją teorię ludzie uznają za śmieszna, kociaczku. Mogą ją nawet zaakceptować, czemu nie. Ale pomyśl, że możesz coś zmienić, pokazując Madame te swoje małe zwierzątka... — Ruth uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

Tommy nic nie odpowiedział i ćwiczył dalej. Chciałam mu jakoś pomóc i starałam się wymyślić coś, co podniosłoby go na duchu i nie rozzłościło zarazem jeszcze bardziej Ruth. I w tym momencie Ruth powiedziała to, co powiedziała. Już wówczas, na cmentarzu, zabrzmiało to paskudnie, nie zdawałam sobie jednak sprawy, że będzie miało tak daleko sięgające konsekwencje.

— Nie chodzi tylko o mnie, kochanie — powiedziała. — Tu obecna Kathy również uważa twoje zwierzątka za kompletny chłam.

W pierwszej chwili chciałam temu zaprzeczyć i po prostu się roześmiać. Ruth powiedziała to jednak z pełnym przekonaniem i wszyscy troje znaleźliśmy się wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, iż coś musi się kryć za jej słowami. Ostatecznie więc w ogóle się nie odezwałam, ogarnięta chłodnym przerażeniem, cofając się gorączkowo myślami do tamtej nocy, którą spędziłyśmy w moim pokoju, popijając herbatę.

— Dopóki ludzie myślą, że rysujesz te małe stworzonka dla żartu, w porządku — dodała Ruth. — Ale nie mów nikomu, że traktujesz to serio. Proszę.

Tommy przestał ćwiczyć i posłał mi pytające spojrzenie. Nagle stał się podobny do małego dziecka, które nie potrafi ukrywać swoich uczuć, i ujrzałam, że coś mrocznego i niepokojącego czai się w jego oczach.

— Słuchaj, Tommy, musisz to zrozumieć — ciągnęła Ruth. — Jeśli Kathy i ja trochę się z ciebie ponabijamy, to nie ma większego znaczenia. Bo to tylko my. Ale proszę, nie wciągaj w to nikogo innego.

Wiele razy myślałam o tych chwilach. Powinnam była wówczas coś powiedzieć. Mogłam się po prostu wyprzeć, chociaż Tommy prawdopodobnie by mi nie uwierzył. Próba szczerego wyjaśnienia sprawy byłaby pewnie zbyt skomplikowana. Ale mogłam coś zrobić. Mogłam stawić czoło Ruth, powiedzieć, że wszystko przekreśla, że nawet jeśli się śmiałam, nie oznaczało to wcale tego, co sugeruje. Mogłam nawet podejść do Tommy'ego i uściskać go, tam, na oczach Ruth. Ta ostatnia możliwość przyszła mi do głowy po wielu latach i w tamtym czasie nie była chyba realna, biorąc pod uwagę to, jaką jestem osobą, i sposób, w jaki wszyscy troje się do siebie odnosiliśmy. Jednak mogło to nas uratować, podczas gdy jakiegokolwiek słowa pogorszyłyby tylko sytuację.

Lecz ja nic nie powiedziałam i nic nie zrobiłam. Częściowo wynikało to chyba z przygnębienia spowodowanego tym, że Ruth mogła wyrwać się z czymś takim. Pamiętam, że cała ta zagmatwana sytuacja bardzo mnie zmęczyła i wpadłam w coś w rodzaju letargu — tak jak to się dzieje, kiedy dają ci zadanie z matematyki, a ty masz wyczerpany umysł i wiesz, że gdzieś daleko istnieje rozwiązanie, ale nie możesz wykrzesać z siebie dość energii, żeby je znaleźć. Coś we mnie po prostu dało za wygraną. „No dobrze, niech Tommy myśli sobie najgorsze rzeczy — podpowiadał mi wewnętrzny głos. — Niech myśli, co chce”. I spojrzałam chyba na niego z rezygnacją, z miną, która mówiła: „Owszem, to prawda, czegoż innego się spodziewałeś?”. Pamiętam teraz, jakby to było wczoraj, twarz Tommy'ego. Na krótką chwilę zniknął z niej gniew i ukazało się zdumienie, jakbym była rzadkim motylem, który usiadł na ogrodzeniu.

Nie miałam wcale wrażenia, że zaleję się łzami, stracę nad sobą panowanie czy zrobię coś podobnego. Postanowiłam jednak, że odwrócę się i po prostu odejdę. Już tego samego dnia zdałam sobie sprawę, że popełniłam fatalny błąd. Mogę tylko powiedzieć, że w tamtym momencie najbardziej bałam się, że któreś z nich odmaszeruje pierwsze i będę musiała zostać z tym drugim. Nie wiem dlaczego, odejście tylko jednej osoby wydawało

mi się jedyną opcją, i zależało mi, żebym to ja nią była. Odwróciłam się więc i odeszłam tą samą drogą, którą przyszłam, mijając nagrobki i kierując się w stronę niskiej drewnianej bramy. I przez kilka minut miałam poczucie triumfu: cieszyłam się, że zostali ze sobą sami i znoszą los, na który rzetelnie sobie zasłużyli.

Rozdział 17

Jak już powiedziałam, dopiero po dłuższym czasie — długo po tym, jak opuściłam Chałupy — zdałam sobie sprawę, jak brzemienne w skutki okazało się nasze spotkanie na wiejskim cmentarzu. Zgoda, wprowadziło mnie w przygnębienie. Nie wierzyłam jednak, by tak bardzo różniło się od innych scysji, które mieliśmy. Nie przyszło mi do głowy, że nasze losy, do tej pory tak silnie ze sobą związane, mogą się przez coś takiego rozejść.

Przypuszczam jednak, że w tamtym czasie oddziaływały na nas potężne prądy i wystarczył jeden podobny bodziec, by stało się to, co się stało. Gdybyśmy to wówczas rozumieli, wtedy — kto wie? — być może trzymalibyśmy się bardziej razem.

Przed wszystkim coraz więcej wychowanków wyjeżdżało, aby zostać opiekunami, i nasza stara wiara z Hailsham utwierdzała się w przekonaniu, że taka jest naturalna kolej rzeczy. Mieliśmy do napisania nasze eseje, wiadomo było jednak, że nie będziemy musieli tego robić, jeśli zdecydujemy się rozpocząć szkolenie. Zaraz po przyjeździe do Chałup taka możliwość była w ogóle nie do pomyślenia, lecz im bardziej oddalało się od nas Hailsham, tym mniej ważne wydawały się eseje. W tamtym czasie miałam wrażenie — i chyba się nie myliłam — że jeśli przestaniemy o nich poważnie myśleć, osłabi to więź, która łączyła nas, wychowanków Hailsham. Dlatego starałam się przez dłuższy czas gorliwie czytać i robić notatki. Ponieważ jednak nie było powodu sądzić, że kiedykolwiek jeszcze zobaczymy naszych wychowawców, a liczba wyjeżdżających wciąż wzrastała, wkrótce stało się jasne, że stoję na straconej pozycji.

Tak czy inaczej, w dniach, które nastąpiły po rozmowie na cmentarzu, robiłam, co mogłam, by do niej nie wracać. W stosunku do Tommy'ego i Ruth zachowywałam się tak, jakby nie stało się nic wielkiego, a oni odwzajemniali mi się tym samym. Coś jednak między nami zgrzytało — nie tylko zresztą między nimi i mną. Chociaż na zewnątrz wydawali się żyłą parą — rozstając się, w dalszym ciągu tręcili się w łokieć — znałam ich wystarczająco dobrze, by widzieć, że znacznie się od siebie oddalili.

Oczywiście bardzo mi to wszystko doskwierało, szczególnie sprawa zwierząt Tommy'ego. Nie mogłam jednak tak po prostu pójść do niego, przeprosić i wytłumaczyć,

jak to naprawdę wyglądało. Kilka lat, może nawet sześć miesięcy wcześniej cała sprawa mogłaby się zakończyć w ten sposób. Tommy i ja pogadalibyśmy szczerze i wszystko sobie wyjaśnili. Lecz tamtego drugiego lata w Chałupach sytuacja uległa z jakiegoś powodu zmianie. Może miało to coś wspólnego z moim związkiem z Lennym, nie wiem. Tak czy inaczej, rozmowa z Tommym nie była już taka łatwa. Na pozór nic się nie zmieniło, ale nigdy nie mówiliśmy o zwierzętach ani o tym, co zdarzyło się na cmentarzu.

Tak się zatem sprawy miały przed moją rozmową z Ruth na starym przystanku autobusowym, gdy wyprowadziła mnie z równowagi, udając, że nie pamięta o zagonie rabarbaru w Hailsham. Jak już mówiłam, nie wściekłabym się tak bardzo, gdyby nie zdarzyło się to akurat w trakcie poważnej rozmowy. Zgoda, do tego momentu zdążyliśmy wyjaśnić sobie wiele przykrych rzeczy, lecz mimo to, mimo że już sobie odpuściłyśmy i prowadziłyśmy dość luźną pogawędkę, spotkanie miało służyć naprawieniu wzajemnych stosunków i nie było tam miejsca na tego rodzaju komedie.

Oto co zaszło. Chociaż coś popsuło się między mną i Tommym, stosunki, jakie łączyły mnie z Ruth, nie były takie złe — przynajmniej tak mi się wydawało — i uznałam, że nadeszła pora, aby porozmawiać z nią o tym, co wydarzyło się na cmentarzu. Kończył się właśnie jeden z tych letnich deszczowych i burzowych dni, które spędzaliśmy w zawilgoconych pokojach. Kiedy więc pod wieczór niebo wypogodziło się i zaczął się ładny różowy zachód słońca, zaproponowałam Ruth, że zacerpniemy trochę świeżego powietrza. Odkryłam wcześniej biegnącą skrajem doliny stromą ścieżkę, która dochodziła do szosy w miejscu, gdzie znajdował się stary przystanek autobusowy. Autobusy przestały tamtędy jeździć przed wiekami, zdjęto znak przystankowy, a na tylnej ścianie wiaty z niegdyś oszklonego rozkładu jazdy pozostała tylko ramka. Ale sama wiata — która była uroczą drewnianą chatką, otwartą z jednej strony na opadające ku dolinie pola — stała nietknięta i były w niej nawet ławki. Tam więc usiadłyśmy, żeby złapać oddech i podziwiać letni wieczór i wiszące pod dachem pajęczyny.

— Wiesz, Ruth, powinnyśmy spróbować naprawić to, co wydarzyło się nie tak dawno temu — zagadnęłam.

Staralam się, by zabrzmiało to pojednawczo, i Ruth odpowiedziała mi w podobnym tonie. Odparła natychmiast, że głupotą jest kłócić się o najbardziej idiotyczne

rzeczy. Przypomniała inne nasze kłótnie i trochę się z nich pośmiałyśmy. Tak naprawdę nie chciałam jednak, by zakończyła całą sprawę w ten sposób.

— Wiesz co, Ruth — powiedziałam najłagodniej jak mogłam — myślę, że czasami, kiedy jest się z kimś w parze, nie widzi się pewnych rzeczy tak wyraźnie, jak wówczas gdy patrzy się na nie z zewnątrz. Czasami.

Ruth pokiwała głową.

— To prawda.

— Nie chcę się wtrącać. Ale od jakiegoś czasu odnoszę wrażenie, że Tommy jest trochę przygnębiony. No wiesz. W związku z pewnymi rzeczami, które powiedziałaś albo zrobiłaś.

Obawiałam się, że Ruth się zdenerwuje, lecz ona pokiwała głową i westchnęła.

— Masz chyba rację — stwierdziła w końcu. — Sama też o tym dużo myślałam.

— Więc może nie powinnam o tym mówić. Powinnam się zorientować, że o tym wiesz. To naprawdę nie moja sprawa.

— Ależ to jest twoja sprawa, Kathy. Jesteś z nami blisko związana, więc to zawsze będzie twoja sprawa. Masz rację, nie jest dobrze. Wiem, o co ci chodzi. O tę historię sprzed kilku dni, o jego zwierzęta. To nie było miłe. Powiedziałam, że go za to przepraszam.

— Cieszę się, że z nim o tym rozmawiałaś. Nie wiedziałam, że to zrobiłaś.

Ruth odrywała z ławki jakieś spróchniałe drzazgi i przez chwilę wydawała się całkowicie pochłonięta tym zajęciem.

— Posłuchaj, Kathy, to dobrze, że rozmawiamy o Tommym — stwierdziła w końcu. — Chciałam ci coś powiedzieć, ale szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, jak i kiedy to zrobić. Obiecuj mi, Kathy, że nie będziesz się gniewać.

— Pod warunkiem że nie chodzi ci znowu o te podkoszulki — odparłam.

— Nie, poważnie. Obiecuj, że nie będziesz się na mnie gniewać. Bo muszę ci to powiedzieć. Nie wybaczyłabym sobie, gdybym trzymała to dłużej w tajemnicy.

— No dobrze, o co chodzi?

— Myślę o tym od pewnego czasu, Kathy. Nie jesteś głupia i zdajesz sobie chyba sprawę, że ja i Tommy możemy nie być ze sobą przez cały czas. To żadna tragedia. Kiedyś do siebie pasowaliśmy. Nikt nie wie, czy tak będzie zawsze. A teraz mówi się stale o parach, które dostaną odroczenie, jeśli potrafią udowodnić, no wiesz, że są naprawdę w porządku. Więc dobrze, chciałam ci powiedzieć, co następuje. Byłoby zupełnie naturalne, gdybyś, no wiesz, myślała o tym, co będzie, jeśli ja i Tommy uznamy, że nie powinniśmy już być razem. Nie zrozum mnie źle, nie mamy zamiaru ze sobą zerwać. Ale uważam, że to absolutnie normalne, jeśli rozważałaś taką możliwość. Musisz jednak wiedzieć, Kathy, że Tommy nie myśli o tobie w ten sposób. Naprawdę bardzo, bardzo cię lubi, uważa, że jesteś wspaniała. Ale wiem, że nie sądzi, żebyś była, no wiesz, odpowiednią dziewczyną. Poza tym... — Ruth przerwała i westchnęła. — Poza tym wiesz, jaki on jest. Lubi kręcić nosem.

— O co ci chodzi? — zapytałam, wbijając w nią wzrok.

— Przecież wiesz, o co mi chodzi. Tommy nie lubi dziewczyn, które były... no wiesz, raz z tym, raz z innym chłopakiem. Taki po prostu jest. Przykro mi, Kathy, lecz ukrywając to przed tobą, nie byłabym w porządku.

— Dobrze jest wiedzieć o takich rzeczach — odpowiedziałam po krótkim namyśle. Poczulałam, że Ruth dotyka mojego ramienia.

— Wiedziałam, że przyjmiesz to w należyty sposób — powiedziała. — Ale musisz pamiętać, że Tommy nie widzi za tobą świata. Naprawdę.

Chciałam zmienić temat, lecz przez dłuższą chwilę mój umysł był zupełnie pusty. Przypuszczam, że Ruth musiała się tego domyślić, ponieważ rozprostowała ramiona i ziewnęła.

— Jeśli nauczę się kiedykolwiek prowadzić samochód — oznajmiła — pojedziemy wszyscy na wycieczkę w jakieś dzikie miejsce. Na przykład do Dartmoor. Nasza trójka i może także Laura i Hannah. Tak strasznie chciałabym zobaczyć te moczary i całą resztę.

Przez następne kilka minut rozmawiałyśmy o tym, co robiłybyśmy na takiej wycieczce, gdybyśmy się na nią kiedykolwiek wybrały. Zapytałam, gdzie byśmy nocowały, a Ruth odparła, że mogłybyśmy pożyczyć duży namiot. Zwróciłam jej uwagę, że w takich miejscach często mocno wieje i w nocy mógłby go porwać wiatr. Nie mówiłyśmy tego

wszystkiego serio. I mniej więcej wtedy przypomniałam sobie pewne zdarzenie z Hailsham, kiedy byliśmy w juniorach i urządziliśmy z panną Geraldine piknik przy stawie. Jamesa B. wysłano do głównego budynku po tort, który upiekliśmy wszyscy wcześniej, ale kiedy go niósł, silny podmuch wiatru porwał cały górny biszkopt i cisnął go na liście rabarbaru. Ruth stwierdziła, że bardzo słabo pamięta ten incydent.

— Chodzi o to, że James B. miał potem nieprzyjemności, bo wydało się, że szedł przez zagon rabarbaru — wyjaśniłam, próbując odświeżyć jej pamięć.

I wtedy właśnie Ruth posłała mi to pytające spojrzenie.

— Dlaczego? Co było w tym złego? — spytała i najgorszy był ton, jakiego użyła, nagle tak fałszywy, że poznałby to nawet ktoś z boku, gdyby nas przypadkiem słuchał.

— Nie wciskaj mi tego kitu, Ruth — sapnęłam poirytowana. — Nie mogłaś o tym zapomnieć. Wiesz, że nie wolno było tamtędy chodzić.

Może zareagowałam trochę zbyt ostro. Tak czy inaczej, Ruth nie zamierzała ustąpić. W dalszym ciągu udawała, że nic nie pamięta, a ja coraz bardziej się denerwowałam.

— A jakie to ma w ogóle znaczenie? — zapytała wówczas. — Co rabarbar ma z tym wszystkim wspólnego? Po prostu powiedz, co masz do powiedzenia.

Wydaje mi się, że rozmawialiśmy jeszcze przez jakiś czas w mniej lub bardziej przyjazny sposób i wkrótce wróciliśmy w zapadającym zmroku do Chałup. Ale atmosfera była lekko napięta i żegnając się przed Czarną Stodołą, nie musnęliśmy, tak jak to zwykle robiliśmy, swoich łokci i ramion.

Niedługo potem podjęłam decyzję i kiedy to uczyniłam, nie dręczyły mnie już żadne wątpliwości. Wstałam po prostu któregoś ranka i powiedziałam Keffersowi, że chcę rozpocząć szkolenie i zostać opiekunką. Okazało się to zaskakująco łatwe. Keffers szedł przez podwórko w swoich zabłoconych wellingtonach, mamrocząc coś pod nosem i trzymając kawałek rury. Podeszłam do niego i powiedziałam, o co mi chodzi, a on spojrzał na mnie, jakbym domagała się więcej opału. A potem mruknął, żebym przyszła do niego później po południu i wypełniła formularze. Takie to było łatwe.

Trochę to oczywiście trwało, ale cała sprawa została puszczona w ruch i nagle ujrzałam wszystko — Chałupy i ich mieszkańców — w zupełnie innym świetle. Należałam teraz do tych, którzy wyjeżdżali, i wkrótce wszyscy się o tym dowiedzieli. Ruth myślała pewnie, że będziemy całymi godzinami rozmawiały o mojej przyszłości; wydawało jej się może, że będzie miała wielki wpływ na to, czy nie zmienię jeszcze zdania. Lecz ja trzymałam się od niej z daleka, podobnie zresztą jak od Tommy'ego. W Chałupach nigdy już ze sobą szczerze nie porozmawialiśmy i zanim się zorientowałam, trzeba było się żegnać.

Część III

Rozdział 18

Rola opiekunki przeważnie mi odpowiada. Można nawet powiedzieć, że to zajęcie wydobywa ze mnie najlepsze cechy. Ale niektórzy ludzie nie są do tego po prostu stworzeni i autentycznie się męczą. Z początku może im iść całkiem nieźle, lecz potem wykańczają ich te wszystkie zmartwienia i ból. I wcześniej czy później dawca nie wraca do zdrowia, chociaż to, powiedzmy, dopiero jego druga donacja i nikt nie przewidywał komplikacji. Kiedy dawca schodzi w ten sposób, zupełnie niespodziewanie, nie ma większego znaczenia, co ci później mówią pielęgniarki, i nie ma znaczenia list, w którym stwierdzają, że ich zdaniem dałaś z siebie wszystko i powinnaś dalej pracować. Przynajmniej na jakiś czas upada się na duchu. Niektórzy z nas dość szybko uczą się, jak sobie z tym radzić. Ale inni — jak na przykład Laura — nigdy się tego nie nauczą.

No i jest ta samotność. Człowiek dorastał w otoczeniu ludzi, to wszystko, co kiedykolwiek znał, i nagle zostaje opiekunem. Spędza całe godziny sam, jeżdżąc po kraju, z ośrodka do ośrodka, ze szpitala do szpitala, nocując codziennie w innym miejscu, nie mając nikogo, komu mógłby się zwierzyć ze swoich trosk, z kim mógłby pożartować. Co jakiś czas napotyka wychowanka — opiekuna albo dawcę, którego pamięta z dawnych dni — ale nigdy nie ma dużo czasu. Zawsze się gdzieś śpieszy albo jest zbyt wyczerpany, żeby porozmawiać. I wkrótce długie godziny pracy, podróże i nieprzespane noce zmieniają go, wysysają z niego siły i wszyscy mogą to zobaczyć w jego spojrzeniu, w tym, jak wygląda, jak się porusza i mówi.

Nie twierdę, że jestem uodporniona na to wszystko, lecz nauczyłam się z tym żyć. Niestety w przypadku niektórych opiekunów zdradza ich sam wygląd. Widać, że wielu wykonuje wszystko mechanicznie, czekając na dzień, gdy usłyszą, że mogą to rzucić i zostać dawcami. Naprawdę mnie to przygnębia — to, jak wielu z nich „się kurczy” na sam widok szpitala. Nie wiedzą, co powiedzieć ludziom w białych fartuchach, nie potrafią reprezentować dawcy. Nic dziwnego, że są potem sfrustrowani i obwiniają się, gdy coś pójdzie nie tak. Staram się nikomu nie naprzykrzać, ale kiedy muszę, nauczyłam się mówić tak, by mnie usłyszano. I jeśli coś pójdzie źle, jestem oczywiście zmartwiona, lecz

czuję przynajmniej, że zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, i potrafię spojrzeć na fakty z odpowiedniej perspektywy.

Właściwie przywykłam nawet do samotności. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie cieszy mnie myśl, iż pod koniec roku, kiedy z tym wszystkim skończę, będę mogła pobyć więcej z ludźmi. Ale lubię to uczucie, które ogarnia mnie, gdy wsiadam do mojego małego auta i wiem, że przez kilka następnych godzin będę miała za towarzyszy wyłącznie drogę, wysokie szare niebo i moje sny na jawie. A jeśli jestem w jakimś miasteczku i mam parę wolnych minut, lubię się powłóczyć i pooglądać sklepowe wystawy. W mojej kawalerce mam cztery biurkowe lampy, każdą w innym kolorze, ale wszystkie w tym samym stylu — każda ma giętkie ramię, które można wyginać, jak się chce. I mogę na przykład szukać sklepu, gdzie na wystawie byłaby podobna lampa — nie żeby ją kupić, lecz porównać z tymi, które mam w domu.

Czasami jestem tak bardzo pochłonięta sobą, że kiedy wpadam niespodziewanie na kogoś, kogo znam, doznaję lekkiego szoku i chwilę trwa, zanim się zaadaptuję. Tak było owego ranka, kiedy idąc przez smagany wiatrem parking przy stacji obsługi, zauważyłam Laurę siedzącą za kierownicą jednego z zaparkowanych samochodów, patrzącą pustym wzrokiem w stronę autostrady. Wciąż dzielił mnie od niej kawałek drogi i chociaż ostatni raz widziałyśmy się w Chałupach przed siedmiu laty, kusiło mnie, żeby ją zignorować i minąć. Dziwna reakcja, wiem, zważywszy na to, że była jedną z moich najbliższych przyjaciółek. Jak mówię, mogło to być częściowo spowodowane tym, że nie lubię, jak coś wrywa mnie z moich snów na jawie. Lecz chyba także tym, że widząc Laurę siedzącą markotnie w swoim samochodzie, domyśliłam się natychmiast, że stała się jedną z tych opiekunek, których problemy przed chwilą opisywałam, i nie miałam ochoty wysłuchiwać jej żalów.

Ale oczywiście do niej podeszłam. Lodowaty wiatr wiał mi w twarz, kiedy zbliżyłam się do jej hatchbacka zaparkowanego w pewnej odległości od innych pojazdów. Laura miała na sobie bezkształtną niebieską kurtkę. Włosy — o wiele krótsze niż kiedyś — przykleiły się jej do czoła. Kiedy zapukałam w szybę, nie wzdrygnęła się i nie wydawała się wcale zdziwiona, widząc mnie po tak długim czasie. Można było niemal odnieść wrażenie, że siedziała tam i czekała, nawet jeśli nie na mnie, to na kogoś podobnego do mnie, kogoś z dawnych czasów. I kiedy się pojawiłam, jej pierwszą myślą było

„nareszcie!”. Zobaczyłam, że westchnęła — jej ramiona poruszyły się w charakterystyczny sposób — a potem bez zbędnych ceregieli otworzyła mi drzwi.

Rozmawialiśmy mniej więcej dwadzieścia minut; rozstałam się z nią naprawdę w ostatniej chwili. Duża część rozmowy dotyczyła jej samej, tego, jaka jest znużona, jak męczący był jeden z dawców, jak bardzo nie znosiła tej czy innej pielęgniarki albo lekarza. Miałam nadzieję, że dostrzegę dawną Laure, zobaczę na jej ustach złośliwy uśmiech i usłyszę jakiś docinek, lecz nie doczekałam się żadnej z tych rzeczy. Mówiła szybciej niż niegdyś i chociaż ucieszyła się chyba na mój widok, miałam chwilami wrażenie, że zamiast mnie mógłby tam siedzieć ktokolwiek inny, że najważniejsze jest dla niej, by miała się komu wyżalić.

Może obie czułyśmy, że przywoływanie dawnych czasów nie jest bezpieczne, bo bardzo długo unikałyśmy o nich wszelkiej wzmianki. W końcu jednak rozmowa zeszła na Ruth; Laura spotkała ją kilka lat wcześniej w klinice, kiedy Ruth była jeszcze opiekunką. Zaczęłam o nią wypytywać, lecz Laura była bardzo powściągliwa.

— Słuchaj, musiałyście przecież o czymś rozmawiać — zagadnęłam w końcu.

Laura przeciągle westchnęła.

— Wiesz, jak to jest. Obie się śpieszyłyśmy — mruknęła. — Zresztą w Chałupach nie rozstałyśmy się w najlepszych stosunkach. Więc może nie ucieszyłyśmy się wzajemnie na swój widok.

— Nie wiedziałam, że ty też się z nią pokłóciłaś — powiedziałam.

Laura wzruszyła ramionami.

— To nie była żadna wielka afera. Pamiętasz, jaka wtedy była Ruth. Po twoim wyjeździe zrobiła się jeszcze gorsza. No wiesz, stale mówiła każdemu, co ma robić. Więc starałam się po prostu nie wchodzić jej w drogę. Nie doszło między nami do jakiejś wielkiej kłótni czy czegoś w tym rodzaju. Więc od tego czasu w ogóle jej nie widziałas?

— Nie. To dziwne, ale nawet przelotnie się z nią nie zetknęłam.

— Rzeczywiście to dziwne. Można by pomyśleć, że wszyscy będziemy się częściej widywać. Kilka razy spotkałam Hannah. I Michaela H. Dotarły do mnie plotki, że Ruth naprawdę źle zniosła pierwszą donację — dodała po chwili. — To tylko plotki, ale słyszałam je kilka razy.

— Ja też je słyszałam — odparłam.

Biedna Ruth.

Przez moment obie milczałyśmy.

— Czy to prawda, Kathy? — zapytała nagle Laura. — Że pozwalają ci wybierać dawców?

Nie zadała tego pytania z wyrzutem, jak czynią to czasem inni, pokiwałam więc głową.

— Nie zawsze — odpowiedziałam. — Ale dobrze mi poszło z kilkoma dawcami, zatem rzeczywiście mam czasami coś do powiedzenia.

— Skoro możesz wybierać, dlaczego nie zostałam opiekunką Ruth? — dociekała Laura.

— Myślałam o tym — odrzekłam, wzruszając ramionami. — Nie jestem pewna, czy to taki świetny pomysł.

Laura zrobiła zdziwioną minę.

— Ale ty i Ruth byliście ze sobą tak blisko.

— Tak, chyba tak. Jednakże podobnie jak w twoim wypadku pod koniec zbytnio za sobą nie przepadałyśmy.

— No tak, lecz to było dawno temu. Przechodziła zły okres. I słyszałam, że miała również kłopoty ze swoimi opiekunami. Musieli ich często zmieniać.

— Specjalnie mnie to nie dziwi — powiedziałam. — Potrafisz to sobie wyobrazić? Być opiekunką Ruth?

Laura roześmiała się. Przez sekundę w jej oczach pojawił się jasny błysk i pomyślałam, że powie coś śmiesznego. Niestety po chwili ten błysk zgasł i siedziała dalej ze zmęczonym wyrazem twarzy.

Rozmawiałyśmy jeszcze przez kilka minut o jej problemach — w szczególności o pewnej pielęgniarkę, która najwyraźniej się na nią uwzięła. A potem musiałam już iść i chwyciłam za klamkę, mówiąc, że trzeba by dłużej pogadać, kiedy się następnym razem spotkamy. Obie zdawałyśmy sobie jednak wyraźnie sprawę, że o czymś nie wspomniałyśmy, i chyba obie wyczuwałyśmy, że nie powinnyśmy się rozstawać w ten sposób.

Właściwie jestem teraz przekonana, że nasze myśli podążały dokładnie tym samym torem.

— To niesamowite — powiedziała w końcu Laura. — Kiedy się pomyśli, że wszystko się skończyło.

— Tak, to naprawdę dziwne — przytaknęłam, odwracając się ku niej z powrotem. — Nie potrafię uwierzyć, że już tam nic nie ma.

— To takie niesamowite — powtórzyła Laura. — Przypuszczam, że nie powinno mnie to tak bardzo obchodzić. Ale obchodzi.

— Wiem, co masz na myśli.

Dopiero w trakcie tej wymiany zdań wspomnieliśmy o zamknięciu Hailsham, i to nas do siebie na powrót zbliżyło. Uściskałyśmy się całkiem spontanicznie, nie żeby się wzajemnie pocieszyć, lecz potwierdzić, że Hailsham wciąż zajmuje szczególne miejsce w naszej pamięci. A potem musiałam już biec do swojego auta.

Plotki o zamknięciu Hailsham dotarły do mnie po raz pierwszy mniej więcej rok przed spotkaniem z Laurą na parkingu. Kiedy rozmawiałam z jakimś dawcą albo opiekunem, wspominali o tym mimochodem, jakby byli przekonani, że świetnie o wszystkim wiem. „Jesteś zdaje się z Hailsham? Więc to rzeczywiście prawda?”. Tego rodzaju uwagi. A potem, wychodząc pewnego dnia z kliniki w Suffolku, wpadłam na Rogera C, który był o rok niżej, i powiedział mi, że to już postanowione. Hailsham miało zostać lada dzień zamknięte i planowano sprzedać dom i teren jakiejś sieci hotelowej. Pamiętam, jaka była moja pierwsza reakcja, kiedy mnie o tym poinformował. „Ale co się stanie ze wszystkimi wychowankami?”, zapytałam. Roger był przekonany, że mam na myśli tych, którzy tam jeszcze byli, uczniów i uczennice, całkowicie zdanych na swoich wychowawców, i zaczął z zatroskaną miną spekulować, że będzie ich trzeba pewnie przenieść do innych domów w całym kraju, mimo że niektóre nie umywały się do Hailsham. Lecz mnie chodziło oczywiście o coś innego. Chodziło mi o nas, o wszystkich wychowanków, którzy tam ze mną dorastali i byli teraz porzuceni po kraju, jako opiekunowie i dawcy, odizolowani od siebie, lecz w jakiś sposób związani przez miejsce, z którego pochodzili.

Tej samej nocy, starając się zasnąć w gościnnym pokoju, rozmyślałam o tym, co zdarzyło mi się kilka dni wcześniej. Byłam w nadmorskim miasteczku w północnej Walii. Przez cały ranek lało jak z cebra, ale po lunchu deszcz przestał padać i pokazało się trochę

słońca. Wracalam do swojego samochodu jedna z tych dlugich prostych nadmorskich drog. Poza mna nie bylo tam prawie nikogo i widzialam przed soba nieprzerwana wstepe mokrego chodnika. Po jakimis czasie, moze trzydzieci jardow przede mna zatrzymala sie furgonetka i wysiadl z niej mezczyzna przebrany za klauna. Otworzyl tylne drzwiczki, wyciagnal mniej wiecej tuzin balonikow wypefnionych helem, a potem, trzymajac je w jednej rece, pochylil sie i przez chwile majstrowal cos druga reką w furgonetce. Podchodzac blizej, zobaczyłam, ze baloniki maja twarze i wystajace uszy. Dyndajac w powietrzu nad swoim wlascicielem, czekajac na niego, wygladaly niczym niewielkie plemie.

Nastepnie klaun wyprostowal sie, zamknal furgonetke i zaczal isc w tym samym kierunku co ja, wyprzedzajac mnie o kilka krokow, z mala walizeczka w jednej i pekciem balonikow w drugiej rece. Nadmorska droga byla dluga i prosta i wydawalo mi sie, ze ide za nim cale wieki. Chwilami ogarnialo mnie zaklopotanie i obawialam sie nawet, ze klaun moze sie odwrócic i cos powiedziec. Nie bylo jednak zadnej innej drogi i nie moglam na to nic poradziec. Szlismy wiec dalej, ja i klaun, stapajac po mokrym po porannej ulewie chodniku i przez caly czas baloniki podskakiwaly i szczerzyly do mnie zebry w usmiechu. Chwilami widzialam zaciwnieta piec mezczyzny, w ktorej zbiegaly sie sznurki, i zauwazyłam, ze zwinal je wszystkie razem i mocno trzymal. Mimo to martwilam sie, ze jeden ze sznurkow rozplacze sie i pojedynczy balonik poszybuje w strone zachmurzonego nieba.

Tamtej nocy, nie mogac zasnac po tym, co powiedzial mi Roger, stale mialam przed oczyma te baloniki. Myslam o tym, ze Hailsham bedzie zamknieta i ze to zupełnie tak, jakby ktos podszedl z nozyczkami i poprzecinal sznurki od balonikow tuz nad piecia mezczyzny. Kiedy to sie stanie, w gruncie rzeczy nie bedzie juz wiadomo, czy byly ze soba zwiazane. Przekazujac mi te wiadomosc o Hailsham, Roger stwierdzil, ze jego zdaniem nie powinno to miec wielkiego znaczenia dla ludzi takich jak my. I z pewnego punktu widzenia mogl miec racje. Przygnębajaca byla jednak mysl, ze nic nie toczy sie tam juz swoim utartym torem: ze ktos taki jak, powiedzmy, panna Geraldine, nie prowadzi grup juniorow wokol polnocnego boiska.

W miesiacach, ktore nastapily po rozmowie z Rogerem, stale o tym myslalam, o zamknieciu Hailsham i wynikajacych z tego konsekwencjach. I zaczalam chyba zdawac

sobie sprawę, że mnóstwo rzeczy, które dotąd nie były według mnie takie pilne, trzeba załatwić jak najszybciej albo w ogóle machnąć na nie ręką. Nie chodzi o to, że wpadłam w panikę. Z całą pewnością czułam jednak, że zamknięcie Hailsham zmieniło wszystko, co nas otacza. Dlatego wysunięta tamtego dnia sugestia Laury, żebym została opiekunką Ruth, wywarła na mnie ogromne wrażenie, mimo że nic jej wtedy nie odpowiedziałam. Wydawało mi się, że w głębi ducha podjęłam już decyzję i słowa Laury odsłoniły tylko welon, który ją skrywał.

Po raz pierwszy zjawiłam się w ośrodku rehabilitacyjnym w Dover — nowoczesnym budynku ze ścianami wyłożonymi białą glazurą — zaledwie kilka tygodni po rozmowie z Laurą. Było to dwa miesiące po pierwszej donacji Ruth — donacji, która, jak powiedziała Laura, nie poszła zbyt dobrze. Kiedy weszłam do jej izolatki, siedziała na skraju łóżka w nocnej koszuli i szeroko się do mnie uśmiechnęła. Wstała, żeby mnie uściskać, i prawie natychmiast z powrotem usiadła. Oznajmiła, że nigdy tak dobrze nie wyglądałam i mam świetnie dobraną fryzurę. Ja też powiedziałam jej kilka komplementów i mam wrażenie, że przez mniej więcej pół godziny autentycznie cieszyliśmy się z naszego spotkania. Mówiliśmy o najprzeróżniejszych rzeczach — o Hailsham i Chałupach, o tym, co robiłyśmy potem — i wydawało się, że możemy tak rozmawiać bez końca. Innymi słowy, początek był naprawdę zachęcający — lepszy, niż się spodziewałam.

Mimo to w trakcie pierwszego spotkania nie nawiązałyśmy ani słowem do tego, jak się rozstałyśmy. Może gdybyśmy się z tym od razu uporały, wypadki potoczyłyby się inaczej, kto wie? My jednak wzięłyśmy to po prostu w nawias i po krótkiej rozmowie uznałyśmy chyba, iż będziemy udawać, że nic takiego się nie wydarzyło.

Mogło się to okazać trafnym podejściem podczas pierwszego spotkania. Ale kiedy zostałam oficjalnie jej opiekunką i zaczęłam się z nią regularnie widywać, poczucie, że coś jest nie w porządku, stawało się coraz silniejsze. Przychodziłam do niej regularnie trzy albo cztery razy w tygodniu późnym popołudniem, z wodą mineralną i paczką jej ulubionych herbatników, i powinno być wspaniale, lecz z początku wcale tak nie było. Zaczynałyśmy o czymś mówić, o czymś zupełnie niewinnym, i nie wiadomo dlaczego nagle przerywałyśmy. A jeśli nawet udawało nam się podtrzymać rozmowę, z każdą minutą stawała się coraz bardziej sztywna i ostrożna.

Pewnego popołudnia, idąc korytarzem, żeby się z nią zobaczyć, usłyszałam, że ktoś bierze prysznic w łazience po drugiej stronie korytarza. Domyśliwszy się, że to Ruth, weszłam do jej izolatki i czekając na nią, spoglądałam przez okno na dachy domów. Po jakichś pięciu minutach weszła owinięta ręcznikiem. Trzeba tu nadmienić, że miałam przyjść dopiero za godzinę, i przypuszczam, że wszyscy czujemy się troszeczkę niepewnie, wychodząc z łazienki, osłonięci tylko ręcznikiem. Mimo to zdumiało mnie przerażenie, jakie odmalowało się na jej twarzy. Muszę to nieco szerzej wyjaśnić. Oczekiwałam oczywiście, że będzie trochę zaskoczona. Chodzi o to, że kiedy już weszła i zorientowała się, że to ja, przez całą sekundę, a może dłużej, wpatrywała się we mnie, jeśli nie ze strachem, to z autentyczną obawą. Tak jakby od dawna oczekiwała, że coś jej zrobię, i teraz uznała, że nadeszła ta chwila.

Po niecałej minucie popłoch znikł z jej twarzy i zachowywałyśmy się tak jak zwykle, lecz ten incydent wywarł na nas piorunujące wrażenie. Uświadomiłam sobie, że Ruth mi nie ufa; nie można wykluczyć, że do owej chwili ona sama też nie zdawała sobie z tego w pełni sprawy. Tak czy inaczej, po tym dniu atmosfera stała się jeszcze bardziej nieprzyjemna. Zupełnie jakbyśmy wyciągnęły coś na światło dzienne i zamiast oczyścić w ten sposób powietrze, uwydatniłyśmy wyraźniej niż kiedykolwiek wszystko, co między nami zaszło. Doszło do tego, że przed wejściem do niej na górę siedziałam kilka minut w samochodzie, zbierając siły przed czekającym mnie spotkaniem. Po pewnej sesji, kiedy wykonałyśmy wszystkie badania w kamiennym milczeniu, a potem siedziałyśmy dalej bez słowa, byłam gotowa zameldować, że nic z tego nie wyszło i nie powinnam dłużej być jej opiekunką. Lecz później wszystko się zmieniło i stało się to z powodu łodzi.

Bóg jeden wie, jak rozchodzą się takie rzeczy. Czasami to jakiś żart, czasami plotka. W ciągu kilku dni wędrują przez cały kraj, od jednego do drugiego ośrodka, i nagle powtarza je każdy dawca. Tym razem dotyczyło to łodzi. Dowiedziałam się o niej po raz pierwszy od pary moich dawców w północnej Walii. A kilka dni później zaczęła mi o niej opowiadać Ruth. Ucieszona, że znalazłyśmy wreszcie coś, o czym możemy pogadać, zachęcałam ją do mówienia.

— Powiedział mi chłopak z piętra wyżej — wyjaśniała. — Jego opiekun sam się tam wybrał, żeby ją zobaczyć. To niedaleko szosy i każdy może się tam bez trudu dostać. Ta łódź po prostu stoi pośrodku moczarów.

— Jak tam trafiła? — zapytałam.

— Skąd mam wiedzieć? Może ten, do kogo należała, chciał się jej pozbyć? A może kiedy woda zalała wszystko, urwała się z kotwicy i sama osiadła na mieliźnie. Kto wie? To podobno stary rybacki kuter. Z małą kabiną, do której w czasie burzy może się wcisnąć dwóch rybaków.

W trakcie moich następnych wizyt za każdym razem Ruth napomykała o łodzi. Pewnego popołudnia zaczęła mi opowiadać o jednej z dawczyń, którą opiekunka zabrała z ośrodka, żeby mogła ją sobie obejrzeć.

— Posłuchaj, to wcale nie jest tak blisko — odparłam. — Dojazd tam zająłby godzinę albo półtorej.

— Niczego nie sugeruję. Wiem, że musisz się troszczyć o innych dawców.

— Ale chciałabyś ją zobaczyć. Chciałabyś zobaczyć tę łódź. prawda, Ruth?

— Chyba tak. Chybabym chciała. Człowiek spędza całe dni w tym miejscu. Owszem, miło byłoby zobaczyć coś takiego.

— Nie przypuszczasz — dopytywałam łagodnie, bez śladu sarkazmu — że skoro mamy przejechać taki kawał drogi, powinniśmy pomyśleć o złożeniu wizyty Tommy'emu? Zwłaszcza że jego ośrodek jest niedaleko miejsca, gdzie stoi podobno ten kuter?

Ruth nie dała z początku nic po sobie poznać.

— Przypuszczam, że mogłybyśmy o tym pomyśleć — odparła w końcu i roześmiała się. — Słowo daję, Kathy — dodała — to nie jest jedyny powód, dla którego tak się uparłam na tę łódź. Chcę ją zobaczyć niezależnie od wszystkiego. Ciągłe tylko te szpitale. A teraz znów ugrzęzłam tutaj. Tego rodzaju rzeczy mają obecnie większe znaczenie niż dawniej. Ale owszem, wiedziałam. Wiedziałam, że Tommy jest w ośrodku w Kingsfield.

— Na pewno chcesz go zobaczyć?

— Tak — odparła bez wahania, patrząc mi prosto w oczy. — Tak, chcę. Nie widziałam tego chłopca od bardzo dawna — dodała cicho. — Od czasu Chałup.

I w końcu zaczęliśmy mówić o Tommym. Nie była to jakaś zasadnicza rozmowa i nie dowiedziałam się prawie niczego, o czym wcześniej bym nie wiedziała. Wydaje się jednak, że obie poczułyśmy się lepiej, mogąc o nim porozmawiać. Ruth powiedziała, że zanim opuściła po mnie jesienią Chałupy, ona i Tommy w gruncie rzeczy oddalili się od siebie.

— Ponieważ i tak mieliśmy odbywać szkolenie w różnych miejscach, nie warto było chyba oficjalnie ze sobą zrywać. Byliśmy więc razem aż do mojego wyjazdu — wyjaśniła i na tym etapie nie wnikałyśmy w to głębiej.

Co do wycieczki do łodzi, podczas naszej pierwszej rozmowy na ten temat nie powiedziałam ani tak, ani nie. Ale w ciągu następnych dwóch tygodni Ruth stale o tym napomykała i nasze plany stawały się coraz bardziej realne, aż w końcu wysłałam przez łącznika wiadomość do opiekuna Tommy'ego, że jeśli Tommy nie da nam znać, że sobie tego nie życzy, odwiedzimy go w Kingsfield po południu pewnego określonego dnia w następnym tygodniu.

Rozdział 19

W tamtym okresie prawie w ogóle nie bywałam w Kingsfield i razem z Ruth musiałyśmy po drodze zerknąć kilka razy na mapę, choć i tak nie uchroniło nas to przed kilkuminutowym spóźnieniem. Tamtejszy ośrodek nie jest zbyt dobrze urządzone i gdyby nie skojarzenia, jakie teraz we mnie budzi, nie byłoby to miejsce, które chętnie bym odwiedzała. Leży na uboczu i niełatwo się do niego dostać, lecz mimo to, kiedy już się tam jest, brakuje prawdziwej ciszy i spokoju. Za ogrodzeniem słychać jadące szerokimi drogami pojazdy i trudno oprzeć się wrażeniu, że nigdy nie udało się porządnie zaadaptować tego miejsca. Do wielu izolatek nie sposób wjechać na wózku i są albo zbyt duszne, albo hulają w nich przeciągi. Jest zdecydowanie za mało łazienek, a te, które są, niełatwo utrzymać w czystości. W zimie panuje w nich ziąb i w ogóle znajdują się zbyt daleko od pokojów dawców. Innymi słowy, Kingsfield nie umywa się do takich ośrodków jak ten w Dover, z błyszczącą glazurą i podwójnymi oknami, które można szczelnie zamknąć, przekręcając klamkę.

Później, kiedy Kingsfield stał mi się tak bliski i cenny jak teraz, odwiedziłam jeden z budynków administracyjnych i zobaczyłam tam oprawioną w ramki, czarno-białą fotografię domu z okresu przed adaptacją, kiedy mieścił się w nim jeszcze ośrodek wczasowy dla zwykłych rodzin. Zdjęcie zrobiono prawdopodobnie pod koniec lat pięćdziesiątych albo na początku sześćdziesiątych i widać na nim duży prostokątny basen oraz wszystkich tych szczęśliwych ludzi — dzieci i rodziców — chlapiących się w wodzie i spędzających miło czas. Teren wokół basenu był wybetonowany, ale ludzie rozstawili fotele i leżaki i mieli wielkie parasole, które pozwalały odpoczywać w cieniu. Oglądając po raz pierwszy to zdjęcie, dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że patrzę na to, co dawcy nazywają Placem — miejsce, gdzie wjeżdża się, trafiając po raz pierwszy do ośrodka. Basen jest teraz oczywiście zasypany, ale wciąż widać jego zarys i przy jednym brzegu zostawili — co również składa się na panującą tu atmosferę tymczasowości — metalowe rusztowanie, na którym zamontowana była kiedyś trampolina. Dopiero widząc tę fotografię, uświadomiłam sobie, do czego służyła ta konstrukcja i dlaczego tam stoi, i

dzisiaj, za każdym razem gdy ją widzę, wyobrażam sobie skaczącego ze szczytu pływaka, który roztrzaskuje się o beton.

Nie byłoby mi łatwo rozpoznać Plac na fotografii, gdyby nie podobne do bunkrów piętrowe budynki, stojące po wszystkich trzech widocznych stronach basenu. Tam właśnie rodziny miały swoje pokoje i chociaż domyślałam się, że wnętrza bardzo się zmieniły, z zewnątrz domy wyglądają z grubsza tak samo. Przypuszczam, że pod pewnymi względami Plac nie różni się tak bardzo od tego, czym był wówczas basen. To towarzyskie centrum całego ośrodka, miejsce, dokąd dawcy wychodzą ze swoich izolatek, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza i porozmawiać. Dookoła stoi kilka drewnianych piknikowych ławek, ale — zwłaszcza gdy jest zbyt gorąco lub pada deszcz — dawcy wolą gromadzić się pod płaskim zadaszeniem budynku rekreacyjnego w drugim końcu, za starym szkieletem trampoliny.

Tamtego popołudnia, gdy przybyłyśmy do Kingsfield, zrobiło się pochmurno i trochę chłodno i na Placu nie było nikogo. Tylko pod daszkiem budynku rekreacyjnego stało sześć albo siedem niewyraźnych postaci. Kiedy zaparkowałam samochód gdzieś nad starym basenem — o czym oczywiście wówczas nie wiedziałam — jedna z postaci oderwała się od reszty, ruszyła w naszą stronę i zobaczyłam, że to Tommy. Miał na sobie wyblakłą zieloną górę od dresu i ważył chyba piętnaście funtów więcej, niż kiedy go ostatnio widziałam.

Siedząca obok mnie Ruth najwyraźniej wpadła w panikę.

— Co robimy? — zapytała. — Wysiadamy? Nie, nie wysiadajmy. Nie ruszaj się, nie ruszaj.

Nie wiem, co miałam zamiar zrobić, ale kiedy Ruth to powiedziała, z jakiegoś powodu, w ogóle się nad tym nie zastanawiając, wysiadłam po prostu z samochodu. Ruth została w środku i dlatego, kiedy Tommy do nas podszedł, jego wzrok padł na mnie i to mnie uściskał pierwszą. Poczulałam emanujący od niego słaby szpitalny zapach, którego nie potrafiłam zidentyfikować. A potem, chociaż nie padło między nami ani jedno słowo, wyczuliśmy oboje, że Ruth obserwuje nas z samochodu, i odsunęliśmy się od siebie.

W przedniej szybie odbijało się niebo i niezbyt dobrze ją widziałam. Odniosłam jednak wrażenie, że ma poważną, niemal zastygłą w bezruchu twarz, jakbyśmy byli z Tommym bohaterami sztuki, którą oglądała. W jej spojrzeniu było coś dziwnego, co

wprawiało mnie w zakłopotanie. Po chwili Tommy minął mnie, otworzył tylne drzwiczki, wsiadł do środka i teraz to ja ich obserwowałam, siedzących w samochodzie, mówiących do siebie, a potem cmokających się grzecznie w policzek.

Stojący pod daszkiem po drugiej stronie Placu dawcy również ich obserwowali i chociaż nie byłam do nich wrogo nastawiona, zapragnęłam nagle szybko stamtąd wyjechać. Nie wsiadłam jednak od razu z powrotem do samochodu, żeby dać Tommy'emu i Ruth więcej czasu dla siebie.

Z początku jechaliśmy wąskimi krętymi drózkami, a potem niemal pustą szosą przez otwarty monotony teren. Z tej części naszej wycieczki do łodzi zapamiętałam, że po raz pierwszy od wieków przez szare chmury zaczęło przeświecać słońce i że za każdym razem, gdy spoglądałam na siedzącą obok mnie Ruth, miała na ustach łagodny uśmiezek. Jeśli chodzi o to, o czym rozmawialiśmy, pamiętam, że zachowywaliśmy się tak, jakbyśmy się regularnie widywali i nie musieli mówić o niczym poza tym, co czekało nas za chwilę. Zapytałam Tommy'ego, czy już widział łódź, a on odparł, że nie, ale widziało ją wielu innych dawców z ośrodka. Miał kilka okazji, lecz z żadnej nie skorzystał.

— Nie dlatego, że nie chciałem — wyjaśnił, pochylając się do przodu z tylnego siedzenia. — Nie bardzo mi po prostu zależało. Miałem raz jechać z kilkoma dawcami i ich opiekunami, ale dostałem małego krwotoku i nie mogłem wybrać się razem z nimi. To było dawno temu. Teraz nie mam już takich problemów.

Trochę później, kiedy przemierzaliśmy dalej pustą okolicę, Ruth odwróciła się na swoim fotelu w stronę Tommy'ego i zaczęła mu się po prostu przyglądać. Na jej ustach wciąż widniał ten łagodny uśmiezek i widziałam w lusterku, że Tommy jest wyraźnie speszony. Wyglądał przez okno ze swojej strony, potem patrzył na nią i znowu wyglądał przez okno. Po jakimś czasie, nie odrywając od niego wzroku, Ruth zaczęła opowiadać rozwlekłą anegdotę o jakiejś kobiecie, dawczyni z jej ośrodka, o której nigdy w życiu nie słyszeliśmy, i przez cały ten czas wpatrywała się w Tommy'ego, ani na chwilę nie przestając się łagodnie uśmiechać.

— No dobrze, nie musimy wysłuchiwać całego życiorysu — przerwałam jej mniej więcej po minucie, częściowo dlatego, że znudziła mnie ta opowieść, a częściowo dlatego, że chciałam pomóc Tommy'emu.

Powiedziałam to bez żadnej złośliwości i naprawdę nie miałam jakichkolwiek ukrytych zamiarów. Ale jeszcze zanim Ruth umilkła, prawie w tym samym momencie, kiedy jej przerwałam, Tommy wydał z siebie nagłe parsknięcie, rodzaj eksplozji, odgłos, którego nigdy przedtem u niego nie słyszałam.

— Dokładnie to samo chciałem powiedzieć — oznajmił. — Pogubiłem się już dawno temu.

Oczy miałam utkwione w drodze, nie wiedziałam więc, czy zwraca się do mnie, czy do Ruth. Tak czy inaczej, Ruth przestała mówić i powoli odwróciła się z powrotem do przodu na swoim fotelu. Nie wydawała się szczególnie poirytowana, lecz uśmiech zniknął z jej twarzy i utkwiała wzrok gdzieś przed nami. Muszę jednak szczerze powiedzieć, że w tym momencie wcale o niej nie myślałam. Serce zatrzepotało mi w piersi, ponieważ to krótkie aprobujące parsknięcie dało mi do zrozumienia, że po wszystkich tych latach Tommy i ja w dalszym ciągu dobrze się rozumiemy.

Mniej więcej dwadzieścia minut po tym, jak wyruszyliśmy z Kingsfield, znalazłam miejsce, gdzie powinniśmy skręcić. Zjechaliśmy w dół wąską, okoloną żywopłotami krętą drogą i zaparkowaliśmy przy kępie jaworów. Ruszyłam pierwsza w stronę lasu, ale potem, widząc biegnące między drzewami trzy oddzielne ścieżki, musiałam przystanąć i zerknąć na kartkę ze wskazówkami, którą ze sobą zabrałam. Starając się odczytać niewyraźne kulfony, uświadomiłam sobie nagle, że Ruth i Tommy stoją za mną, nic nie mówiąc i czekając niemal jak dzieci, żebym powiedziała im, którądy iść.

Weszliśmy do lasu i chociaż droga była łatwa, zauważyłam, że Ruth oddycha z coraz większym trudem. Natomiast Tommy wcale się nie męczył, choć idąc, lekko utykał. Po jakimś czasie podeszliśmy do ogrodzenia z drutu kolczastego, które było przechylone i zardzewiałe, a sam drut powyciągany na wszystkie strony. Widząc je, Ruth stanęła jak wryta.

— O nie — zaperzyła się. — Nic o tym nie mówiłaś. Nie mówiłaś, że będziemy musieli przechodzić przez drut kolczasty! — dodała, zwracając się do mnie.

— To nie będzie trudne — odparłam. — Możemy przejść pod spodem. Musimy tylko podnieść drut w górę.

Lecz Ruth sprawiała wrażenie naprawdę podenerwowanej i nie ruszała się z miejsca. I wtedy właśnie, kiedy tam staliśmy, a jej ramiona unosiły się i opadały w

oddechu, Tommy po raz pierwszy zdał sobie chyba sprawę, jaka jest krucha. Może zauważył to już wcześniej, lecz nie chciał dopuścić do siebie tej myśli. Przez kilka sekund bacznie jej się przyglądał, a potem oboje, Tommy i ja, przypomnieliśmy sobie chyba — chociaż oczywiście nie mogę być na sto procent pewna — co zdarzyło się w samochodzie, kiedy w gruncie rzeczy na nią napadliśmy. I prawie instynktownie do niej podeszliśmy. Ja wzięłam ją za rękę, a Tommy pod łokieć z drugiej strony i razem podprowadziliśmy do ogrodzenia.

Puściłam Ruth tylko na chwilę, kiedy sama musiałam przejść na drugą stronę. Podniosłam drut tak wysoko, jak tylko się dało, i razem z Tommym pomogliśmy jej przejść pod spodem. Ostatecznie nie okazało się to takie trudne: Ruth nabrała wiary we własne siły i mając nas do pomocy, przestała chyba bać się ogrodzenia. Po drugiej stronie próbowała mi nawet pomóc, przytrzymując drut nad Tommym, który przeszedł pod nim bez większych trudności.

— Trzeba się tylko pochylić — poinformowała go. — Czasami nie jestem w tym dobra.

Tommy zrobił głupawą minę i zastanawiałam się, czy wprawilo go w zakłopotanie to, co powiedziała, czy może przypomniał sobie znowu, jak naskoczyliśmy na Ruth w samochodzie.

— To chyba tędy — oznajmił, wskazując rosnące przed nami drzewa. — Zgadza się, Kath?

Zerknęłam na moją kartkę i ponownie ruszyłam przodem. W lasu zrobiło się ciemniej, a grunt stał się bardziej grząski.

— Mam nadzieję, że nie zabłądzimy — powiedziała ze śmiechem Ruth do Tommy'ego, lecz ja widziałam już prześwitującą przed nami polanę. I mając teraz chwilę czasu na zastanowienie, uświadomiłam sobie, dlaczego tak się przejęłam tym, co zdarzyło się w samochodzie. Nie chodziło wyłącznie o to, że napadliśmy na Ruth, lecz o sposób, w jaki to przyjęła. W dawnych czasach nie do pomyślenia było, by pozwoliła na coś takiego i nie próbowała się odgryźć. Kiedy to do mnie dotarło, przystanęłam na ścieżce, zaczekałam, aż mnie dogonią, i objęłam Ruth ramieniem.

Nie było to wcale takie cikliwe; wyglądało jak coś, co powinien zrobić opiekun, ponieważ Ruth naprawdę stąpała dość niepewnie i zastanawiałam się, czy przypadkiem

nie przeceniłam jej sił. Oddychała z trudem i kiedy szliśmy razem, kilka razy mocno się o mnie oparła. Po chwili minęliśmy ostatnie drzewa, wyszliśmy na polanę i zobaczyliśmy łądz.

Właściwie nie była to wcale polana; rzadki las, przez który szliśmy, po prostu się skończył i teraz wszędzie w zasięgu wzroku ciągnęły się przed nami bagna. Wysokie blade niebo odbijało się w lustrach wody, którymi tu i ówdzie pokryty był łąd. Jeszcze niedawno las musiał sięgać dalej, ponieważ w wielu miejscach wystawały z ziemi upiorne martwe pnie, ułamane na ogół na wysokości zaledwie paru stóp. A za martwymi pniami, może sześćdziesiąt jardów dalej, widać było łądz, stojącą na moczarach w wątych promieniach słońca.

— Och, wygląda dokładnie tak, jak mówiła moja znajoma — stwierdziła Ruth. — Jest naprawdę piękna.

Otaczała nas cisza i kiedy ruszyliśmy w stronę łodzi, słychać było jedynie chlupoczącą pod butami wodę. Wkrótce zauważyłam, że moje stopy grzęzną pośród kęp trawy.

— No dobrze, dalej nie damy rady — zawołałam.

Tommy i Ruth, którzy szli za mną, nie zaprotestowali i obejrzawszy się przez ramię, zobaczyłam, że Tommy ponownie trzyma Ruth pod rękę. Nie ulegało jednak kwestii, że robi to tylko po to, aby pomóc jej zachować równowagę. Stawiając długie kroki, dotarłam do najbliższego pnia, gdzie grunt był twardszy, i przytrzymałam się go. Idąc za moim przykładem, Tommy i Ruth podeszli do innego pnia, pustego i bardziej spróchniałego niż mój, trochę z tyłu i z lewej. Przycupnęli po jego obu stronach i najwyraźniej uznali, że to dobre miejsce. Zaczęliśmy się przyglądać łodzi. Dostrzegłam teraz, że popękała na niej farba i pokruszyły się deski, z których zbudowana była mała kabina. Kiedyś pomalowano ją na błękitny kolor, ale pod wyblakłym niebem wydawała się niemal biała.

— Ciekawe, jak się tu znalazła? — powiedziałam dość głośno, żeby mnie usłyszeli. Spodziewałam się echa, lecz mój głos rozległ się zaskakująco blisko, jakbym była w wyłożonym dywanami pokoju.

— Może tak teraz wygląda Hailsham — usłyszałam po chwili dobiegający z tyłu głos Tommy'ego. — Nie sądzisz?

— Dlaczego miałyby tak wyglądać? — zapytała autentycznie zdziwiona Ruth. — Teren nie stał się bagnisty tylko dlatego, że zamknęli dom.

— Chyba nie. Nie pomyślałem o tym. Ale ostatnio zawsze wyobrażam sobie w ten sposób Hailsham. Nie ma w tym oczywiście żadnej logiki. Przypomina to po prostu obraz, jaki sobie stworzyłem. Oczywiście z wyjątkiem łodzi. Nie byłoby tak źle, gdyby tak tam teraz wyglądało.

— To zabawne — stwierdziła Ruth — bo parę dni temu miałam podobny sen. Śniło mi się, że jestem w sali numer czternaście. Wiedziałam, że cały dom został zamknięty, lecz mimo to byłam tam, w sali numer czternaście. Wyglądałam przez okno i wszystko na zewnątrz było zalane. Po prostu jedno wielkie jezioro. Pod oknem widziałam pływające śmieci, puste kartony po napojach, wszystko. Nie wyczuwało się jednak żadnej paniki, nic podobnego. Było miło i spokojnie, zupełnie jak tutaj. Wiedziałam, że nic mi nie grozi, że tak to wszystko wygląda, ponieważ Hailsham jest zamknięte.

— Wiecie... — mruknął Tommy. — W naszym ośrodku była przez jakiś czas Meg B. Teraz już jej nie ma, pojechała gdzieś na północ, na trzecią donację. Nie wiem, jak jej poszło. Może obilo wam się o uszy?

Pokręciłam głową i ponieważ nie usłyszałam, żeby Ruth coś odpowiedziała, obejrzałam się przez ramię. Z początku wydawało mi się, że wciąż wpatruje się w niebo, lecz ona utkwiała wzrok w białej smudze, którą zostawił w oddali nabierający wysokości samolot.

— Powiem wam coś, co słyszałam — oznajmiła w końcu. — Słyszałam o Chrissie. Podobno zeszła w trakcie drugiej donacji.

— Też mi o tym mówili — potwierdził Tommy. — To musi być prawda. Słyszałem dokładnie to samo. Że to stało się już podczas drugiej donacji. Szkoda. Dobrze, że mnie się to nie przytrafiło.

— Myślę, że to się zdarza o wiele częściej, niż nam mówią — powiedziała Ruth. — Tu obecna moja opiekunka na pewno wie, że to prawda. Ale nic nam nie powie.

— Nie robi się z tego wielkiej tajemnicy — odparłam, odwracając się z powrotem w stronę łodzi. — Czasami to się zdarza. To, co się stało z Chrissie, było naprawdę smutne. Ale nie jest regułą. Ostatnio bardzo uważają.

— Jestem pewna, że to się zdarza o wiele częściej, niż nam mówią — powtórzyła Ruth. — To jedna z przyczyn, dla których przerzucają nas między donacjami.

— Spotkałam raz Rodneya — powiedziałam. — Niedługo po tym, jak zeszła Chrissie. Widziałam go w klinice w północnej Walii. Wydawał się w dobrej formie.

— Założę się, że był zdruzgotany z powodu Chrissie — odparła Ruth. — Nie mówią ci nawet połowy, widzisz? — dodała, zwracając się do Tommy'ego.

— Właściwie Rodney nie był załamany. Oczywiście to go zasmuciło. Ale pogodził się z tym. Zresztą nie widywali się już od kilku lat. Powiedział, że Chrissie chyba to nie przeszkadzało. Moim zdaniem wie się takie rzeczy.

— A skąd on miałby wiedzieć? — obruszyła się Ruth. — Skąd miałby wiedzieć, co czuła Chrissie? I czego chciała? To nie on leżał na tym stole, czepiając się życia. Skąd miałby wiedzieć?

Ten wybuch gniewu przypomniał mi dawną Ruth i ponownie odwróciłam się do niej. Może tylko coś błysnęło w jej oczach, lecz miałam wrażenie, że mierzy mnie twardym, surowym wzrokiem.

— To nie jest w porządku — stwierdził Tommy. — Żeby zejść w trakcie drugiej donacji. To nie jest w porządku.

— Nie mogę uwierzyć, że Rodney się z tym pogodził. Rozmawiałaś z nim tylko przez kilka minut — nie dawała za wygraną Ruth. — Jak możesz wyciągać wnioski na takiej podstawie?

— No tak — mruknął Tommy — ale skoro, jak mówi Kath, już ze sobą zerwali...

— To nie ma żadnego znaczenia — przerwała mu Ruth. — Pod pewnymi względami to jeszcze pogarsza sprawę.

— Widziałam wiele osób będących w sytuacji Rodneya — powiedziałam. — Jakoś się z tym godzą.

— Skąd wiesz? — prychnęła Ruth. — Skąd możesz o tym wiedzieć? Wciąż jesteś opiekunką.

— Dużo widzę jako opiekunka. Strasznie dużo.

— Ona nie może o tym nic wiedzieć, prawda, Tommy? O tym, jak jest naprawdę. Przez chwilę patrzyliśmy obie na Tommy'ego, lecz on wpatrywał się w łódź.

— W moim ośrodku był pewien facet — zaczął po chwili. — Zawsze się martwił, że nie przetrwa drugiej donacji. Powtarzał, że czuje to w kościach. Ale wszystko się dobrze skończyło. A teraz przeszedł trzecią donację i czuje się bardzo dobrze. — Tommy podniósł dłoń i osłonił nią oczy. — Nie byłem zbyt dobrym opiekunem — przyznał. — Nie nauczyłem się nawet prowadzić samochodu. Pewnie dlatego dostałem tak wcześnie pierwsze wezwanie. Wiem, że to nie powinno być wystarczającym powodem, lecz tak to chyba funkcjonuje. Chociaż mnie to wcale nie przeszkadza. Jestem całkiem dobrym dawcą, ale byłem marnym opiekunem.

Przez pewien czas żadne z nas się nie odzywało.

— Ja byłem chyba całkiem dobrą opiekunką — stwierdziła wreszcie o wiele ciszej Ruth. — Ale pięć lat mi wystarczyło. Byłam podobna do ciebie, Tommy. Kiedy zostałam dawczynią, właściwie już do tego dojrzałam. Wydawało się to czymś właściwym. W końcu to akurat mamy robić, prawda?

Nie byłam pewna, czy czeka na moją odpowiedź. Nie wyczułam w jej słowach żadnego podtekstu i całkiem możliwe, że powiedziała to po prostu z przyzwyczajenia — dawcy bez przerwy opowiadają takie rzeczy. Kiedy się do nich znowu odwróciłam, Tommy w dalszym ciągu osłaniał dłonią oczy.

— Szkoda, że nie możemy podejść bliżej do łodzi — powiedział. — Kiedy będzie bardziej sucho, może tu jeszcze wrócimy.

— Cieszę się, że ją zobaczyłam — dodała cicho Ruth. — Jest naprawdę ładna. Ale teraz chcę już chyba wracać. Ten wiatr jest dość chłodny.

— Przynajmniej ją zobaczyliśmy — mruknął Tommy.

Wracając do samochodu, rozmawialiśmy o wiele swobodniej, niż kiedy z niego wysiedliśmy. Ruth i Tommy wymieniali uwagi na temat swoich ośrodków — o jedzeniu, ręcznikach, tego rodzaju rzeczach — a ja też brałam udział w rozmowie, ponieważ bez przerwy pytali mnie o inne ośrodki, czy to, czy tamto jest normalne. Ruth stąpała o wiele pewniej i kiedy zbliżyliśmy się do ogrodzenia i uniosłam drut, przeszła pod nim prawie bez wahania.

Zajęliśmy miejsca w samochodzie, Tommy ponownie z tyłu, i przez moment panowała między nami idealna atmosfera. Patrząc wstecz, zastanawiam się, czy nie wynikało to z faktu, że coś ukrywaliśmy, nie można jednak wykluczyć, że doszłam do takiego wniosku w świetle późniejszych zdarzeń.

Zacząło się jakby od powtórki poprzedniej sceny. Jechaliśmy ponownie długą, prawie pustą drogą i Ruth wygłosiła jakąś uwagę na temat reklamy, którą właśnie mijaliśmy. Nie pamiętam teraz nawet, o jaką reklamę chodziło, był to jeden z tych wielkich billboardów stojących na poboczu drogi. Powiedziała to zupełnie mimochodem, najwyraźniej nie przywiązując do sprawy wielkiego znaczenia. Coś w rodzaju: „Boże, popatrzcie na to. Można by pomyśleć, że spróbują czasem pokazać coś nowego”.

— Mnie się całkiem podoba — odezwał się nagle z tyłu Tommy. — W gazetach też to było. Moim zdaniem coś w tym jest.

Być może chciałam jeszcze raz doznać tego uczucia, że ja i Tommy dobrze się rozumiemy. Bo chociaż sam spacer do łodzi był miły, zaczęłam nabierać przekonania, że oprócz naszego pierwszego uścisku i tej wcześniejszej chwili w samochodzie, tak naprawdę nie łączy nas zbyt wiele.

— Mnie też się podoba — stwierdziłam. — Wymyślenie takiej reklamy wymaga więcej wysiłku, niż może się zdawać.

— Zgadza się — przytaknął Tommy. — Ktoś mi powiedział, że zrobienie czegoś takiego zajmuje czasem kilka tygodni. A nawet miesięcy. Ludzie ślęczą całymi nocami, żeby wszystko było dopracowane.

— Łatwo jest krytykować, kiedy przejeżdża się drogą — dodałam.

— To najłatwiejsza rzecz pod słońcem — mruknął Tommy.

Ruth nic nie odpowiedziała, wpatrywała się w pustą szosę przed nami.

— Skoro już mowa o reklamach — mówiłam dalej — jest taka jedna, którą zauważyłam, kiedy jechaliśmy w tamtą stronę. Zaraz powinniśmy ją mijać. Tym razem będzie po naszej stronie. Zaraz ją zobaczymy.

— O czym jest? — zapytał Tommy.

— Zobaczysz. Niedługo do niej dojedziemy. Zerknęłam na siedzącą obok Ruth. W jej oczach nie było gniewu, raczej coś w rodzaju czujności. A także — tak mi się

przynajmniej wydawało — nadzieja, że kiedy reklama się pojawi, będzie absolutnie niewinna: będzie nam przypominać Hailsham albo coś podobnego. Wczytałam to wszystko na jej twarzy, której rysy nie zastygły w jednym wyrazie, lecz niespokojnie się zmieniały. Przez cały czas miała oczy utkwione w przedniej szybie.

Zwolniłam i zjechałam na bok. Samochód podskoczył kilka razy na trawiastym nierównym poboczu i stanął.

— Dlaczego się zatrzymaliśmy, Kath? — zapytał Tommy.

— Bo stąd najlepiej ją widać. Z bliższej odległości musielibyśmy zadzierać głowy.

Słyszałam, jak Tommy przysuwa się do nas, żeby mieć lepszy widok. Ruth nie poruszyła się i nie byłam pewna, czy w ogóle patrzy na reklamę.

— No dobrze, nie jest dokładnie taka sama — przyznałam po chwili. — Ale coś mi przypominała. Otwarte na przestrzeń biuro, mili uśmiechnięci ludzie.

Ruth milczała.

— Rozumiem — odezwał się z tyłu Tommy. — Chcesz powiedzieć, że przypomina to ten lokal, który wtedy widzieliśmy.

— Nie tylko to — stwierdziłam. — Przypomina także tę starą reklamę. Tę, którą znalazłyśmy na ziemi. Pamiętasz, Ruth?

— Chyba nie — odparła cicho.

— Och, daj spokój. Pamiętasz. Znalazłyśmy ją w tej gazecie na ścieżce. Przy kałuży. Naprawdę wywarła na tobie duże wrażenie. Nie udawaj, że nie pamiętasz.

— Chyba pamiętam.

Głos Ruth zniżył się niemal do szeptu. Minęła nas ciężarówka, nasze auto zakołysało się i przez kilka sekund nie widzieliśmy reklamy. Ruth pochyliła głowę, jakby miała nadzieję, że ciężarówka zasłoni billboard na zawsze, i kiedy mogliśmy go znowu zobaczyć, nie podniosła wzroku.

— To zabawne — powiedziałam — kiedy człowiek sobie wszystko przypomina. Pamiętasz, jak o tym opowiadałaś? Że pewnego dnia będziesz pracowała w podobnym biurze?

— No jasne, przecież dlatego tam wtedy pojechaliśmy — stwierdził Tommy, jakby dopiero teraz sobie przypomniał. — Kiedy wybraliśmy się do Norfolku. Pojechaliśmy odszukać twój pierwowzór. Tę kobietę, która pracowała w biurze.

— Nie przychodzi ci czasem na myśl — zwróciłam się do Ruth — że powinnaś się tym bardziej zainteresować? Zgoda, byłabyś pierwsza. Pierwsza, o której wiedzielibyśmy, że zrobiła coś takiego. Ale mogłaś to zrobić. Nie zastanawiasz się czasami, co by się stało, gdybyś spróbowała?

— Jak miałam spróbować? — Głos Ruth był ledwie słyszalny. — To było po prostu coś, o czym marzyłam. Nic więcej.

— Ale gdybyś przynajmniej się tym zainteresowała... — naciskałam. — Skąd wiesz? Może by ci pozwolili.

— Tak, Ruth — poparł mnie Tommy. — Może powinnaś była przynajmniej spróbować. Skoro tyle o tym opowiadałaś. Myślę, że Kath ma rację.

— Wcale o tym nie opowiadałam, Tommy. W każdym razie nie pamiętam, żebym to robiła.

— Ale Tommy ma rację. Powinnaś była przynajmniej spróbować. Wtedy patrząc na taką reklamę, przypomniałabyś sobie, że to coś, czego kiedyś chciałaś, i że sprawdziłaś przynajmniej, czy to możliwe.

— Jak miałam to sprawdzić?

Głos Ruth po raz pierwszy stwardniał, lecz potem westchnęła i ponownie opuściła wzrok.

— Stale mówiłaś takie rzeczy, jakbyś wierzyła, że mogą cię potraktować w specjalny sposób — powiedział Tommy. — I z tego, co wiedziałaś, mogło ci się udać. Powinnaś przynajmniej zapytać.

— No dobrze — odparła Ruth. — Mówicie, że powinnam się tym zainteresować. Jak? Dokąd miałabym pójść? Nie było sposobu, żeby to sprawdzić.

— Mimo to Tommy ma rację — upierałam się. — Skoro uważałaś, że jesteś taka wyjątkowa, powinnaś była przynajmniej zapytać. Mogłaś pójść do Madame i zapytać.

Mówiąc to — wspominając Madame — zdałam sobie od razu sprawę, że popełniłam błąd. Ruth spojrzała na mnie i zobaczyłam na jej twarzy coś w rodzaju

triumfu. Widuje się to czasami na filmach, kiedy ktoś trzyma kogoś na muszce i ten z pistoletem zmusza tego drugiego do robienia najróżniejszych rzeczy. A potem nagle popełnia błąd, robi się zamieszanie i pistolet ląduje w ręku tej drugiej osoby. I ta druga osoba patrzy na tę pierwszą z takim szczególnym błyskiem w oku, który z jednej strony świadczy o tym, że nie wierzy jeszcze we własne szczęście, a z drugiej zapowiada najokrutniejszą zemstę. Tak właśnie spojrzała na mnie nagle Ruth i chociaż nie powiedziałam nic o odroczeniach, wspomniałam o Madame i wiedziałam, że wkroczyliśmy na zupełnie nowe terytorium.

Ruth zobaczyła, że wpadłam w panikę, i odwróciła się do mnie w fotelu. Szykowałam się na jej atak, powtarzając sobie, że bez względu na to, co powie, sytuacja wygląda teraz inaczej i nie uda jej się postawić na swoim, jak to się działo w przeszłości. Powtarzałam sobie to wszystko i dlatego nie byłam przygotowana na to, co powiedziała.

— Naprawdę nie spodziewam się, że mi kiedykolwiek wybaczysz, Kathy — stwierdziła. — Nie widzę nawet powodu, dla którego miałabyś to zrobić. Ale mimo to mam zamiar cię o to prosić.

Tak mnie to zaskoczyło, że zdobyłam się tylko na niemrawe:

— Co mam ci wybaczyć?

— Co masz mi wybaczyć? Cóż, przede wszystkim to, że od samego początku nie mówiłam ci prawdy w kwestii twoich popędów. Kiedy opowiadałaś mi dawno temu, że są chwile, że masz ochotę to robić niemal z każdym.

Tommy ponownie poruszył się za naszymi plecami, lecz Ruth pochylała się teraz do przodu, patrząc prosto na mnie, jakby w ogóle nie było go w samochodzie.

— Widziałam, jak cię to niepokoiło — oznajmiła. — Powinam ci była powiedzieć. Powinam powiedzieć, że ze mną jest tak samo, dokładnie tak samo, jak opisałaś. Teraz zdajesz sobie ze wszystkiego sprawę, wiem. Ale wówczas nie zdawałaś sobie sprawy i powinam była ci o tym powiedzieć. Powinam ci powiedzieć, że nawet kiedy byłam z Tommym, nie mogłam się opanować, żeby nie robić tego czasami z innymi chłopakami. Co najmniej z trzema, kiedy byliśmy w Chałupach.

Wyznała to, nie patrząc w jego stronę — chyba nie dlatego, że chciała go ignorować, lecz dlatego, że tak bardzo zależało jej na tym, żeby mną wstrząsnąć, i nie miało dla niej znaczenia nic innego.

— Kilka razy o mało ci nie powiedziałam — podjęła. — Lecz w końcu tego nie zrobiłam. Już wówczas uświadamiałam sobie, że pewnego dnia domyślisz się wszystkiego i będziesz mnie winić. Mimo to nic nie powiedziałam. Nie ma powodu, żebyś mi kiedykolwiek wybaczyła, ale chcę cię o to prosić, bo... — powiedziała i nagle urwała.

— Bo co? — zapytałam.

Ruth roześmiała się.

— Bo nic. Chciałabym, żebyś mi wybaczyła, ale wcale nie oczekuję, że to zrobisz. Zresztą to nie wszystko, nawet nie połowa tego, co zrobiłam. Najgorsze jest to, że nie pozwoliłam, żebyście ze sobą byli. — Jej głos ponownie zniżył się niemal do szeptu. — To najgorsza rzecz, jaką zrobiłam.

Odwróciła się lekko, po raz pierwszy obejmując wzrokiem Tommy'ego. A potem prawie natychmiast spojrzała z powrotem na mnie, lecz teraz mówiła już chyba do nas obojga.

— To najgorsza rzecz, jaką zrobiłam — powtórzyła. — Nie proszę nawet, żebyś mi wybaczyła. Boże, powtarzałam to w myślach tyle razy. Nie potrafię uwierzyć, że to naprawdę mówię. Powinniście być ze sobą. Nie będę udawała, że o tym nie wiedziałam. Wiedziałam o tym, odkąd pamiętam. Ale do tego nie dopuściłam. Nie proszę, żebyś mi to wybaczyła. Nie o to mi teraz chodzi. Chcę to naprawić. Naprawić to, co zepsułam.

— Co masz na myśli, Ruth? — zapytał Tommy. — Jak chciałabyś to naprawić?

W jego łagodnym głosie zabrzmiała dziecinna ciekawość i chyba dlatego zaczęłam płakać.

— Posłuchaj, Kathy — powiedziała Ruth. — Ty i Tommy powinniście postarać się o odroczenie. Jeśli zwrócicie się o nie oboje, będziecie mieli szansę. Prawdziwą szansę. Położyła mi na ramieniu dłoń, lecz ja straciłam ją gniewnie i spojrzałam na nią przez łzy.

— Jest już na to za późno. O wiele za późno.

— Nie jest za późno. Posłuchaj, Kathy, nie jest za późno. Zgoda, Tommy miał już dwie donacje. Ale kto powiedział, że to ma jakieś znaczenie?

— Za późno już na to wszystko — powtórzyłam i znowu zaczęłam płakać. — Głupotą jest nawet o tym myśleć. Taką samą głupotą jak marzenie o tej pracy w biurze. Teraz mamy to za sobą.

Ruth potrząsnęła głową.

— Nie jest za późno. Powiedz jej, Tommy.

Pochylałam się nad kierownicą i w ogóle go nie widziałam. Tommy wydał z siebie pomruk zdziwienia, ale nic nie powiedział.

— Posłuchaj — kontynuowała Ruth. — Posłuchajcie oboje. Nalegałam, żebyśmy pojechali wszyscy na tę wycieczkę, ponieważ chciałam wam powiedzieć to, co przed chwilą powiedziałam. Ale zrobiłam to również po to, żeby coś wam dać. — Od jakiegoś czasu grzebała w kieszeniach swojej kurtki i teraz wyciągnęła z niej pomietaną kartkę. — Lepiej ty to weź, Tommy. Pilnuj tego. Kiedy Kathy zmieni zdanie, na pewno wam się przyda.

Tommy wyciągnął rękę między siedzeniami i wziął od niej kartkę.

— Dziękuję, Ruth — powiedział, jakby dała mu czekoladowy batonik. — Co to jest? — zapytał po kilku sekundach. — Nie rozumiem tego.

— To adres Madame. Chodzi mi dokładnie o to samo, czego chcieliście ode mnie przed chwilą. Musicie przynajmniej spróbować.

— Jak go zdobyłaś? — zapytał Tommy.

— To nie było łatwe. Zajęło mi dużo czasu i musiałam parę razy zaryzykować. Ale w końcu go zdobyłam i zrobiłam to dla was dwojga. Teraz tylko od was zależy, czy ją odnajdziecie i spróbujecie.

Przestałam szlochać i zapaliłam silnik.

— Dosyć tego wszystkiego — oznajmiłam. — Trzeba odwieźć Tommy'ego do Kingsfield. A potem musimy same wrócić.

— Ale pomyślcie o tym? Pomyślcie o tym oboje, dobrze?

— Chcę już po prostu wracać — odparłam.

— Tommy, pilnuj dobrze tego adresu. Na wypadek gdyby Kathy dała się przekonać.

— Zachowam go — odparł Tommy. — Dziękuję, Ruth — powtórzył poważniejszym tonem.

— Widzieliśmy Łódź — stwierdziłam — ale teraz musimy już wracać. Jazda do Dover może nam zająć ponad dwie godziny.

Ruszyłam i pamiętam, że w drodze powrotnej do Kingsfield prawie już nie rozmawialiśmy. Kiedy zajechaliśmy na Plac, pod daszkiem znowu stali zbici w gromadkę dawcy. Zawróciłam auto i zaczęłam, aż Tommy wysiądzie. Żadna z nas nie uściskała go ani nie ucałowała, lecz idąc w stronę swoich kolegów, Tommy przystanął nagle, szeroko się do nas uśmiechnął i pomachał.

Może się to wydawać dziwne, ale jadąc z powrotem do ośrodka Ruth, praktycznie nie dyskutowaliśmy o tym, co się przed chwilą wydarzyło. Częściowo wynikało to z tego, że Ruth była zmęczona — rozmowa na poboczu najwyraźniej ją wyczerpała. Poza tym jednak wyczuwałyśmy chyba, że poruszyliśmy dosyć ważnych spraw jak na jeden dzień i gdybyśmy próbowały do nich wrócić, mogłoby to się źle skończyć. Nie wiem, jak czuła się Ruth w trakcie tej jazdy do domu, ale jeśli chodzi o mnie, kiedy opadły wszystkie emocje, kiedy zaczęła zapadać noc i wzdłuż drogi rozbłysły światła, poczułam się dobrze. Miałam wrażenie, że zniknęło coś, co wisiało nade mną od bardzo dawna, i nawet jeśli sytuacja była daleka od unormowania, wyglądało na to, że otworzyła się przynajmniej możliwość jej naprawy. Nie chcę przez to powiedzieć, że byłam w euforii, czy coś w tym rodzaju. Stosunki między naszą trójką znajdowały się w stanie delikatnej równowagi i czułam niepokój, lecz nie było to do końca złe uczucie.

Nie dyskutowaliśmy nawet o Tommym poza stwierdzeniem, że dobrze wygląda, i zgadywaniem, ile mógł przybrać na wadze. A później przez dłuższy czas obserwowaliśmy razem w milczeniu drogę.

Dopiero po kilku dniach zdałam sobie sprawę ze zmian, które nastąpiły po naszej wycieczce. Cała nieufność, wszelkie dręczące nas podejrzenia ulotniły się i przypomnieliśmy sobie chyba, jak wiele niegdyś dla siebie znaczyliśmy. I właśnie wówczas, z nadejściem lata, przy w miarę ustabilizowanym stanie zdrowia Ruth, zaczęła się ta epoka, kiedy przychodziłam do niej wieczorem z herbatnikami i wodą mineralną i siadywałyśmy obok siebie przy oknie, obserwując zachodzące za dachami słońce i

rozmawiając o Hailsham, Chałupach i wszystkim, co nam przyszło do głowy. Gdy myślę teraz o Ruth, jest mi oczywiście smutno, że odeszła; równocześnie jednak jestem naprawdę wdzięczna za ten okres, który spędziłyśmy pod koniec.

Mimo to istniał jeden temat, którego nigdy do końca nie przedyskutowaliśmy — chodzi mi o to, co Ruth powiedziała tamtego dnia na poboczu drogi. Co jakiś czas nawiązywała do tego.

— Czy myślałaś o tym, żeby zostać opiekunką Tommy'ego? — pytała na przykład. — Wiesz, że mogłabyś to załatwić, gdybyś chciała.

Wkrótce cała sprawa sprowadziła się do tego jednego pomysłu — żebym została opiekunką Tommy'ego. Odpowiadałam jej, że myślę o tym, lecz załatwienie czegoś takiego nie jest łatwe, nawet dla mnie. Następnie poruszałyśmy inne tematy, ale nietrudno było dostrzec, że jej myśli krążą stale wokół tej sprawy, i dlatego, widząc się z nią po raz ostatni, wiedziałam, co chciała mi przekazać, mimo że nie była w stanie mówić.

Zdarzyło się to trzy dni po drugiej donacji, kiedy wczesnym rankiem pozwolili mi ją w końcu odwiedzić. Była w pokoju sama i wyglądało na to, że zrobili dla niej wszystko, co byli w stanie zrobić. Po tym, jak zachowywali się lekarze, koordynator i pielęgniarki, stało się dla mnie jasne, iż raczej wątpię, aby przeżyła. Patrzyłam, jak leży w przyćmionym świetle na szpitalnym łóżku, i rozpoznałam na jej twarzy to, co widziałam już wcześniej u dawców. Wyglądało to tak, jakby chciała wejrzeć w głąb siebie, by móc lepiej poznać i uszeregować różne obszary bólu we własnym ciele — być może w podobny sposób, w jaki gorliwy opiekun przemieszcza się pośpiesznie pomiędzy trojgiem lub czworgiem niedomagających dawców w różnych częściach kraju. Technicznie rzecz biorąc, była przytomna, ale stojąc tam przy jej metalowym łóżku, nie byłam w stanie się z nią porozumieć. Mimo to przysunęłam sobie krzesło, usiadłam, wzięłam jej dłoń w swoje i ścisłałam ją za każdym razem, gdy fala bólu kazała jej się ode mnie odwrócić.

Zostałam z nią tak długo, jak mi pozwolili, trzy godziny albo dłużej. I jak mówię, prawie przez cały czas była gdzieś daleko, koncentrowała się na własnym wnętrzu. Ale raz, kiedy wiała się w sposób, który wydawał się przeraźliwie nienaturalny, i miałam już zamiar poprosić pielęgniarki o więcej środków przeciwbólowych, popatrzyła na mnie tylko przez kilka sekund, nie dłużej, i wiedziała dobrze, kim jestem. To był jeden z tych

przebłysków świadomości, które trafiają się dawcom w trakcie najbardziej upiornych zmagień; Ruth przyglądała mi się tylko przez chwilę i chociaż nic nie powiedziała, wiedziałam dobrze, co oznacza jej spojrzenie.

— Dobrze, zrobię to, Ruth — zapewniłam ją. — Zostanę opiekunką Tommy'ego, najszybciej jak to będzie możliwe.

Powiedziałam to szeptem, ponieważ nie sądziłam, by w ogóle usłyszała moje słowa, nawet gdybym je wykrzyczała. Miałam jednak nadzieję, że w trakcie tych kilku sekund, kiedy spotkały się nasze oczy, odczyta moje myśli tak samo dokładnie, jak ja odczytałam jej. A potem ta chwila skończyła się i Ruth znowu odpłynęła. Oczywiście nigdy nie będę tego wiedzieć na pewno, lecz wydaje mi się, że mnie zrozumiała. I nawet jeśli się mylę, przychodzi mi teraz do głowy, że wiedziała o tym przez cały czas, jeszcze zanim zdałam sobie z tego sprawę ja sama. Wiedziała, że zostanę opiekunką Tommy'ego i że „spróbujemy to zrobić”, dokładnie tak, jak nam powiedziała w samochodzie owego dnia.

Rozdział 20

Zostałam opiekunką Tommy'ego prawie dokładnie rok po wycieczce do łodzi. Było to niedługo po jego trzeciej donacji i chociaż rekonwalescencja postępowała pomyślnie, potrzebował dużo odpoczynku. Jak się okazało, nie był to dla nas wcale najgorszy moment, by rozpocząć nowy etap. Wkrótce przyzwyczałam się do Kingsfield i zaczęłam je nawet lubić.

Większość tamtejszych dawców dostawała po trzeciej donacji własny pokój i Tommy'emu przydzielono jedną z największych izolatek w ośrodku. Ludzie twierdzili później, że to ja mu ją załatwiłam, ale to nieprawda; miał po prostu szczęście, a poza tym nie był to wcale taki wspianiały pokój. W czasach ośrodka wczasowego była tam, jak się zdaje, łazienka, ponieważ w jedynym oknie, które znajdowało się naprawdę wysoko pod sufitem, tkwiła matowa szyba. Można było przez nie wyjrzeć, kiedy stanęło się na krześle i otworzyło na oścież, lecz i tak widać było tylko gęste zarośla. Pokój miał kształt litery L i dzięki temu mogli tam wstawić nie tylko łóżko, krzesło i szafkę, lecz również małe szkolne biurko z podnoszonym blatem — mebel, który okazał się nader przydatny.

Nie chcę przedstawiać tego okresu w Kingsfield w złym świetle. W dużej części był naprawdę przyjemny, prawie idylliczny. Pojawiałam się na ogół po lunchu i zastawałam Tommy'ego wyciągniętego na wąskim łóżku — zawsze od stóp do głów ubranego, ponieważ nie chciał „wyglądać jak pacjent”. Siadałam na jego krześle i czytałam mu fragmenty różnych tanich wydań, które ze sobą przynosiłam, rzeczy w rodzaju *Odysei* albo *Baśni z tysiąca i jednej nocy*. Poza tym rozmawialiśmy o dawnych czasach i o innych sprawach. Późnym popołudniem Tommy ucinał sobie często drzemkę, a ja pisałam przy jego szkolnym biurku zaległe raporty. Co zadziwiające, nie odczuwaliśmy wcale upływu lat i bardzo dobrze czuliśmy się w swoim towarzystwie.

Oczywiście jednak nie wszystko było tak jak przedtem. Po pierwsze ja i Tommy zaczęliśmy w końcu uprawiać seks. Nie wiem, czy Tommy dużo o tym wcześniej myślał. Wciąż wracał przecież do zdrowia i być może nie było to dla niego takie ważne. Nie chciałam być natarczywa, ale przyszło mi do głowy, że im dłużej będziemy z tym zwlekać

na samym początku, tym mniej wyda się to później naturalne. Po drugie uświadomiłam sobie, że jeśli wszystko ułoży się zgodnie z tym, czego chciała Ruth, i będziemy ubiegać się o odroczenie, fakt, że nigdy nie uprawialiśmy seksu, może nam popsuć szyki. Nie chcę przez to powiedzieć, że byłam przekonana, iż koniecznie nas o to zapytają. Martwiłam się jednak, że będzie można poznać, iż nie łączą nas intymne stosunki.

Postanowiłam więc zainicjować to pewnego popołudnia w jego izolatce, w sposób, który pozostawiłby mu możliwość wyboru. Tommy leżał jak zwykle na łóżku, wpatrując się w sufit, a ja czytałam mu na głos. Skończywszy, podeszłam do niego, usiadłam na skraju łóżka i wsunęłam rękę pod jego podkoszulek. Dość szybko zjechałam na dół i chociaż chwilę trwało, nim stwardniał, od razu wyczułam, że sprawia mu to przyjemność. Za pierwszym razem musieliśmy uważać na szwy, a poza tym, po wszystkich tych latach aseksualnej znajomości miałam wrażenie, że potrzebujemy jakiegoś etapu pośredniego, zanim będziemy mogli pójść na całość. Zrobiłam to więc po prostu rękoma, a on leżał tam, nie starając się mnie w ogóle dotykać, nie wydając żadnych odgłosów, z błogim wyrazem twarzy.

Lecz już za pierwszym razem oprócz przekonania, że to początek, brama, przez którą przechodzimy, pojawiło się jakieś inne uczucie. Przez dłuższy czas odsuwałam je od siebie i nawet kiedy je zaakceptowałam, mówiłam sobie, że to coś, co wkrótce minie razem z różnymi bólami i dolegliwościami Tommy'ego. Chodzi mi o to, że jego zachowanie już od pierwszego razu było przepełnione smutkiem, tak jakby chciał powiedzieć: „Owszem, robimy to teraz i bardzo się z tego cieszę. Ale jaka szkoda, że zaczęliśmy tak późno”.

To uczucie towarzyszyło nam również w następnych dniach, kiedy uprawialiśmy normalny seks, który dawał nam naprawdę sporo przyjemności. Czyniłam wszystko, żeby je od siebie odsunąć. Staralam się to robić bez żadnych przerw, żebyśmy zatracili się w rozkoszy i nie było miejsca na nic innego. Jeśli Tommy był na gorze, podnosiłam wysoko kolana; jeśli uprawialiśmy seks w jakiegokolwiek innej pozycji, mówiłam i robiłam wszystko, co moim zdaniem uczyniłoby nasz akt bardziej namiętnym, lecz to uczucie nigdy nie zniknęło.

Może miało to coś wspólnego z tym pokojem, słońcem, które prześwitywało przez matową szybę tak słabo, że nawet wczesnym latem wydawało się, że to jesień. Względnie

z tym, że odgłosy, które od czasu do czasu docierały do nas, kiedy tam leżeliśmy, pochodziły od kręcących się po terenie, załatwiających swoje sprawy dawców, a nie od wychowanków siedzących na trawie i spierających się o poezję i prozę. A może z tym, że czasami, nawet kiedy poszło nam naprawdę dobrze i leżeliśmy w objęciach, wciąż dumając o tym, co przed chwilą zrobiliśmy, Tommy mówił na przykład: „Kiedyś mogłem to zrobić dwa razy z rzędu bez żadnego trudu. Ale teraz już nie mogę”. To uczucie stawało się wówczas silniejsze i za każdym razem, gdy tak mówił, musiałam zakrywać mu usta dłonią, żebyśmy mogli tam dalej spokojnie leżeć. Jestem pewna, że Tommy doświadczał tego również, ponieważ w takich momentach zawsze mocniej się obejmowaliśmy, jakbyśmy mogli w ten sposób zagłuszyć to uczucie żalu.

Przez pierwsze tygodnie po moim przyjeździe prawie w ogóle nie mówiliśmy o Madame ani o rozmowie z Ruth, wtedy w samochodzie. A jednak sam fakt, że zostałam jego opiekunką, przypominał nam, że nie powinniśmy marnować czasu. I przypominały nam o tym jego rysunki zwierząt.

Przez wszystkie te lata często myślałam o zwierzętach Tommy'ego. Nawet tamtego dnia, kiedy pojechaliśmy obejrzeć łódź, kuśilo mnie, żeby go o nie zapytać. Czy wciąż je rysuje? Czy zachował te z Chałup? Jednakże cała związana z nimi historia sprawiała, że trudno było mi się na to zdobyć.

I w końcu któregoś popołudnia, mniej więcej miesiąc po tym, jak zaczęłam przyjeżdżać do Kingsfield, weszłam do jego pokoju i zobaczyłam, że rysuje coś bardzo starannie przy szkolnym biurku, dotykając niemal twarzą papieru. Kiedy zapukałam, zawołał, żebym weszła, lecz wcale nie podniósł głowy, nie przestał robić tego, co robił, i jeden rzut oka wystarczył, żebym się zorientowała, że pracuje nad którymś ze swoich wyimaginowanych stworzeń. Stałam w progu, nie wiedząc, czy powinnam wejść, ale on uniósł wreszcie wzrok i zamknął zeszyt — nieróżniący się, co zauważyłam, od czarnych notesów, które dostawał od Keffersa przed laty. Dopiero wtedy weszłam i zaczęliśmy mówić o czymś zupełnie innym, a po jakimś czasie Tommy odłożył zeszyt na bok i w ogóle tego nie skomentowaliśmy. Jednak przychodząc później, często widziałam ten notes na biurku albo przy jego poduszce.

Pewnego dnia, kiedy siedzieliśmy w pokoju i zostało nam jeszcze kilka minut do wyjścia na badania, zauważyłam coś dziwnego w zachowaniu Tommy'ego — jakby czegoś się wstydził i z czymś zwlekał — i pomyślałam nawet, że ma ochotę na seks.

— Chcę, żebyś mi powiedziała, Kath. Szczerze — oznajmił nagle, po czym wyjął z biurka czarny notes i pokazał mi trzy różne szkice czegoś w rodzaju żaby, z długim ogonem, jakby częściowo pozostała kijanką. Tak to przynajmniej wyglądało, kiedy odsunęło się rysunek od oczu. Z bliska każdy szkic składał się z masy miniaturowych detali, podobnie jak rysunki, które widziałam wiele lat wcześniej.

— Te dwie narysowałem, wyobrażając sobie, że są zrobione z metalu — powiedział. — Widzisz, wszystko się błyszczy. Ale ta tutaj... pomyślałem, że spróbuję zrobić ją z gumy. Widzisz? Jest taka kluchowata. Chcę teraz zrobić właściwą wersję, naprawdę dobrą, ale nie mogę się zdecydować. Powiedz szczerze, Kath, co myślisz?

Nie przypominam sobie, co mu odpowiedziałam. Pamiętam tylko, że w tym momencie ogarnęły mnie mieszane uczucia. Zdałam sobie natychmiast sprawę, że Tommy pragnie w ten sposób odciąć się od wszystkiego, co wydarzyło się w związku z jego rysunkami w Chałupach, i odczułam ulgę, wdzięczność i czystą radość. Wiedziałam jednak, dlaczego znowu pojawiły się te zwierzęta i ile możliwych podtekstów może kryć się w tym na pozór zdawkowym pytaniu. Przede wszystkim dawał mi do zrozumienia, że chociaż prawie o tym otwarciu nie rozmawialiśmy, niczego nie zapomniał; pokazywał, że nie osiadł na laurach i że robi to, co do niego należy.

Ale przyglądając się owego dnia tym dziwnym żabom, czułam jeszcze inne rzeczy. Ponownie pojawiło się to dawne podejrzenie, które z początku było bardzo niewyraźne, lecz przez cały czas się wzmagало i w końcu nie potrafiłam myśleć o niczym innym. Oglądając te kartki, nie mogłam na to nic poradzić, ta myśl wracała, nawet kiedy starałam się ją za wszelką cenę odsunąć. Przyszło mi do głowy, że rysunki Tommy'ego nie są już takie świeże. Zgoda, pod wieloma względami były bardzo podobne do tego, co widziałam w Chałupach. Czegoś im jednak zdecydowanie brakowało i wyglądały na wymęczone, prawie tak, jakby je skądś skopiował. I to podejrzenie wracało, mimo że starałam się o nim zapomnieć: że robimy to wszystko zbyt późno; że był na to czas dawniej, lecz nie wykorzystaliśmy go i w naszym sposobie myślenia i naszych planach jest coś śmiesznego, a nawet nagannego.

Kiedy to dzisiaj znów analizuję, przychodzi mi do głowy, że fakt, iż tak niechętnie mówiliśmy o naszych planach, mógł mieć również inną przyczynę. Nie ulegało kwestii, że żaden z innych dawców w Kingsfield nie słyszał nigdy o odroczeniach i niczym podobnym, i odczuwaliśmy zapewne rodzaj skrępowania, zupełnie jakbyśmy strzegli jakiegoś wstydliwego sekretu. Mogliśmy się nawet obawiać tego, co się zdarzy, kiedy dowiedzą się o tym inni.

Nie chcę jednak, jak powiadam, przedstawiać okresu w Kingsfield w zbyt ponurych barwach. Bardzo często, szczególnie po tym dniu, kiedy Tommy zapytał mnie o swoje zwierzęta, mogło się zdawać, że przeszłość nie kładzie się już cieniem na naszych relacjach, i naprawdę dobrze czuliśmy się w swoim towarzystwie. I chociaż nigdy już nie prosił mnie o ocenę rysunków, chętnie pracował nad nimi w mojej obecności i często spędzaliśmy w ten sposób całe popołudnia: ja na łóżku, być może czytając mu na głos, a Tommy przy biurku, rysując.

Możliwe, że cieszylibyśmy się, gdyby ten stan mógł trwać o wiele dłużej; gdybyśmy mogli spędzać więcej czasu na rozmowach, uprawianiu seksu, czytaniu na głos i rysowaniu. Ale lato zbliżało się ku końcowi i Tommy odzyskiwał siły. Coraz bardziej realna stawała się możliwość, że dostanie wezwanie na czwartą donację, i wiedzieliśmy, że nie możemy odkładać naszych planów w nieskończoność.

Miałam wówczas niezwykle pracowity okres i nie pojawiałam się w Kingsfield prawie przez tydzień. Przyjechałam tam rano i pamiętam, że lało jak z cebra. W pokoju Tommy'ego panował prawie zupełny mrok i słychać było plusk wody lejącej się z rynny obok jego okna. Tommy zszedł wcześniej na śniadanie ze swoimi kolegami, ale teraz wrócił i siedział na łóżku z zamyśloną miną, nic nie robiąc. Weszłam do niego skonana — od wieków już nie przespałam porządnie nocy — i padłam po prostu na wąskie łóżko, odpychając go do ściany. Leżałam tak przez jakiś czas i pewnie bym zasnęła, gdyby Tommy nie trącał moich kolan palcem stopy. W końcu usiadłam obok niego na łóżku.

— Widziałam wczoraj Madame, Tommy — powiedziałam. — Nie rozmawiałam z nią i w ogóle do niej nie podeszłam. Ale widziałam ją.

Tommy spojrzał na mnie, lecz nie odezwał się ani słowem.

— Widziałam, jak idzie ulicą i wchodzi do swojego domu. Ruth miała rację. Podala nam właściwy adres, właściwy numer, wszystko — stwierdziłam, po czym opowiedziałam

mu, jak poprzedniego dnia, ponieważ i tak byłam na południowym wybrzeżu, pojechałam późnym popołudniem do Littlehampton i podobnie jak robiłam to już wcześniej dwa razy, przeszłam drugim nadmorskim bulwarem, mijając wille o nazwach takich, jak „Grzbiet fali” i „Widok na morze”, a następnie usiadłam na ławce przy budce telefonicznej i utkwiałam wzrok w domu po drugiej stronie ulicy. — To była typowa detektywistyczna robota — dodałam. — Poprzednio siedziałam tam za każdym razem ponad pół godziny i nic, absolutnie nic się nie wydarzyło. Lecz tym razem coś mówiło mi, że będę miała szczęście.

Byłam taka zmęczona, że o mało nie zasnęłam na tej ławce. I nagle podnosząc wzrok, zobaczyłam Madame, która szła ulicą w moją stronę.

— To było naprawdę niesamowite — ciągnęłam — ponieważ wyglądała dokładnie tak samo jak kiedyś. Miała może tylko trochę starszą twarz. Ale poza tym nic się nie zmieniła. Była nawet tak samo ubrana. W ten sam elegancki szary kostium.

— To nie mógł być ten sam kostium.

— No nie wiem. Wyglądało na to, że ten sam.

— I nie próbowałaś z nią porozmawiać?

— Oczywiście, że nie, głuptasie. Wszystko w swoim czasie. Pamiętaj, że nie była dla nas nigdy zbyt miła.

Opowiedziałam mu, jak Madame przeszła drugą stroną ulicy, ani razu nie zerkając w moim kierunku; jak przez sekundę myślałam, że minie również dom, który obserwowałam, i okaże się, że Ruth dała nam zły adres. Ale Madame skręciła ostro przy furtce, pokonała dwoma albo trzema krokami dystans dzielący ją od frontowych drzwi i zniknęła w środku.

Kiedy skończyłam, Tommy przez jakiś czas milczał.

— Na pewno nie napytasz sobie biedy? — zapytał w końcu. — Jeżdżąc tam, gdzie nie wolno ci jeździć?

— A dlaczego twoim zdaniem jestem taka zmęczona? Zarywam noce, żeby nadrobić wszystkie zaległości. Ale wiemy przynajmniej, gdzie szukać Madame.

Na dworze słychać było plusk deszczu. Tommy odwrócił się na bok i oparł głowę na moim ramieniu.

— Ruth oddała nam wielką przysługę — powiedział cicho. — Dowiedziała się, czego trzeba.

— Tak, oddała nam przysługę. Lecz teraz wszystko zależy od nas.

— Więc jaki jest plan, Kathy? Masz jakiś plan?

— Musimy po prostu tam pojechać. Pojechać tam i ją zapytać. W przyszłym tygodniu, kiedy pojedziemy na badania laboratoryjne, wypiszę cię na cały dzień. I w drodze powrotnej wpadniemy do Littlehampton.

Tommy westchnął i wcisnął mi jeszcze głębiej głowę pod ramię. Ktoś obserwujący go z boku mógłby pomyśleć, że nie przejawia zbyt wielkiego entuzjazmu, ale ja wiedziałam, co czuje. Od tak dawna myśleliśmy o tych sprawach: o odroczeniach i teorii dotyczącej Galerii — a teraz wszystko miało się rozstrzygnąć. Z pewnością trochę nas to przerażało.

— Jeśli uda nam się to załatwić... — powiedział w końcu. — Po prostu założmy, że się uda. Założmy, że dostaniemy, powiedzmy, trzy lata, tylko dla siebie. Co właściwie będziemy robić? Rozumiesz, o co mi chodzi, Kath? Dokąd pójdziemy? Nie możemy zostać tu, w ośrodku.

— Nie wiem, Tommy. Może powie nam, żebyśmy wrócili do Chałup. Ale lepiej, żeby to było gdzieś indziej. Może w Białym Dworku. Niewykluczone, że mają jakieś inne miejsce. Specjalnie dla ludzi takich jak my. Musimy po prostu poczekać na to, co nam powie.

Przez kilka minut leżeliśmy w milczeniu na łóżku, słuchając deszczu. W którymś momencie zaczęłam trącać go stopą w podobny sposób, w jaki on trącał mnie wcześniej. W końcu zareagował i w ogóle zepchnął moją stopę z łóżka.

— Skoro się tam naprawdę wybieramy — stwierdził — musimy podjąć decyzję w sprawie zwierząt. No wiesz, wybrać najlepsze, te, które powinniśmy ze sobą zabrać. Może sześć albo siedem. Musimy się nad tym porządnie zastanowić.

— Dobrze — zgodziłam się, po czym wstałam i rozprostowałam ramiona. — Może weźmiemy więcej. Piętnaście, a nawet dwadzieścia. Owszem, złożymy jej wizytę. Co może nam zrobić? Pojedziemy i się z nią rozmówimy.

Rozdział 21

Pamiętam, jak jeszcze przed naszym wyjazdem wyobrażałam sobie, że stoimy razem z Tommym pod drzwiami, zbierając odwagę, żeby nacisnąć dzwonek, a potem czekamy tam z walącymi sercami. Okazało się jednak, że los oszczędził nam akurat tej udręki.

Zasługiwaliśmy na łut szczęścia, ponieważ tego dnia od początku wszystko szło nie tak. Samochód nawalał podczas podróży i spóźniliśmy się godzinę na badania. A potem wskutek panującego w klinice bałaganu Tommy musiał powtórzyć trzy testy. Był po nich lekko zamroczony i kiedy wyruszyliśmy w końcu późnym popołudniem do Littlehampton, dostał choroby lokomocyjnej i musieliśmy się zatrzymać, żeby odetchnął świeżym powietrzem.

Dotarliśmy tam dopiero przed szóstą. Zaparkowaliśmy samochód za salą do gry w bingo, wyjęliśmy z bagażnika sportową torbę z zeszytami Tommy'ego i ruszyliśmy pieszo do centrum miasta. Dzień był ładny i chociaż zamykano już sklepy, ludzie siedzieli przed pubami, rozmawiając i pijąc. W miarę jak szliśmy, Tommy czuł się coraz lepiej. W końcu przypomniał sobie, że z powodu badań ominął go lunch, i oświadczył, że musi coś zjeść, zanim stawi czoło temu, co nas czekało. I kiedy szukaliśmy lokalu, w którym można by dostać kanapkę na wynos, złapał mnie nagle za rękę tak mocno, że pomyślałam, iż dostał jakiegoś ataku.

— To ona, Kath — szepnął mi do ucha. — Popatrz. Mija fryzjera.

I rzeczywiście to była Madame — szła drugą stroną ulicy, ubrana jak zawsze w elegancki szary kostium.

Ruszyliśmy za nią w rozsądnej odległości, najpierw przez obszar przeznaczony tylko dla ruchu pieszego, a potem prawie opustoszałą główną ulicą. Obojgu nam przypomniał się chyba ten dzień, kiedy podążaliśmy za pierwowzorem Ruth ulicami innego miasta. Lecz tym razem wszystko okazało się o wiele prostsze, Madame skrzyła bowiem wkrótce w długi nadmorski bulwar.

Był zupełnie prosty, skąpany na całej swojej długości w promieniach zachodzącego słońca, i zorientowaliśmy się szybko, że możemy trzymać się daleko w tyle — aż Madame niewiele różniła się od kropki — nie narażając się na to, że ją zgubimy. Faktycznie przez cały czas słyszeliśmy stukot jej obcasów, a rytmiczny odgłos, z jakim torba Tommy'ego obijała się o jego nogę, stanowił coś w rodzaju echa.

Szliśmy tak całkiem długo, mijając przylegające do siebie identyczne domy. A potem zabudowania po drugiej stronie ulicy skończyły się i pojawiło się trawiaste pole, za którym widać było dachy stojących przy brzegu plażowych domków. Samo morze nie było widoczne, ale o jego bliskości świadczyło wysokie niebo i krzyki mew. Po naszej stronie stały domy.

— Już niedaleko — powiedziałam po chwili do Tommy'ego. — Widzisz tamtą ławkę? To na niej siedziałam. Dom jest po drugiej stronie ulicy.

Do tego momentu Tommy był dość spokojny, lecz teraz coś w niego najwyraźniej wstąpiło i zaczął iść o wiele szybciej, zupełnie jakby chciał ją dogonić. Między nami nie było nikogo i kiedy Tommy zaczął zmniejszać dzielący nas dystans, musiałam łapać go za ramię, żeby zwolnił. Przez cały czas bałam się, że Madame się odwróci i spojrzy na nas, ona jednak nie zrobiła tego i nagle przeszła przez prowadzącą do jej domu małą furtkę. Przystanęła przed drzwiami, żeby wyjąć klucze z torebki, a my stanęliśmy przy furtce, wbijając w nią wzrok. Madame się nie odwracała i zaczęłam podejrzewać, że przez cały czas zdawała sobie sprawę z naszej obecności i umyślnie nas ignorowała. Pomyślałam również, że Tommy chce do niej coś krzyknąć i może się to okazać niestosowne. Dlatego właśnie, stojąc tam przy furtce, sama do niej zawołałam i zrobiłam to szybko i bez zastanowienia.

Było to tylko grzeczne „Przepraszam”, lecz ona odwróciła się, jakbym w nią czymś rzuciła. Omiotła nas wzrokiem i przeszedł mnie zimny dreszcz, podobny do tego, który poczułam przed wielu laty, kiedy weszłyśmy jej w drogę przed głównym budynkiem. Jej oczy były tak samo chłodne, a wyraz twarzy może jeszcze surowszy, niż zapamiętałam. Nie wiem, czy nas w tym momencie rozpoznała; niewątpliwie jednak w ułamku sekundy domyśliła się, kim jesteśmy, ponieważ widać było, jak cała sztywnieje — jakby miały koło niej przepełznąć dwa wielkie pająki.

Po chwili wyraz jej twarzy troszeczkę się zmienił. Nie chodzi o to, że spojrzała na nas cieplej. Ale wstręt stał się mniej widoczny i przyjrzała się nam uważniej, mrużąc oczy przed zachodzącym słońcem.

— Nie chcemy pani szokować ani nic w tym rodzaju, Madame — powiedziałam, wychylając się przez furtkę. — Ale jesteśmy z Hailsham. Ja jestem Kathy H., może pani pamięta. A to jest Tommy D. Nie chcemy sprawiać pani żadnych kłopotów.

Madame zrobiła kilka kroków w naszą stronę.

— Z Hailsham — powtórzyła i przez jej twarz przemknął krótki uśmiech. — Cóż za niespodzianka. Po co tu przyszliście, skoro nie zamierzacie sprawiać żadnych kłopotów?

— Musimy z panią porozmawiać — odezwał się nagle Tommy. — Przywiozłem kilka rzeczy... — dodał, podnosząc swoją torbę — ...kilka rzeczy, które może będzie pani chciała umieścić w Galerii. Musimy z panią porozmawiać.

Madame stała, nie poruszając się prawie w promieniach wiszącego nisko słońca, z lekko przechyloną głową, jakby nasłuchiwała jakichś odgłosów dobiegających od strony morza. A potem znowu się uśmiechnęła, ale bardziej do siebie samej niż do nas.

— Bardzo dobrze — powiedziała. — Wejdźcie do środka. Zobaczymy, o czym chcieliście porozmawiać.

Wchodząc, zauważyłam, że we frontowych drzwiach są kolorowe szybki. Kiedy Tommy zamknął drzwi za nami, zrobiło się całkiem ciemno. Byliśmy w korytarzu tak wąskim, że, rozprostowując łokcie, można było dotknąć ścian po obu stronach. Madame zatrzymała się i stała nieruchomo, odwrócona do nas plecami, jakby znowu czegoś nasłuchiwała. Zerkając do przodu, zauważyłam, że korytarz, mimo że wąski, dzielił się na dwie części: po lewej stronie były schody na górę, po prawej jeszcze węższe przejście, prowadzące w głąb domu.

Idąc za przykładem Madame, ja też zaczęłam nasłuchiwać, ale w domu panowała cisza. A potem gdzieś z góry dobiegło niezbyt głośne łupnięcie. Ten dźwięk musiał chyba dla niej coś oznaczać, ponieważ odwróciła się i wskazała nam pogrążony w mroku korytarzyk.

— Idźcie tam i zaczekajcie. Zaraz wracam — poleciła.

Zaczęła wspinać się po schodach, a potem, widząc, że się wahamy, wychyliła się przez balustradę i ponownie wskazała ręką mrok.

— Tam — powtórzyła i zniknęła na górze.

Tommy i ja weszliśmy do pokoju od frontu. Wyglądał tak, jakby jakiś służący przygotował go na wieczór, a potem wyszedł: story były zasunięte, na stolikach stały pozapalane lampy. Czulałam zapach starych mebli, prawdopodobnie wiktoriańskich. Kominek był zakryty i tam, gdzie powinien płonąć ogień, stał oprawiony w ramki gobelin, przedstawiający wpatzonego w widza, podobnego do sowy dziwnego ptaka. Tommy dotknął mojego ramienia i wskazał obraz, który wisiał w rogu nad małym okrągłym stolikiem.

— To Hailsham — szepnął.

Podeszliśmy bliżej, lecz ja nie byłam tego taka pewna. Widziałam, że to dość ładna akwarela, lecz stojąca niżej stołowa lampa miała przekrzywiony, pokryty pajęczynami klosz i światło zamiast padać na obraz, odbijało się po prostu od ciemnego szkła, tak że trudno było cokolwiek zobaczyć.

— To widok z drugiej strony stawu z kaczkami — powiedział Tommy.

— Co masz na myśli? — odrzekłam. — Nie ma tutaj żadnego stawu. To zwykły wiejski pejzaż.

— Nie, staw jest za tobą — odparł dziwnie poirytowany. — Musiałaś to zapamiętać. Jeśli staniesz po drugiej stronie, masz staw za sobą i patrzysz w stronę północnego boiska...

Ponownie umilkliśmy, ponieważ usłyszeliśmy czyjeś głosy. Najpierw męski, dochodzący chyba z góry, a potem głos, który z pewnością należał do Madame.

— Tak, masz całkowitą rację. Całkowitą rację — mówiła, schodząc po schodach.

Myśleliśmy, że Madame wejdzie do nas, lecz ona minęła drzwi i usłyszeliśmy, jak jej kroki oddalają się w głąb domu. Przyszło mi na myśl, że chce nas poczęstować herbatą i ciasteczkami i wtoczyć to wszystko na wózku, ale potem uznałam, że to głupota, że być może o nas zapomniała i zaraz sobie przypomni, wejdzie tutaj i każe nam wyjść. Po chwili ponownie odezwał się szorstki męski głos, tak stłumiony, że mógł dobiegać nawet z drugiego piętra, i w korytarzu po raz kolejny rozległy się kroki Madame.

— Powiedziałam, co masz robić. Zrób to, o co prosiłam.

Tommy i ja czekaliśmy jeszcze kilka minut. Nagle tylna ściana pokoju zaczęła się rozsuwać. Prawie natychmiast dostrzegłam, że to wcale nie ściana, lecz podwójne drzwi rozsuwane, dzielące na dwie części jedno pomieszczenie, które było w rzeczywistości długim pokojem. Madame zasunęła częściowo drzwi z powrotem i patrzyła na nas, stojąc w miejscu. Próbowałam dostrzec, co jest za jej plecami, ale widziałam tylko mrok. Przyszło mi na myśl, że czeka, abyśmy wyjaśnili, po co do niej przyjechaliśmy, lecz ona przerwała nagle milczenie.

— Mówicie, że nazywacie się Kathy H. i Tommy D. Czy tak? I jak dawno temu byliście w Hailsham?

Odpowiedziałam na jej pytanie, lecz trudno było stwierdzić, czy nas pamięta, czy nie. Stała tam dalej w progu, jakby wahała się, czy wejść.

— Nie chcemy pani długo zatrzymywać — odezwał się ponownie Tommy. — Ale jest coś, o czym musimy porozmawiać.

— Tak twierdzicie. No więc dobrze. Lepiej się rozgoście. Mówiąc to, położyła dłonie na oparciach dwóch stojących przed nią identycznych foteli. W jej zachowaniu było coś dziwnego, jakby w gruncie rzeczy wcale nie chciała, żebyśmy usiedli. Pomyślałam, że jeśli skorzystamy z jej zaproszenia, będzie za nami dalej stała, nie zdejmując nawet dłoni z oparc. Ale kiedy skierowaliśmy się w jej stronę, ona też ruszyła do przodu, kuląc się lekko — choć może tylko tak mi się zdawało — gdy nas mijała. Kiedy odwróciliśmy się, żeby usiąść, stała przy wiszących w oknach ciężkich aksamitnych zasłonach, mierząc nas surowym wzrokiem, jakby była nauczycielką i wszystko to działo się w szkolnej klasie. Takie przynajmniej odniosłam wówczas wrażenie. Tommy przyznał później, że wydawało mu się, iż Madame zacznie zaraz śpiewać, że zasłony za jej plecami rozsuną się i zamiast ulicy oraz tej ciągnącej się aż do morza, porośniętej trawą łąki zobaczymy wielkie sceniczne dekoracje podobne do tych, które mieliśmy w Hailsham, a być może nawet wspierający ją chórek. Kiedy to mówił, jego skojarzenie wydawało się całkiem śmieszne i przypomniałam sobie, jak tam stała, ze złożonymi rękoma i wysuniętymi na zewnątrz łokciami, jakby rzeczywiście miała zamiar zaśpiewać. Wątpię jednak, żeby w tamtym momencie naprawdę przyszło mu do głowy coś takiego. Pamiętam, że sprawiał wrażenie bardzo spiętego i obawiałam się, że wyskoczy z jakimś

kompletnym głupstwem. Dlatego kiedy Madame spytała nas całkiem uprzejmie, o co chodzi, zabrałam szybko głos.

To, co mówiłam, mogło wydawać się z początku nieco chaotyczne, ale po jakimś czasie, nabrawszy pewności, że wysłucha mnie do końca, uspokołam się i wypowiadałam bardziej składnie. Od tygodni układałam w myślach, co jej powiedzieć. Zastanawiałam się nad tym w trakcie długich podróży samochodem i siedząc przy cichych stolikach w przydrożnych kafejkach. Wydawało mi się to wówczas takie trudne, że ułożyłam sobie cały plan: wykułam na blachę kilka kluczowych kwestii, następnie zaś nakreśliłam w myślach mapę, jak przejść od jednej do drugiej. Teraz jednak, siedząc przed Madame, uznałam, że większość z tego, co przygotowałam, jest niepotrzebna bądź też zupełnie nietrafna. Co dziwne — Tommy przyznał mi w tym punkcie rację, kiedy o tym później rozmawialiśmy — chociaż w Hailsham Madame nie różniła się raczej od traktujących nas wrogo ludzi z zewnątrz, i obecnie, gdy znowu mieliśmy ją przed sobą, nie powiedziała ani nie zrobiła nic, co wskazywałoby, że żywi do nas jakieś ciepłe uczucia, w tym momencie wydała mi się kimś bliskim, o wiele bliższym od wszystkich osób, które spotykaliśmy w ostatnich latach. Dlatego wszystko, co przygotowałam sobie w głowie, nagle się ulotniło i mówiłam do niej prostym i szczerym językiem, prawie tak jak mogłabym mówić przed laty do wychowawcy. Powtórzyłam jej treść plotek, które słyszeliśmy na temat wychowanków Hailsham i odroczeń, i dodałam, że zdajemy sobie sprawę, że to tylko plotki, i właściwie na nic nie liczymy.

— A nawet jeśli są prawdziwe — stwierdziłam — wiemy, że musi pani mieć już tego dosyć, wszystkich tych par, które przychodzą tutaj i twierdzą, że się kochają. Tommy i ja nie zawracalibyśmy pani głowy, gdybyśmy nie byli naprawdę pewni.

— Pewni? — odezwała się po raz pierwszy od bardzo dawna i oboje wzdrygnęliśmy się zaskoczeni. — Twierdzicie, że jesteście pewni? Pewni, że się kochacie? Skąd możecie o tym wiedzieć? Myślicie, że miłość jest taka prosta? Jesteście zatem zakochani. Głęboko zakochani. To właśnie chcieliście mi zakomunikować? — W jej głosie słychać było sarkazm, lecz kiedy nam się przyglądała, zauważyłam, trochę zszokowana, że ma łzy w oczach. — Wierzycie w to? Że jesteście w sobie głęboko zakochani? I dlatego przyszliście do mnie, żeby dostać to... to odroczenie? Dlaczego? Dlaczego przyszliście z tym do mnie?

Gdyby zadała to pytanie tak, jakby cały pomysł był kompletnym wariactwem, prawie na pewno by mnie to zdruzgotało. Jednak ona nie powiedziała tego w ten sposób. Zapytała o to prawie tak, jakby to było pytanie testowe, na które znała odpowiedź; a nawet jakby wielokrotnie poddawała inne pary podobnemu sprawdzianowi. To właśnie dodało mi nadziei. Ale Tommy zaczynał chyba tracić cierpliwość, ponieważ nagle wybuchnął.

— Przyszliśmy tutaj z powodu pani Galerii — powiedział. — Wiemy chyba, czemu służyła pani Galeria.

— Moja galeria? — Madame oparła się o parapet i zasłony zafalowały za jej plecami. — Moja galeria? — powtórzyła, biorąc długi oddech. — Masz chyba na myśli moją kolekcję. Wszystkie te obrazy i wiersze, wszystkie wasze rzeczy, które gromadziłam przez lata. Ciężko się przy tym napracowałam, ale wierzyłam w sens tego, co robię, wszyscy wierzyliśmy. Więc wydaje ci się, że wiesz, czemu to służyło, dlaczego to robiliśmy. No cóż, chętnie cię wysłucham. Ponieważ muszę przyznać, że sama zadaję sobie stale to pytanie. — Nagle przeniosła wzrok z Tommy'ego na mnie. — Czy nie posuwam się zbyt daleko? — zapytała.

— Nie, nie — bąknęłam, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Posuwam się zbyt daleko — uznała. — Przepraszam. Często posuwam się w tych kwestiach zbyt daleko. Zapomnijcie o czym mówiłam. Młody człowieku, chciałeś powiedzieć coś o mojej galerii. Proszę, słucham cię.

— Chodziło o to, żeby mogła pani ocenić — oznajmił Tommy. — Żeby miała pani coś, na czym można się oprzeć. Inaczej skąd by pani wiedziała, kiedy wychowankowie przychodzą i mówią pani, że się kochają?

Wzrok Madame znowu powędrował w moją stronę, ale miałam wrażenie, że przypatruje się czemuś na moim ramieniu. Zerknęłam nawet w dół, żeby sprawdzić, czy nie mam na rękawie ptasich odchodów czy czegoś podobnego.

— I po to właśnie, twoim zdaniem, gromadziłam wszystkie wasze rzeczy — usłyszałam, jak mówi. — W mojej galerii, jak wszyscy zawsze ją nazywaliście. Śmiałam się, kiedy po raz pierwszy usłyszałam, jak ją określacie. Ale z czasem sama zaczęłam o niej tak myśleć. Jako o mojej galerii. A teraz, młody człowieku, spróbuj mi to wyjaśnić. Dlaczego moja galeria miałaby pomóc w ustaleniu, kto z was jest naprawdę zakochany?

— Ponieważ pokazałaby, jacy jesteście — odparł Tommy. — Ponieważ...

— Ponieważ oczywiście — przerwała mu nagle Madame — wasza sztuka odsłoniłaby wasze wnętrze! O to właśnie chodzi, prawda? Ponieważ wasza sztuka odsłoniłaby wasze dusze. — Nagle spojrzała ponownie w moją stronę. — Czy nie posuwam się zbyt daleko?

Zadała to pytanie już wcześniej i znowu miałam wrażenie, że wpatruje się w plamkę na moim rękawie. Tym razem jednak niejasne podejrzenie, które zrodziło się we mnie, gdy po raz pierwszy o to zapytała, zaczęło przybierać na sile. Przyjrzałam się uważnie Madame, lecz ona chyba to wyczuła i odwróciła się ponownie do Tommy'ego.

— No dobrze — powiedziała. — Kontynuujmy. O czym to przed chwilą mówiłeś?

— Problem polega na tym — stwierdził Tommy — że byłem w tamtym okresie trochę zagubiony.

— Mówiłeś coś o waszej sztuce. O tym, że sztuka obnaża duszę artysty.

— Chodzi mi o to — odparł z naciskiem Tommy — że byłem wówczas bardzo zagubiony i w ogóle nie zajmowałem się sztuką. Nic nie robiłem. Wiem teraz, że powinienem coś robić, ale byłem zagubiony. Dlatego nie ma pani żadnych moich prac w Galerii. Wiem, że to moja wina, i wiem, że jest już prawdopodobnie o wiele za późno, ale przywiozłem ze sobą kilka. — Podniósł torbę i zaczął ją otwierać. — Niektóre zrobione są całkiem niedawno, inne pochodzą sprzed wielu lat. Prace Kath powinna pani już mieć. Dużo jej prac trafiło do Galerii. Prawda, Kath?

Przez chwilę oboje na mnie patrzyli.

— Biedactwa — szepnęła w końcu ledwo dosłyszalnie Madame. — Co myśmy wam najlepszego zrobili? Snując wszystkie nasze plany i projekty... — Jej słowa zawisły w powietrzu i wydawało mi się, że znowu widzę łzy w jej oczach. A potem odwróciła się do mnie. — Czy mamy kontynuować tę rozmowę? — zapytała. — Chcesz to ciągnąć?

Dopiero kiedy to powiedziała, niejasne przeczucie, które dręczyło mnie już wcześniej, przybrało realne kształty. „Czy nie posuwam się zbyt daleko?”. A teraz: „Czy mamy kontynuować?”. Z lekkim dreszczem zdałam sobie sprawę, że te pytania nie były skierowane do mnie ani do Tommy'ego, lecz do kogoś innego — kogoś, kto przysłuchiwał się nam w mrocznej połowie pokoju.

Odwróciłam się powoli w fotelu i wbiłam oczy w mrok. Nic nie zobaczyłam, ale usłyszałam mechaniczny dźwięk dobiegający z zaskakująco dużej odległości — pokój był chyba o wiele dłuższy, niż sądziłam. W końcu ujrzałam, jak coś zbliża się w naszą stronę.

— Tak, Marie-Claude — odezwał się kobiecy głos. — Kontynuujmy.

Wpatrując się w dalszym ciągu w ciemność, usłyszałam, jak Madame wydaje stłumione parsknięcie. A potem przeszła obok nas i zniknęła w drugiej połowie pokoju. Rozległy się kolejne mechaniczne odgłosy i po chwili wyłoniła się z mroku, pchając przed sobą inwalidzki wózek. Ponownie nas minęła i ponieważ jej plecy zasłaniały widok, nie widziałam, kto na nim siedzi. Chwilę później Madame obróciła wózek przodem do nas.

— Ty im powiedz — zdecydowała. — To do ciebie przyjechali.

— Chyba tak.

Postać na wózku była krucha i powykręcana i poznałam ją przede wszystkim po głosie.

— Panna Emily — powiedział cicho Tommy.

— Ty im powiedz — powtórzyła Madame Jakby umywała od wszystkiego ręce.

Wciąż jednak stała za wózkiem i świdrowała nas wzrokiem.

Rozdział 22

— Marie-Claude ma rację — powiedziała panna Emily. — To do mnie powinniście się zwrócić. Marie-Claude pracowała ciężko przy naszym projekcie. I sposób, w jaki się to wszystko skończyło, pozbawił ją pewnych złudzeń. Co do mnie, nie zniechęcam się bez względu na rozczarowania. Moim zdaniem to, co osiągnęliśmy, zasługuje na szacunek. Popatrzcie na siebie. Jesteście całkiem udani. Nie wątpię, że moglibyście opowiedzieć mi wiele rzeczy, które napełniłyby mnie dumą. Jak, powiedzieliście, się nazywacie? Nie, nie, poczekajcie. Chyba pamiętam. Ty jesteś tym chłopcem o wybuchowym temperamencie. Wybuchowym temperamencie, ale wielkim sercu. Tommy. Mam rację? A ty oczywiście jesteś Kathy H. Dobrze sobie radzisz jako opiekunka. Dużo o tobie słyszeliśmy. Jak widzicie, pamiętam. Mogę powiedzieć, że pamiętam was wszystkich.

— I jaki z tego pożytek dla ciebie bądź dla nich? — zapytała Madame, po czym odeszła od wózka, minęła nas oboje i zniknęła w mroku, by, jak się domyślam, zająć miejsce zajmowane wcześniej przez pannę Emily.

— Cieszę się, że znowu panią widzę, panno Emily — powiedziałam.

— Miło mi to słyszeć. Rozpoznałam cię, lecz ty mogłabyś mnie nie rozpoznać. Tak się składa, Kathy H., że nie tak dawno minęłam cię, kiedy siedziałaś na ławce na dworze, i z całą pewnością mnie nie rozpoznałaś. Zerkałaś na George'a, tego wielkiego Nigeryjczyka, który popychał mój wózek. Owszem, owszem, całkiem dobrze mu się przyjrzałaś, a on tobie. Nie powiedziałam ani słowa, a ty nie domyśliłaś się, że to ja. Ale dziś wieczorem, we właściwym otoczeniu poznałyśmy się obie. Mój widok chyba tobą wstrząsnął. Nie czuję się ostatnio najlepiej, ale mam nadzieję, że nie będę na zawsze przykuta do tego wehikułu. Niestety, moi drodzy, nie będę mogła zabawić z wami tak długo, jak bym chciała, ponieważ zaraz przyjdzie tutaj kilku mężczyzn, żeby zabrać moją serwantkę. To wspaniały mebel. George zabezpieczył go kocami, lecz ja się uparłam, żeby osobiście dopilnować transportu. Nigdy nic nie wiadomo z tymi ludźmi. Obchodzą się z meblem byle jak, ciskają go z miejsca na miejsce, a potem ich pracodawca utrzymuje, że był uszkodzony od samego początku. Coś takiego zdarzyło się nam już wcześniej, więc

tym razem uparłam się, że pojadę razem z nimi. To przepiękny mebel, miałam go ze sobą w Hailsham i zamierzam sprzedać go za wysoką cenę. Dlatego kiedy się pojawia, będę musiała was niestety opuścić. Ale widzę, moi drodzy, że przybyliście tu z misją bliską waszym sercom. Muszę przyznać, że wasz widok podnosi mnie na duchu. I podnosi na duchu Marie-Claude, mimo że patrząc na nią, wcale byście się tego nie domyślili. Nieprawdaż, kochanie? Och, udaje, że wcale tak nie jest, lecz nie wierzcie jej. Jest wzruszona, że zdołaliście nas odnaleźć. Teraz się dąsa, ale nie zwracajcie na nią uwagi, moi drodzy, nie zwracajcie na nią uwagi. Spróbuję odpowiedzieć najlepiej jak mogę na wasze pytania. Słyszałam te pogłoski mnóstwo razy. Kiedy działało jeszcze Hailsham, każdego roku starały się tu dostać i z nami porozmawiać dwie albo trzy pary. Jedna nawet do nas napisała. Przypuszczam, że jeśli ktoś gotów jest złamać przepisy, nietrudno znaleźć taki duży dom. Widzicie więc, że te pogłoski krążyły na długo przed wami.

— Interesuje nas, panno Emily — powiedziałam, kiedy umilkła — czy te pogłoski są prawdziwe, czy nie.

Panna Emily przez chwilę nam się przyglądała, a potem wzięła głęboki oddech.

— Na terenie samego Hailsham starałam się je dementować za każdym razem, kiedy się pojawiały — odparła. — Ale jak mogłam wpłynąć na to, co mówili wychowankowie, kiedy opuścili już nasze mury? W końcu doszłam do przekonania... i Marie-Claude chyba się ze mną zgadza, prawda, kochanie?... że ta pogłoska nie jest jakąś tam zwykłą plotką. Moim zdaniem to plotka, która się bez przerwy odradza. Likwiduje się ją u samego źródła, lecz ona pojawia się ponownie gdzie indziej i nie sposób temu zapobiec. Doszłam do takiego wniosku i przestałam się tym przejmować. Marie-Claude nigdy się tym nie przejmowała. „Jeśli są tacy głupi, niech w to wierzą”, uważała. Owszem, owszem, nie rób takiej kwaśnej miny. Taki był twój pogląd od samego początku. Po wielu latach nie doszłam do dokładnie tego samego przekonania, uznałam jednak, że nie powinnam się martwić. To w końcu nie moja wina. I nawet jeśli kilka par będzie rozczarowanych, reszta i tak nigdy nie odważy się tego sprawdzić. To dla nich coś, o czym mogą pomarzyć, nieszkodliwa fantazja. Co w tym złego? Widzę jednak, że was dwojga to nie dotyczy. Wy traktujecie to poważnie. Poważnie to przemyśleliście. Macie głębokie nadzieje. W stosunku do takich jak wy wychowanków odczuwam żal. Pozbawianie was nadziei nie sprawia mi wcale przyjemności. Ale muszę was ich pozbawić.

Nie chciałam patrzeć na Tommy'ego. Byłam zaskakująco spokojna i chociaż słowa panny Emily powinny nas zdruzgotać, było w nich coś, co sugerowało, że wszystkiego nam jeszcze nie wyjawiała, że nie dotarliśmy do sedna sprawy. Niewykluczone nawet, że nie mówiła nam prawdy.

— Czy to oznacza, że odroczenia w ogóle nie istnieją? — dopytywałam. — Nie może pani nic zrobić?

Panna Emily powoli pokręciła głową.

— W tej pogłosce nie ma ani źdźbła prawdy. Przykro mi. Naprawdę mi przykro.

— Ale czy kiedyś była prawdziwa? — zapytał nagle Tommy. — Zanim zamknięto Hailsham?

Panna Emily kręciła głową.

— Nigdy nie była prawdziwa. Nawet przed skandalem Morningdale'a, nawet kiedy Hailsham stawiane było za wzór, kiedy było przykładem tego, że możemy postępować lepiej i bardziej po ludzku, nawet wówczas ta pogłoska nie była prawdziwa. Najlepiej nie pozostawiać w tej kwestii żadnych złudzeń. To były od początku do końca pobożne życzenia. Ojejku, czy to nie ci ludzie, którzy przyszli po serwantkę?! — krzyknęła, kiedy za ścianą zadźwięczał dzwonek.

Usłyszeliśmy, jak ktoś schodzi po schodach, żeby otworzyć drzwi, i po chwili w wąskim korytarzyku rozległy się męskie głosy. Madame wyłoniła się z mroku za naszymi plecami, przecięła pokój i wyszła. Panna Emily pochyliła się do przodu na swoim wózku i przez chwilę bacznie nasłuchiwała.

— To nie oni — stwierdziła w końcu. — To znowu ten straszny człowiek z firmy remontowej. Zajmie się tym Marie-Claude. A więc, moi drodzy, mamy jeszcze kilka minut. Czy jest jeszcze coś, o czym chcielibyście ze mną porozmawiać? To jest oczywiście wbrew wszelkim przepisom i Marie-Claude nie powinna was tu w ogóle wpuszczać. A ja naturalnie powinnam was wyprosić, kiedy tylko zorientowałam się, że tu jesteście. Ostatnio jednak Marie-Claude nie przejmuje się zbyt wiele przepisami i muszę przyznać, że ja też. Więc jeśli chcecie zostać trochę dłużej, proszę bardzo.

— Skoro ta pogłoska nie była nigdy prawdziwa — odezwał się Tommy — po co zabieraliście nasze prace? Czy Galeria też nigdy nie istniała?

— Galeria? No cóż, w tej pogłosce było źdźbło prawdy. Istniała pewna galeria. I właściwie wciąż istnieje. Obecnie mieści się tutaj, w tym domu. Muszę ją nieco okroić, czego żałuję. Niestety brakuje nam miejsca na te wszystkie rzeczy. Ale dlaczego zabieraliśmy wasze prace? Oto, zdaje się, chcieliście zapytać?

— Nie tylko o to — odparłam cicho. — Po co w ogóle je wykonywaliśmy? Po co było nas uczyć, zachęcać, kazać nam je robić? Jeśli mieliśmy po prostu zostać dawcami, a potem umrzeć, po co były te wszystkie lekcje? Po co te wszystkie książki i dyskusje?

— Po co w ogóle powołano do życia Hailsham? — zapytała z korytarza Madame, po czym weszła do pokoju i znowu zniknęła w jego pogrążonej w mroku części. — Zadaliście trafne pytanie.

Panna Emily podążyła za nią wzrokiem i przez moment się w nią wpatrywała. Kusilo mnie, żeby się odwrócić i zobaczyć, jak na siebie patrzą, ale mieliśmy wrażenie, że jesteśmy znowu w Hailsham i musimy uważać na to, co dzieje się przed nami.

— Tak, po co w ogóle powołano do życia Hailsham? — powtórzyła panna Emily. — Ostatnio Marie-Claude stale lubi zadawać to pytanie. Choć jeszcze nie tak dawno temu, przed skandalem Morningdale'a, nie pomyślałaby nawet, żeby je zadać. Nie przyszłoby jej w ogóle do głowy. Wiesz, że to prawda, więc nie patrz na mnie w ten sposób! W tamtych czasach była tylko jedna osoba, która mogła zadać takie pytanie, i tą osobą byłam ja. Zadawałam je na długo przed Morningdale'em, od samego początku. I to ułatwiało życie całej reszcie, Marie-Claude, całej reszcie, ponieważ mogli robić swoje i niczym się nie przejmować. Dotyczy to również wychowanków. To ja się za wszystkich martwiłam i ja zadawałam pytania. I dopóki byłam niezłomna, dopóty nikogo z was nie trapiły żadne wątpliwości. Wracając jednak do twoich pytań, drogi chłopcze. Odpowiedzmy na najprostsze i być może poznasz dzięki temu odpowiedź na pozostałe. Po co zabieraliśmy wasze dzieła sztuki? Po co to robiliśmy? Powiedziałeś wcześniej ciekawą rzecz, Tommy. Kiedy mówiliście o tym z Marie-Claude. Powiedziałeś, że robiliśmy to, ponieważ wasza sztuka mogła pokazać, jacy jesteście. Jacy jesteście w środku. Tak właśnie powiedziałeś, prawda? Cóż, niewiele się pomyliłeś. Zabieraliśmy wasze prace, bo uważaliśmy, że odsłonią wasze dusze. Albo mówiąc precyzyjniej, robiliśmy to, żeby udowodnić, że w ogóle macie dusze. Panna Emily umilkła, a ja i Tommy po raz pierwszy od wieków spojrzeliśmy na siebie.

— Dlaczego musieliście udowadniać coś takiego, panno Emily? — zapytałam. — Czyżby ktoś uważał, że nie mamy dusz?

Na jej twarzy ukazał się słaby uśmiech.

— Wzruszające, Kathy, że wprawia cię to w taką konsternację. W pewien sposób potwierdza to, że dobrze wykonaliśmy naszą robotę. Dlaczego, jak powiadasz, ktoś mógłby wątpić, że masz duszę? Muszę ci wyznać, moja droga, że kiedy zaczynaliśmy to wszystko przed wieloma laty, nie był to powszechny pogląd. I choć przeszliśmy od tego czasu długą drogę, nawet dzisiaj nie wszyscy go podzielają. Wy, wychowankowie Hailsham, mimo że żyjecie w normalnym świecie, nie wiecie nawet połowy. W całym kraju dokładnie w tej chwili wychowankowie dorastają w opłakanych warunkach, warunkach, których wy, wychowankowie Hailsham, nie potrafilibyście sobie nawet wyobrazić. A teraz, kiedy nas zabrakło, sytuacja będzie się coraz bardziej pogarszać.

Panna Emily ponownie przerwała i przez moment przyglądała nam się bacznie zmrużonymi oczyma.

— Bez względu na wszystko — ciągnęła — dopilnowaliśmy przynajmniej, żeby ci, którzy pozostawali pod naszą opieką, dorastali we wspianym otoczeniu. Dopilnowaliśmy również, żeby po wyjeździe od nas oszczędzono wam najgorszych okropności. Tyle przynajmniej byliśmy w stanie dla was zrobić. Ale to wasze marzenie, żeby zakwalifikować się do odroczenia... Zapewnienie czegoś takiego nigdy nie było w naszej mocy, nawet kiedy cieszyliśmy się największymi wpływami. Przykro mi, ale widzę, że to, co mówię, nie przypadło wam do gustu. Nie powinniście jednak upadać na duchu. Mam nadzieję, że docenicie, ile rzeczy zdołaliśmy wam zapewnić. Spójrzcie na siebie! Żyło wam się dobrze, jesteście wykształceni i kulturalni. Przykro mi, że nie mogliśmy wam zapewnić więcej, ale musicie wiedzieć, że sytuacja była kiedyś o wiele gorsza. Kiedy ja i Marie-Claude zaczynałyśmy naszą działalność, w ogóle nie istniały takie miejsca jak Hailsham. My byliśmy pierwsi, my i Glenmorgan. Kilka lat później włączyła się w to Fundacja Saundersa. Razem stworzyliśmy niewielki, ale bardzo głośny ruch kwestionujący cały dotychczasowy program donacji. Co ważniejsze, pokazaliśmy światu, że jeśli wychowankowie dorastają w ludzkim, kulturalnym środowisku, mogą, kiedy dorosną, być tak samo wrażliwi i inteligentni jak każda zwykła istota ludzka. Wcześniej wszystkie klony — albo wychowankowie, jak woleliśmy was nazywać — powoływane były do życia

wyłącznie w celach medycznych. W początkowym okresie, zaraz po wojnie, tym przede wszystkim byliście dla większości ludzi. Tajemniczymi obiektami w próbkach. Chyba się ze mną zgodzisz, Marie-Claude? W ogóle się dziś nie odzywa. Normalnie nie zamykają się jej usta, kiedy mówimy na ten temat. Wasza obecność, moi drodzy, najwyraźniej zbiła ją z tropu. No dobrze. A więc tak brzmi odpowiedź na twoje pytanie, Tommy. Dlatego zabieraliśmy wasze prace. Wybieraliśmy najlepsze i urządzaliśmy specjalne wystawy. Pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy cieszyliśmy się największymi wpływami, organizowaliśmy duże imprezy w całym kraju. Brali w nich udział ministrowie, biskupi, wszelkiego rodzaju znakomitości. Wygłaszano mowy, deklarowano duże sumy. „Popatrzcie, proszę! — mogliśmy powiedzieć. — Popatrzcie na tę sztukę! Jak śmiecie twierdzić, że te dzieci nie są w pełni ludźmi?”. O tak, nasz ruch cieszył się dużym poparciem, wówczas gdy byliśmy na fali.

Przez następne kilka minut panna Emily wspominała różne wydarzenia z dawnych czasów, wymieniając wiele osób, których nazwiska nic nam nie mówiły. Właściwie przez chwilę można było odnieść wrażenie, że znaleźliśmy się znowu na jednym z owych porannych apeli, kiedy dywagowała o rzeczach, o których nie mieliśmy pojęcia. Najwyraźniej sprawiało jej to przyjemność i jej twarz rozjaśniła się w łagodnym uśmiechu. Nagle jednak wyrwała się z rozmarzenia i zmieniła ton.

— Lecz my nigdy nie straciliśmy do końca kontaktu z rzeczywistością, prawda, Marie-Claude? — zapytała. — W przeciwieństwie do naszych kolegów z Fundacji Saundersa. Nawet w najlepszym okresie nigdy nie zapominaliśmy, w jak trudną zaangażowaliśmy się bitwę. I rzeczywiście wkrótce zaczęła się ta historia z Morningdale'em, a potem kilka innych spraw i zanim się zorientowaliśmy, cała nasza ciężka praca została zaprzepaszczona.

— Nie rozumiem jednak — powiedziałam — dlaczego ludzie w ogóle chcieli, żeby wychowankowie byli tak źle traktowani.

— Z dzisiejszej perspektywy, Kathy, twoje zdumienie jest jak najbardziej zrozumiałe. Ale musisz spróbować spojrzeć na to historycznie. Po wojnie, na początku lat pięćdziesiątych, kiedy tak szybko następowały po sobie wielkie odkrycia naukowe, nie było czasu na zastanowienie, na zadawanie sensownych pytań. Nagle ujrzeliśmy przed sobą wszystkie te nowe możliwości, wszystkie metody leczenia wcześniej nieuleczalnych

chorób. Świat na to właśnie zwracał największą uwagę, tego najbardziej pragnął. I przez dłuższy czas ludzie woleli wierzyć, że te organy biorą się znikąd albo że co najwyżej wyrastają w jakiejś próżni. Owszem, dochodziło do sporów. Ale kiedy ludzie zaczęli się troszczyć o... o wychowanków, kiedy zaczęli się zastanawiać, jak was się hoduje i czy w ogóle należało powoływać was do życia, było już na to za późno. Nie dało się odwrócić całego procesu. Jak można było prosić świat, który uznał, że rak jest uleczalny, jak można było prosić ten świat, ażeby zrezygnował z remedium i powrócił w mroczne czasy? Nie było powrotu. Bez względu na to, jak krępujące było dla ludzi wasze istnienie, troszczyli się przede wszystkim o to, żeby ich własne dzieci, ich współmałżonkowie, rodzice i przyjaciele nie umierali na raka, stwardnienie rozsiane i choroby serca. Dlatego przez dłuższy czas usuwano was w cień i ludzie starali się o was nie myśleć. A jeśli to robili, próbowali sobie wmówić, że tak naprawdę nie jesteście do nas podobni, a ponieważ nie jesteście do końca ludźmi, to nie ma znaczenia. Tak oto wyglądała sytuacja, gdy pojawił się nasz skromny ruch. Rozumiecie jednak, przeciwko czemu występowaliśmy? Przypominało to kwadraturę koła. Świat chciał, żeby wychowankowie oddawali organy. Dopóki tak się działo, istniała zawsze bariera niepozwalająca widzieć w was właściwych ludzi. Prowadziliśmy tę walkę przez wiele lat i udało nam się wywalczyć dla was wiele ulepszeń, choć oczywiście byliście tylko nielicznymi wybrańcami. Potem jednak doszło do skandalu Morningdale'a oraz kilku innych wydarzeń i zanim się zorientowaliśmy, klimat całkowicie się zmienił. Nikt nie chciał już nas dalej popierać i cały nasz niewielki ruch, wszystkie nasze ośrodki, Hailsham, Glenmorgan i Fundacja Saundersa, zostały zlikwidowane.

— Na czym polegał ten skandal Morningdale'a, o którym stale pani wspomina, panno Emily? — zapytałam. — Musi nam pani powiedzieć, bo nic o nim nie wiemy.

— Cóż, dziwiłabym się, gdybyście wiedzieli. W szerokim świecie nie było o nim tak głośno. Rzeczą dotyczyła naukowiec o nazwisku James Morningdale, na swój sposób bardzo utalentowanego. Prowadził badania w odległym zakątku Szkocji, żeby, jak sądzę, nie ściągać na siebie większej uwagi. Chciał zaoferować ludziom dzieci o ulepszonych cechach. Odznaczających się wyższą inteligencją, większą tężyzną fizyczną, tego rodzaju rzeczami. Oczywiście inni również mieli podobne ambicje, ale ten Morningdale posunął się w swoich badaniach dalej niż ktokolwiek przed nim, daleko poza to, na co zezwalało

prawo. Po jakimś czasie sprawa została ujawniona, położono kres jego działalności i mogło się zdawać, że jest już po wszystkim. Okazało się jednak, że nie dla nas. Jak powiadam, nigdy nie było o tym zbyt głośno. Powstała jednak określona atmosfera. Ludzie przypomnieli sobie o starym lęku, który w nich zawsze tkwił. Czym innym jest stworzenie takich jak wy wychowanków do programu donacji, a czym innym całe pokolenie tworzonych sztucznie dzieci, które miałyby zająć nasze miejsce w społeczeństwie. Dzieci, które nad nami wyraźnie górują. O nie. To przerażyło ludzi. Nie chcieli się na to zgodzić.

— Ale co to miało z nami wspólnego, panno Emily? — zapytałam. — Dlaczego trzeba było zamknąć Hailsham z takiego powodu?

— My też nie widzieliśmy związku, Kathy. Przynajmniej z początku. I myślę teraz często, że można o to do nas mieć pretensję. Gdybyśmy byli bardziej czujni, mniej zaabsorbowani sobą, gdybyśmy nie zasypiali gruszek w popiele, kiedy wybuchł cały skandal, być może udałoby nam się tego uniknąć. Och, Marie-Claude się ze mną nie zgadza. Uważa, że bez względu na to, co byśmy robili, i tak by do tego doszło, i być może ma rację. Nie chodziło w końcu tylko o Morningdale'a. Były i inne rzeczy. Na przykład ten okropny serial telewizyjny. Wszystko to razem spowodowało, że trend się odwrócił. Przypuszczam jednak, że główną przyczynę stanowiło to, że nasz niewielki ruch był zawsze zbyt kruchy, za bardzo zależny od kaprysów ludzi, którzy nas wspierali. Dopóki klimat był dla nas korzystny, dopóki jakaś korporacja albo polityk widzieli, że wspieranie nas przynosi im korzyść, byliśmy w stanie utrzymać się na powierzchni. Ale zawsze trzeba było o to walczyć, i po sprawie Morningdale'a, kiedy klimat się zmienił, nie mieliśmy najmniejszych szans. Ludzie nie chcą, żeby przypomniano im, jak w rzeczywistości funkcjonuje program donacji. Nie chcą myśleć o was i o warunkach, w jakich dorastacie. Innymi słowy, moi drodzy, chcą was ponownie usunąć w cień. Tam, gdzie pozostawaliście, zanim pojawiły się osoby takie jak ja i Marie-Claude. Wszyscy ci ważniacy, którzy tak chętnie nam niegdyś pomagali, teraz zniknęli. W niecałe dwa lata straciliśmy wszystkich naszych sponsorów, jednego po drugim. Funkcjonowaliśmy, jak długo się dało, dwa lata dłużej niż Glenmorgan. Ostatecznie jednak, jak wiecie, musieliśmy zamknąć Hailsham i dziś po naszej pracy nie został nawet najmniejszy ślad. W całym kraju nie znajdziecie teraz niczego, co przypominałoby Hailsham. Znajdziecie

wyłącznie te same co zawsze wielkie państwowe „domy”, i nawet jeśli są urządzone trochę lepiej niż kiedyś, powiem wam, moi drodzy, że nie spalibyście całymi nocami, gdybyście zobaczyli, co się wyprawia w niektórych z nich. Co do mnie i Marie-Claude, zaszyliśmy się tutaj i mamy na górze całą stertę waszych prac, które przypominają nam, czego niegdyś dokonałyśmy. Oraz masę długów, które nawet w części nie są już takie przyjemne. A także wspomnienia, jak sądzę, o was wszystkich. I świadomość, że ofiarowałyśmy wam lepsze życie niż to, które czekałoby was w innym wypadku.

— Nie prosz, żeby ci dziękowali — odezwała się za naszymi plecami Madame. — Za co mieliby ci być wdzięczni? Przyszli tutaj po coś więcej. Cóż oni mogą wiedzieć o wszystkich tych latach, które im daliśmy, o całej walce, którą prowadziliśmy w ich imieniu? Uważają, że to dar od Boga. Przed przyjściem tutaj nie mieli o niczym pojęcia. A teraz odczuwają wyłącznie rozczarowanie, ponieważ nie daliśmy im wszystkiego, co możliwe.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. A potem na zewnątrz rozległ się jakiś hałas i znowu zadźwięczał dzwonek. Madame wyłoniła się z mroku i wyszła na korytarz.

— Tym razem to na pewno ci ludzie — powiedziała panna Emily. — Muszę się szykować do wyjścia. Ale możecie zostać jeszcze chwilę dłużej. Mają znieść ten mebel z drugiego piętra. Marie-Claude dopilnuje, żeby go nie zniszczyli. Tommy i ja nie mogliśmy uwierzyć, że to już koniec. Żadne z nas nie wstało z fotela, a poza tym nic nie wskazywało, by ktoś miał zamiar pomóc pannie Emily podnieść się z wózka. Zastanawiałam się przez chwilę, czy nie spróbuje zrobić tego sama, lecz ona pochyliła się do przodu, intensywnie nasłuchując.

— Więc definitywnie nic nie ma — odezwał się w końcu Tommy. — Żadnych odroczeń, żadnych tego rodzaju rzeczy.

— Tommy... — mruknęłam, karcąc go wzrokiem.

— Nie, Tommy — potwierdziła łagodnie panna Emily. — Nie ma niczego w tym rodzaju. Wasze życie musi się toczyć trybem, który został ustalony.

— Więc chce pani powiedzieć, panno Emily — podjął Tommy — że wszystko, co robiliśmy, te lekcje i w ogóle... że wszystko to wynikało tylko z tego, o czym pani przed chwilą powiedziała? Nie chodziło o nic więcej?

— Widzę, że możecie dojść do przekonania, iż byliście wyłącznie pionkami w czyjejs grze. Oczywiście można spojrzeć na to i w ten sposób. Ale pomyślcie tylko. Byliście szczęśliwymi pionkami. Istniał określony klimat, który potem się zmienił. Musicie przyjąć do wiadomości, że czasami tak właśnie dzieje się na świecie. Ludzkie opinie, ich uczucia, kierują się raz w jedną, raz w drugą stronę. Tak się złożyło, że dorastaliście w pewnym momencie tego procesu.

— Być może to tylko jakaś tendencja, która raz jest taka, raz inna — powiedziałam.
— Lecz nam chodzi o życie.

— Tak, to prawda. Pomyślcie jednak. Mieliście lepiej niż ci, którzy byli przed wami. I kto wie, co czeka tych, którzy przyjdą po was. Przykro mi, wychowankowie, ale muszę już was opuścić. George! George!

W korytarzu panował prawdziwy rejwach i być może przytępiło to słuch George'a, ponieważ nie odpowiedział na jej wołanie.

— Czy dlatego odeszła panna Lucy? — zapytał nagle Tommy.

Przez chwilę myślałam, że panna Emily, która koncentrowała się na tym, co działo się na korytarzu, w ogóle go nie usłyszała. Pochylając się do przodu, skierowała swój wózek w stronę drzwi. W pokoju było jednak tyle małych stolików do kawy i krzeseł, że trudno jej było się przecisnąć. Chciałam już wstać i utorować przed nią drogę, kiedy nagle się zatrzymała.

— Lucy Wainright — mruknęła. — A tak. Mieliśmy z nią mały problem. — Umilkła na chwilę, a potem obróciła swój wózek tak, żeby mieć przed sobą Tommy'ego. — Tak, mieliśmy z nią mały problem. Mały spór. Wracając jednak do twojego pytania, Tommy, spór z Lucy Wainright nie miał nic wspólnego z tym, o czym wam przed chwilą powiedziałam. W każdym razie nie bezpośrednio. Nie, to była bardziej, jak byśmy powiedzieli, sprawa wewnętrzna.

— Jeśli nie ma pani nic przeciwko, panno Emily — zagadnęłam, ponieważ wydawało mi się, że chce na tym poprzestać — chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś więcej o tym, co stało się z panną Lucy.

Panna Emily uniosła brwi.

— Z Lucy Wainright? Tyle dla was znaczyła? Wybaczcie mi, moi drodzy, znowu mam kłopoty z pamięcią. Lucy nie zabawiła u nas długo, więc w naszych wspomnieniach o Hailsham wydaje się postacią marginesową. I niekoniecznie szczęśliwą. Ale rozumiem, że skoro byliście tam akurat w tym okresie...

Nagle roześmiała się, najwyraźniej coś sobie przypominając. Za drzwiami Madame naprawdę głośno obsztorcowywała mężczyzn, lecz pannę Emily przestało to chyba interesować. Siedząc ze skupioną miną, wspominała dawne czasy.

— Była całkiem miłą dziewczyną, Lucy Wainright. Ale kiedy spędziła u nas trochę czasu, zaczęły jej chodzić po głowie różne pomysły. Doszła do wniosku, że powinniście więcej wiedzieć. Więcej wiedzieć, co was czeka, kim jesteście, po co jesteście. Uważała, że powinniśmy wam przedstawić maksymalnie pełny obraz. Że nie robiąc tego, oszukujemy was. Przeanalizowaliśmy jej poglądy i doszliśmy do wniosku, że się myli.

— Dlaczego? — zapytał Tommy. — Dlaczego doszliście do takiego wniosku?

— Dlaczego? Miała dobre chęci, to nie ulega kwestii. Widzę, że ją lubiliście. Miała zadatki na znakomitą wychowawczynię. Ale to, co chciała zrobić, było zbyt teoretyczne. Prowadziliśmy Hailsham od wielu lat i wiedzieliśmy dobrze, co się sprawdzi i co jest najlepsze dla wychowanków na dłuższą metę, po odejściu z Hailsham. Lucy Wainright była idealistką, nie ma w tym nic złego. Nie miała jednak pojęcia o rzeczywistości. Byliśmy w stanie wam coś dać, coś, czego nawet teraz nikt wam nie odbierze, i byliśmy w stanie to zrobić, przede wszystkim was chroniąc. Hailsham nie byłoby tym, czym było, gdybyśmy tego nie robili. Zgoda, czasami oznaczało to, że coś przed wami ukrywaliśmy, okłamywaliśmy was. Owszem, pod wieloma względami was oszukiwaliśmy. Przypuszczam, że można to tak nazwać. Lecz przez wszystkie te lata chroniliśmy was i daliśmy wam dzieciństwo. Lucy miała dobre chęci. Ale gdyby postawiła na swoim, wasze szczęście w Hailsham ległoby w gruzach. Spójrzcie teraz na siebie! Jestem z was obojga taka dumna! Zbudowaliście wasze życie na tym, co wam daliśmy. Nie bylibyście tym, kim jesteście, gdybyśmy was nie chronili. Nie uważalibyście na lekcjach, nie zajmowałibyście się z takim zapałem sztuką i pisaniem. Dlaczego mielibyście to robić, wiedząc, co was czeka? Oznajmilibyście, że to wszystko nie ma sensu, i cóż moglibyśmy wam odpowiedzieć? Dlatego Lucy Wainright musiała odejść.

Słyszeliśmy, jak Madame krzyczy na mężczyzn. Nie straciła nad sobą panowania, lecz w jej głosie pobrzmiwał stalowy ton i mężczyźni, którzy do tej pory się z nią wyklócali, umilkli.

— Właściwie równie dobrze mogę tu z wami zostać — stwierdziła panna Emily. — Marie-Claude radzi sobie w takich sytuacjach o wiele skuteczniej ode mnie.

— Madame nigdy nas nie lubiła — oznajmiłam, ścisząc głos i wskazując głową drzwi. — Zawsze nas się bała. Tak jak ludzie boją się pajaków i podobnych rzeczy.

Nie wiem, co skłoniło mnie do tego zwierzenia. Być może świadomość, że nasza wizyta będzie musiała wkrótce dobiec końca; a może ciekawiło mnie, co dokładnie myślą o sobie Madame i panna Emily.

Oczekiwałam, że panna Emily rozgniewa się, choć właściwie było mi to już prawie obojętne. I rzeczywiście, zwróciła się do mnie ostro, jakbym rzuciła w nią papierową kulą, a błysk, który pojawił się w jej oczach, przypominał mi czasy, kiedy rządziła w Hailsham. Ale kiedy się odezwała, jej głos był cichy i spokojny.

— Marie-Claude poświęciła dla was wszystko. Pracowała bez ustanku. Nie miej co do tego żadnych wątpliwości, moje dziecko. Marie-Claude jest po waszej stronie i zawsze będzie. Czy was się boi? Wszyscy was się boimy. Ja sama, będąc w Hailsham, prawie codziennie musiałam opanowywać lęk, jaki we mnie budziliście. Bywały chwile, kiedy patrzyłam na was z okna mojego gabinetu i odczuwałam taki wstręt... — Panna Emily urwała, a potem coś ponownie zabłysło w jej oczach. — Nie mogłam jednak pozwolić, by podobne uczucia powstrzymały mnie przed czynieniem tego, co uważałam za słuszne. Walczyłam z nimi i pokonałam je. A teraz, bądźcie tak dobrzy i pomóżcie mi stąd wyjść. George powinien tam czekać z moimi kulami.

Podtrzymując pannę Emily z obu stron pod łokcie, wyprowadziliśmy ją na korytarz, gdzie wielki mężczyzna w uniformie pielęgniarza poderwał się nerwowo i podał jej parę kul.

Frontowe drzwi były otwarte i ze zdziwieniem zobaczyliśmy, że na dworze jest jeszcze jasno. Z zewnątrz dobiegał głos Madame, która mówiła teraz coś spokojniejszym tonem do mężczyzn. Wyglądało na to, że ja i Tommy powinniśmy się już zbierać, lecz George pomagał włożyć płaszcz pannie Emily, która stała nieruchomo między kulami, i nie mogąc się obok nich precyzyjnie, po prostu tam staliśmy. Przypuszczam, że

czekaliśmy również, żeby się z nią pożegnać; być może chcieliśmy jej nawet podziękować, sama nie wiem. Ona jednak była teraz zaabsorbowana swoją serwantką. Wydała kilka poleceń mężczyznom na zewnątrz, po czym nie oglądając się na nas, wyszła razem z George'em.

Tommy i ja staliśmy jeszcze chwilę w korytarzu, nie bardzo wiedząc, co robić. Kiedy wyszliśmy w końcu na dwór, zauważyłam, że chociaż niebo nie było ciemne, wzdłuż całej długiej ulicy zapaliły się latarnie. Kierowca białej furgonetki zapuszczał silnik. Tuż za nią stało duże stare volvo z panną Emily na miejscu pasażera. Madame przycupnęła przy oknie i kiwała głową, słuchając czegoś, co mówiła panna Emily, a George zamknął bagażnik i zmierzał do drzwi od strony kierowcy. Po chwili biała furgonetka ruszyła z miejsca i samochód z panną Emily pojechał za nią.

Madame śledziła długo wzrokiem odjeżdżające pojazdy. W końcu odwróciła się, jakby chciała wejść z powrotem do domu, i widząc nas tam na chodniku, zatrzymała się gwałtownie, nieomal się kuląc.

— Już idziemy — oznajmiłam. — Dziękuję, że pani z nami porozmawiała. Proszę pożegnać od nas pannę Emily.

Widziałam, że Madame przygląda mi się w zapadającym zmroku.

— Kathy H. Pamiętam cię. Tak, pamiętam — powiedziała, wciąż mi się przyglądając.

— Chyba wiem, o czym pani myśli — stwierdziłam w końcu. — Potrafię to chyba zgadnąć.

— Znakomicie. — Jej głos był senny, a spojrzenie straciło nieco na ostrości. — Znakomicie. Potrafisz czytać w myślach. Powiedz mi.

— Widziała mnie pani kiedyś po południu w mojej sypialni. W pobliżu nie było nikogo i puszczałam tę kasetę, tę piosenkę. Wykonywałam do niej coś w rodzaju tańca, z zamkniętymi oczyma, i wtedy mnie pani zobaczyła.

— Znakomicie. Rzeczywiście potrafisz czytać w myślach. Powinnaś występować na scenie. Poznałam cię dopiero teraz. Ale owszem, pamiętam tamten moment. Wciąż o nim od czasu do czasu myślę.

— To zabawne, bo ja też.

— Widzę.

Mogliśmy zakończyć na tym tę rozmowę. Ja i Tommy mogliśmy pożegnać się i odejść. Lecz Madame podeszła do nas bliżej, przez cały czas patrząc mi prosto w twarz.

— Byłaś wtedy o wiele młodsza — powiedziała. — Ale owszem, to ty.

— Jeśli pani nie chce, nie musi mi pani odpowiadać — oznajmiłam. — Jednak zawsze mnie to ciekawiło. Mogę panią o coś spytać?

— Czytasz w moich myślach. Ale ja nie potrafię czytać w twoich.

— Tamtego dnia była pani... zmartwiona. Obserwowała mnie pani i kiedy zdałam sobie z tego sprawę i otworzyłam oczy, chyba pani płakała. Właściwie wiem na pewno, że pani płakała. Obserwowała mnie pani i płakała. Dlaczego?

Wyraz twarzy Madame wcale się nie zmienił; wciąż wpatrywała się w moją twarz.

— Płakałam — odpowiedziała w końcu bardzo cicho, jakby bała się, że usłyszą nas sąsiedzi — ponieważ kiedy tam weszłam, usłyszałam tę twoją piosenkę. Myślałam, że jakaś głupia uczennica jej nie wyłączyła. Ale wchodząc do tamtej sypialni, zobaczyłam ciebie, tańczącą samotnie małą dziewczynkę. Tak jak mówisz: z zamkniętymi oczyma i rozmarzonym, nieobecnym wyrazem twarzy. Tańczyłaś tak uroczo. No i ta muzyka, ta piosenka. Było coś takiego w słowach. Były przepojone smutkiem.

— Piosenka miała tytuł *Nie opuszczaj mnie* — powiedziałam i zanuciłam cicho kilka taktów. — „Nie opuszczaj mnie. Och, kochanie, nigdy mnie nie opuszczaj...”.

Madame pokiwała głową, jakby przyznawała mi rację.

— Tak, to była ta piosenka. Słyszałam ją potem kilka razy. W radiu i w telewizji. I wyobrażałam sobie zawsze tę małą, tańczącą samotnie dziewczynkę.

— Mówi pani, że nie umie czytać w myślach — odparłam. — Ale tamtego dnia może pani umiała. Może dlatego zaczęła pani płakać na mój widok. Ponieważ niezależnie od tego, o czym naprawdę była ta piosenka, tańcząc, miałam w głowie jej własną wersję. Wyobrażałam sobie, widzi pani, że opowiada o kobiecie, której powiedziano, że nie może mieć dzieci. I nagle ta kobieta ma dziecko, jest strasznie szczęśliwa i przyciska je mocno do piersi, naprawdę bojąc się, że coś może je rozdzielić, i powtarza, kochanie, kochanie, nigdy mnie nie opuszczaj. Ta piosenka wcale o tym nie jest, ale wtedy tak to sobie wyobrażałam. Może czytała pani w moich myślach i dlatego jej treść wydała się pani taka

smutna. Wtedy nie wydawała mi się taka smutna, lecz teraz, kiedy o tym myślę, chyba jednak jest.

Mówiłam do Madame, ale miałam przez cały czas świadomość, że Tommy porusza się niespokojnie, wyczuwałam fakturę jego ubrania, wszystko, co składało się na jego obecność.

— To bardzo interesujące — stwierdziła Madame. — W tamtym czasie nie umiałam jednak czytać w myślach lepiej niż teraz. Płakałam z zupełnie innych powodów. Patrząc tamtego dnia, jak tańczysz, widziałam coś innego. Widziałam nadchodzący raptownie nowy świat. Owszem, bardziej naukowy i racjonalny. Radzący sobie ze starymi chorobami. Bardzo dobrze. Lecz jednocześnie świat, który jest surowy i okrutny. I zobaczyłam małą dziewczynkę z zamkniętymi oczyma, przyciskającą do piersi ten stary miły świat, o którym w głębi serca wie, że się kończy. Przyciska go do piersi i prosi, żeby jej nie opuszczał. To właśnie zobaczyłam. Wiem, że tak naprawdę chodziło ci o coś zupełnie innego. Ale na twój widok zamarło mi serce. I nigdy tego nie zapomniałam. — Madame podeszła bliżej i stanęła zaledwie krok albo dwa od nas. — Wasza historia dziś wieczorem też mnie wzruszyła — powiedziała i spojrzała najpierw na Tommy'ego, a potem na mnie. — Biedactwa. Chciałabym wam pomóc. Lecz teraz jesteście zdani tylko na siebie.

Wyciągnęła rękę i patrząc mi przez cały czas w twarz, położyła dłoń na moim policzku. Poczułam, jak przez jej ciało przechodzi dreszcz, lecz nie odsunęła ręki i zobaczyłam, że w jej oczach znowu pojawiają się łzy.

— Biedactwa — powtórzyła głosem prawie nieróżniącym się od szeptu. A potem odwróciła się i weszła do domu.

W drodze powrotnej prawie nie rozmawialiśmy o spotkaniu z panną Emily i Madame. A jeśli nawet raz czy dwa o nim napomknęliśmy, mówiliśmy wyłącznie o mniej ważnych rzeczach, na przykład o tym, jakie miały meble, albo jak bardzo, naszym zdaniem, się postarzały. Wybierałam najmniej znane boczne drogi, gdzie ciemność rozpraszały wyłącznie nasze reflektory. Czasami pojawiały się cudze światła i miałam wrażenie, że to inni opiekunowie, wracający samotnie do domu lub być może, podobnie jak ja, wiozący ze sobą dawcę. Wiedziałam oczywiście, że z tych bocznych, wiejskich dróg

korzystają również inni ludzie, ale tamtej nocy zdawało mi się, że przeznaczone są wyłącznie dla takich jak my, podczas gdy wielkie jasne autostrady z ich wielkimi znakami i wspaniałymi restauracjami są dla całej reszty. Nie wiem, czy Tommy myślał o czymś podobnym. Być może tak, ponieważ nagle zauważył:

— Naprawdę znasz dziwne szosy, Kath.

Powiedziawszy to, parsknął cicho, lecz potem pogrążył się w zadumie.

— Myślę, że rację miała panna Lucy. Nie panna Emily — powiedział, kiedy jechaliśmy wyjątkowo mroczną drogą, prowadzącą przez kompletne odludzie.

Nie pamiętam, czy coś na to odpowiedziałam. Jeśli to zrobiłam, z pewnością nie było to nic głębokiego. Ale wtedy właśnie po raz pierwszy zauważyłam w jego głosie albo zachowaniu coś, co sprawiło, że w głowie zadźwięczały mi dzwonki alarmowe. Pamiętam, że oderwałam oczy od krętej drogi i zerknęłam w jego stronę, lecz on siedział cicho, wpatrując się w noc.

— Możemy stanąć, Kath? — zapytał nagle kilka minut później. — Przepraszam, ale muszę na chwilę wysiąść.

Pomyślałam, że znowu zrobiło mu się niedobrze, i zatrzymałam się prawie natychmiast, tuż przy żywopłocie. Miejsce było zupełnie nieoświetlone i chociaż mieliśmy zapalone światła, bałam się, że zza zakrętu może wyjechać jakiś inny pojazd i na nas wpaść. Dlatego nie poszłam za Tommym, kiedy wysiadł i zniknął w mroku. Poza tym coś w jego zachowaniu świadczyło, że nawet jeśli jest mu niedobrze, woli się z tym uporać w samotności. Tak czy inaczej, to był powód, dla którego, kiedy rozległ się pierwszy krzyk, siedziałam w dalszym ciągu w samochodzie, zastanawiając się, czy nie przestawić go trochę dalej.

Z początku pomyślałam nawet, że to nie on, ale jakiś wariat, który czai się w krzakach. Kiedy rozległ się drugi i trzeci krzyk, zdążyłam już wysiąść i wiedziałam, że to Tommy, lecz wcale nie uśmierzyło to mojego niepokoju. Właściwie przez chwilę o mało nie wpadłam w panikę, nie mając pojęcia, gdzie się podział. Nic przed sobą nie widziałam i kiedy próbowałam iść w kierunku krzyków, zatrzymał mnie nieprzebyty gąszcz. Po chwili znalazłam w nim lukę, przeszłam przez rów i dotarłam do ogrodzenia. Udało mi się przez nie przeleźć i wylądowałam w miękkim błocie.

Widziałam teraz o wiele lepiej, gdzie się znajduję. Stałam na polu, które dość blisko mnie opadało stromo w dół. Niżej widać było światła jakiejś wioski. Wiatr był tutaj dość porywisty i jeden z jego powiewów pchnął mnie tak mocno, że musiałam się złapać słupka ogrodzenia. Księżyc nie był jeszcze w pełni, ale świecił dość jasno i zobaczyłam nieopodal, w miejscu, gdzie pole zaczynało opadać w dół, sylwetkę Tommy'ego, który wrzeszczał i miotał się, wymachując kończynami.

Chciałam do niego podbiec, lecz stopy grzęzły mi w błocie. To samo błoto utrudniało ruchy również i jemu, ponieważ przy którymś wierzgnięciu poślizgnął się, upadł i zniknął w mroku. Słyszałam jednak jak przeklina, i udało mi się do niego dotrzeć, gdy dźwigał się na nogi. W świetle księżycy dostrzegłam jego twarz, umazaną błotem i wykrzywioną z wściekłości, i zaraz potem złapałam go za ramiona i mocno przytrzymałam. Próbował mnie odtrącić, ale ja nie puszczałam go, aż w końcu przestał krzyczeć i poczułam, że uszła z niego cała wola walki. Zorientowałam się wówczas, że on również obejmuje mnie ramionami. I staliśmy tak razem na skraju tego pola przez dłuższą chwilę, która wydawała się trwać całe wieki, a wiatr wiał i wiał, szarpiąc nas za ubranie, i przez moment zdawało się, że tylko dzięki temu, że się obejmujemy, nie porwie nas w mrok.

— Naprawdę cię przepraszam, Kath — mruknął Tommy i nerwowo się roześmiał, kiedy odsunęliśmy się w końcu od siebie. — Dobrze, że na polu nie pasły się krowy. Napędziłbym im stracha.

Widziałam, że robi, co może, bym uwierzyła, że już z nim wszystko w porządku, lecz pierś unosiła mu się w oddechu i dygotały nogi. Ruszyliśmy razem w stronę samochodu, uważając, żeby się nie poślizgnąć.

— Śmierdzisz krowim gównem — powiedziałam.

— O Boże, Kath. Jak ja to wytłumaczę? Będziemy musieli zakraść się od tyłu.

— Musisz się przecież zameldować.

— O Boże — powtórzył i znowu się roześmiał.

Znalazłam jakieś szmaty w samochodzie i starliśmy nimi najgorsze błoto. Szukając ich, wyjęłam z bagażnika jego sportową torbę z obrazkami zwierząt, i kiedy ruszyliśmy dalej, zauważyłam, że Tommy trzyma ją na kolanach.

Przez jakiś czas prawie w ogóle się nie odzywaliśmy. Oczekiwałam, że powie coś na temat obrazków; przyszło mi nawet do głowy, że może znowu wpadnie w furię i wyrzuci je wszystkie przez okno. On jednak obejmował troskliwie torbę rękoma i bardzo długo wpatrywał się w milczeniu w ciemną wstęgę asfaltu.

— Przepraszam za to, co się przed chwilą wydarzyło, Kath — powiedział w końcu. — Naprawdę cię przepraszam. Jestem kompletnym głupkiem. O czym myślisz, Kath? — zapytał po chwili.

— Myślałam o tym, jak wtedy w Hailsham dostawałeś podobnych ataków złości i nie potrafiliśmy tego zrozumieć. Nie potrafiliśmy zrozumieć, jak możesz się tak zachowywać. I przyszła mi do głowy pewna myśl, pewien pomysł. Pomyślałam sobie, że być może zachowywałeś się w ten sposób, ponieważ w jakimś sensie zawsze wiedziałeś.

Tommy przez chwilę się nad tym zastanawiał, a potem potrząsnął głową.

— Nie wydaje mi się, Kath. Nie, taki po prostu byłem. Po prostu głupi. Nic się za tym nie kryło — odparł i po krótkiej chwili cicho się roześmiał. — Ale to zabawna myśl. Być może w głębi serca rzeczywiście wiedziałem — dodał. — O czymś, o czym wy nie mieliście pojęcia.

Rozdział 23

Przez pierwszy tydzień po naszej wycieczce wszystko pozostało po staremu. Nie spodziewałam się jednak, by trwało to długo, i rzeczywiście z początkiem października zaczęłam dostrzegać drobne zmiany. Przede wszystkim Tommy, chociaż dalej rysował swoje zwierzęta, uważał, żeby nie robić tego w mojej obecności. Nie wróciliśmy pod tym względem do stanu, jaki panował zaraz po tym, gdy zostałam jego opiekunką i dzieliły nas różne sprawy z Chałup, miałam jednak wrażenie, że to przemyślał i zdecydował, że będzie dalej rysował zwierzęta, kiedy przyjdzie mu ochota, lecz jeśli wejdę, odłoży je na bok. Nie byłam tym szczególnie dotknięta. Właściwie pod wieloma względami sprawiło mi to ulgę: te lypiące oczyma zwierzaki jeszcze bardziej by nas krępowały, kiedy byliśmy razem.

Były również i inne zmiany, których nie przyjmowałam z taką ulgą. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie spędzaliśmy już miło czasu w jego pokoju. Czasami uprawialiśmy nawet seks. Nie mogłam jednak nie zauważyć, że Tommy w coraz większym stopniu zaczął identyfikować się z innymi dawcami w ośrodku. Jeśli wspominaliśmy na przykład naszych dawnych przyjaciół z Hailsham, wcześniej czy później rozmowa schodziła na temat jednego z jego obecnych znajomych, który powiedział lub zrobił coś podobnego do tego, o czym właśnie mówiliśmy. Było to ewidentne zwłaszcza pewnego razu, kiedy dotarłam do Kingsfield po długiej podróży i wysiadłam zmęczona z samochodu. Plac wyglądał trochę tak samo jak wówczas, gdy przyjechałam do ośrodka razem z Ruth i mieliśmy zamiar obejrzeć łódź. Było pochmurne jesienne popołudnie i w pobliżu nie dostrzegłam nikogo prócz grupki dawców, którzy stali pod wystającym daszkiem budynku rekreacyjnego. Zobaczyłam, że jest z nimi Tommy – stał, opierając się ramieniem o słupek i słuchając jakiegoś innego dawcy, który przykucnął na prowadzących do wejścia schodkach. Podeszłam do nich parę kroków, a potem zatrzymałam się i czekałam na otwartym terenie, pod szarym niebem. Lecz chociaż Tommy mnie zauważył, w dalszym ciągu słuchał przyjaciela i w końcu wraz z pozostałymi wybuchnął głośnym śmiechem. A później jeszcze przez jakiś czas słuchał go i uśmiechał się. Potem twierdził, że dawał mi znaki, żebym podeszła bliżej, lecz nawet jeśli to zrobił,

nie było to wcale takie oczywiste. Zarejestrowałam tylko, że uśmiechnął się słabo w moją stronę i dalej słuchał znajomego. Zgoda, zastałam go w trakcie jakiejś czynności, a potem, mniej więcej po minucie zostawił ich i poszliśmy oboje do jego pokoju. Ale wcześniej coś takiego nie mogłoby się chyba zdarzyć. I nie chodziło tylko o to, że kazał mi czekać na Placu. Nie miałabym o to do niego wielkich pretensji. Tamtego dnia po raz pierwszy wyczułam w nim coś w rodzaju niechęci, żalu, że musi ze mną odejść, i kiedy znaleźliśmy się w jego pokoju, atmosfera między nami nie była zbyt dobra.

Szczerze mówiąc, można było o to winić zarówno jego, jak i mnie. Ponieważ stojąc tam i patrząc, jak rozmawiają i się śmieją, poczułam niespodziewane ukłucie żalu: coś w tym, jak ci dawcy ustawili się w półokręgu, coś w ich pozach, niemal w wystudiowany sposób zrelaksowanych, bez względu na to, czy stali, czy siedzieli — tak jakby chcieli oznajmić światu, że każdy z nich czuje się świetnie w towarzystwie innych — przypomniało mi naszą małą grupkę, to, jak siadywaliśmy razem w sali gimnastycznej. To skojarzenie, jak powiedziałam, trochę mnie zabolowało i być może dlatego, kiedy znaleźliśmy się w pokoju Tommy'ego, ja również byłam lekko urażona.

Czułam podobne ukłucie żalu za każdym razem, kiedy mówił, że nie rozumiem tego lub owego, ponieważ nie jestem jeszcze dawczynią. Z jednym wyjątkiem, o którym opowiem za chwilę, kończyło się zawsze na tym małym ukłuciu. Na ogół mówił to pół żartem, pół serio, niemal z czułością. I nawet jeśli było w tym coś więcej, jak wówczas, kiedy powiedział, żebym przestała zanosić jego brudne rzeczy do prania, bo może to robić sam, trudno było nazwać to klótnią.

— Jakie to ma znaczenie — zapytałam go wtedy — które z nas zabiera na dół ręczniki? I tak idę w tamtą stronę.

— Posłuchaj, Kath — odparł, kręcąc głową. — Ja sam będę zajmował się swoimi rzeczami. Zrozumiałabyś to, gdybyś była dawczynią.

Zgoda, nie było to zbyt przyjemne, ale mogłam o tym łatwo zapomnieć. Jak już wspomniałam, tylko raz naprawdę mnie ubodło, kiedy z tym wyjechał.

Zdarzyło się to mniej więcej tydzień po przyjściu wezwania na czwartą donację. Spodziewaliśmy się go i już wcześniej sporo o tym mówiliśmy. Tak się złożyło, że po wycieczce do Littlehampton odbyliśmy kilka naszych najbardziej intymnych rozmów, dyskutując o czwartej donacji. Wiedziałam, że dawcy reagują na nią w najróżniejszy

sposób. Niektórzy rozprawiają o niej przez cały czas, bez końca i bez sensu. Inni wyłącznie z niej żartują, a jeszcze inni nie chcą o niej w ogóle dyskutować. Poza tym istnieje wśród nich ta dziwna skłonność, by traktować czwartą donację jako coś, co zasługuje na gratulacje. Dawca „na czwartej”, nawet jeśli do tej pory nie był zbyt popularny, traktowany jest z wyjątkowym respektem. Dostosowują się do tego nawet lekarze i pielęgniarki: przychodzący na badanie dawca „na czwartej” witany jest przez nich uśmiechami i uściskami dłoni. Tommy i ja rozmawialiśmy o tych sprawach czasami żartobliwym, czasami poważnym tonem. Dyskutowaliśmy o tym, jak ludzie starają się do tego podejść i które ze sposobów wydają się najbardziej sensowne.

— Wiesz, dlaczego tak jest, Kath, dlaczego wszyscy tak się przejmują czwartą? — zapytał mnie kiedyś, gdy leżeliśmy przy sobie na łóżku w zapadającej ciemności. — To dlatego, że nie są pewni, czy zejdą. Gdyby wiedziało się na pewno, że się zejdzie, byłoby łatwiej. Ale nigdy nam tego do końca nie powiedzieli.

Od jakiegoś czasu ciekawiło mnie, czy poruszy ten temat, i zastanawiałam się, jak na to odpowiedzieć. A jednak kiedy to zrobił, trudno mi było znaleźć odpowiednie słowa.

— To po prostu stek bzdur, Tommy. Tylko gadanie, nieodpowiedzialne gadanie. Nie warto nawet o tym myśleć — powiedziałam.

Ale Tommy wiedział chyba, że nie mam nic na poparcie tych twierdzeń. Wiedział również, że zadaje pytania, na które nawet lekarze nie znają pewnych odpowiedzi. Słyszało się różne rzeczy. Na przykład, że po czwartej donacji, nawet jeśli ktoś, technicznie rzecz biorąc, zszedł, pozostaje w jakiś sposób świadomy; i czekają go wówczas kolejne donacje, dużo donacji, po drugiej stronie tej granicy, tyle że nie ma już ośrodków rehabilitacyjnych, opiekunów i przyjaciół, i nie pozostaje mu nic innego, jak śledzić następne donacje aż do chwili, kiedy go wyłączą. To historie z piekła rodem i większość ludzi nie chce o tym myśleć. Nie chcą o tym myśleć ludzie w białych fartuchach, opiekunowie i na ogół również dawcy. Ale co jakiś czas któryś z nich o tym napomyka, tak jak zrobił to owego wieczoru Tommy, i teraz żałuję, że o tym nie porozmawialiśmy. Bo kiedy określiłam to mianem bzdur, oboje wycofaliśmy się jakby z tego terytorium. Zorientowałam się jednak, że Tommy'emu nie daje to spokoju, i cieszyłam się, że mi się zwierzył. Chcę przez to powiedzieć, że generalnie rzecz biorąc, miałam wrażenie, iż radzimy sobie z czwartą donacją dość dobrze, i dlatego tak bardzo

wytrąciło mnie z równowagi to, co powiedział tamtego dnia, kiedy spacerowaliśmy po polu.

Kingsfield nie jest zbyt rozległe. Oczywistym miejscem zgromadzeń jest Plac, a kilka połąci ziemi za budynkami bardziej przypomina ugór. Największa z nich, którą dawcy nazywają „polem”, ma kształt prostokąta, porośnięta jest chwastami i ogrodzona siatką. Zawsze mówiło się, że trzeba tam urządzić porządną trawnik dla dawców, ale nie zrobiono tego do dzisiaj. I nawet jeśli się w końcu do tego zabiorą, nie będzie tam zbyt spokojnie, ponieważ w pobliżu przebiega ruchliwa droga. Mimo to gdy dawców ogarnia niepokój i muszą się trochę przespacerować, tam właśnie się wybierają i przedzierają przez pokrzywy, jeżyny i osty. Ten konkretny ranek, o którym mówię, był dość mglisty i wiedziałam, że na polu będzie mokro, lecz Tommy uparł się, żebyśmy poszli na spacer. Jak można się było spodziewać, poza nami nie było tam nikogo i prawdopodobnie nawet mu to odpowiadało. Przez kilka minut młócił zarośla, a potem stanął przy siatce i wpatrywał się we mgłę po drugiej stronie.

— Nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiała, Kath — powiedział w końcu. — Ale dużo o tym myślałem. Uważam, że powinienem dostać innego opiekuna.

W ciągu kilku sekund, które potem nastąpiły, zdałam sobie sprawę, że nie jestem wcale zaskoczona: w jakiś dziwny sposób właściwie na to czekałam. Mimo to ogarnęła mnie złość i nie odezwałam się ani słowem.

— Nie chodzi tylko o to, że zbliża się czwarta donacja — podjął. — Nie tylko o to. Myślę o tym, co zdarzyło się w zeszłym tygodniu. Kiedy miałem te kłopoty z nerką. Czeka mnie znacznie więcej takich rzeczy.

— Dlatego właśnie cię odnalazłam — wyznałam. — Dlatego przyjechałam ci pomóc. W tym, co się teraz zaczyna. I tego właśnie chciała Ruth.

— Ruth chciała dla nas czegoś innego — odparł Tommy. — Niekoniecznie zależało jej na tym, żebyś była moją opiekunką do samego końca.

— Tommy — powiedziałam. Byłam chyba naprawdę rozgniewana, ale starałam się nie podnosić głosu. — Mam ci przecież pomagać. Dlatego cię odnalazłam.

— Ruth chciała dla nas czegoś innego — upierał się Tommy. — Nie tego, co jest teraz. Nie chcę, żeby to się ze mną działo w twojej obecności.

Wpatrywał się w ziemię, przyciskając dłoń do siatki, i przez moment mogło się zdawać, że wsłuchuje się uważnie w szum jadących gdzieś we mgle samochodów. I wtedy właśnie to powiedział, potrząsając lekko głową.

— Ruth by to zrozumiała. Była dawczynią, więc by zrozumiała. Nie twierdzę, że chciałaby koniecznie tego samego. Gdyby to było możliwe, wolałaby pewnie, żebyś była jej opiekunką do samego końca. Ale na pewno zrozumiałaby, że ja chcę to załatwić inaczej. Czasami po prostu tego nie widzisz, Kath. Nie widzisz tego, bo nie jesteś dawczynią.

Wtedy właśnie, kiedy to powiedział, odwróciłam się na pięcie i odeszłam. Jak wspomniałam, spodziewałam się niemal, że nie będzie chciał mnie dłużej widzieć w roli swojej opiekunki. Ale tym, co mnie naprawdę zabolalo i nałożyło się na wszystkie inne drobiazgi — na przykład, kiedy kazał mi czekać na Placu — było to, jak uzasadnił tę decyzję, sposób, w jaki mnie ponownie odsunął, nie tylko od siebie i innych dawców, lecz także od siebie i Ruth.

Nie przerodziło się to jednak w wielką kłótnię. Zostawiwszy go, mogłam co najwyżej pójść z powrotem do jego pokoju, a on pojawił się tam kilka minut później. Do tego czasu nieco ochłonęłam, podobnie zresztą jak on, i mogliśmy to spokojniej przedyskutować. Rozmowa była sztywna, lecz w końcu się pogodziliśmy i omówiliśmy nawet kilka szczegółów dotyczących zmiany opiekuna.

— Nie chcę się z tobą znowu kłócić, Kath — wymamrotał, kiedy siedzieliśmy przy sobie w przyćmionym świetle, na skraju jego łóżka. — Ale bardzo chciałem zadać ci to pytanie. Chodzi o to, czy nie masz już dosyć bycia opiekunką? Cała reszta naszej paczki została dawcami już dawno temu. A ty to robisz od wieków, Kath. Czy nie pragniesz czasami, żeby się pośpieszyli i wysłali ci wezwanie?

Wzruszyłam ramionami.

— Nie mam nic przeciwko. Tak czy inaczej, ważne jest, żebyśmy mieli dobrych opiekunów. A ja jestem dobrą opiekunką.

— Ale czy to naprawdę takie ważne? Zgoda, naprawdę miło jest mieć dobrego opiekuna. Lecz w ostatecznym rozrachunku, czy to naprawdę takie ważne? Dawcy i tak będą oddawali organy, a potem wszyscy zejdą.

— Oczywiście, że ważne. Dobry opiekun może sprawić, że życie dawcy będzie wyglądało zupełnie inaczej.

— Ale cały ten pośpiech, w którym żyjesz... Całe to zmęczenie, fakt, że jesteś sama. Obserwowałam cię. To cię wykańcza. Chyba czasami o tym marzysz, Kath, marzysz o tym, żeby powiedzieli, że możesz przestać. Nie wiem, dlaczego z nimi nie pogadasz, nie zapytasz, czemu to tak długo trwa — powiedział i urwał, lecz ja milczałam. — Tak mi tylko przyszło do głowy. Nie kłóćmy się znowu — dodał po chwili.

— No dobrze. Może to nie będzie trwało już tak długo — odparłam, kładąc mu głowę na ramieniu. — Na razie jednak nie mogę przestać. Nawet jeśli ty nie chcesz mieć mnie przy sobie, są inni, którzy tego chcą.

— Chyba masz rację, Kath. Jesteś naprawdę dobrą opiekunką. Gdybyś to nie była akurat ty, byłabyś dla mnie idealna. — Tommy roześmiał się i objął mnie ramieniem, lecz nie przytuliliśmy się do siebie. — Stale myślę o tej rzece gdzieś daleko, z naprawdę szybkim nurtem — rzekł nagle. — I o dwojgu zanurzonych w wodzie ludziach, którzy próbują się trzymać za ręce, naprawdę z całej siły się trzymają i w końcu nie dają rady. Prąd jest zbyt silny. Muszą się puścić i odpłynąć od siebie. Myślę, że tak samo jest z nami. Wielka szkoda, Kath, ponieważ kochaliśmy się przez całe życie. Ale nie możemy zostać ze sobą na zawsze.

Kiedy to powiedział, przypomniałam sobie, jak obejmowałam go na tym smaganym wiatrem polu w drodze powrotnej z Littlehampton. Nie wiem, czy on również to sobie przypomniał, czy w dalszym ciągu rozmyślał o swoich rzekach i silnych prądach. Tak czy owak, siedzieliśmy tam na skraju łóżka bardzo długo, zatopieni w myślach.

— Przepraszam, że tak na ciebie naskoczyłam — odezwałam się w końcu. — Porozmawiam z nimi. Postaram się dopilnować, żeby dali ci kogoś naprawdę dobrego.

— Wielka szkoda — powtórzył.

I nie wydaje mi się, żebyśmy mówili o tym więcej tego ranka.

Tygodnie, które nastąpiły potem — kilka ostatnich tygodni przed przybyciem nowego opiekuna — utkwily mi w pamięci jako zaskakująco spokojne. Być może Tommy i ja staraliśmy się być dla siebie szczególnie mili, lecz mam wrażenie, że cały ten okres minął w prawie beztroskiej atmosferze. Można by pomyśleć, że w naszym zachowaniu było coś nierealnego, ale w tamtym czasie nie wydawało się to dziwne. Miałam dużo roboty z dwójką innych dawców w północnej Walii i to odciągało mnie od Kingsfield bardziej, aniżeli bym chciała, lecz i tak udawało mi się tam przyjeżdżać trzy albo cztery razy w tygodniu. Zrobiło się zimniej, lecz było sucho i słonecznie i spędzałam całe godziny w jego pokoju, czasami uprawiając z nim seks, częściej jednak po prostu rozmawiając lub czytając mu na głos. Raz czy dwa Tommy wyjął nawet zeszyt i zaczął gryzmolić jakieś swoje nowe zwierzęta, podczas gdy ja czytałam mu, siedząc na łóżku.

A potem któregoś dnia przyjechałam tam po raz ostatni. Zjawiłam się tuż po pierwszej pewnego rześkiego grudniowego popołudnia. Poszłam do jego pokoju, spodziewając się czegoś niezwykłego — sama nie wiem czego. Może myślałam, że go udekorował albo coś w tym rodzaju. Ale oczywiście wszystko wyglądało po staremu i właściwie odczułam nawet ulgę. Tommy też nie wyglądał inaczej, lecz kiedy zaczęliśmy rozmawiać, trudno było udawać, że to zwykła kolejna wizyta. Z drugiej strony w poprzednich tygodniach omówiliśmy tyle spraw, że właściwie nie zostało nam nic ważnego do przedyskutowania. I wydaje mi się, że nie chcieliśmy zaczynać żadnej poważnej rozmowy, żeby nie żałować później, iż nie udało nam się jej porządnie zakończyć. Dlatego w tym, co mówiliśmy tamtego dnia, wyczuwało się jakąś pustkę.

— Czy cieszysz się, że Ruth zesłała, nie wiedząc o tym, o czym my się w końcu dowiedzieliśmy? — zapytałam go jednak w pewnym momencie, przestając krążyć bez celu po pokoju.

Tommy leżał na łóżku i przez chwilę wpatrywał się bez słowa w sufit.

— To zabawne, bo o tym samym myślałem przed kilku dniami — powiedział. — Musisz pamiętać, że jeśli chodzi o te sprawy, Ruth zawsze się od nas różniła. Ty i ja od samego początku, nawet kiedy byliśmy mali, staraliśmy się odkryć, jak się rzeczy mają. Pamiętasz, Kath, wszystkie te nasze tajemne rozmowy? Ale Ruth była inna. Zawsze chciała w coś wierzyć. Taka już była. Więc w pewnym sensie wydaje mi się, że dobrze się stało, jak się stało. Oczywiście to, czego się dowiedzieliśmy, o panie Emily i w ogóle, nie

zmienia niczego, co dotyczy Ruth. Pod koniec chciała dla nas jak najlepiej. Naprawdę chciała dla nas jak najlepiej.

Nie chcąc zaczynać na tym etapie poważnej dyskusji o Ruth, po prostu się z nim zgodziłam. Lecz teraz, kiedy mam więcej czasu, żeby się nad tym zastanowić, właściwie nie wiem, co czuję. Chciałabym chyba móc podzielić się naszym odkryciem z Ruth. Zgoda, może by ją to przygnębiło, może zdałaby sobie sprawę, że nie tak łatwo jest naprawić całe zło, które nam kiedyś wyrządziła. I jeśli mam być szczerą, w jakiejś małej części chciałabym, żeby uświadomiła sobie to wszystko, zanim zeszła. W gruncie rzeczy myślę jednak, że chodzi o coś innego, o coś znacznie ważniejszego niż moje z nią porachunki i inne niskie uczucia. Ponieważ, jak mówił Tommy, pod koniec chciała dla nas jak najlepiej, i chociaż powiedziała wtedy w samochodzie, że nigdy jej nie wybaczę, nie miała racji. Nie wzbiera już we mnie gniew. Chciałabym, aby poznała całą prawdę, ponieważ smuci mnie myśl, że skończyła inaczej niż ja i Tommy. Mam wrażenie, że my stoimy po jednej, a Ruth po drugiej stronie, i teraz, kiedy wszystko zostało powiedziane i zrobione, ogarnia mnie smutek i ją też pewnie by ogarnął, gdyby mogła to zobaczyć.

Tommy i ja nie zafundowaliśmy sobie tamtego dnia żadnego wielkiego pożegnania. Kiedy nadeszła pora, zszedł ze mną po prostu na dół po schodach, czego normalnie nie robił, i przeszliśmy razem przez Plac. Zimowe słońce zachodziło już za budynkami. Pod wystającym dachem widać było jak zwykle kilka postaci, lecz sam Plac był pusty. Tommy milczał przez całą drogę do samochodu.

— Wiesz, Kath, kiedy grałem w nogę w Hailsham, miałem taki swój mały sekret — powiedział nagle, parszkając śmiechem. — Zdobywając gola, obracałem się w ten sposób — mówiąc to, podniósł obie ręce w triumfalnym geście — i biegłem do swoich kolegów. Nigdy nie szalałem ani nic podobnego, po prostu biegłem z podniesionymi rękoma, o tak. — Na chwilę przerwał, trzymając ręce nad głową. A potem opuścił je i uśmiechnął się. — I kiedy tak do nich biegłem, Kath, zawsze wyobrażałem sobie, że stąпам po wodzie. Niezbyt głębokiej, najwyżej do kostek. Coś takiego wyobrażałem sobie za każdym razem. Chlup, chlup, chlup. — Tommy ponownie podniósł ręce w górę. — To było naprawdę wspaniałe. Zdobywałem gola, odwracałem się i chlup, chlup, chlup. — Spojrzał na mnie i znowu się roześmiał. — Przez cały ten czas nikomu nie pisałem o tym ani słowa.

— Ty szalony dzieciaku, Tommy — powiedziałam i też się roześmiałam.

Następnie pocałowaliśmy się — zwykle cmoknięcie, nic więcej — i wsiadłam do samochodu. Tommy stał w miejscu, gdy zawracałam, a później, kiedy dodałam gazu, uśmiechnął się i pomachał mi. Obserwowałam go w tylnym lusterku i stał tam prawie do końca. W ostatnim momencie zobaczyłam, jak znowu podnosi rękę i skręca w stronę wysuniętego daszku. A potem Plac zniknął z lusterka.

Kilka dni temu rozmawiałam z jednym z dawców, który narzekał, że nasze wspomnienia, nawet te najcenniejsze, zaskakująco szybko się zacierają. Nie zgadzam się jednak z tym stwierdzeniem. Wspomnienia, które najbardziej cenię, bynajmniej się nie zacierają. Straciłam Ruth, a potem straciłam Tommy*ego, lecz nie straciłam związanych z nimi wspomnień.

Przypuszczam, że straciłam również Hailsham. Wciąż słyszy się opowieści o byłych wychowankach, którzy próbują odnaleźć ośrodek albo raczej miejsce, gdzie się znajdował. I czasami krążą plotki o tym, co tam jest teraz — hotel, szkoła, ruiny. Ja osobiście, mimo że tyle przejeździłam, nigdy nie starałam się go odnaleźć. Tak naprawdę nie mam ochoty go oglądać, bez względu na to, co można tam dziś zobaczyć.

Co ciekawe, chociaż twierdzę, że nigdy nie wypatruję Hailsham, czasami, kiedy jeżdżę po kraju, mam wrażenie, że dostrzegam jakiś jego fragment. Widzę w oddali jakąś salę gimnastyczną i jestem przekonana, że to nasza sala. Albo szpaler topoli na horyzoncie, a obok nich wielki, obsypany liśćmi dąb, i przez sekundę wydaje mi się, że podjeżdżam od tyłu do południowego boiska. Pewnego szarego poranka na długim odcinku drogi w Gloucestershire minęłam zaparkowany w zatoczce zepsuty samochód i byłam pewna, że dziewczyna, która stała przed nim, patrząc na nadjeżdżające z naprzeciwka pojazdy, to starsza od nas o kilka lat Susanna C, która była dyżurną podczas wyprzedaży. Takie rzeczy przytrafiają mi się, kiedy ich się najmniej spodziewam, kiedy myślę o czymś zupełnie innym. Więc może na pewnym poziomie rzeczywiście wypatruję Hailsham.

Jak powiadam jednak, nie szukam go, i tak czy inaczej, z końcem tego roku przestanę już jeździć po kraju. Więc jest całkiem możliwe, że nigdy go nie znajdę i kiedy się nad tym zastanawiam, nawet się z tego cieszę. Podobnie jest z moimi wspomnieniami o Tommym i Ruth. Kiedy będę mogła prowadzić spokojniejsze życie w ośrodku, do

którego mnie pošlą, zabiorę Hailsham ze sobą, ukryte bezpiecznie w zakamarkach mojej pamięci, i będzie to coś, czego nikt mi nie odbierze.

Pofolgowałam sobie tylko raz, kilka tygodni po wiadomości o zejściu Tommy'ego, kiedy pojechałam do Norfolku, mimo że nie musiałam tam nic załatwić. Nie miałam żadnych konkretnych planów i nie dojechałam nawet do wybrzeża. Może chciałam po prostu popatrzeć na te płaskie puste pola i wysokie szare niebo. W którymś momencie zorientowałam się, że jadę drogą, którą jeszcze nigdy nie jechałam; przez mniej więcej pół godziny nie wiedziałam, gdzie jestem, i wcale się tym nie przejmowałam. Mijałam kolejne płaskie, monotonne pola, które kompletnie nie różniły się między sobą poza tym, że czasami z bruzd wlatywały spłoszone warkotem silnika ptaki. A potem zobaczyłam w oddali kilka rosnących niedaleko drogi drzew, podjechałam do nich i wysiadłam.

Okazało się, że stoję na skraju zaoranej ziemi. Ogrodzenie z dwóch nitek kolczastego drutu zamykało wstęp na pole i widziałam, że ten drut, a także trzy lub cztery drzewa są jedynymi rzeczami, które na przestrzeni wielu mil stawiają opór wiatrowi. Wszędzie wzdłuż ogrodzenia, zwłaszcza przy niższym drucie, tkwiły najprzeróżniejsze śmieci. Przypominało to rzeczy, które znajduje się na brzegu morza; wiatr musiał nieść je przez wiele mil, zanim ostatecznie zaczepiły się o te drzewa i dwie nitki drutu. Na górze, w gałęziach drzew widziałam trzepoczące strzępy plastiku i starych reklamówek. I stojąc tam, patrząc na te przypadkowe śmieci i czując na twarzy podmuchy wiejącego przez puste pola wiatru, tylko ten jeden raz pozwoliłam sobie na małą fantazję, bo byłam w końcu w Norfolku i minęło tylko kilka tygodni od chwili, gdy straciłam Tommy'ego. Myślałam o śmieciach, o trzepoczącym między gałęziami plastiku i o znaczonej najdziwniejszymi przedmiotami linii wybrzeża, a potem, mrużąc oczy, wyobraziłam sobie, że jestem w miejscu, gdzie fala wyrzuciła na brzeg wszystko, co straciłam od dzieciństwa, i że jeśli będę czekała dość długo, na horyzoncie pojawi się małutka postać i stopniowo będzie się powiększać, aż zobaczę, że to Tommy, a on pomacha do mnie i może nawet zawoła. Ta fantazja nigdy nie miała dalszego ciągu — nie pozwoliłam na to — i chociaż po policzkach płynęły mi łzy, nie rozplakałam się ani nie straciłam nad sobą panowania. Odczekałam po prostu chwilę, a potem wróciłam do samochodu i pojechałam tam, gdzie na mnie czekano.